TWÓRCZOŚĆ

1

STYCZEŃ

ROK IX 1953

NOTICE

THIS VOLUME IS INCOMPLETE

THE FOLLOWING ISSUES ARE NOT AVAILABLE:

no. 2, 4-5 1953

TWÓRCZOŚĆ

MIESIĘCZNIK

ZWIĄZKU LITERATÓW POLSKICH

ROK IX ZESZYT 1

WARSZAWA, STYCZEŃ 1953 ROK

spod jarzma Hiszpanii. A czym się stała dzisiejsza Ameryka Łacińska? Terenem najwyższego wyzysku przez koncerny północno-amerykańskie, takie jak Standard Oil Company, Anaconda Coper Mining Co, czy United Fruit Co. Z poematu Nerudy wyłania się, na przykład, piękna postać Jose Manuel Balmaceda, który był prezydentem Chile pod koniec zeszłego wieku. Człowiek ten znalazłszy się u władzy zamyślał cofnąć koncesje wydane obcemu kapitałowi na słynne kopalnie chilijskiej saletry i dochód z nich obrócić na podniesienie ogólnej kultury zacofanej ojczyzny. Zamach zorganizowany przez wrogów narodu obalił Balmacedę i wcisnął mu do ręki rewolwer samobójcy — koncesje zaś pozostały przy miliarderach City i Wall Street. Czy sytuację krajów Ameryki Południowej i Środkowej — owych „republik bananowych", jak je nazywają businessmani Nowego Jorku — można uważać za sytuację krajów całkowicie niepodległych? Jasne jest, że te narody i kraje mają tego samego wroga, co i pokój: magnatów zbrojeniowych, organizatorów wojny. W pogoni za zyskami wyczerpują oni wszystkie środki eksploatacji ludów, i grożą potworną wojną światu, potrząsają bombą atomową i wodorową, zrzucają bomby napalmowe i bakteriologiczne.

Państwa wyzyskiwane przez podżegaczy wojennych także oczekują od nas słowa. Musimy im powiedzieć: walka o pokój — to walka o niepodległość narodową. Samo przygotowanie wojny zawiera jednocześnie w sobie groźbę dla niepodległości narodów. Bomby masowej zagłady są groźbą dla istnienia państw niepodległych.

Zastanówmy się np. nad powszechnie znanym faktem zakładania amerykańskich baz lotniczych w poszczególnych krajach. Bazy te są zakładane w mniejszej czy większej odległości od ich centrum dyspozycyjnego, ale bez względu na to, czy znajdują się one w Iranie, w Iraku, w Izraelu, Afganistanie, w Egipcie, w Norwegii, w Islandii, w Afryce Północnej czy we Włoszech lub Danii — cel jest ten sam: przygotowanie nowej wojny agresywnej.

Jest rzeczą charakterystyczną, że są one zwrócone przede wszystkim przeciwko niepodległości tych krajów, gdzie się znajdują. Budowa strategicznych dróg i zakładanie baz lotniczych godzi bezpośrednio w niepodległość polityczną i ekonomiczną krajów, w których te przygotowania się rozwijają. Walka zatem z przygotowaniami wojennymi, to znaczy walka o pokój — jest jednocześnie obroną niepodległości.

Istnieją jeszcze oprócz tego inne państwa, które cieszą się opinią „niepodległych", ba, uchodzą jeszcze za mocarstwa. Ale tylko uchodzą... Czują się one zagrożone w swoich interesach życiowych, ekonomicznych i politycznych, przez swych mocniejszych partnerów.

Cóż możemy powiedzieć tym ludom uciemiężonym, krajom wyzyskiwanym, państwom zagrożonym? Odpowiedź nasza jest jasna i jednoznaczna: jednym z najważniejszych warunków zachowania i utrwalenia pokoju jest zachowanie i utrwalenie niepodległości wszystkich narodów świata. Naszym zdaniem każdy naród musi mieć zapewnioną integralność swojego terytorium i możność niezawisłego rozstrzygania swoich wewnętrznych zagadnień politycznych, społecznych, ekonomicznych i kulturalnych. Musi jednocześnie mieć możność wymiany z innymi niepodległymi krajami wszelkich dóbr kulturalnych i gospodarczych na zasadzie całkowitego równouprawnienia.

Oto niezbędne warunki uzyskania solidnych baz pokoju światowego. Polityka wojny oznacza podbój i wyzysk, pokój — oznacza niepodległość. Wydaje się nam, że najbliższą drogą do urzeczywistnienia tych zasad jest zawarcie tak przez wszystkich pożądanego paktu pokoju między pięcioma wielkimi mocarstwami. Pakt taki może zapewnić światu długie lata pokoju; zapewni on także możność pokojowego, systematycznego rozwoju poszczególnych narodów i pokojowe uregulowanie wszelkich kwestii spornych.

Że najtrudniejsze problemy dadzą się rozwiązać przy obopólnej dobrej woli — najlepszym dowodem są obecne stosunki między Polską Rzeczypospolitą Ludową a Niemiecką Republiką Demokratyczną. Stosunki polsko-niemieckie, nie potrzebuję chyba tego tutaj przypominać, układały się tragicznie w ciągu długich wieków historii Europy. Były one zarzewiem niejednej wojny, przyprawiały oba narody o straty moralne i materialne. Przezwyciężenie wiekowych zadrażnień między naszymi narodami, zwycięstwo ich dobrej woli — jest jednym z największych pokojowych osiągnięć po ostatniej wojnie. Naród polski gorąco pragnie, aby przyjazne stosunki, łączące Polskę i NRD, rozwinęły się w stosunki między Polską a całymi Niemcami, Niemcami demokratycznymi, zjednoczonymi i pokojowymi.

My, Polacy, zapewniamy wszystkich Niemców dobrej woli, wszystkich bojowników o pokój w Niemczech zachodnich, że ich dążenie do zbudowania Niemiec zjednoczonych i demokratycznych całkowicie odpowiada interesom Polski, ponieważ zawiera w sobie niezbędny warunek pokoju w Europie. Z tego względu z wielkim zadowoleniem przyjęliśmy wyniki konferencji dla pokojowego rozwiązania problemu niemieckiego, która odbyła się ostatnio w Berlinie, a która wypowiedziała się przeciwko układom z Bonn i Paryża. Szczególnie gorąco przyjęliśmy ten wielki akt historyczny, jakim stała się wspólna deklaracja Niemców wschodnich i zachodnich. Konferencja berlińska ma jeszcze inne bardzo ważne znaczenie — wykazała ona całemu światu, że przy dobrej woli można znaleźć wspólne rozwiązania wśród ludzi różniących się między sobą poglądami, wśród ludzi, należących do najrozmaitszych ugrupowań. Witamy również z całego serca przemówienie kanclerza Wirtha, które wykazało, jak słuszna była polityka zbliżenia między Niemcami a Związkiem Radzieckim, zapoczątkowana przez niego, lecz później zdławiona przez wrogów pokoju. Witamy serdecznie to przemówienie, przede wszystkim dlatego, że opierając się na uchwałach poczdamskich, wskazuje ono narodowi niemieckiemu właściwą drogę do pokoju, niezawisłości i wielkości.

Naród polski — wolny, niepodległy, zjednoczony w szerokim froncie narodowym, obejmującym wszystkie partie polityczne, organizacje masowe i wszystkich ludzi dobrej woli — w pełni popiera tę politykę przyjaźni z narodem niemieckim w interesie obu krajów. W szczerym pragnieniu utrwalenia dzieła pokoju — naród polski wyciąga dłoń dla wspólnej walki o pokrzyżowanie zbrodniczych planów podżegaczy do nowej wojny.

SEWERYN POLLAK

NA LEGITYMACJĘ ZETEMPOWSKĄ CÓRKI

I

Moja córka dostała zetempowski krawat —
I poczułem się dumny, jak gdyby na nowo
Dano mi wraz z młodością mój partyjny dowód,
Bo łączy nas nie tylko wspólna krew i słowo,
Lecz wspólna dla nas dwojga sprawa.

Świat domowy rozszerzył naraz swe granice:
Tu zielono i modro, a tam błyskawice,
Tu cztery ściany domu i ciche świtanie,
A tam uparta walka — tworzenie przyszłości.

Z domu małego szedłem do domu dużego,
Dom mały chciałem tworzyć na wzór olbrzymiego,
W domu wielkim marzyłem modrości domowe,
W małym miłość koiła rozgorzałą głowę.

Moja córka, co była mi źrenicą oka,
Celem moich wyrzeczeń i codzienną troską,
Sprawiła, że nas droga złączyła wysoka,
Moja partyjna — z jej młodzieńczą, zetempowską.

II

Córko dorastająca,
Oto w promieniach słońca
Wiatr czesze twój ciemny włos —
Gałązka śpiewająca,
Na której trzepocze się kos
O rosie, o poranku
W białym motyli wianku.

Młodości moja zbiegła,
Któraś żaru ustrzegła
Dla mych dojrzałych lat,
Oto karta — z tej karty
Świat dla ciebie otwarty,
Świat dla ciebie zwycięski,
Dla mnie — biedy i klęski,
Co mnie niegdyś trapiły,
Dzisiejszej źródłem siły:
Rozkwitający świat.

Blasku mój, trosko moja,
Z jednego pijemy zdroja,
Ty, łodyżka wierzbowa,
Ja — osmalony pień.
Biły pioruny, burze,
Ty będziesz trwała dłużej,
Gdy ja się w nurty zwalę,
Lecz nam obojgu jaśnieje
W czystej kopule dzień.
Niechże go dziś pochwalę
Za dziejące się .dzieje.
Ty będziesz rosła dalej.

Mnie było znacznie trudniej,
Ciężkie dźwigałem bryły
I nieraz mnie znużyły
Ostre mrozy i grudnie.
Lecz ty, moja radości,
Dla mnie je zostaw, dość ich,
Aby zahartowały
Twój świat nowy, dostały,
Mej starości południe.

Widzę: w kręgu rówieśnic
Idziesz śpiewając pieśni,
Nowym sprawom oddana —
Błyska w promieniu oka
Ziemia świeża, szeroka:
Radość wypracowana.

Widzę: to młodość świata.
Gdy w moich cierpkich latach
O nią się z losem biłem,
Nie wiedziałem, przyznaję,
Że zajrzę w owe kraje,
Które w snach tylko śniłem.

Córeczko, tobie dzięki,
Ty, fleciku maleńki
W przyszłej świetnej orkiestrze,
Ja dzięki tobie mogę
Stając przed jasnym progiem
Tamtym westchnąć powietrzem.

Seweryn Pollak

1920

Kiedym się urodził,
pastuch trzasnął biczem —
za oknem się kręciło
koło powroźnicze.

Kiedym się urodził
nikt nie wiedział po co,
świerszcze gdzieś za szparą
zaśpiewały nocą.

Kiedym się urodził,
wicher wielki zawył —
żołnierz z krasną gwiazdą
w progu się pojawił.

Połatany kożuch
i kamasze zdarte —
tylko dobroć wielką
w oczach miał upartych.

Pomyślała matka,
że to sam archanioł
przybył i kożuchem
okrył ją baranim.

Znikł — i znowu wichry
w okiennice tłukły...
Na stole zostawił
białą grudkę cukru.

MATCE

Pochylona nad rozczynem
ręką dosypujesz drożdży.
Zimno w izbie, a na szybie
lilia swoje miecze ostrzy.

Mokre drzewo w piecu syczy,
moździerz jęknął przewrócony,
smuga światła na kołysce
u sufitu zawieszonej.

Cztery sznury — cztery struny —
czasem wiatry na wyrękę
mą kołyskę kołysały,
sznury napinały brzękiem.

Cztery sznury — cztery struny
jak mi w wierszu tym uciszyć —
pochylona nad rozczynem,
matko, czy ty mnie dosłyszysz?...

NA MDM

(A n i e l k a)

Nad przedszkolem stoją rusztowania wielkie —
ludzie pobryzgani wapnem, całkiem biali,
na dole bardzo wielcy, w górze bardzo mali
śmieją się co rano, gdy ujrzą Anielkę.
Wiedziała już Anielka: za rusztowaniami
dorośli do Anielki śmieją się oczami...

Raz drabiny zdjęto, wszystko pobielało,
ściany czyściuteńkie, jak na wielkie święto,
w ścianie tyle okien, że paluszków mało,
dziesięć okien zliczysz, reszty nie spamiętasz...
Kłaniają się Anielce między filarami
kamienni dwaj murarze... rzekłaby: ci sami.

NA ŚMIERĆ TOWARZYSZKI FERNANDEZ

Sosny otwockie szumiały przed werandą,
kiedy umierała towarzyszka Fernandez.

W koszuli szpitalnej kędzierzawa głowa
księżyc w czarnej chmurze jak hiszpańska wdowa.

Czego tutaj szukasz pośród polskich sosen?
— córkę mą skatował żandarm z Saragossy.

Czemuś ty przypadła twarzą do żaluzji?
— Jestem partyzancką matką z Andaluzji.

Tę koszulę szpitalną oddajcie, kochani,
ukręcę z niej powróz dla kata Hiszpanii!

Arnold Słucki

REPORTAŻ Z PIOTRKOWA

W takim mieście zamieszkać,
w takim mieście pracować.
Tutaj przeszłość zamierzchła
z dniem dzisiejszym się splata.
Strop gotycki, krużganek,
wnęka renesansowa
w nasze przechodzi dzieje
z dziejów tamtego świata.

Są w tym mieście ulice
i jest rynek w tym mieście,
gdzie się nędza z przepychem
spotykały przez lata.
Widzisz: miasto zachwyca,
ale pomyśl: w tym mieście
ludzie wielką pałali
nienawiścią do świata.

W hucie szklanej — „Hortensji"
robotnicy bunt wznieśli
i przybliżył się człowiek
do człowieka — do brata.
Grubiał Hebler na pensji,
chudł towarzysz na dniówce —
to się biły dwa światy
o los jeden dla świata.

Ja do ciebie dziś piszę
z tego miasta. Reportaż
w strofy wiersza mi jakoś
sam się wiąże i splata.
Tu starzy towarzysze
w parku pod topolami
wspominają raz jeszcze
tamten czarny kształt świata.

Są w tym mieście ulice
i jest rynek w tym mieście,
gdzie się dziś spotykają
zakochani w czas lata.
Anna z huty „Hortensja",
z Kombinatu — on, Paweł.
Słońce, które im świeci,
już z naszego jest świata.

Jan Koprowski

W MIEŚCIE MOJEJ MATKI

Będę szedł, matko, do ciebie z podróży
rudą, wśród cegieł wydeptaną ścieżką,
przez ogród, w którym rosną dzikie grusze
i słoneczniki zachodzą o zmierzchu.

Wiem, gdy zapukam, o imię nie spytasz,
zdradzi je wcześniej pies — przyjaciel stary,
choćby już północ wybiły zegary —
jakbyś żegnała, długo będziesz witać.

A potem wmówisz mi, że jestem głodny
i będzie dzwonić szkło gorącej szklanki
i jakbym zwykłej strawy był niegodny —
wystawisz dla mnie niemal cały bankiet.

I zechcesz braci wśród nocy pobudzić,
lecz nie pozwolę o tak późnej porze
i aby ciebie zmęczonej nie trudzić,
na dawnym, moim łóżku się położę.

W zgiełku innego miasta zatęskniłem
do głosu twego, do twego uśmiechu.
Przywiozłem tobie garść włoskich orzechów
i chustę, którą na Zlocie kupiłem.

Jutro pójdziemy ulicą Wrocławia
kupić jarzyny i owoce świeże,
będziesz ich smaki zeszłoroczne wznawiać,
o wybór pytać, nim sama wybierzesz.

Potem nad Odrą staniemy, na moście
będziemy karmić chlebem białe kaczki
— opowiem tobie, jak w tym mieście gościł
i jak się spotkał tu z matką Słowacki.

Wąską uliczką wrócimy zmęczeni
przez bramę zdobną starym orłem Piastów,
będziesz wskazywać rzeźbione kamienie
mówiąc z uśmiechem: — Oto moje miasto!

TWORZENIE

I na cóż mi się próchno zda,
jak z niego żywą twarz wykroję?
Trzeba mi pnia, zdrowego pnia
dla dzieła rąk, dla rzeźby mojej.

Niech pod toporem czysty dźwięk
gra w drzewie — pieśni pierwszy akord
niech się buntuje ostrzom sęk,
gdy błysk otworzy ranę nagą.

Gdy będę rzeźbił twarze w pniu
niech mi żywica skleja palce,
abym mógł całym sobą czuć
radość tworzenia
w trudzie, w walce.

I na cóż mi się próchno zda,
gdy w wielką miłość ludzi zbroję...
— Trzeba mi pnia, zdrowego pnia
dla dzieła rąk i myśli mojej.

POŻEGNANIE DZIECIŃSTWA

Spływał górski strumień,
spadał rozdzwoniony,
wśród kamieni głuchych
śpiewne mnożył tony.

Pokruszonym skałom,
zaokrąglał ostrość,
pianą pieścił białą
to strugami chłostał.

Wartki, roziskrzony
od zwycięskiej walki,
lśnił sznurem zgubionych
korali góralki.

Czasem gasł na chwilę
pod zwaloną sosną,
lub zwisał jak sztylet
ze skał mchem porosłych.

I nawet nie wiedział
że zmienia się w rzekę,
gdy poniósł na wodzie
pierwszą łódź z człowiekiem.

Tadeusz Śliwiak

WIERSZE

Seweryn Sulski jest samoukiem. Urodził się w 1895 roku na wsi lubelskiej w rodzinie bezrolnego chłopa. W młodym wieku fala emigracyjna zaniosła go do Ameryki, gdzie pracował jako robotnik przemysłowy w wielu fabrykach. Przynależność do klasy robotniczej Ameryki wykształciła jego świadomość polityczną. Brał udział w strajkach i manifestacjach robotniczych, był więźniem politycznym jako członek Komunistycznej Partii Ameryki Sekcji Polskiej. Jednocześnie jako samouk zdobywał wiedzę i rozpoczął działalność jako poeta Polonii amerykańskiej. W tym czasie wydał kilka zbiorów wierszy. Jeszcze przed wojną powrócił do kraju, gdzie spędził również okupację jako robotnik rolny.

Skulski jest jednym z najczynniejszych korespondentów chłopskich. Jako korespondent chłopski odznaczony został przez Prezydenta Rzeczypospolitej. Mieszka obecnie i pracuje jako rolnik na średnim gospodarstwie we wsi Karnkowo pow. Lipno.

Wiersze Skulskiego są mniej znane niż jego działalność korespondenta. Drukował je przeważnie w pismach amerykańskich, adresował je jakby do tamtejszej Polonii, przekazując jej prawdę o nowej Polsce.

Anna Kamieńska

POLSKA

Polska — to nie obszarnik, pan,
Minionych już stuleci.
Polska to chlebny chłopski łan
I w chacie chleb dla dzieci.

Ja tylko taką Polskę znam,
Wolności, pracy, trudu.
Nie będzie pan udzielał nam
Okruchów — z nędzy ludu.

Na takiej Polski patrzę czyn,
Co dzieciom jest wzajemną.
Syn mego brata i mój syn
Nie będzie ciżbą ciemną.

DO DOBREJ ŻONY

Zaczynam do cię mówić tymi słowy,
Po latach, które tak szybko zleciały:
Czym kiedy, żono, z twojej dobrej głowy
Zdjął włosek mały?

Czym kiedy z tobą postąpił zuchwale,
Oboje równi, znojni i szczęśliwi,
Czym kiedy, żono, w złości mały palec
Na cię zakrzywił?

Gdym był daleko, tęskniłem z daleka,
Boś pomagała mi w noszeniu krzyża;
Czy nie ceniłem cię jako człowieka?
Czym cię poniżał?

Każdy dzień dobra przy tobie mnie uczył,
Jak mogłem zatem jakąś plamę rzucić?
Nie zatykaliśmy dziurek od kluczy,
Żeby się kłócić...

I nie powiodłem cię na mętne wody
I nie przekręcił ci fałszywie zdania;
Mówisz, że jestem tak dobry i młody
Jak w dzień pobrania...

Na twoje ludzkie — ludzkiem odrzekł słowa,
A bolał więcej w twych niemych cierpieniach;
Czym kiedy wyszedł, nie mówiąc „Bądź zdrowa",
Lub „Do widzenia"?

Chcę dziś i jutro, w ostatniej godzinie
Mego żywota szukać uczciwości,
Może ci spłacę chociaż odrobinę
Twych życzliwości...

Już mnie nic więcej nigdy nie zbogaci,
Gdy razem z tobą życie płynie łódką,
By za urodę ducha ci zapłacić —
Życia za krótko!

WOLNEGO

Koło Krakowa ciemny las,
Szumią wysokie sosny
I do nas przyszedł inny czas,
I my się śmiejem wiosną.

Koło Żuchowa wielki staw,
Nad wodą biały ptaszek,
Ty się, słoneczko, w wodzie baw,
Boś dziś nie pańskie — nasze,

A w Walentowie dudni młyn,
A w dzieżach rośnie ciasto,
To naszych wsi spółdzielców czyn
Chleb niesie wsiom i miastom.

Nad wielkim borem Skępskim dzień,
Słońce nam nasze wzeszło,
Zieliński dziedzic jako cień
Zapadł się z biedą w przeszłość.

Wyzysku więcej nie ma prób,
Łzy braci, sióstr nie dręczą,
Bośmy z wolnością wzięli ślub
Jak Wisła z naszą Drwęcą.

Już nie powróci do nas ból,
Ani bat pański, wiemy,
Kłosy się chylą spółdzielczych pól
Lipnowskiej żyznej ziemi.

PRZYŚPIEWKA

Broniewski snać nie wie, zapomniał i basta,
Że Dobrzyń z Kikołem — to są także miasta,
Że ich swą poezją od dawna unika,
Jednak ze sto metrów jest tutaj chodnika.

I tu słońce świeci, rosa na kwiat pada,
Można by się o nas w piosence rozgadać,
I tu jak gdzie indziej ludziom łatwiej, prościej,
Pierś się nam rozszerza piosenką wolności.

I my się cieszymy Polski życia latem,
Mamy świetlicowe zespoły jak kwiaty,
I młodzi my także jak w czynach tak w duchu,
Mamy w PGR w Karnkowie zetempowców zuchów.

I u nas na znoje nikt krnąbrnie nie stęka,
I nasza robota pali nam się w rękach,
I plonów zbliżamy całej Polski święto,
Tylko że Broniewski o nas nie pamięta.

Seweryn Skulski

HELENA BOBIŃSKA

SOSO

Opowieść o dzieciństwie i latach szkolnych Stalina

I

CHŁOPIEC Z GORI

Niedaleko od Tbilisi, stolicy Gruzji, w dolinie, wśród zielonych wzgórz, owocowych sadów, winnic i pól pszenicznych leży miasto Gori. Dwie bystre górskie rzeki, Kura i Liachwa, opływają miasto od południa i od zachodu. Nad miastem, na wysokiej skale wznoszą się ruiny potężnej niegdyś twierdzy — Goris-Cyche.

I miasto Gori i twierdza Goris-Cyche są bardzo stare. Legenda głosi, że twierdzę zbudowała królowa Tamara, która żyła w XII-ym wieku, a więc 800 lat temu. Przed kilkuset laty Gori było bogatym handlowym miastem, słynnym ze swych win, pięknych tkanin, czerwonych jabłek— „taraszauli" — i walk na pięści — zwanych „kriwi". Później, wskutek najazdu Turków i Persów, miasto, kilkakrotnie zburzone, utraciło dawną świetność.

Siedemdziesiąt kilka lat temu Gori była podupadłą mieściną. Z dawnej świetnej przeszłości pozostały tylko potężne zębate mury twierdzy Goris-Cyche, wznoszące się wysoko nad miastem, czerwone jabłka, i walki na pięści — zwane „kriwi".

Tuż za miasteczkiem zaczynały się wąwozy górskie. Wąskie, kamieniami brukowane uliczki, ze ściekiem wody pośrodku przypominały również wąwozy górskie.

W takiej właśnie wąskiej uliczce, w podwórzu stał niewielki domek drewniany na podmurowaniu z cegły. Jedną izbę z kuchnią zamieszkiwał szewc — Wissarion Dżugaszwili. Był to człowiek uczciwy, dobroduszny i pracowity. Latem, kiedy drzwi wiodące z kuchni na podwórze bywały szeroko otwarte, można było o każdej porze dnia zobaczyć szewca Dżugaszwili, zgiętego wpół na niskim zydlu z dratwą w ręku. W wąskiej uliczce prędko zapadał wieczór; wówczas mała naftowa lampka oświecała z dołu długie wąsy i strzępiaste brwi Wissariona Dżugaszwili, a na ścianie wyrastał cudaczny ruchliwy cień.

Żonę szewca Dżugaszwili, młodą i urodziwą Katarzynę, znano w miasteczku z jej pracowitości. Nie widziano nigdy, żeby siedziała bezczynnie. Przyjmowała chętnie każdą robotę — czy to było szycie czy pranie.

Ale pracowitość nie przysparzała jakoś dostatku w ubogim mieszkaniu Wissariona i Katarzyny Dżugaszwili.

W 1879 roku urodził im się syn. Dano mu imię — Józef. Po gruzińsku — Soso.

Soso od maleńkiego przywykł do samodzielnego życia. Matka, a tymbardziej ojciec, na prawdę mało mieli czasu dla swojego jedynaka. Ojciec pracował już wówczas w Tyflisie *) w fabrycie obuwia i przyjeżdżał tylko na niedzielę. Matki całymi dniami nie było w domu. Toteż zbadawszy dokładnie całe ubogie wnętrze pokoju: ceglaną podłogę, stół, dwa stołki i tapczan okryty matą trzcinową — malec bardzo wcześnie doszedł do przekonania, że daleko ciekawiej jest na ulicy. Zwłaszcza kiedy po ulewnym deszczu ściek pośrodku brukowanej uliczki zmieniał się w wartki potok. Można było budować tamy i mosty i puszczać na wodę malutkie łódeczki z kawałków drewna — można było, zakasawszy majtki, brodzić i chlapać się w bystrej wodzie.

Tam, w tej wąskiej uliczce znalazł Soso pierwszych towarzyszy zabaw. Soso był chudziutki i drobny. W pociągłej twarzyczce, spod gęstej, nastroszonej czupryny — czarne podłużne oczy przyglądały się wszystkiemu ze skupioną uwagą.

Samo się jakoś złożyło, że ten drobny i chudy chłopiec stał się prowodyrem wszystkich zabaw, a później i śmiałych wypraw, które sięgały coraz dalej, aż do brzegów niespokojnej, burzliwej rzeki Kury — aż za most, gdzie wczesną wiosną siwe bawoły o wygiętych czarnych rogach ciągnęły pługi i daleko rozlegały się nawoływania oraczy, echem odbijając się o skaliste zręby gór.

Do tych gór było jeszcze daleko, ale olbrzymi Kazbek (w podaniach ludowych nazywano go Mkinwari — co znaczy lodowaty) spoglądał na chłopców groźnie spod białej czapy śniegów, i dalej już iść nie śmieli.

Góry pełne były tajemnic.

Mało to nasłuchali się chłopcy w długie wieczory zimowe o tych wszystkich zjawach i dziwach, co zamieszkują góry?

Tam wśród chmur pędzi skrzydlaty koń — Merani; straszliwy olbrzym górski, Dewi, ciska w dół całe odłamy skał, a Kadżi, kusy, złośliwy diabeł, czyha na ścieżynach górskich i ściąga pielgrzymów w przepaście.

Soso umiał tak opowiadać o tych tajemniczych stworach — że dreszcze przeszywały chłopców. Soso wiedział nawet, w którym miejscu

*) Za panowania carów stolicę Gruzji — „Tbilisi" przezwano „Tyflisem". Dopiero po Rewolucji Październikowej stolica odzyskała dawną nazwę.

w górach przykuty jest do skały — ten śmiałek — Amirani, co chciał ogień ukraść z nieba, żeby ludziom cieplej i jaśniej było na ziemi.

Odpocząwszy trochę, bosonoga gromadka zrywała się jak stadko wróbli i pędziła z powrotem do miasta, na rynek, gdzie odbywał się kriwi — bój na pięści. Nurkując wśród stłoczonych widzów, malcy wysuwali się naprzód, rozgorzałymi oczyma śledząc walkę zapaśników. Najgłośniej też wrzeszczeli: „Wasza! Wasza!" (co po gruzińsku znaczy „niech żyje"), kiedy zwycięzcą okazywał się ulubieniec całego miasta, zapaśnik Chodoli.

Późnym już wieczorem wracał Soso do domu, z rozerwanym rękawem koszuli, z płomieniami w oczach i rozwianą czupryną — jakby sam brał udział w tych walkach na pięści.

— Dziczeje chłopak — powiedział którejś niedzieli ojciec — czas oddać go do szkoły.

I po naradzie z żoną oddał syna do szkoły cerkiewnej w Gori.

Rodzice Soso byli biedni, z trudem zarabiali na swoje utrzymanie. Ale chcieli, żeby ich syn był schludnie ubrany. Ojciec poza całodzienną pracą znalazł czas, żeby synowi zrobić porządne buty, matka uszyła mu torbę do książek z czerwonego kretonu i na drutach zrobiła piękny ponsowy szal.

Kiedy mały Soso zjawił się w szkole, ta barwna torba i czerwony szalik bardzo podobały się kolegom. A Soso długo potem przypominał sobie, jak obudziwszy się późno w nocy widział w świetle lampki szczupłą twarz matki, pochyloną nad tym szalikiem i szybkie migotanie drutów w jej spracowanych rękach.

W szkole Soso był najmłodszy z całej klasy. Ale bardzo prędko stał się najlepszym uczniem. Koledzy dziwili się: oni dopiero zabierają się do odrabiania lekcji, a Soso już siedzi zaczytany w jakiejś książce.

— Kiedyż ty się uczysz na jutro? — pytali go.

— Przecież nauczyciel już wszystko powiedział nam na lekcji — śmiał się Soso. — A wyście gdzie byli wtedy?

Soso był pierwszy we wszystkich grach i zapasach, ale na lekcji cały zamieniał się w słuch.

Nie trzeba zapominać, że nauka szkolna nie była wówczas łatwa dla gruzińskich chłopców, zwłaszcza w niższych klasach.

Bo wszystkich przedmiotów uczono po rosyjsku. Po gruzińsku wolno było mówić tylko na lekcji gruzińskiego. Nawet podczas pauzy pilnowano, żeby chłopcy mówili po rosyjsku.

Soso Dżugaszwili dzięki swym zdolnościom bardzo prędko nauczył się rosyjskiego, ale uparcie mówił po gruzińsku, właśnie dlatego, że język ojczysty w szkole prześladowano i nazywano „chłopskim językiem".

Jeden tylko nauczyciel języka gruzińskiego, Sofrom Mgałobliszwili, opowiadał chłopcom o wielkim poecie gruzińskim Szota Rustaweli, co żył przeszło 600 lat temu... Urywki z pięknego poematu Rustaweli „Rycerz w tygrysiej skórze" nauczyciel czytał w klasie głośno.

Sofrom Mgałobliszwili od razu ocenił niezwykłe zdolności Soso i jego dziecinną, ale upartą walkę przeciw carskiemu uciskowi. Ta walka łączyła ich obu: nauczyciela i drobnego chudego chłopca, najbiedniejszego z całej klasy.

Kiedy nauczyciel opowiadał o Arsenie Odżełaszwili, bohaterze pieśni ludowych, dowódcy powstania chłopskiego w Gruzji na początku XIX-go wieku, Soso nie odrywał od twarzy nauczyciela płonących źrenic. Każde słowo padało w duszę chłopca jak iskra buntu.

Mgałobliszwili znał mnóstwo pieśni ludowych. Soso śpiewał je czystym, dźwięcznym głosem. Prędko zrozumiał, że we wszystkich pieśniach ludu gruzińskiego dźwięczy krzywda chłopska i bunt przeciwko przemocy panów i książąt.

Koledzy Soso Dżugaszwili przyzwyczaili się do tego, że Soso wszystko wie i zawsze umie odpowiedzieć na pytanie nauczyciela. Ale Soso wcale się tym nie pysznił i nie wynosił nad innych, choć mógł być dumny, bo on jeden z całej szkoły za postępy w nauce otrzymał miesięczne stypendium.

Była to wielka radość dla chłopca.

W domu rodziców, gdzie liczono się z każdym groszem, ta niewielka miesięczna kwota znaczyła wiele. Zeszyt, ołówek — to już był wydatek.

— Dużo to kosztuje? — pytała matka. Nigdy nie powiedziała: „Nie mamy pieniędzy"; w milczeniu wyjmowała z szuflady pudełeczko, gdzie chowała z trudem oszczędzone miedziaki.

A Soso, biorąc od matki te grosze, widział z jej oczu, że już myśli o tym, na czym by tu zaoszczędzić, czego sobie odmówić, żeby on miał na zeszyty i ołówki.

O książkach nie było mowy. Co prawda Soso przywykł obchodzić się bez podręczników, słuchał tak uważnie na lekcjach, że wszystko umiał. Były jednak przedmioty, jak na przykład arytmetyka, kiedy trudno się było obejść bez podręcznika i trzeba było pożyczać od kolegów. A tego

Soso bardzo nie lubił. Bo książki mogli sobie kupować tylko synowie kupców albo urzędników. Byli wśród tych chłopców i dobrzy koledzy, ale i ci nawet nie zapominali dodać: „Tylko nie zniszcz książki“ albo: „Jak zgubisz, to odkupisz“, lub z ważną miną mówili: „Jeszcze nie odrobiłem lekcji — przyjdź za dwie godziny“. Soso odchodził i więcej nie wracał.

W tym samym domu od frontu mieszkał kolega Soso, Dawid Gogochia. I choć Dawid był jego najlepszym przyjacielem, Soso nie lubił do niego chodzić. Dawid mieszkał u swego stryja, człowieka bardzo zamożnego. Zbyt tam było bogato, zbyt pięknie w tych pokojach, gdzie podłogę pokrywał puszysty kobierzec, z tapczanów zwieszały się długie purpurowe tkaniny i leżały jedwabne jaskrawe mutaki *), a z kuchni zalatywał apetyczny zapach pieczonego na rożnie szaszłyku.

Soso był uparty. Soso nie chciał przychodzić do tego bogatego domu. Więc Dawid szedł do oficyny w podwórzu, do mieszkania Dżugaszwili. Tam od ceglanej podłogi ciągnęło zimnem, wiatr wstrząsał ramą okna i chwiał płomykiem naftowej lampki. Przy tej lampce matka Soso zawsze coś szyła.

Obaj chłopcy albo odrabiali lekcje z podręczników Dawida, albo siedzieli na twardym tapczanie i rozprawiali. Zwykle Soso opowiadał, a Dawid słuchał. Gotów był słuchać przez cały wieczór.

Soso miał niezwykłą pamięć. Umiał na pamięć długi poemat Ilji Gawczadze „Kako Kaczagi“, co znaczy „Kako rozbójnik“; potrafił opowiedzieć treść każdej przeczytanej książki, jakby ją miał przed oczyma. Ulubionym jego bohaterem był „Koba“ — bohater powieści Aleksandra Kazbegi („Koba“ — po turecku znaczy „nieustraszony“).

— Chciałbym być taki jak „Koba“ **) — powiedział raz do Dawida.

— Będziesz taki jak „Koba“ — zapewniał z głębokim przekonaniem Dawid.

Dawid uwielbiał swego przyjaciela.

Czasem marzył o tym, żeby Kura wylała, żeby była powódź i żeby on uratował Soso albo matkę jego od śmierci, albo żeby był pożar. „Bo to już taka przyjaźń na śmierć i życie“ — myślał Dawid.

A zaczęła się ta przyjaźń tak:

Dawid Gogochia urodził się w Mingrelii, na południu Kaukazu. Po gruzińsku mówił z mingrelskim akcentem i w szkole chłopcy śmieli

*) mutaka — okrągły, miękki wałek.

**) Koba — późniejszy pseudonim rewolucyjny Stalina.

się z niego i przedrzeźniali go. Dawid był nieśmiały. Te śmiechy tak go peszyły, że kiedy nauczyciel gruzińskiego pytał o coś, Gogochia stał ze spuszczoną głową i milczał. Bał się odezwać, żeby się nie śmieli.

Pewnego dnia, kiedy Dawid otrzymał dwójkę za takie uparte milczenie, Soso podszedł do niego i powiedział:

— Wiesz co? Ty będziesz mnie uczył mingrelskiego języka, a ja ciebie gruzińskiego. No co, zgoda?

Taki był ten Soso.

Zobaczy, że któryś z kolegów siedzi nad zadaniem i wichrzy czuprynę z zafrasowaną miną, podejdzie, spojrzy mu przez ramię, powie:

— Nad czym tak się biedzisz? Omyliłeś się w mnożeniu i dlatego ci nie wychodzi. O, widzisz, gdzie jest błąd?

A co było z mapami? Te mapy, to był twardy orzech do zgryzienia! Im więcej się który z chłopców męczy nad taką mapą, im gorliwiej wyciera gumą i poprawia, tym gorzej wychodzi.

Brudna, zamazana! Dwója pewna!

— Dawaj tu twoją mapę — mówi Soso — pasjami lubię rysować mapy!

I odbierając później taką mapę z rąk Soso, właściciel jej prosił zarumieniony:

— Soso, ona jest taka czyściutka! Nauczyciel od razu pozna, że to ty rysowałeś! Możebyś choć troszeczkę zamazał?

Nikt nie wiedział, kiedy i gdzie Soso nauczył się rysować. W szkole lekcji rysunków nie było. A Soso nie tylko mapy ślicznie rysował. Pewnego dnia zrobił portret Szota Rustaweli, wielkiego poety gruzińskiego, a nawet narysował „Rycerza w tygrysiej skórze", jak walczy z olbrzymem.

Zdarzyło się raz, że jeden z chłopców — nazywał się ten chłopiec Kapanadze — zachorował przed samymi egzaminami i nie mógł się do nich przygotować. Poszedł więc do kierownika szkoły i prosił, żeby go uwolniono od egzaminów.

Kierownik odmówił stanowczo. Zmartwiony wrócił chłopak do klasy. Soso zaraz do niego podszedł.

— Nie zwolnili?

— Nie.

— Chodź, pójdziemy razem — powiedział Soso — może we dwóch czegoś się dobijemy.

— Po co? Na pewno się nie zgodzi — mówił zgnębiony Kapanadze. Ale Soso energicznie pociągnął go za sobą. Pop zamachał rękoma na

ich widok. Nawet słuchać nie chciał. Soso jednak nie dał za wygraną. Tak długo i gorąco przekonywał go, aż kierownik rad nierad musiał ustąpić.

— Gdyby nie ty, zostałbym na drugi rok — powiedział Kapanadze wzruszony, kiedy już byli na schodach.

— No, widzisz! A już chciałeś skapitulować! — wpadł na niego wesoło Soso. — Zawsze trzeba walczyć do końca, do zwycięstwa!

Cóż dziwnego, że Soso miał przyjaciół i że wszyscy się do niego garnęli?

W trzynastym roku życia Soso zaczął już dawać korepetycje. To mu pozwoliło pomagać rodzicom i kupować książki. Bo prędko przeczytał wszystkie książki w bibliotece szkolnej. Na szczęście w Gori była spora księgarnia, a w niej książki naukowe, społeczne i przyrodnicze, takie, jakich w bibliotece szkolnej nie było.

Otworzył się przed oczyma chłopca jakby inny świat.

Pewnego razu poszedł z kolegą daleko, aż na drugi brzeg Kury. Położyli się tam na łące i rozmawiali. Naturalnie o szkole i o tym, czego uczą popi.

— To są wszystko bajki — powiedział Soso — to, co oni nam opowiadają o stworzeniu świata.

— Jakto? — spytał tamten.

— No, że Bóg stworzył świat w sześć dni, a siódmego odpoczywał, to jest bajka dla małych dzieci. Trzeba było milionów lat, żeby na ziemi zrodziły się żywe organizmy. I wcale nie człowiek zjawił się na początku, a taki ledwie widoczny pierwotniak.

— Skąd ty to wszystko wiesz? — dziwił się kolega.

— Skąd! Z książki. Napisał ją wielki uczony. Nazywał się Darwin. Dam ci tę książkę. Przeczytaj — sam się przekonasz.

Czytanie i korepetycje nie przeszkodziły Soso Dżugaszwili być najlepszym uczniem. Szkołę w Gori skończył z dyplomem pochwalnym. W małym miasteczku, jakim wówczas było Gori, długo mówiono o tym niezwykłym wydarzeniu. Pomyśleć tylko! List pochwalny w szkole cerkiewnej otrzymał syn robotnika, kiedy w tej samej szkole uczyli się synowie popów, bogatych kupców i poważnych urzędników.

Niesłychane!

Ojciec Soso, Wissarion Dżugaszwili był tylko prostym robotnikiem, ale rozumiał, że takich zdolności, jakie ma jego syn, marnować nie wolno. A przy tym oboje rodzice, a zwłaszcza matka marzyła skrycie,

że syn dzięki swym zdolnościom nie będzie już od świtu do późnego wieczora ciężką pracą zarabiał na życie.

Kto wie? Może zostanie nauczycielem? A może nawet popem?

Drewniana szkatułka została wyciągnięta z szuflady, zawartość jej wysypana na stół; były to same miedziaki, grosze, ciężko zaoszczędzone. Rodzice liczyli je długo w skąpym świetle naftowej lampki. Te miedziaki miały ich syna wprowadzić w inny, lepszy świat. Ani im przez myśl nie przeszło, że to ich syn będzie budował lepszy świat dla milionów ludzi, których krzywdzono i wyzyskiwano od wieków.

Postanowili, że ojciec odwiezie Soso do Tyflisu, do seminarium duchownego.

Przez cały następny dzień matka doprowadzała do porządku skromną garderobę syna. W nocy Soso obudził się i zobaczył, że matka wciąż jeszcze szyje. W świetle lampki widział jej ściągłą twarz w obramowaniu czarnych warkoczy, widział czyste czoło, cienko zarysowane brwi, i długie czarne rzęsy, i pierwszy raz uświadomił sobie, że matka jego w młodości była piękna, ale ciężki, codzienny trud przedwcześnie zabrał jej młodość i urodę.

Oparty na łokciu, Soso ze zmarszczonymi brwiami myślał nad tym, dlaczego tak jest na świecie?

Ojciec matki był pańszczyźnianym chłopem, matka nawet w nocy pracuje, ojciec wychodzi do pracy przed wschodem słońca i wraca, kiedy słońce już zaszło.

I pomyśleć, że takich ludzi jak jego ojciec i matka są miliony!

Pracują, pracują i na nic im nie starczy.

A stryjek Dawida albo spaceruje po mieście, albo jedzie do Tyflisu zabawić się. Ciotka Dawida leży cały dzień na otomanie, zajada słodycze i plotkuje z przyjaciółkami. Oboje nic nie robią, a żyją bogato.

Dlaczego? Bo stary Gogochia ma winnice w Mingrelii. Ale sam przecież w tych winnicach nie pracuje?

Matka nagle podniosła głowę.

— Soso, dlaczego nie śpisz? O czym myślisz po nocy?

— Myślę, matko, że świat jest źle urządzony.

— Tak go Bóg stworzył, chłopcze; i na to nie ma rady.

— Musi być rada! — upierał się Soso.

Wtedy nie wiedział jeszcze, gdzie tej rady szukać. Jedno wiedział na pewno: popem nie będzie nigdy.

Ale do seminarium pojedzie, będzie się uczył, a to najważniejsze. Tyflis jest wielkim miastem, są tam księgarnie i biblioteki. I na pewno są uczeni ludzie, od których dużo się można dowiedzieć.

II

W MURACH SEMINARIUM

Ponury, czteropiętrowy gmach seminarium duchownego w Tyflisie robił wrażenie klasztoru albo więzienia.

Sypialnie były wielkie, obliczone na dwadzieścia do trzydziestu łóżek, długie, mroczne korytarze, po których bez szelestu snuły się czarne postacie popów. Tryb życia klasztorny, od dzwonka do dzwonka; modlitwa przed jedzeniem i po jedzeniu, nabożeństwa w cerkwi dwa razy dziennie. Apel wieczorny o piątej. Po piątej już nie wolno było opuszczać murów seminarium. Nie wolno było chodzić do teatru ani czytać gazet. Groziły za to surowe kary.

Dla żywego, ustawicznie czynnego chłopca, jakim był Soso, pierwsze miesiące w tej „kamiennej pace" musiały być bardzo ciężkie. Cóż z tego, że o kilka ulic były księgarnie i biblioteki, kiedy trzeba było wykradać się do nich potajemnie i chować książki przed wiecznie szpiegującymi oczyma inspektora? Każda „świecka" książka bywała tropiona, prześladowana jak przestępstwo.

Kiedy uczniowie wracali z klasy do sypialni, zastawali zwykle wszystkie rzeczy przetrząśnięte. Inspektor Abaszydze najbardziej obawiał się, że uczniowie zaczną myśleć samodzielnie, że nie zadowoli ich wiedza, jaką im dawano w seminarium.

Soso Dżugaszwili prędko doszedł do przekonania, że niewiele nauczy się w seminarium. Pociągały go tylko lekcje historii powszechnej, logiki i matematyki. Pozostałych przedmiotów postanowił uczyć się na trójki — byle tylko zdać egzaminy i cały czas wolny od lekcji poświęcał czytaniu. Czytał nawet w cerkwi podczas nabożeństwa i jedząc miał zawsze na kolanach książkę. Był jednak taki zręczny i czujny, że inspektor nigdy nie mógł go przyłapać.

Pewnego dnia któryś z uczniów wyższej klasy wdał się z Soso w dłuższą rozmowę. Zdziwiony był oczytaniem i żądzą wiedzy tego pierwszoklasisty. Odtąd uczniowie wyższych klas zaczęli dostarczać Soso książek i gazet. W wyższych klasach seminarium sporo było takich „buntowników", którym nie wystarczała wiedza cerkiewna i modlitwy cztery razy dziennie. Im gorliwiej inspektor Abaszydze starał się odgrodzić swoich wychowanków od wszystkich „świeckich" i rewolucyjnych myśli, tym prędzej przenikały te myśli w mury seminarium.

W tym czasie zaczęli przybywać do Tyflisu z głębi Rosji wybitni rewolucjoniści, zsyłani za karę przez rząd carski na Kaukaz. Z niektó-

rymi z nich Soso zapoznał się już przy końcu pierwszego kursu. I spotkanie z nimi wywarło wpływ na całe jego życie.

Było to w czerwcu po egzaminach. Na drugi dzień rano Soso wyjeżdżał do Gori na czas wakacji. Zajęty był właśnie porządkowaniem swoich książek, kiedy z sypialni wywołał go na korytarz uczeń wyższego kursu, Tado.

— Czekaj na mnie przy Woroncowskim moście — rzucił mu szeptem. I już go nie było.

Soso znalazł się na moście pierwszy. Oparty o balustradę miał czas dokładnie obejrzeć posępne mury Metechskiego Zamku, jakby wyrastające ze stromej skały po drugiej stronie rzeki. Metechski Zamek, prastarą twierdzę i rezydencję królów gruzińskich, za panowania carów zamieniono w więzienie.*) Zakratowane okna wydawały się ślepe; przyczajony jak sęp na skale, zamek milczącą groźbą wisiał nad miastem.

Nadszedł Tado.

— Idziemy, Soso!

Po drodze Soso dowiedział się, że idą do Hipolita Franczeski, rosyjskiego socjaldemokraty, zesłanego do Tyflisu za propagandę rewolucyjną.

— Jest ich tu teraz więcej — powiedział Tado — i na pewno kogoś u niego zastaniemy.

Weszli na piętro jednego z nowych domów. Tado zapukał w umówiony sposób. Otworzył mu drzwi młody rosły mężczyzna. Wysoki Tado wydawał się przy nim drobny. W pokoju było jeszcze dwóch mężczyzn. Jeden z nich szczupły, o ściągłej twarzy z małą blond bródką, przywitał się z Tado i podał rękę Soso. Był to właśnie gospodarz mieszkania, Hipolit Franczeski. Nie zdawał się wcale zdziwiony przyjściem seminarzystów. Wskazał im zaraz miejsca; przy czym Soso znalazł się w bliskim sąsiedztwie oszklonej szafy z książkami.

Franczeski powiedział po prostu:

— Towarzysz Nazarow przyniósł nam właśnie świeże wiadomości z Petersburga — ciekawe wiadomości!

Wtedy odezwał się milczący dotąd, chudy, na robotnika wyglądający człowiek, co siedział przy oknie. Głos miał trochę zachrypnięty.

— Jak kogo z robotników ześlą do Tyflisu, to obowiązkowo trafi do „Komuny Nazarowa". Stąd mamy najświeższe wiadomości.

---

*) Dziś w Metechskim Zamku mieści się muzeum.

Wiadomości były tego rodzaju, że Soso oderwał wzrok od tytułów książek w oszklonej szafie.

Nazarow mówił o jakimś „Związku walki o wyzwolenie klasy robotniczej", który powstał niedawno w Petersburgu. Twórcą tego „Związku" był Uljanow. Nazwisko to słyszał Soso po raz pierwszy. Powracało ono wciąż w opowiadaniu Nazarowa.

— Uljanow prowadzi kółka robotnicze zupełnie inaczej niż inni — opowiadał Nazarow — nie tylko zapoznaje robotników z nauką Marksa, ale w rozmowie z robotnikami stara się poznać ich życie, warunki ich pracy, a później wyjaśnia im, wskutek jakich przyczyn politycznych i ekonomicznych życie robotnika jest takie ciężkie i jak je zmienić.

Franczeski wtrącił z uśmiechem — Już Marks powiedział: „Uczeni dotąd tylko świat objaśniali — chodzi jednak o to, żeby go zmienić".

Nikt z obecnych nie zauważył, jak przy tych słowach rozbłysły czarne, podłużne oczy młodziutkiego seminarzysty, siedzącego w kącie obok szafy. Nikt nie wiedział, jakim światłem olśniły go te słowa.

„Uczeni dotąd świat objaśniali — chodzi o to, żeby go zmienić!" — Ale jak?

Wsłuchiwał się teraz chciwie w rozmowę tych wspaniałych ludzi, którzy chcieli zmienić świat i widocznie wiedzieli, jak się do tego zabrać. Mówili z zapałem, przerywając jeden drugiemu. Mówili o tym, że polityczne kółka robotnicze trzeba organizować, gdzie tylko można; że w Tyflisie dużo jest robotników Rosjan, zwłaszcza w Warsztatach Kolejowych, że na zesłaniu propaganda rewolucyjna jest obowiązkiem marksisty.

— Musimy utrzymywać ścisły kontakt z Uljanowem — wtrącił Franczeski.

Rodziewicz, ten, co im otworzył drzwi, nie mógł usiedzieć na miejscu. Mierzył pokój wielkimi krokami. Przy każdym jego kroku drżały szyby w oszklonej szafie i niepokojąco chybotały się jakieś figurki na stoliku.

— Najdalej za pół roku — powinniśmy tu, w Tyflisie, za przykładem Uljanowa, połączyć kółka marksistowskie w nielegalną socjaldemokratyczną organizację — powiedział.

I powiódł po towarzyszach swymi szarymi, dużymi oczyma.

Nazarow, który był maszynistą w Depo, uśmiechnął się.

— Rodziewicz z miejsca bierze trzecią szybkość.

Rodziewicz zatrzymał się w swoim marszu. Odrzucił z czoła płowy kosmyk włosów.

— A wy jak to sobie wyobrażacie? Że nam tu długo pozwolą zajmować się propagandą? Za rok, za dwa, będziemy już pewno oglądać piękny Tyflis z wyżyny Metechskiego Zamku, a później wyślą nas dla ochłody nad Jenisej. Nie mamy wiele czasu, towarzysze!

— Nie chodzi o to, żeby robić prędko, ale o to, żeby robić gruntownie! — powiedział z naciskiem Nazarow. — Jeżeli nasza robota zapuści tu głębokie korzenie, to choć nas wyślą, robotę poprowadzą inni.

Zajęci swymi sprawami zapomnieli na pewno o tym chłopcu w mundurze seminarzysty, milczącym w cieniu wielkiej szafy. Ale on chłonął każde ich słowo. Chciwymi oczyma wodził po twarzach tych jakże nowych dla niego ludzi!

Więc byli tacy ludzie? Byli tuż obok, w Tyflisie!

Rodziewicz — przypominający bohatera z rosyjskiej byliny; Nazarow z chmurną twarzą i mocnym spojrzeniem; Franczeski ze swoim mądrym uśmiechem... Nieustraszeni, silni jakąś im tylko znaną mądrością i wiarą! Więc można żyć takim wielkim prawdziwym życiem! Żyć walcząc o inny, lepszy świat! Soso cały płonął od tych myśli.

Boleśnie otrzeźwiła go świadomość, że jest piętnastoletnim uczniem seminarium... że tak strasznie mało jeszcze umie! Znowu z nieodpartą siłą pociągnęły wzrok złociste litery na grzbietach książek w oszklonej szafie: Karol Marks „Kapitał". Engels — „Rozwój socjalizmu od utopii do nauki". Plechanow...

Usłyszał głos Franczeski:

— Widzę, że was interesują te książki?

Opanowując wzruszenie, Soso podniósł oczy.

— Chciałbym wiedzieć, towarzyszu, w jakiej książce Marksa jest to zdanie, któreście zacytowali: „Uczeni dotąd świat tylko objaśniali — chodzi jednak o to, żeby go zmienić".

— Dobrą, widać, macie pamięć! — uśmiechnął się do niego Franczeski.

Wyszukał żądaną książkę.

— Tę broszurę napisał Engels — powiedział — ale na końcu są tezy Marksa.

Soso przeczytał jeszcze raz to zdanie na samym końcu. Wiedział, że zapamięta je na zawsze.

— Dałbym wam do przeczytania tę broszurę — powiedział Franczeski — ale na początek może będzie za trudna. Zacznijcie od tej.

Wziął z półki książkę Engelsa: „Rozwój socjalizmu od utopii do nauki" — tę właśnie, co tak ciągnęła ku sobie oczy Soso.

— Jutro wyjeżdżam do Gori na wakacje — wyznał uczciwie Soso. — Nie wiem, czy mogę zabrać.

— Oddacie po wakacjach — zdecydował bez namysłu Franczeski i zwracając się do Tado, spytał pół-żartem:

— Sądzę, że temu młodemu towarzyszowi można zaufać?

Tado odpowiedział poważnie i z naciskiem:

— Najzupełniej! I we wszystkim!

III

MATKA I SYN

Pociąg z Tyflisu do Gori przychodził rano; i Katarzyna Dżugaszwili musiała wstać ze słońcem, aby przygotować wszystko na przyjęcie drogiego gościa, jak każe obyczaj gruziński. Więc od wczesnego ranka w podwórzu za domem piec gliniany, zwany po gruzińsku „tone", do połowy wkopany w ziemię, rozżarzony już był do czerwoności i cudowny zapach „lawaszy" *) i „czureków" **) rozchodził się po sąsiednich ogródkach. Lawasze i czureki Katarzyny Dżugaszwili miały już sławę w Gori. Żadne chrzciny i żadne wesele nie obeszło się bez „ciotki Keke", jak ją zwano powszechnie.

„Ale dziś ciotka Keke przyjmuje swego najmilszego gościa" — mówiono u sąsiadów.

Właśnie rozpłomieniona od żaru „tone" wniosła na okrągłej, drewnianej tacy gorące czureki, kiedy we drzwiach pokoju stanął Soso z niewielkim pakunkiem w ręku.

Jednym spojrzeniem ogarnął stół, nakryty obrusem śnieżnej białości, nęcący oko świeżą zielenią listków „cismati" ***), matową żółtością najwcześniejszych jabłek „chomarduli" i gorącym złotem puszystych moreli na ciemnych liściach winogradu. Pośrodku stała — „chołoda" — gliniany, pięknie rzeźbiony dzban, pociemniały ze starości. Soso pamiętał ten dzban tak dawno, jak siebie samego. Zjawiał się na stole rodziców w dni wszystkich rodzinnych uroczystości. Obok w glinianym dzbanuszku trzy purpurowe róże.

---

*) Lawasze — płaskie placki pszeniczne.

**) Czureki — chleby pszeniczne formy podłużnej, zaostrzone na końcu.

***) Cismati — trawka jadalna.

„Skąd matka wzięła takie piękne róże?"

Soso złożył swój pakunek na krześle i postąpił ku matce, pokrywając uśmiechem wzruszenie.

— Na cóż to, matko, tyle trudu?

Zręcznie zsunęła gorące czureki z drewnianej tacy na stół, wytarła ręce w szeroki fartuch, zapłoniona jak młoda dziewczyna.

— Dla ciebie, synku, dla ciebie!

Uścisnęła go wreszcie onieśmielona jego pięknym mundurem z błyszczącymi guzikami i poważnym spojrzeniem.

Wydał się jej nagle zupełnie dorosły ten jej „mały Soso". Ruchem pełnym matczynej tkliwości odgarnęła mu z czoła gładkie, błyszczące włosy.

Soso przycisnął usta do tej spracowanej dłoni, pachnącej żarem „tone".

— „Chinkali" rozgotują się! — spłoszyła się nagle.

„Chinkali" — pierożki z mięsem baranim, w rodzaju naszych uszków — to ulubiona ludowa potrawa w Gruzji. Nigdy jeszcze się nie zdarzyło, aby „chinkali" ciotki Keke rozgotowały się. Więc za chwilę z tryumfem wniosła czubatą miskę pierożków.

— Jedz, synku, nie żałuj sobie! — zapraszała wesołą — dosyć pościłeś u waszych mnichów.

Ale serce jej się ścisnęło, gdy zdjął swój piękny mundur i zawinął rękawy czarnej satynowej koszuli. Jakiż on był chudy ten jej Soso! I ściągła jego twarz wydawała się bardzo blada przy czarnych jak kruce skrzydła włosach.

— Głodem was tam widać morzą! — westchnęła.

— Za to o duszę się troszczą, matko — uśmiechnął się do niej Soso zmrużonymi oczyma i nabrał sporą porcję chinkali.

— Modlimy się przed jedzeniem, modlimy się po jedzeniu i dwa razy dziennie słuchamy nabożeństwa w cerkwi, chyba wymodlimy sobie odpuszczenie wszystkich przyszłych grzechów — westchnął komicznie.

— Nie należy żartować z religii, synku — zgromiła go łagodnie matka. Sama była pobożna. Ale żeby znowu tak chłopców postami głodzić! Nie. Tego nie pochwalała. Oparłszy policzek na dłoni zatroskała się, jakby tu odkarmić tego wychudzonego syna? Bo zarobek ojca ledwie dla nich dwojga starczy... Tak. Trzeba liczyć tylko na własne ręce. I od razu przypomniała sobie, że dziś są goście u Gogochii, że miała z samego rana przyjść i wszystko przygotować... a to już tak późno! Zerwała się, odwiązała fartuch.

— Jedz tu sobie, synku, a później odpocznij... Ja widzisz... obiecałam pomóc u Gogochii — tam dziś urodziny świętują...

Soso odsunął talerz. Spojrzał na matkę spod ściągniętych czarnych brwi.

— Nie będę jadł bez ciebie, matko!

Chwyciły ją za serce te słowa i przestraszyły zarazem. Znała przecież swego syna. Skoro powiedział: „nie będę jadł bez ciebie", to nie będzie, choćby był głodny.

Przysiadła więc na brzeżku krzesła — dziobała sztućcem chinkali; musiała jeszcze spróbować czureków i wypić zdrowie Soso kwaśnym winem z ciemnego dzbana. Ale strwożonym okiem wciąż śledziła promień słońca, co sięgał już stołu...

— Pójdę już, synku! Późno już!

Puścił ją wreszcie. Przez okno widział, jak biegła podwórzem. Na wysługi do tych bogaczy. Tak było zawsze, odkąd pamiętał. Nigdy matka nie miała dla niego czasu. Zawsze te jej spracowane ręce prały „cudzą" bieliznę, szyły „cudze" suknie, gotowały „cudze" potrawy. „Wieczna najemnica"! — pomyślał z niezmierną goryczą.

A najgorsze było to, że on m u s i z tym się godzić i m u s i na to patrzeć.

*

Nieraz w Tyflisie Soso śnił, że jest w Gori. Budził się w gorącej, dusznej sypialni. Oczy miał jeszcze pełne zielonych wzgórzy, w płucach szeroki dech wolnych ojczystych gór.

Wsłuchując się w nierówne oddechy śpiących kolegów, wyobrażał sobie, że leży w trawie na stoku góry: wyżej, na tle nieba wznoszą się wspaniałe ruiny groźnego niegdyś zamczyska, „Goris-Cyche"; w dole, wśród ogrodów bieleją domki i cerkwie Gori. A jeżeli spojrzeć w prawo, to widać szachownicę chłopskich pól, po której przepływają cienie obłoków...

Teraz to marzenie spełniło się. Leżał na zboczu góry i czytał. Ale kiedy odrywał na chwilę oczy od książki, nie widział ani zielonych wzgórzy i rozsypanych jak białe kamuszki pasących się owiec, ani łanów pszenicy falujących z wiatrem.

Ta książka od Hipolita Franczeski otworzyła przed nim nowe, niewidziane dotąd horyzonty. Jak gdyby ktoś zapalił mu w głowie jakieś wielkie światło: wszystko, co było trudne, zawiłe, niewytłumaczone, stało się naraz jasne i proste. Na wszystkie męczące pytania jego dzieciństwa, na wszystkie „dlaczego" ta książka dawała odpowiedź.

„Dlaczego" miliony ludzi pracują od rana do nocy i na nic im nie

starczy, a Gogochia i jego żona nic nie robią i żyją bogato? — pytał kiedyś.

— „Tak Bóg świat stworzył — odpowiedziała mu wtedy matka — i na to rady nie ma".

Teraz wiedział. Nie Bóg stworzył bogatych i biednych, tylko ludzie. Teraz wiedział: przemoc silnego nad słabym, wyzysk biednego przez bogacza istnieje, odkąd bogactwa zaczęły się gromadzić w rękach jednych ludzi z krzywdą innych. Ale to nie znaczy, że krzywda i niesprawiedliwość będą istniały z a w s z e.

„Uczeni dotąd świat objaśniali — chodzi o to, aby go zmienić" powiedział Marks. I jasno, niezbicie wykazał, k t o może świat zmienić. Ci, co pracą swoją wytwarzają wszystkie dobra na świecie — robotnicy, świadomi swej siły, przekonani, że tylko rewolucja społeczna może ich wyzwolić.

„A więc ludzie, którzy tę prawdę zrozumieli — marksiści-rewolucjoniści — myślał Soso — muszą poświęcić całe życie na to, aby uświadomić robotników, aby im wskazać, skąd się rodzi ich ciężka dola i jak tę dolę zmienić. Tak właśnie, jak to robi ten Uljanow w Petersburgu".

Soso zerwał się z trawy, jakby miał już, zaraz biec do tych robotników, wskazać im jedyną drogę wyzwolenia.

I tu trzeźwa myśl: ileż to trzeba umieć! Jaką wiedzę trzeba posiąść, aby wskazać ludziom drogę!

Rzucił się znowu w trawę. Zaczął od początku, uważnie odczytywać stronicę za stronicą. Co tu nieznanych nazwisk! Ile dzieł, które trzeba przeczytać! Wygrzebał z kieszonki kawałek ołówka i kartkę papieru; z namarszczoną brwią, z pasją notował nazwiska: Hegel? (gdzie tu w Gori u diabła szukać tego Hegla?)... Saint-Simon? Owen? Ale przede wszystkim „Kapitał" — Marksa... Zobaczył wyraźnie złoty napis: „Kapitał" na brązowym, grubym tomie w oszklonej szafie Franczeski. Wspomnienie pokoju Franczeski, tej szafy z książkami, t a m t y c h ludzi uderzyło w niego palącą tęsknotą.

Gdybyż to być w Tyflisie! Choćby piechotą tam dojść! Choćby zaraz iść!

Nagle uświadomił sobie, że dziś, dopiero dziś rano wyjechał z Tyflisu, szczęśliwy, że jedzie do Gori.

„Czyżby dziś? — zdumiał się. Zdawało mu się, że to było tak dawno! Tak strasznie dawno! Jeszcze zanim przeczytał tę książkę: „Rozwój socjalizmu od utopii do nauki".

Prastara cerkiewka w Gori, drzemiąca w cieniu wiekowych platanów, dawno oddzwoniła południe, kiedy Soso schodził z góry. Zabiegały mu drogę rzeźwe strumyczki, rozbrykane jak dzieci: z boku ścieżki jakieś nowe, dopiero dziś rozkwitłe kwiatki zwracały ku niemu złote i fijołkowe oczka. Nie widział ani strumyków, ani kwiatków. Przemyśliwał nad tym, co teraz należy robić? W grudniu kończy szesnaście lat. Za dwa lata... najdalej za dwa lata musi już prowadzić kółka robotnicze... jak Uljanow w Petersburgu.

Zatrzymał się na ścieżce, rozważając, czy zdąży przez te lata zdobyć potrzebną wiedzę... przeczytać tyle książek?

„Muszę, więc zdążę" — rozstrzygnął te wahania.

A matura? Pięć kursów seminarium dawało maturę. Maturę trzeba zdobyć. Jeżeli się uda... jeżeli go przedtem nie wyrzucą z seminarium... za działalność rewolucyjną... Bo naturalnie będzie rewolucjonistą.

*

Stary Arsen Kałandadze, właściciel jedynej w Gori księgarni kręcił głową i wzruszał ramionami, czytając zapisane na kartce nazwiska: „Hegel? Owen? Saint-Simon? Marks? Nie. Takich autorów nie ma w jego księgarni. Jest Ninoszwili. Jest Kazbegi. Jest Czawczawadze. Jest Cereteli *). Znani, poważani pisarze. I rosyjskich jest sporo i zagranicznych trochę. Ale Hegel? Owen? Marks? Pierwszy raz słyszy o nich. Pogańskie jakieś nazwiska!"

Soso zachmurzony przystawił sobie drabinkę i sam zaczął szukać. Kałandadze znał tego Soso Dżugaszwili od małego dziecka. Nieraz pozwalał mu tak grzebać w książkach.

„Ma chłopak głowę — będą z niego ludzie!" — mawiał z uznaniem.

Ale dziś Kałandadze czuł się niemal obrażony. Przychodzić do j e g o księgarni z jakimiś cudacznymi nazwiskami!

Soso stał właśnie na ostatnim stopniu drabinki i przeglądał ciasno stojące tomy encyklopedii. Tej starej encyklopedii nikt nigdy w Gori nie żądał. Toteż stateczne tomy drzemały na półce od wielu lat pod ciepłą kołderką kurzu. Soso młodą, niecierpliwą ręką niepokoił teraz ten kurz i denerwował starego księgarza.

Z zadartą do góry siwą bródką Kałandadze odmachiwał się rękami od kurzu i gderał zjadliwie:

---

*) Ninoszwili, Kazbegi, Czawczawadze i Cereteli — sławni pisarze gruzińscy.

— I powiedzcie mi, moi ludzie, na co to popu tyle mądrości. To nawet nie pasuje! Pop i encyklopedia! Słyszane rzeczy!

Soso tymczasem przeglądał tom z odpowiednią literą — ale czekał go zawód: o Heglu nic nie znalazł. Odstawił na miejsce wielką księgę, strzepnął palce i zeszedł z drabinki.

— A dlaczegóż to tak na pewno sądzicie, kaco*), że będę popem? — spytał z wesołymi iskierkami w oczach.

— Z seminarium duchownego wychodzą popi — powiedział sucho Kałandadze.

— Nie zawsze, kaco, nie zawsze! — uśmiechnął się Soso tajemniczo.

*

Katarzyna Dżugaszwili była prostą kobietą z ludu, ale przyglądając się uważnie swemu synowi doszła do przekonania, że nigdy popem nie będzie.

Próbowała wyobrazić sobie syna w długiej czarnej sutannie z szerokimi rękawami, zwanej po gruzińsku „anapora", z długimi do ramion włosami i długą brodą, jak noszą popi i... musiała się uśmiechnąć.

Zuchwałe oczy Soso, jego „nieusłuchane" włosy, lecące zawsze z wiatrem, jego cięte odpowiedzi — wszystko to nie pasowało do „anapory". Nie pasował i charakter jej syna. Na pewno Soso nie brałby ostatnich groszy od biedaków za chrzest i za pogrzeb i ani myśleć, żeby miał sam ściągać podatek cerkiewny od chłopów.

— Więc może i lepiej — pocieszała się, że nie będzie popem — bo, ani chybi, klepałby biedę przez całe życie.

Teraz Katarzyna Dżugaszwili piastowała w duszy inne marzenie. Zdradziła się z tym niechcący pewnego popołudnia. Rozwieszała właśnie świeżo uprane bogate szaty batoni**) Gogochii w podwórzu za domem, gdzie stary orzech rozpościerał przyjemny cień.

Soso siedział na spróchniałej ze starości ławeczce pod orzechem i czytał. W pewnej chwili spostrzegł, że matka nie może się uporać z długą jedwabną makatą, którą szarpał wiatr. Odłożył więc książkę, żeby matce pomóc. Odsunęła go łagodnie.

— Sama poradzę, synku, idź do swojej książki.

Soso zachmurzył się.

— Nie mogę patrzeć, matko, jak pracujesz od świtu do nocy dla obcych.

---

*) kaco — po gruzińsku „panie, przyjacielu".

**) batoni — pani.

Uśmiechnęła się do niego, przytrzymując obu rękoma trzepoczącą makatę.

— Ty się tylko ucz, synku. Przyjdzie czas, że odpocznę przy tobie.

Wtedy powiedział szorstko, patrząc w ziemię:

— Nigdy nie będę popem, matko!

Rozciągnęła makatę na sznurze, przymocowała drewnianymi zatyczkami. Później powiedziała pogodnie:

— Wiem, chłopcze, dawno już wiem. Może to i lepiej.

— Lepiej?

Spojrzał nieufnie spod czarnych brwi, zdziwiony jej pogodą.

— Nie pasuje do ciebie „anapora", synku, nie pasuje! — Pokręciła głową z uśmiechem.

Rozwieszała teraz piękny szal z czarnego jedwabiu w niebieskie kwiatki. I wygładzając dłonią fałdki na tym szalu, po raz pierwszy zdradziła się przed synem z tym, czego by najbardziej pragnęła.

Pragnęłaby, aby jej Soso był takim nauczycielem jak Sofrom Mgołobliszwili. Żeby go uczniowie tak kochali jak Sofroma, żeby go chłopi tak szanowali.

A ona mieszkałaby sobie przy nim w białym domku obok szkoły, a może i w samej szkole? Przy szkole zawsze się znajdzie skrawek ziemi. Choć mały, choćby tyciuchny. Ona by już pokazała, co to można wyhodować na takim płachetku ziemi: „cismati" by tam zasiała i tę ulubioną przez Soso szczypiącą trawkę „tarchuna" — zasadziłaby parę jabłoni, drzewka brzoskwiniowe i czereśnie, a winograd choćby na ścianie rozpiąć można, jeżeli od południa...

— Już ty się nie bój, synku! Już ja się na słońcu wygrzeję na starość. Już ja sobie odpocznę przy tobie...

Szare oczy Katarzyny Dżugaszwili rozświetliły się od tego marzenia i stały się promienne i piękne.

Ale Soso uparcie unikał spojrzenia matczynych oczu. Wiedział przecież, że nigdy nie spełni się to jej marzenie. Nie będzie białego domku; nie będzie ogródka przy szkole. I nie będzie spokojnej starości przy boku syna.

Poczuł się naraz winnym przed matką — poczuł się złym synem. Rozporządził oto swym życiem, nie myśląc o matce. Teraz wyobraził ją sobie zapłakaną, pokornie stojącą przed wielką kutą bramą Metechskiego więzienia; a później w długie zimowe noce przy wątłym płomyku lampki wyczekującą wieści z dalekiej Syberii od tego syna, co zgotował matce sierocą starość, a sam poszedł własną, trudną, niepojętą dla niej drogą...

Gdybyż to można było wytłumaczyć matce, dlaczego wybrał taką drogę! Dlaczego inaczej nie potrafiłby żyć!

Kiedyś, później może matka zrozumie. Teraz nie. Więc milczeć?

Z tej bolesnej rozterki wyrwał go gwałtowny poryw wiatru, co nadleciał z gór i uczynił popłoch wśród rozwieszonych w podwórzu tkanin.

Zielona makata wzdęła się jak żagiel, czarny szal zatrzepotał w powietrzu, a biała powiewna suknia uniosła się w górę i popłynęła niby srebrnopióry łabędź.

Matka krzyknęła, chwytając szal w locie, a Soso puścił się w pogoń za białą szatą, rad, że dobroczynny wiatr przerwał jego udrękę.

*

Tak się złożyło, że Sofrom Mgałobliszwili, jedyny człowiek w Gori, z którym Soso mógłby mówić o tych sprawach, wyjechał do Tyflisu. Włóczył się więc Soso samotnie po okolicznych górach, raz po raz wracając w myślach do tej rozmowy z matką. Jakieś uczucie winy wobec matki pozostało mu po tej niedokończonej rozmowie. Bronił się uparcie przed tym uczuciem.

W czymże była jego wina? Że chciał całe swe życie poświęcić, żeby „zmienić świat"? Tak jak Uljanow? Żeby znieść wyzysk, niesprawiedliwość i krzywdę?

Ale... właśnie dlatego, że on będzie walczył o lepsze życie dla innych matek, własna jego matka będzie pracowała nad siły, będzie miała sierocą smutną starość. Próbował jakoś ominąć tę sprzeczność. Może jednak znajdzie się w jego trudnym życiu miejsce na to matczyne marzenie o białym domku i ogródku? Nie. Po cóż się łudzić? Gdyby nawet udało mu się zdobyć maturę, to takim jak on „niebłagonadiożnym" nie daje się posad nauczycieli. Zresztą dobrze pamięta słowa Rodziewicza: „Czy sądzicie, że długo pozwolą nam zajmować się propagandą rewolucyjną? Za jakie dwa lata będziemy oglądali piękny Tyflis z wyżyny Metechskiego Zamku, a później poślą nas dla ochłody gdzieś nad Jenisej".

Pochłonięty tymi trudnymi sprawami Soso schodził ze stoku skalistej i stromej góry. Nagle doleciał go wesoły, świegotliwy plusk strumyka. Wtedy dopiero spostrzegł, że niżej spod wielkiego głazu wybiega migotliwy, chybki jak pstrąg, potoczek. Nabrał w dłonie zimnej, przejrzystej wody, zanurzył w niej chciwe usta. Potem przyglądał się, jak połyskliwa smuga wody wije się po kamieniach srebrzystym wężem. I tu po raz pierwszy przyszło mu na myśl, że rewolucja może nadejść już za jakie dziesięć lat...

Wtedy i matka doczeka się tego innego, lepszego życia? Więc jednak nie jest złym synem, skoro i dla matki wywalczy lepsze życie?

Jak gdyby ta prosta myśl zdjęła mu jakiś ciężar z bark — odetchnął pełną piersią i rzucił górom gromki okrzyk — „hej! hej!" Chwilę nadsłuchiwał, jak ten okrzyk echem przerzucają sobie góry. Po czym wielkimi krokami puścił się po kamieniach w dolinę.

*

Wśród chłopców grających w „łapti" *) na placyku przed szkołą podniósł się radosny wrzask, kiedy Soso wpadł między nich z rozpiętym kołnierzem koszuli i rozwianymi włosami.

— Witaj, Dżugaszwili! Jak się masz, Soso? Zagrasz z nami? Będziesz „matką", Soso?

Soso, jeszcze zdyszany od szybkiego biegu, spoglądał wesołymi oczyma po tej hałaśliwej czeredzie, milczał i uśmiechał się.

— Taki zrobiłeś się ważny, Soso! — poskarżył się jakiś blondynek z piegowatym noskiem.

Soso dał mu prztyczka w ten piegowaty nosek.

— To na znak, że nie jestem ważny — powiedział wesoło.

Chłopcy gruchnęli śmiechem. Otoczyli go kołem.

— Zagraj, Soso, z nami! Możesz sobie dobrać partię! Mnie weź! Mnie, mnie! Ja z tobą! Ja dobrze biję! I mnie! I mnie!

Ktoś ciągnął go za rękaw koszuli, inny chwytał za rękę.

Soso odsunął tych, co stali najbliżej. Spojrzał po wszystkich śmiejącymi się oczyma.

— Chłopcy, jeżeli wszyscy będą w mojej partii, to z kim będziemy się bić?

— Prawda! — zaśmiewały się chłopaki.

— Żeby nikogo nie skrzywdzić, partie pozostaną te same — powiedział Soso — a wy zdecydujcie, której mam być „matką".

— Naszej! Naszej! Naszej! — powstał ogłuszający hałas. Każda z dwóch partii chciała, żeby „matką" był Soso.

Soso stał pośrodku i zatykał sobie uszy. Naprawdę! Wspaniałe smyki! Dawno już nie czuł się tak dobrze, jak wśród tej wesołej gromady.

Kiedy uciszyło się, odjął dłonie od uszu i spytał z udaną powagą:

---

*) Łapti — rodzaj naszego palanta.

— Gdzie macie dowódców? Kto jest „matką"?

— U nas Tariel!

— A u nas Bigwa!

— Dobrze. Jeżeli Bigwa się zgodzi, ja będę zamiast niego.

Bigwa, wyrośnięty, dobroduszny dryblas zgodził się wspaniałomyślnie i wręczył swoją łopatkę Soso.

Przez chwilę trwało jeszcze zamieszanie. Partie ustawiały się na dwóch metach. Partia Tariela broniła „miasta". Partia Soso zdobywała „miasto" z „pola".

I nagle stało się cicho, jakby na placyku nikogo nie było. Chłopcom z partii Tariela dreszcze chodziły po plecach i serca waliły w piersiach.

Wiedzieli przecież: z Dżugaszwili to nie przelewki! Trzymaj się, bracie!

„Rozbije nas, aż drzazgi polecą" — myślał niejeden ściskając w dłoni łopatkę.

Wszystkie spojrzenia zwróciły się ku Dżugaszwili. A on stał sobie swobodnie i wesołymi oczyma mierzył przeciwnika. Tariel przybladł trochę ze wzruszenia i przygryzł zębami dolną wargę. Z odrzuconymi do tyłu czarnymi kędziorami i pięknymi chmurnymi oczyma, wysmukły i zgrabny, przypominał legendarnego Tariela *), którego imię nosił.

— Zaczynamy! — rzucił donośnie Soso.

Czarna lanka śmignęła w powietrzu. Tariel bił celnie; chłopcy z jego partii trzymali się jak nigdy.

Ale z trudem odwracali wzrok od Soso. Zdawało im się, że Soso nie rusza się z miejsca i że piłka sama leci do jego łopatki. Ale to tak im się tylko zdawało wskutek jego błyskawicznych ruchów. Wreszcie czarna twarda lanka wpadła mu w dłoń jak ptak w gniazdko. W sekundę później Tariel „skuty" doszczętnie musiał wycofać się z miasta.

Tryumfalny wrzask „Wasza! Wasza!" — spłoszył wszystkie wróble ze starych platanów.

Tariel próbował „cierpieć" nad swoją porażką, ale to mu się nie udało, bo jego własna partia burzliwie oklaskiwała Soso. Wobec tego, nieco jeszcze nachmurzony wyciągnął rękę do zwycięzcy.

— Przez ciebie nie wstyd być pokonanym, Soso — powiedział ze szczerym podziwem.

---

*) Tariel — jeden z bohaterów w poemacie Szota Rustaweli „Rycerz w tygrysiej skórze".

Z trudem zdołał Soso wydostać się spośród rozgorączkowanych chłopców. Wykupił się wreszcie obietnicą, że jutro zagrają jeszcze jedną partię.

Była to sobota. W domu spodziewano się, że ojciec przyjedzie, jak zwykle, na niedzielę. Matka zdążyła już upiec „lawasze" — i ulepić niezliczoną ilość chinkali.

— Niech sobie biedaczek choć raz na tydzień podje!

Tymczasem przyszedł sąsiad Gulia, który pracował w tej samej fabryce i przyniósł wiadomość, że Wissarion Dżugaszwili nie przyjedzie, bo dostał prywatne zamówienie i przez całą niedzielę będzie pracował.

Katarzyna Dżugaszwili wniosła właśnie gliniany dzbanek „maconi" *). Zatrzymała się z dzbankiem w ręku. Westchnęła.

— Taka to, synku, dola roboczego człowieka. Ani święta, ani odpoczynku: pracuj i pracuj... A dla kogo? Nie wiadomo.

Syn uśmiechnął się po swojemu — samymi oczyma.

„Ech, mateczko — mówiły te oczy — może my się jednak zrozumiemy?"

*

Nazajutrz wczesnym rankiem jasnowłosy Goga z piegowatym noskiem wsunął głowę w okno i pisnął:

— Sofrom przyjechał.

Po czym zeskoczył z podmurowania i zniknął. To była dobra nowina. Soso zaczął się pośpiesznie ubierać. Właśnie szczotkował na mokro niesforne czarne włosy, kiedy weszła matka i rozwiesiła na poręczy krzesła jego galowy mundur. Metalowe guziki błyszczały jak srebrne. Ale Soso nie zauważył ich olśniewającego blasku. Zapatrzył się na matkę. Miała na sobie ludowy strój gruziński: ciemną fałdzistą suknię w drobne kwiatki, przewiązaną w pasie długą szarfą, a na głowie okrągłą czapeczkę z czarnego aksamitu z białym muślinowym „leczakiem" **) leciutkim jak mgła.

Pięknie rysowały się czarne, równe brwi pod czarnym aksamitem i ściągła twarz, opłynięta przejrzystą tkaniną, stała się nowa, niecodzienna.

Taką pamiętał ją Soso z najmłodszych lat dzieciństwa. Wszystkie we-

*) Maconi — mleko zsiadłe, robione z gotowanego mleka na zakwasce.
**) Leczak — biały welon z lekkiej tkaniny.

sołe niedzielne poranki łączyły się w pamięci z tym prześlicznym strojem, który czynił matkę „inną" — odświętną.

Matka dojrzała widać podziw w oczach syna, bo z uśmiechem wyjęła mu szczotkę z ręki, wskazała rozwieszony na poręczy mundur.

— Idziesz do Sofroma? Należałoby chyba ubrać się przystojnie. Jak myślisz, Soso?

Soso zmarszczył brwi. Sam widok tych błyszczących guzików psuł mu humor. Ale kiedy spojrzał na matkę, rozchmurzył się i wesołe iskierki zaśmiały się w jego źrenicach.

Od razu przeniknął całą naiwną matczyną chytrość: nie o Sofroma tu chodzi: o dumę matczyną chodzi, o to, żeby tak przejść przez całe miasto i pochwalić się synem w pięknym mundurze... bo do Sofroma i do cerkwi idzie się tą samą drogą. Wzruszająca była ta matczyna próżność. Ale Soso zbuntował się:

Będzie z siebie robił widowisko dla całego miasta! I na taki upał będzie się prażył w tym sukiennym mundurze! Dla matczynego kaprysu!

Już chciał to powiedzieć ostro, jak potrafią czasem piętnastoletni chłopcy... i nagle przypomniał sobie, że niewiele radości sprawi matce w życiu i na pewno niewiele jej kaprysów będzie mógł spełnić.

Nic nie mówiąc, wyciągnął rękę po mundur.

■

W nocy spadł deszcz i ścieki pośrodku uliczek szumiały wesoło jak strumyki. Rozdzwoniły się dzwony białej, ukrytej w cieniu platanów cerkiewki.

Całe miasteczko w porannym słońcu jawiło się nowe i wymyte, a dalekie góry stały się dziwnie bliskie i aż granatowe na tle nieba. Lekki wiatr igrał błyszczącymi listkami topoli i rozwiewał leczak Katarzyny Dżugaszwili.

O leczaku Katarzyny Dżugaszwili opowiadano w Gori, że był to wciąż ten sam, jeden, jedyny leczak od dnia ślubu. Ale zachował całą swą śnieżystą białość i jak obłok owijał jej wysmukłą postać.

Soso szedł obok matki z czapką z aksamitnym otokiem w jednej ręce, z książką (pożyczył ją od Sofroma) w drugiej. Mijało ich sporo sąsiadów, bliższych i dalszych.

Wszyscy w Gori znali „ciotkę Keke" i pamiętali nie tak odległe czasy, kiedy ten przystojny student w pięknym mundurze, co tak poważnie kroczy teraz obok matki — chlapał się w ulicznych ściekach, puszczając łódeczki z kory.

Ale teraz nie było nikogo, kto by się nie obejrzał z przyjaznym uśmiechem za Katarzyną Dżugaszwili. Soso pochwycił nawet jedno zdanie: „Odmłodniała coś nasza ciotka Keke".

Rzucił okiem na matkę.

Czy to powiewny leczak czynił jej krok takim lekkim, a uśmiech takim młodym, kiedy skinieniem głowy pozdrawiała znajomych?

Nie, żaden najpiękniejszy strój nie zdołałby wrócić takiego blasku jej oczom i takiego wdzięku jej ruchom.

Mogła to uczynić tylko duma szczęśliwej matki.

Wśród wysokich topoli ukazały się dobrze znane szare, winem obrośnięte ściany domku Sofroma Mgałobliszwili.

— Pójdę tędy, krótszą drogą — powiedział Soso. Pilno mu już było do Sofroma.

Najchętniej przebiegłby tę uliczkę pędem, jak dawniej, przeskakując nieobeschłe po deszczu kałuże. Ale koło cerkwi stała już gromadka ludzi i wszyscy spoglądali w tę stronę. Poszedł więc dalej statecznie, choć ponosiło go dziwne uczucie lekkości.

Sofrom Mgałobliszwili przyjął go dosłownie w „otwarte objęcia". Smagła twarz nauczyciela, z czarną bródką i zmęczonymi oczyma (jakże droga była dla Soso ta twarz!), cała rozjaśniła się na widok gościa.

Trzymając Soso za ramiona odsunął go nieco, żeby mu się lepiej przyjrzeć. Potem wskazując palcem jego mundur spytał z uśmiechem:

— To dla mnie? Ta parada?

Soso zmieszał się... wyswobodził się z rąk nauczyciela i ściągnął czym prędzej uprzykrzony mundur. Wieszając go na poręczy krzesła, powiedział, jakby się tłumaczył:

— To dla matki. Tak bardzo jej na tym zależało... a ja... — tu spojrzał śmiało w oczy Sofroma — ja sądzę, że skoro w zasadniczych sprawach jesteśmy nieugięci... to możemy czasem ustąpić w drobiazgach, prawda? Zwłaszcza — westchnął — że kobiety taką do nich przywiązują wagę!

Powiedział to takim tonem, jakby miał za sobą już długie lata doświadczeń życiowych.

Sofrom roześmiał się, aż zmarszczki zbiegły się wokół jego dobrych krótkowzrocznych oczu. Po czym poważniejąc nagle, spytał:

— Czy myślisz, chłopcze, że zawsze będziesz nieugięty w zasadniczych sprawach?

Soso odpowiedział wesoło i bez namysłu:

— Ja nie m y ś l ę. Ja w i e m!

IV

BUNTOWNIK

Im bliżej było końca wakacji, tym niecierpliwiej oczekiwał Soso powrotu do Tyflisu. Wreszcie zaczął liczyć dni, jakie go dzieliły od chwili wyjazdu. Paliła go niecierpliwość, żeby już zacząć wprowadzać w życie swój plan. A w Gori nie można było nawet znaleźć książek, które postanowił koniecznie przeczytać. Oszklona szafa Franczeski śniła mu się po nocach. Pilno mu już było do książek i do tamtych ludzi.

Tymczasem w Tyflisie czekał Soso srogi zawód. Zaraz pierwszego dnia Tado spotkał się z nim na korytarzu i uprzedził, żeby do Franczeski nie chodził.

— Dom jest śledzony i Franczeski nie chce niepotrzebnie cię narażać. Zresztą wkrótce przenosi się do Batumu. Książkę możesz dać mnie, a ja już postaram się doręczyć właścicielowi.

Ta krótka rozmowa boleśnie dotknęła Soso. Nie tylko dlatego, że zrywała się nagle znajomość z tamtymi ludźmi, którzy stali mu się drodzy i bliscy.

Wchodziło tu w grę inne jeszcze, niejasne uczucie. O n i — to słowo w pojęciu Soso oznaczało tych bohaterskich ludzi, którzy „zmieniali świat" — oni walczą o wielką sprawę, robią niesłychanie ważną robotę, nie troszcząc się o własne bezpieczeństwo... ale lękają się, że mogą „narazić niepotrzebnie" (tak właśnie powiedział Tado) — jego, Soso, młodzieniaszka z 2-go kursu, który przecież im w niczym pomóc nie może..

Soso marszczył się nad tą myślą, rozgryzał ją niby gorzkie ziarno.

Nagle zatrzymał się w mrocznym korytarzu.

— Za dwa lata będę pracował razem z nimi. — Powiedział to głośno. I obejrzał się mimo woli. Ale korytarz był pusty.

*

Tado obiecał, że będzie mu dostarczał potrzebnych książek. To było bardzo ważne.

Jeszcze w Gori Soso postanowił zorganizować wśród kolegów kółko samokształcenia. I starannie opracował plan zajęć. Ale w murach seminarium kółko nie mogłoby się długo utrzymać. Wnet by je wyśledzili lizusi z tej samej klasy i donieśli inspektorowi. Soso wpadł na pomysł, żeby uczestnicy kółka złożyli się i wynajęli pokoik na mieście, gdzie by mogli przychodzić w godzinach, kiedy wolno było wychodzić na miasto.

Projekt bardzo się chłopcom spodobał. Każdy dał, ile mógł. Wynajęto za pięć rubli pokoik pod Dawidową Górą. Punkt był wybrany świetnie. Dawidowa Góra była miejscem zabaw i rozrywek całego Tyflisu: w dni świąteczne kręciły się tam karuzele, stały budy, gdzie walczono na pięści i pokazywano sztuki cyrkowe, na stoku góry był cmentarz i prastara cerkiewka Świętego Dawida.

W dni świąteczne mnóstwo ludzi śpieszyło na Dawidową Górę — nie mogło to więc wzbudzić podejrzeń, że w tę stronę śpieszyli również uczniowie seminarium. Soso dobierał uczestników kółka bardzo ostrożnie. Wybierał chłopców pewnych, takich, na których można było liczyć, że nie zdradzą kryjówki i nie wydadzą przez proste gapiostwo albo tchórzostwo.

— Jeśli za tobą lezie jakiś pop, to nic łatwiejszego, jak go zgubić po drodze — uczył swych kolegów Soso. — W krętych i stromych uliczkach zawsze możesz zniknąć, ale nie trzeba, żeby myślał, że przed nim uciekasz, a najważniejsze, nigdy nie tracić przytomności umysłu.

Konspiracja była widać dobra, bo w ciągu całego roku Abaszydze nie wyśledził kryjówki. Niewielki, prawie pusty pokoik stał się dla gromadki chłopców prawdziwym domem. Tu byli u siebie. Tu mogli rozmawiać, dyskutować, nie lękając się, że pod drzwiami podsłuchuje Abaszydze albo jego szpiedzy.

Zbierali się raz albo dwa razy na tydzień. Soso czytał głośno dzieła sławnego gruzińskiego pisarza Ignate Ninoszwili; Sofrom Mgałobliszwili dał mu kiedyś w Gori książkę Ninoszwili. Soso był wtedy w czwartej klasie. Wstrząsające obrazy krzywdy chłopskiej, opisane w tej książce, zrobiły na nim silne wrażenie. Zwłaszcza jedno opowiadanie o ciężkim życiu gruzińskiego chłopa: „Gogia Uniszwili" — wzruszyło Soso do głębi.

„Trzeba się uczyć i uczyć, żeby pomóc chłopom" — powiedział wówczas, wycierając oczy pięścią.

Teraz po kilku latach czytał to opowiadanie kolegom.

— Na tym właśnie polega wielkość pisarza — tłumaczył słuchaczom — że w takim opowiadaniu potrafił oddać całą prawdę życia.

Kiedy przyszła kolej na Darwina, którego Soso czytał jeszcze w Gori — chłopcy żyli jak w gorączce.

Świat im nagle wyolbrzymiał. Można było dostać zawrotu głowy, myśląc o milionach lat, potrzebnych na to, aby na ziemi powstało życie i o długiej drodze istot żyjących od pierwotniaka do człowieka.

Darwina czytano długo i dyskutowano przy tym zawzięcie. Od czasu

do czasu Soso przynosił gazetę „Kwali" (co znaczy „Bruzda"), którą dostarczał mu Tado.

„Kwali" na owe czasy była gazetą postępową. Ale autorzy artykułów nie chcieli widzieć przeciwieństw klasowych i uważali, że robotnicy i fabrykanci zawsze się pogodzą, jeżeli są dobrymi Gruzinami.

Już przy końcu roku chłopcy zapoznali się z niektórymi artykułami Marksa i Engelsa. Powitano je z zapałem. I znowu rozgorzały namiętne spory.

Z pokoju pod Dawidową górą chłopcy wracali rozpaleni nowymi myślami, z szerokim tchem w piersiach, jak ze szczytów górskich. Inspektor Abaszydze przyglądał im się bacznie. Nieomylnym węchem żandarma czuł, że to nie zapasy na pięści ani figle cyrkowe rodzą ten nowy blask w oczach jego wychowanków. Abaszydze węszył w tym wszystkim politykę.

W samej rzeczy polityka roznamiętniała chłopców. Soso Dżugaszwili nie wystarczało już kółko samokształcenia. Postanowił wydawać gazetkę szkolną. Naturalnie o drukowaniu nie mogło być mowy. Gazeta pisana była ręcznie — miała format zeszytu o trzydziestu mniej więcej stronicach. Omawiano w niej wszystkie sprawy polityczne, przepisywano artykuły z „Kwali" albo całe ustępy z dzieł Marksa i Engelsa.

Gazeta kursowała teraz w klasie z rąk do rąk. Trzeba było bardzo pilnować, by nie wpadła w ręce jakiego lizusa. Abaszydze czuł, że coś się dzieje w tej klasie i że głównym winowajcą tego „czegoś" jest Soso Dżugaszwili. Przetrząsanie kuferków uczniowskich stało się teraz zjawiskiem codziennym. Często w czasie lekcji niespodziewanie zjawiał się w klasie znienawidzony inspektor i rewidował nie tylko pulpity, ale i kieszenie uczniów. Nic jednakże znaleźć nie mógł. Wychodząc oglądał się jeszcze we drzwiach — i spotykał spokojny, drwiący wzrok Soso Dżugaszwili.

„Poczekaj, już ja cię przyłapię, ptaszku" — groziły jastrzębie oczy popa.

Walka była nierówna: z jednej strony wszechwładny w seminarium inspektor, carski żandarm z całym aparatem szpiegów i donosicieli — z drugiej kilkunastoletni chłopak. Ale za tym chłopcem murem stali jego koledzy, współtowarzysze w tej walce. I było ich co dzień więcej.

— Abaszydze! — biegł ostrzegawczy szept wzdłuż korytarza. — Soso! Dawaj, co tam masz, prędko!

W półciemnym korytarzu łatwo było niby to przypadkiem potknąć

się, potrącić przechodząc i niepostrzeżenie wsunąć za pazuchę kartkę lub zeszyt.

Soso spokojnie szedł dalej, a na przeciw mu sunął wysoki Abaszydze, powiewając szerokimi rękawami habitu — niby wielki, czarny nietoperz.

*

O piątej po południu ciężkie drzwi na dole zamykały się ze zgrzytem rygli jak w więzieniu. Najsmutniejsze bywały dla chłopców te długie wieczory, kiedy po modlitwie w cerkwi wracali do klasy.

Był wrzesień — miesiąc winobrania. Miasto mieniło się złocisto-purpurowym przepychem drzew. W otwarte okna bił zapach dojrzałych owoców i odurzał jak wino.

A poprzez te gorące wonie od śnieżnych szczytów ciągnął ożywczy, czysty powiew jak strumień górski.

Na skwerze, naprzeciwko, klony stały w złocie liści i dalekie światła wisiały w ich gałęziach niby dziwne owoce.

Za oknami szumiało wielkie miasto.

W takie wieczory milkły rozmowy.

Tęsknota ogarniała chłopców.

— Soso, śpiewaj! — prosili.

— Soso, zaczynaj!

Soso namyślał się. Powiewy bliskich gór przyniosły mu buntownicze słowa chłopskiej pieśni, zasłyszanej w dzieciństwie.

Soso zaczynał pięknym, czystym głosem:

„Ja ostrzę cię, ostrzę, mój sierpie,
z naszego tyś żelaza."

„Tnij, ostry sierpie,
oczyść życie nasze
od mroku gniotącego" — podchwycił chór młodych głosów.

„Tyś niezawodną bronią
Za wolność naszą" — wzbijał się wysoko silny głos Soso.

„Któż powstrzyma lud w gniewie,
Potok górski burzą wezbrany!"

Chór rósł, potężniał, wypełniając stare, bogobojne mury seminarium.

Inspektor Abaszydze, obchodząc jak co wieczór klasy, zatrzymał się w korytarzu.

— Śpiewają — mruknął i machnął ręką. — Niechaj śpiewają. Lepsze to niżby mieli czytać zakazane książki.

Ale melodia tej pieśni była mu znana... i niepokojąca. Przez chwilę przysłuchiwał się. Po czym wolno zaczął wstępować po schodach na

wyższe piętro, skąd dolatywał śpiew. Zatrzymał się przed oszklonymi drzwiami właśnie w chwili, kiedy w klasie pełny już chór grzmiał:

— „Uderzymy całą siłą
na księcia Baratyszwili,
Zapalimy mu dach nad głową!"

Głos Dżugaszwili górował nad chórem.

Stał właśnie wsparty głową o futrynę okna.

Zdawało się, że poryw pieśni rozwiewa jego włosy jak czarne pióra i gniew unosi w górę czarne łuki brwi.

— Buntownik! — syknął nienawistnie Abaszydze. — Poczekaj, bratku!

Walka trwała dalej.

Soso spotykał teraz inspektora kilka razy dziennie. I z niezmąconym spokojem patrzał, jak Abaszydze trzęsącymi się rękoma wygarnia z jego uczniowskiej bluzy notatki z różnych szkolnych przedmiotów.

Aż nadszedł i dla Abaszydze dzień triumfu. Pewnego dnia podczas takiej nagłej rewizji — inspektor wreszcie znalazł! Znalazł cały artykuł pisany do gazety szkolnej — pisany ręką Dżugaszwili!

Sapiąc z przejęcia wertował Abaszydze u siebie w gabinecie rękopis Soso.

Nie było tam nic o carze ani o rewolucji, ale za to raz po raz powtarzały się takie podejrzane słowa jak „kapitał", „proletariat", „nadwartość".

Inspektor drapał się w rozwichrzoną brodę, marszczył krzaczaste brwi. Nic z tych słów nie rozumiał. Ale tym bardziej ich nienawidził. Skakały mu przed oczyma niby czarne diabełki.

— Podejrzane! Bardzo podejrzane! — mruczał pop.

Tegoż wieczoru Abaszydze na zebraniu seminarium wystąpił z całym oskarżeniem. Potrząsał rękopisem Dżugaszwili i bił nim w stół.

— Oto, czym zajmują się nasi uczniowie! — grzmiał. — Dawno już podejrzewałem, że to właśnie on, Dżugaszwili, buntuje mi uczniów. A g i t a t o r ! R e w o l u c j o n i s t a !

Nakrzyczawszy się do woli inspektor zakończył:

— Wyrzucić z seminarium! Natychmiast!

Ale tu, ku swemu zdziwieniu, trafił na opór. Nauczyciel historii powszechnej i nauczyciel logiki — byli stanowczo przeciwni wydaleniu Soso Dżugaszwili.

— To mój najlepszy uczeń — powiedział spokojnie historyk — niepospolicie zdolny chłopiec.

Stary nauczyciel logiki zdenerwował się nawet.

— Trzydzieści lat wykładam! — stukał w stół kościstym palcem — i pierwszy raz spotykam chłopca z taką zdolnością logicznego rozumowania! To chluba naszej szkoły! — dokończył gwałtownie staruszek.

Abaszydze, ukrywając wściekłość, spróbował z innego tonu.

— Ja odpowiadam przed Bogiem za te młode dusze! Ja! Ja! — bił się w szeroką pierś.

Historyk spojrzeniem porozumiał się z nauczycielem logiki. Obaj wiedzieli, że z tymi „młodymi duszami", zwłaszcza w wyższych klasach seminarium, dzieje się niedobrze, że te „dusze" coraz bardziej wymykają się spod troskliwej opieki inspektora.

Zresztą obaj cieszyli się z tego skrycie. Nienawidzili Abaszydze. I potajemnie czytywali Tołstoja.

Tym razem Soso Dżugaszwili pozostał jeszcze w seminarium. On i jego koledzy otrzymali tylko dwójki ze sprawowania i ostatnie ostrzeżenie.

V

UCZEŃ LENINA

Nadeszła jesień 1897 roku. Wielkie klony na skwerze Puszkina stały znowu w złocie liści. Soso Dżugaszwili wyrósł przez te lata, wybujał nagle. Kiedy swoim lekkim krokiem górala szedł przez długi korytarz szkolny, zdawało się, że włosy rozwiewa mu wiatr, a przymrużone oczy widzą jakieś dalekie horyzonty poprzez mury seminarium. Coraz bardziej dławiły go te mury. Jak ściany więzienia. Zdarzało się, że objaśniając coś kolegom ze starszego kółka marksistowskiego, przerywał sam sobie: „Powinniśmy iść do robotników. Im to trzeba powiedzieć".

Najbliżsi koledzy Soso wiedzieli, że poza programem szkolnym uczył się sam fizyki i chemii.

— Muszę wykorzystać każdą chwilę, póki mnie jeszcze popi nie wyleli — tłumaczył kolegom — trzeba zdobywać wiedzę, gdzie się da.

Niezwykła pamięć bardzo mu pomagała w tym zdobywaniu wiedzy. Książek było mało. Soso wyrobił sobie cały system w nabywaniu potrzebnych mu wiadomości. Stanie przed straganem antykwariusza na ulicy albo w sklepie, niby to przegląda książki i zawsze nieomylnie potrafi znaleźć potrzebny rozdział, przeczyta uważnie i zapamięta.

Literatura marksistowska rzadko dostawała się do rąk seminarzystów, a jeżeli się dostawała, to na krótko, czasem na kilka dni, czasem na jedną noc. Należało ją w ciągu tego krótkiego czasu przepisać odręcznie i w taki sprytny sposób, żeby nie wpadła w ręce szpiegów Abaszydze.

W takich też „odpisach otrzymywali czasem seminarzyści artykuły, odezwy i broszury Lenina. Najczęściej wcale nie były podpisane, czasem podpisane nazwiskiem: „Tulin". Soso jednak nieomylnie poznawał: to pisał Uljanow.*)

Jakże różniły się te artykuły i odezwy od wszystkiego, co drukował wódz mesame-dasi **) — Żordania! Uljanow pisał zawsze o sprawach codziennego życia robotników. Pisał w sposób jasny i zrozumiały, a jednocześnie fakty i cyfry w jego artykułach przyzywały do walki i wskazywały, jak walczyć! Z tych odezw i artykułów biła niezwalczona wiara w robotników i pewność zwycięstwa.

Pod wpływem tych artykułów Soso coraz ostrzej krytykował Żordanię.

Pewnego dnia przyniósł gazetę „Kwali".

— Patrzcie, co tu pisze nasz sławetny Żordania — przeczytajcie!

I nie czekając, sam przeczytał z ironicznym uśmiechem:

„Trudno znaleźć Gruzina, który nie pragnie polepszenia naszego życia i wielkości naszej ojczyzny. I kupiec, i fabrykant, i robotnik jednakowo tego pragną".

— Jak wam się podoba taki marksizm? — spojrzał po kolegach roziskrzonymi oczyma.

— Może Żordania ma trochę racji! — wtrącił nieśmiało Gogochia.

— Ma trochę racji! — wpadł na niego Soso. — Ech, ty! Czy nie rozumiesz, że tym pięknym frazesem Żordania przesłania walkę klas? „I fabrykant, i robotnik, jednakowo pragną wielkości naszej ojczyzny!" Przecież to bezczelne kłamstwo! Wystarczy pierwszy strajk, aby fabrykant Gruzin wezwał Kozaków przeciwko robotnikom — Gruzinom. Pierwsza salwa do robotników rozerwie tę jedwabną chusteczkę, którą Żordania chce zasłonić przeciwieństwa klasowe! I kogóż on pragnie oszukać? Siebie czy robotników?

Soso zmiął gwałtownie gazetę.

---

*) Włodzimierz Uljanow dopiero w 1901 r. zaczął podpisywać swoje artykuły nazwiskiem „Lenin". I odtąd pod tym nazwiskiem znał go cały świat.

**) Mesame-dasi — ugodowa partia gruzińska legalnych marksistów.

— Wolę już jawnego wroga! — powiedział zapalczywie i cisnął gazetę na ławkę.

Działo się to podczas pauzy na Puszkinowskim skwerze. Koledzy byli zaskoczeni gwałtownym wystąpieniem Soso. Gogochia spoglądał na niego przygnębiony.

Tyle lat już znał tego Soso Dżugaszwili! I ciągle nie mógł za nim nadążyć! Już, już zdawało się, zrozumiał go, aż tu masz! Soso powie coś takiego, jak dziś z Żordanią; wywróci od razu wszystko do góry nogami! I biedny Dawid znowu okaże się gdzieś w tyle i znowu go nie rozumie!

Rozgarniając opadłe liście nogą Gogochia powiedział z wyrzutem:

— Soso! Jesteś niesprawiedliwy! Sam nam przynosiłeś tę gazetę „Kwali". Sam mówiłeś, że Żordania zapoznał gruzińską młodzież z nauką Marksa.

Soso, rozweselony ponurą miną Gogochii, zwichrzył mu dłonią włosy.

— O cóż chodzi? Żordania zapoznał nas z nauką Marksa. I dzięki temu zrozumieliśmy, że Żordania nie jest marksistą. Jasne? Jasne jak słońce!

I poważniejąc od razu, spojrzał po kolegach:

— Chłopcy, mówię wam, czytajcie artykuły Tulina! Gdzie tylko znajdziecie!

*

Sam pochłaniał chciwie te nieliczne broszury i artykuły, jakie mógł znaleźć. Był pełen podziwu, uwielbienia niemal, dla tego nieznanego, dalekiego Uljanowa.

Zdarzało mu się (z tajemną radością) w artykułach Uljanowa odnajdywać własne myśli, ale jakże jasno, niezbicie i pewnie wyrażone!

— Żeby nie wiem co, muszę go zobaczyć! — powiedział raz do kolegów.

Ale nie wiedział nawet, gdzie ten tajemniczy Uljanow przebywa.

Chodziły głuche wieści, że go zesłano daleko na Sybir. Soso nie mógł się z tą wieścią pogodzić.

Pierwszej zaraz niedzieli, w początkach grudnia wybrał się na drugi koniec Tyflisu do Nachałowki, *) osiedla robotniczego, gdzie mieszkał rosyjski socjaldemokrata, Nazarow, z którym zapoznał się u Franczeski.

Nazarow z rodziną i kilku jeszcze zesłańcami politycznymi zajmo-

*) Nachałòwka — rosyjska nazwa osiedla Nadzaładewi.

wali cały domek i żyli „komuną", czyli razem prowadzili gospodarstwo i każdy dawał, co mógł, do wspólnej kasy.

Dość długo błądził Soso po krętych, nie brukowanych uliczkach Nachałowki, wśród bliźniaczo podobnych do siebie robotniczych domków, zanim odszukał „komunę" Nazarowów.

Domek różnił się zewnętrznie od innych domów osiedla: na pierwszym piętrze miał długi kryty ganek wsparty na białych, obłupionych kolumienkach.

Z powodu niedzieli w „komunie" było jeszcze ludniej i gwarniej niż zwykle.

Z górnego piętra dolatywały dźwięki harmonii i chór dosyć zgodny kilku męskich głosów śpiewał: *Wniz po matuszkie, po Wołgie.*

Drzwi wejściowe były jak zwykle otwarte. W pierwszym pokoju na stole szumiał samowar, szaro było od dymu papierosów i gwarno. Młoda, rumiana kobieta o wesołym spojrzeniu siwych oczu nalewała herbatę. Była to lubiana powszechnie Dunia Nazarowa, gospodyni „komuny". Uczynna, energiczna, gotowa zawsze przyjść z pomocą towarzyszom, Dunia umiała być prawdziwą matką i siostrą dla zesłanych do Tyflisu rewolucjonistów.

Nazarow małomówny i chmurny stanowił uderzający kontrast ze swoją żoną. Ale ta mrukliwość nie przeszkadzała mu być najlepszym towarzyszem. „Komuna" Nazarowów znana była nawet poza granicami Tyflisu. Nazarow był robotnikiem z Tuły. Więc w „komunie" zawsze mieszkało kilku „tulaków", oprócz tego przychodzili towarzysze z miasta. W niedzielę zwłaszcza bywało tu ludno.

Ledwie Soso przywitał się, już Dunia nalewała mu herbatę, a Nazarow robił miejsce przy stole.

Soso podziękował, ale nie usiadł.

— Chciałbym pomówić z wami — powiedział cicho do Nazarowa — mam pewną sprawę.

Przeszli do sąsiedniego małego pokoiku, gdzie stało łóżko żelazne, kocem nakryte i szafka z książkami. Nazarow przysunął gościowi jedyne krzesło. Sam usiadł na łóżku.

— Jakaż to sprawa? Słucham.

— Właściwie dwie sprawy. — Soso uśmiechem starał się pokryć zmieszanie. — Pierwsza sprawa — spojrzał w oczy Nazarowowi — to chciałbym się dowiedzieć czegoś o Uljanowie. Czy prawda, że go gdzieś zesłano daleko, na Syberię?

— Prawda — potwierdził Nazarow. Uljanow znajduje się we wsi Suszenskoje nad Jenisejem.

— Na długo? — spytał Soso.

— Wyrok ma na trzy lata. Ale prędko już minie rok, więc za dwa lata i parę miesięcy będzie wolny.

— Za dwa lata! — powtórzył Soso. Widać było, że go zmartwiła ta wiadomość.

— I jakże mu się tam żyje? — spytał po chwili.

— Ano, cóż — odrzekł Nazarow — czasu nie traci, to grunt. Pisze podobno jakieś wielkie dzieło: „O rozwoju kapitalizmu w Rosji". Oprócz tego, wiecie pewno, że Uljanow jest prawnikiem? Otóż znalazł sobie sposób, żeby poznać życie tamtejszych chłopów: pisze im skargi i podania.

— Że mu też pozwalają? — uśmiechnął się Soso.

— Może innemu by nie pozwolili, ale, widzicie, Uljanow to taki człowiek, że i wrogowie muszą go szanować.

W chmurnych oczach Nazarowa zapaliły się jakieś ciepłe płomyki i cała twarz pocieplała w uśmiechu.

— Opowiadają, że niech tam „uriadnik" *) skrzywdzi teraz chłopa, ten zaraz grozi, że pójdzie na skargę do Uljanowa.

Soso roześmiał się.

— Skąd macie te wiadomości? — zapytał.

— To już nasz rząd troszczy się o to, żeby nam świeżych wiadomości nie zabrakło — kpił Nazarow. — Coraz kogoś z towarzyszy skazują na zesłanie do Tyflisu. A bractwo wali prosto do „komuny" Nazarowa. Gdzieżby indziej?

Milczący zwykle Nazarow robił się rozmowny, kiedy szło o „komunę".

Ale Soso przypomniał sobie, że ma jeszcze drugą sprawę. Chciał się zapytać o kółka socjaldemokratyczne w Warsztatach Kolejowych. Podobno już kilka kółek pracuje?

— Na razie mamy tylko rosyjskie kółka socjaldemokratyczne — powiedział Nazarow. Wiem, że teraz Gruzini chcą takie kółka zorganizować, ale brak im prelegentów.

— Czy nie moglibyście mi dać adresu któregoś z tych Gruzinów? — spytał Soso. Słowa o braku prelegentów dotknęły go jak wyrzut.

— Adres? Owszem. Mogę dać adres Wano Sturua. — W tej chwili drzwi się uchyliły. Wszedł młody Gruzin z wyglądu robotnik.

— O wilku mowa — powiedział wesoło Nazarow. — Oto go macie, tego Wano Sturua. No, więc gadajcie tu sobie, a ja pójdę do moich gości.

Młodzi porozumieli się prędko.

---

*) Uriadnik — najniższy urzędnik w gminie we wsi rosyjskiej.

Wano Sturua robił wrażenie starszego nad swe lata. Ciemne jego oczy patrzyły bystro i przenikliwie. Czoło miał szerokie i duży nos. Wąskie wargi zaciskały się z wyrazem stanowczości. Ta twarz budziła zaufanie. Zdawała się mówić: „możesz mi wierzyć, bracie!" Już po krótkiej z nim rozmowie, Soso miał wrażenie, że go zna od dawna.

Wyszli razem.

Sturua opowiadał o Warsztatach Kolejowych.

— Sporo robotników Gruzinów należy do kółek oświatowych zorganizowanych przez Żordanię, ale politycznej roboty nikt wśród nich nie prowadzi.

— Robotę polityczną my musimy prowadzić — powiedział Soso z naciskiem na słowie my. A po chwili dodał:

— Czy nie uważasz, że te wszystkie pogadanki oświatowe Żordanii mają jeden cel: odciągnąć robotników od walki politycznej?

— Więc — podchwycił gorąco Sturua — możemy na ciebie liczyć?

— Dawno już o tym myślę — wyznał Soso. — Ale...

Była jedna przeszkoda. Mógł wychodzić z seminarium od 3-ej do 5-tej. A praca w Warsztatach Kolejowych kończyła się o wiele później.

Sturua i na to znalazł radę.

— W Warsztatach jest nocna zmiana. Ci z nocnej zmiany mogą chodzić na twoje kółka.

— A prócz tego zostaje przecież niedziela — powiedział Soso.

— Właśnie. Zostaje jeszcze niedziela — rozpromienił się Sturua.

Umówili się, że zaraz po Nowym Roku Soso rozpocznie swoje kółko.

— Najlepiej u nas na Elizawetyńskiej — powiedział Wano. — Oprócz mnie i brata mieszka tam jeszcze dwóch robotników z Warsztatów Kolejowych. Zawsze jest u nas sporo ludzi; nie zwróci to uwagi policji, jeżeli przyjdzie jeszcze kilku.

Więc pamiętaj: Elizawetyńska 194!

VI

ŁADO

Pewnego dnia Soso Dżugaszwili wracał z kółka robotniczego. Dopiero co dowiedział się, że Ładо Kecchoweli, jego najbliższy przyjaciel jeszcze ze szkoły w Gori, wrócił do Tyflisu, że mieszka tu nielegalnie za cudzym paszportem, ukrywając się przed policją. Soso dowiedział się o tym od Wano Sturua.

— Łado chce się jak najprędzej z tobą zobaczyć — dodał Sturua.

Stanęło na tym, że Sturua znajdzie Łado i urządzi im spotkanie w najbliższych dniach. Soso szedł śpiesznie, radośnie wzburzony tą wiadomością.

Samo to imię „Łado" budziło w nim najmilsze wspomnienia z lat dziecinnych. Przyjaźń ich zaczęła się jeszcze w Gori. Dziwna naprawdę przyjaźń! Łado, starszy o trzy lata, był już w czwartej klasie, gdy Soso przeszedł do drugiej. Zabawnie musieli wyglądać razem: Łado, wyrośnięty, długonogi dryblas, z niesfornymi czarnymi kędziorami, łatwy do wybuchu, każdej chwili gotów iść na udry z całym światem, i Soso, drobny, chudy chłopczyna, daleko bardziej opanowany i rozważny od swego „dużego" przyjaciela. Ale pomimo różnicy wieku i charakteru rozumieli się z pół słowa. Nienawidzili popów i tych nauczycieli, co prześladowali język gruziński: przysięgli walczyć o wyzwolenie Gruzji i wyswobodzenie chłopów gruzińskich.

W ruinach starej fortecy w Gori czytywali razem ulubione książki wielkiego pisarza gruzińskiego: Aleksandra Kazbegi. Odwieczne mury twierdzy słyszały ich namiętne spory.

W tym czasie Łado zaczął wydawać pismo „Gantiadi", co znaczy „Świt".

Jeszcze dziś, po sześciu latach, Soso uśmiechał się wspominając „Gantiadi" i swój dawny dziecinny zachwyt. Jakże gorąco podziwiał wówczas to „ich" pismo! Na okładce kolorowymi kredkami Łado wyrysował słońce wschodzące ponad szczytami gór. Pod tym rysunkiem widniała również kolorowymi literami wydrukowana nazwa pisma „Gantiadi". A dalej — całe 8 stronic zeszytu Łado zapisał tuszem, drukowanymi literami. Były tam artykuły Łado i jego kolegów. Stały wyraźnie wypisane nazwiska nauczycieli, prześladujących uczniów za język gruziński, były gwałtowne protesty przeciwko uciskowi w szkole.

„Gantiadi" kursował po całej szkole.

I choć Łado pisał drukowanymi literami, choć na ostatniej stronicy chytrze podpisał: „Nieznane kolegium redakcyjne" — władze szkolne od razu domyśliły się, kto jest tym „nieznanym kolegium redakcyjnym".

Łado otrzymał dwójkę ze sprawowania i musiał zostać na drugi rok w czwartej klasie.

Wyjechał później do Tyflisu do seminarium duchownego.

Z listów przyjaciela Soso dowiadywał się, że Łado należy do kółka literackiego, które prowadził sławny pisarz — Ninoszwili. Dzięki

niemu zapoznał się Łado z dziełami najbardziej postępowych pisarzy rosyjskich: Czernyszewskiego, Dobrolubowa i Bielińskiego.

Później listy się urwały. Do Gori dochodziły wieści, że Łado zbuntował całe seminarium przeciwko więziennemu rygorowi, jaki tam panował. Wśród uczniów wybuchł strajk. Seminarium zamknięto na rok. A Łado wysłano z Tyflisu na wieś, pod dozór policji. Stamtąd udało mu się przedostać do Kijowa, gdzie znowu wstąpił do seminarium duchownego. Po jakimś czasie ktoś przyniósł wiadomość, że Łado został aresztowany za robotę rewolucyjną.

I teraz Łado znów jest w Tyflisie nielegalnie.

„Na pewno nie sprowadziła go tu tęsknota do gór, tylko ważniejsze sprawy — myślał Soso radośnie podniecony. — Ech, Łado! Ciebie nam tu brakowało! Weźmiemy się teraz do Żordanii!"

Szedł spiesznie wąską uliczką pod górę. Na chwilę musiał się zatrzymać. Mijała go skrzypiąca dwukołowa arba, zaprzężona w bawoły.

— Chatarba! *) — krzyczał woźnica, usiłując wstrzymać bawoły na stromej drodze.

Kiedy arba wreszcie przejechała, Soso zetknął się twarzą w twarz z młodym, wysmukłym Gruzinem.

Coś wydało mu się ogromnie znajome w pięknej twarzy, w sprężystym kroku tego przechodnia.

— Łado!

— Soso!

Sekundę stali obaj oszołomieni tym nagłym spotkaniem.

Później uścisnęli się mocno. Jak dawniej, jak w Gori.

— Szedłem i myślałem o tobie, Łado.

Soso wesołym uśmiechem starał się pokryć wzruszenie i radość z tego nagłego spotkania.

— Wiedziałem od Wano, że jesteś w Tyflisie.

— I mnie pilno było się spotkać z tobą, Soso.

— Wano obiecał cię odszukać.

— Wiedział przecież, gdzie mnie zawsze można znaleźć.

— Tak, ale tam właśnie nigdy cię nie było.

Łado roześmiał się chłopięco szczerym śmiechem i po chłopięcemu błysnęły jego białe zęby w czerni gęstej brody. Potrząsnął czarnymi kędziorami.

---

*) Chatarba! — Z drogi!

— A ja już słyszałem o tobie, Soso. Chodzą tu takie wieści po Tyflisie o jakimś nadzwyczajnym prelegencie.

— Nie kpij, Ładо! — obruszył się Soso, ale oczy mu się śmiały.

— Nie kpię, naprawdę. Rozmawiałem z robotnikami z Warsztatów Kolejowych. Mówią, że bardzo dużo się od ciebie nauczyli.

— A ja od nich jeszcze więcej — powiedział poważnie Soso. — Nie wiadomo, kto tu jest nauczycielem, a kto uczniem.

— Tak właśnie być powinno — uśmiechnął się Ładо — prawdziwy marksista zawsze wiele może się nauczyć od robotnika.

Tu Ładо zmrużył filuternie przejrzyste, o złocistym połysku źrenice:

— Ale wiesz, mesame-dasi rozpowiadają, że znalazł się jakiś Dżugaszwili, pono większy marksista od samego Żordanii.

— W to bardzo wierzę! — roześmiał się Soso.

— Ale bez żartów! Co sądzisz o naszym Żordanii? — spytał Ładо poważniejąc.

— Myślę, że czas już wypowiedzieć mu otwartą walkę! — odparł Soso.

— Zgadzamy się jak zawsze. Jak dawniej — uśmiechnął się Ładо— ale czegóż my tu stoimy?

Teraz dopiero spostrzegli, że stoją wciąż w tym samym miejscu, gdzie się spotkali.

— Niewygodnie jest tu rozmawiać na drodze — powiedział Ładо — trzeba mi jednak z tobą pomówić.

— I mnie też. Ale teraz nie mam ani chwili czasu. Muszę być o piątej w seminarium. Żeby je już raz diabli wzięli! — zmarszczył brwi Soso.

— Zdaje mi się, że to twoje pobożne życzenie prędko się spełni — uśmiechnął się Ładо — wyleją cię na pewno.

— Jestem na to przygotowany — chciałbym jednak dociągnąć do matury. Słuchaj, Ładо — chwycił dłoń przyjaciela — musimy się spotkać, ale gdzie? Jutro niedziela. Do piątej mam kółko. Więc po piątej, ale gdzie?

Ładо namyślał się.

— Jutro o szóstej umówiłem się z Cułukidze. Właśnie dobrze, że i ty będziesz. Wiesz, na Potijskiej...

— U Mity Gurgenidze? — wtrącił żywo Soso — znam ten adres.

— Więc przyjdź po piątej, zdążymy pogadać.

Uścisnęli sobie mocno dłonie.

Nazajutrz po piątej wchodził Soso do ubogiego pokoiku na Potijskiej. Ładо już tam był. Czytał coś pilnie pochylony ku oknu. Kiedy wstał na powitanie przyjaciela, głową sięgnął niemal sufitu.

— Mamy trzy kwadranse czasu — powiedział. — To chyba wystarczy?

Ale już po pierwszych słowach okazało się, że i kilku godzin byłoby mało, aby opowiedzieć, co każdy z nich przeżył i przemyślał w ciągu tych sześciu lat. A z drugiej strony, rozumieli się z pół słowa, jakby te lata osobno przeżyte nie rozdzieliły ich, ale zbliżyły, jakby w ciągu tego czasu szli tą samą drogą do tego samego celu.

Co do Żordanii byli obaj tego samego zdania, że i partia mesame-dasi, i Żordania mieli swoje zasługi.

— Temu nikt nie przeczy — mówił Soso. — Pamiętamy, czym była dla nas, studentów seminarium, wydawana przez Żordanię gazeta „Kwali". Ale dziś czasy się zmieniły. Dziś robotnikom nie wystarczają już pogawędki o słońcu i gwiazdach. Dziś chcą, żebyśmy ich nauczyli, jak mają walczyć z fabrykantami i z caratem. A tego ich nie nauczy legalna gazeta „Kwali", bo cenzura nie przepuści ani jednego rewolucyjnego słowa.

— Co tam cenzura! — uśmiechnął się Ładо i przesunął dłoń po swej gęstej czuprynie. — Sam Żordania nie przepuści ani jednego rewolucyjnego słowa. Żordania uważa, że robotnicy jeszcze do walki nie dorośli.

— Dlatego, właśnie dlatego, musimy stworzyć nielegalną prasę! — upierał się Soso.

Na to Ładо odpowiedział, że i on, i Cułukidze dawno o tym mówią i że teraz toczy się o to zażarty spór z Żordanią.

— Odkąd jestem w Tyflisie, ciągle myślę o nielegalnej gazecie — powiedział Ładо.

Soso przyznał mu się, że od dłuższego czasu łamie sobie głowę, jakby urządzić choćby małą drukarenkę, żeby bodaj ulotki można było drukować.

Żeby móc mówić z robotnikami o najbardziej palących sprawach! Nie tylko do tych kilku, z którymi spotykamy się na kółkach robotniczych, ale do wszystkich! Żeby mówić prostym, dla wszystkich zrozumiałym językiem.

Soso wyciągnął z wewnętrznej kieszeni kurtki złożone we czworo, gęsto zapisane kartki.

— Znasz to może? — uśmiechnął się na pytające spojrzenie przyjaciela i przeczytał głośno: „Odezwa do robotników i robotnic fabryki Torntona w Petersburgu..."

— To Uljanow pisał — wtrącił żywo Ładо. — Ale po co ty to nosisz przy sobie?

Soso pieczołowicie składał zapisane kartki.

— Wracam właśnie z fabryki tkackiej Mirzojewa — powiedział. — Straszne tam warunki — nie dziś, to za parę tygodni dojdzie do strajku. Przeczytałem im tę odezwę. I wiesz, co mi powiedzieli? Powiedzieli: „Od razu widać, że to pisał robotnik-tkacz, a nie żaden książkowy uczony".

Roześmieli się obaj.

— Czyż może być wyższa pochwała dla marksisty-rewolucjonisty? Powiedz, Ładо! Pisać i mówić do każdego robotnika jego własnym językiem! Oto czego musimy się uczyć od Uljanowa! Ale rozumiesz?— Soso patrzył na przyjaciela rozbłysłymi oczyma. — Rozumiesz? Żeby tak móc pisać, trzeba do głębi znać życie każdego robotnika, każdego chłopa, trzeba, żeby wszystkie ich sprawy były nam bliskie!...

Ładо powiedział niespodziewanie:

— Wiesz, Soso, bardzo urosłeś przez te lata.

Soso nie zrozumiał w pierwszej chwili.

— No pewnie, że urosłem, choć przewyższasz mnie o głowę.

— Nie, nie w tym znaczeniu. Politycznie bardzo urosłeś. Wiele się nauczyłeś. Bo, nie gniewaj się — Ładо powiedział to z tym swoim chwytającym za serce uśmiechem — ale tak dobrze pamiętam tego chudego chłopca z nastroszoną czupryną i zapalczywymi oczyma! Tego Soso Dżugaszwili z Gori, pierwszego do gry w „łapti", łakomego na książki, odsiadującego ciągle kary za rozmowy w niedozwolonym języku gruzińskim!

— A ja ciebie też pamiętam z tamtych goryjskich czasów — odciął się wesoło Soso. — Długonogiego dryblasa, redaktora gazety „Gantiadi", z palcami wiecznie umazanymi tuszem, zakochanego w tej swojej gazecie!

Tego jednak nie wspomniał Soso, jak bardzo imponował mu wtedy ten „redaktor". I jaki był dumny z przyjaźni tego dużego czwartoklasisty!

— Tylko, proszę cię, nie kpij z naszego „Gantiadi" — powiedział obrażonym tonem Ładо. — Naprawdę była to jedyna postępowa gazeta w Gori!

I uśmiechnął się po swojemu. Soso stwierdził z radością, że pomimo czarnej brody i męskiej postawy był to wciąż jeszcze dawny Łado Kecchoweli, „długonogi dryblas", o silnych pięściach i gorącym sercu, gotów zawsze skoczyć na pomoc jakiemuś malcowi krzywdzonemu przez starszych kolegów.

I czyż nie było to zadziwiające, że przyjaźń ich w rozłące rosła wraz z nimi i że teraz po sześciu latach byli sobie jeszcze bliżsi?

Łado, jak gdyby zgadując jego myśli, powiedział:

— Wiesz, nieraz myślałem, że prawdziwa przyjaźń bywa tylko między ludźmi, których łączy walka o wielką ideę.

W tej chwili zapukano do drzwi w umówiony sposób.

— To Cułukidze! — zerwał się Łado.

I idąc do drzwi powiedział prędko:

— Liczymy na ciebie, genacwale *). Czeka nas walka z Żordanią. A na razie jest nas tylko trzech.

VII

„NASZ SOSO"

Minęło kilka miesięcy. Robotnicy z Warsztatów Kolejowych, robotnicy z fabryki tkackiej Mirzojewa i z kilku innych fabryk, ci, co należeli do kółek politycznych, znali już dobrze młodego propagandystę, którego zwano „Soso".

„Nasz Soso" — mówili o nim robotnicy.

Wracając z kółka politycznego przypominali sobie każde słowo Soso. Nigdy od Żordanii takich rzeczy nie słyszeli.

— Jak gdyby człowiek przejrzał na oba oczy — cieszył się Goga Lelaszwili, młody ślusarz z Warsztatów Kolejowych. — Dalibóg! Przez trzy lata mesame-dasi opowiadali nam, jak powstały planety i skąd się wziął człowiek na ziemi; ale skąd się wziął wyzysk robotnika i jak ten robotnik ma z tym wyzyskiem walczyć, tego nie mówili nam nigdy!

Barczysty kowal Majsuradze wtrącił ochrypłym basem:

— O tym Karolu Marksie to i tamci, owszem, mówili, ale niewiele prosty robociarz z tego rozumiał. Przyjdzie taki profesor w binoklach, w angielskim palcie, porozkłada tych różnych karteczek i jak ci weź-

*) Genacwale — zwrot pieszczotliwy. Dosłownie po gruzińsku znaczy „jestem z tobą", albo „życie za ciebie oddam".

mie sypać tymi uczonymi słowami to się, człowieku, po głowie drapiesz i myślisz: mądrze ten Marks pisze, jeno nie dla nas te wszystkie mądrości pisane. Dopiero jak nam Soso po prostu, po ludzku, to wszystko wyłożył, to co się okazało?

Majsuradze powiódł po towarzyszach swymi wielkimi, przekrwionymi trochę oczyma.

— Okazało się, moi mili, że właśnie dla nas, robotników, pisał ten Marks i powiem wam, co sobie myślę, że taki profesor to może go i nie rozumie?

— To może i Żordania Marksa nie rozumie? — zakpił Lelaszwili.

— Żordania? — zmarszczył krzaczaste brwi Majsuradze. — A kto go wie? Może i prawda, co mówi nasz Soso, że Żordania trzyma z kapitalistami?

Na to znów nie wszyscy się godzili.

— Jakże? Żordania redaktor gazety „Kwali"? Wódz mesame-dasi? Zdradza, znaczy się?

Już nie tylko na kółkach politycznych, ale przy warsztacie w fabryce i w ogródkach, w duchanach*) przy szklance wina — powstawały spory między robotnikami. Starsi bronili Żordanii, młodzi stali po stronie „trzech śmiałków". Tak nazywano Cułukidze, Kecchoweli i Dżugaszwili. A zwykle mówiono o nich „Sasza, Ładо i Soso".

Niestety, „trzej śmiałkowie" wciąż jeszcze nie mieli drukarni — nie mogli wydawać nawet ulotek, o których tak marzył Soso.

Mogli mówić z robotnikami tylko na kółkach politycznych, gdzie zbierało się zaledwie 5 albo 6 osób.

Ale nikt nie potrafił mówić z robotnikami tak jak Soso. Nikt nie umiał, jak Soso, jednym słówkiem, uśmiechem — a uśmiechały się raczej jego oczy niż usta — zachęcić słuchaczy do mówienia. Prędko przekonali się, że z tym studentem można mówić o wszystkich troskach i bolączkach ich robotniczego życia.

Soso słucha, patrzy tymi uważnymi oczyma, a później od razu rzuci jakieś słówko, często nawet żartobliwe, a słuchaczom jakby się nagle w oczach rozwidniło. Było na przykład tak: między gruzińskimi i ormiańskimi robotnikami powstawały często kłótnie i nawet bójki. Gruzini oskarżali Ormian, że podlizują się majstrowi.

— Aleśmy dali dobrą nauczkę tym lizusom — opowiadał któryś z Gruzinów — mówię wam — bitka była, co się zowie!

Słuchacze rozweselili się.

---

*) Duchan — winiarnia.

— A majster aż ręce zacierał z uciechy — wtrącił spokojnie Soso.

Wtedy przestali się śmiać. Ten, który opowiadał, przyznał trochę nawet zmieszany:

— To prawda — majster cieszył się, aż mu się brzuch trząsł.

— Bo i majstrowi, i fabrykantowi tylko o to chodzi, żeby się Ormianie i Gruzini za łby brali — podchwycił Soso. — Zamiast łączyć swe siły przeciwko uciskowi, będą się robotnicy między sobą bić. A rządowi i fabrykantom tylko w to graj. Więc jeżeli majster się cieszy, że gruzińscy robotnicy pobili ormiańskich robotników — to powinno was to bardzo zastanowić, towarzysze! Powinniście pomyśleć nad tym, dlaczego majster się cieszy?

Wywiązała się z tego długa rozmowa o tym, co to jest solidarność robotnicza i dlaczego i majstrowie, i urzędnicy carscy umyślnie podburzają Gruzinów przeciwko Ormianom, Tatarom i Azerbajdżanom.

Majsuradze powiedział:

— Bo car jak ognia się boi, że te Gruziny, Ormianie i Tatary przejrzą nareszcie i zrozumieją, że robotnicy, jakiej by nie byli narodowości, mają jednego wspólnego wroga — a tym wrogiem jest car. A kiedy to zrozumieją — to koniec samodzierżawiu!

Tu Majsuradze grzmotnął wielką pięścią w stół, jakby zadawał ostatni cios temu samodzierżawiu. A siedzący obok niego Lelaszwili szepnął sąsiadowi:

— Majsuradze już przejrzał. Wczoraj jeszcze tłukł tą pięścią Ormianlizusów.

Mówił po cichu, ale wszyscy dosłyszeli i roześmieli się.

Majsuradze zmieszał się przez chwilę. Później powiedział zasępiony:

— Co prawda, to prawda. Wczoraj byłem ciemny, a dziś przejrzałem. Wstydu tu żadnego nie ma.

Soso, choć śmiał się przedtem wraz z innymi i jeszcze miał wesołe iskierki w oczach, poparł teraz gorąco kowala.

— Słusznie mówi Majsuradze. Wstydu w tym żadnego nie ma, że wczoraj jeszcze błądził, a dziś swój błąd zrozumiał. I nie tylko zrozumiał, ale tak jasno umiał wyłożyć, że każdy robotnik zrozumie.

Ta niespodziewana pochwała zmieszała kowala jeszcze bardziej. Zaczerwienił się z radości i dziwnie wyglądał ten rumieniec przy jego krzaczastych brwiach i potężnych barach.

— Ale, towarzysze — mówił Soso — nie dość samemu przejrzeć, nie dość samemu zrozumieć. Każdy z nas musi się starać, żeby taką prostą prawdę zrozumiało jak najwięcej robotników. To jest obowiązek każdego z nas.

Wracali z kółka we trzech: Majsuradze, Lelaszwili i młody tokarz Telia. Majsuradze szedł wielkimi krokami, odmłodniały nagle. Rzekłbyś, że nawet jego ciężkie bary wyprostowały się. Nienawykły do myślenia, żmudnie szukał słów dla tych nowych myśli.

Przechodzili właśnie przez pusty ugór. W dali drobnymi szybkami błyskały już długie okna Warsztatów Kolejowych. Majsuradze zatrzymał się raptownie. Znalazł wreszcie słowa dla tego, co tak trudno było mu wyrazić.

— Idę ja i głowę sobie łamię, towarzysze — zaczął — ot, chciałby człowiek zrozumieć — co się takiego zmieniło w nas, we mnie na przykład, huknął się w piersi — odkąd Soso do nas przychodzi? Niby dniówki zostały te same, te same ciężko zdobyte grosze... ba! ten sam majster został! Ale ja już nie ten sam — powiódł po towarzyszach wielkimi, wypukłymi oczyma — ja już nie ten sam i my wszyscy nie ci sami.

To „my wszyscy" Majsuradze podkreślił szerokim gestem, jakby ogarniał tłumy, choć przed nim stało tylko dwóch.

— A wiecie, dlaczego? Bo jak to pisał ten Marks? — ściągnął brwi, przypominając sobie — Aha! „Proletariat nie ma nic do stracenia prócz kajdan, a do zdobycia ma cały świat". Tak pisał. Więc choć my jeszcze tych kajdan nie rozerwali, ale wierzymy teraz mocno, że je rozerwiemy, że ten inny lepszy świat zdobędziemy! Dobrze mówię? A kto nas nauczył w nasze siły wierzyć? Właśnie nasz Soso! Prawdę mówię? — spojrzał rozpromieniony na słuchaczy.

Telia słuchał z błyszczącymi oczyma.

Lelaszwili powiedział niespodziewanie:

— Wszystko to prawda. Ale Soso ciągle nas uczy konspiracji. A czy to jest konspiracja stać pośrodku placu, krzyczeć i wymachiwać rękami niby wiatrak?

Majsuradze zmieszał się jak ofuknięty dzieciak, bąknął coś i ruszył wielkimi krokami naprzód.

VIII

PIERWSZE ZWYCIĘSTWO

Latem tegoż roku Soso połączył marksistowskie kółka robotnicze w nielegalną organizację socjaldemokratyczną. Był to już początek bojowej partii robotniczej. Do „trzech śmiałków" przyłączyli się najbardziej wyrobieni, najbardziej uświadomieni robotnicy, tacy jak Wano

Sturua, Zachar Czodryszwili, Micho Boczorydze. Nowopowstała młoda partia miała już swój sztab bojowy. Teraz tym bardziej Majsuradze mógł z dumą mówić: „My już nie ci sami". Majsuradze zmienił się nawet zewnętrznie; spoważniał i mniej wymachiwał wielkimi pięściami. Można powiedzieć: nabrał szacunku dla samego siebie; na wymyślania brygadiera odpowiadał pogardliwym spojrzeniem. Był teraz przecież członkiem gruzińskiej partii socjaldemokratycznej — to znaczy i tej wielkiej partii, która dopiero narastała, zbierała swe siły na olbrzymich obszarach carskiej Rosji.

Więc Majsuradze mocno zaciskał pięści, bo aż się prosiły, żeby bić w bezczelną gębę brygadiera. „Przyjdzie czas, porachujemy się" — pocieszał się.

*

Czas przyszedł prędzej, niż się kowal spodziewał. Już w jesieni robotnicy Warsztatów Kolejowych i Depo zaczęli mówić o strajku. Dzień roboczy w Warsztatach trwał 14 godzin albo i więcej, bo zawsze dyrekcja miała prawo dzień roboczy przedłużyć.

Zaledwie przeraźliwy gwizdek zaczynał huczeć w hali warsztatów, głosząc koniec dnia roboczego, już brygadier krzyczał:

— Warsztatów nie wyłączać! Robota po fajerancie *)!

Niby to dyrekcja płaciła za tę robotę osobno, ale tak się zawsze działo, że im więcej było tej dodatkowej roboty, tym mniej płacono za dzień roboczy i tym bardziej się dzień roboczy przeciągał.

W grudniu robotnicy Warsztatów Kolejowych postanowili strajkować. Masame-dasi z Żordanią na czele robili wszystko, żeby odwieść robotników od strajku. Z góry zapowiadali, że strajk skończy się klęską, że robotnicy stracą pracę albo zostaną aresztowani.

Wtedy sprawę strajku wzięła w swoje ręce młoda rewolucyjna grupa „trzech śmiałków".

Kierował strajkiem Soso.

Na tajnym zebraniu, w którym brało udział kilku rosyjskich robotników socjaldemokratów, omówiono żądania strajkujących. Naznaczono dzień rozpoczęcia strajku na 15-go grudnia.

Wtedy wysunęła się sprawa łamistrajków, sprawa bardzo ważna.

W Tyflisie było zawsze dużo bezrobotnych, gotowych na pierwsze wezwanie stanąć do każdej pracy.

---

*) Fajerant — koniec dnia roboczego.

Strajk Warsztatów Kolejowych i Depo groził przerwaniem ruchu kolejowego. Można więc było być pewnym, że dyrekcja postara się od razu przyciągnąć łamistrajków i zerwać strajk.

— Nie ma innej rady — powiedział Soso — tylko postawić warty robotników na wszystkich ulicach wiodących do Warsztatów i do Depo i nie puszczać łamistrajków.

— Prać, ile wlezie! — zamachnął się potężną pięścią Majsuradze.

— Prać, to najłatwiej — uśmiechnął się Soso. — Najpierw trzeba takiemu nieszczęśnikowi trafić do rozumu, wytłumaczyć mu, że przeciwko sobie samemu walczy, nie tylko przeciwko swym braciom i towarzyszom.

— Będziemy mieli łamistrajków i wśród naszych starszych robotników — odezwał się milczący dotychczas Zachar Czodryszwili. — Taki na przykład Micha Bakradze — ma sześcioro drobiazgu, albo Giga Chatiwari — tam też kupa dzieciaków; sami rozumiecie, takich trudno przekonać. Dla nich kilka dni strajku, to głód.

— Dlatego musimy mieć „fundusz bojowy" — powiedział Soso. — Trzeba podtrzymać tych, którym najtrudniej będzie przetrwać strajk. Niech każdy z nas złoży zaraz dwadzieścia kopiejek na „fundusz bojowy". Od innych robotników też powinniśmy zebrać. Na kasjera proponuję Zachara Czodryszwili.

Zachar Czodryszwili szanowany był przez wszystkich robotników. Wiedziano, że Zachar nigdy nie zawiedzie, że gotów jest na wszystko, na wszelkie ofiary, jeżeli chodzi o partię. Poważne, głębokie spojrzenie ciemnych oczu, wrodzona małomówność, jakaś stateczność w zachowaniu — czyniły go starszym, niż był, i zwiększały szacunek, jakim się cieszył.

Więc wybór Czodryszwili na kasjera przyjęto od razu. Na prędce zebrano wśród obecnych pierwszą składkę. Zachar przeliczył pieniądze, zapisał na skrawku papieru i wsypał do skórzanej sakiewki z mosiężnym poczerniałym zamkiem. Niewielki był ten początkowy „fundusz bojowy". Cały zmieścił się w wytartej sakiewce. A mimo to napełnił serca otuchą i wiarą w zwycięstwo.

Sprawa posterunków zajęła dużo czasu. Należało wybrać ulice, skąd najłatwiej było przedostać się łamistrajkom do Warsztatów, i wyznaczyć kolejne warty.

— Najtrudniej będzie upilnować schodków od Nadzaładewi — wtrącił Goga Lelaszwili. W porę przypomniał, bo wszyscy jakoś o tych schodkach zapomnieli.

A gdzież łatwiej o łamistrajków jak nie w Nadzaładewi?

Było to najbiedniejsze osiedle robotnicze. Gnieździła się tam największa biedota w lepiankach, dranicą krytych; maleńkie okienka prawie nie przepuszczały światła.

Nadzaładewi, po rosyjsku nazywane „Nachałowką", leżało na wzgórzu za szeroką ulicą, otaczającą Depo. Żeby skrócić sobie drogę do Depo, robotnicy mieszkający w Nadzaładewi wyryli w ziemi schodki; od tych schodków ścieżka wiodła do parkanu. Przez wąską szczelinę w tym parkanie można się było dostać do Depo. Goga Lelaszwili miał rację. Najtrudniej będzie upilnować tego przejścia.

Bo gdzie tu postawić wartę? Przy dziurze w parkanie? Źle — od razu rzuca się w oczy.

Przy schodkach? Też źle.

— Tak, to jest najtrudniejszy posterunek — przyznał Soso. — Wartownik będzie musiał wciąż krążyć i mieć te oba punkty na oku. Więc... — Soso zatrzymał wesołe spojrzenie na twarzy Lelaszwili — ten posterunek oddamy Lelaszwili.

Było to prawie wyróżnienie. Lelaszwili zarumienił się.

— A na zmianę... — Soso znowu rozejrzał się po obecnych. Czarne palące oczy młodego Telii, zda się, prosiły: mnie! mnie! — Na zmianę niech będzie Telia — uśmiechnął się do niego Soso.

Po czym zaczęli się wszyscy rozchodzić po jednemu, po dwóch z mieszkania, gdzie się odbywało zebranie.

*

Piętnastego grudnia o dziewiątej rano przeraźliwy, alarmujący gwizdek wstrząsnął starymi murami Warsztatów Kolejowych.

Rozpędzone transmisje zatrzymały się.

Z wagonowego cechu robotnicy wpadli do szlifierni.

„Rzucać robotę! Strajk!"

Ucichł zgrzyt i świr szlifiarek.

Ławą wysypali się strajkujący za bramę.

„Do Depo!"

W Depo maszyniści i pomocnicy maszynistów zrzucali już usmolone bluzy. Pod arkadą Depo zamierały parowozy; gaszono pośpiesznie paleniska.

Strajk!

Głuche milczenie zaległo długie budynki Warsztatów Kolejowych.

*

Był drugi dzień strajku.

Blady zimowy świt wstawał leniwie, rzekłbyś, ociągał się, czekając, aż donośny gwizdek Warsztatów Kolejowych jak co dnia wyrwie ludzi ze snu. Ale dokoła panowała głucha cisza. Na stokach gór przelewały się ciężkie grudniowe mgły. Przejmujący ziąb poranny do kości przenikał Gogę Lelaszwili, pomimo ciepłej burki i baszłyka. Od dwóch godzin krąży już po szerokiej drodze wokół Depo, zerkając raz po raz ku lepiankom Nadzaładewi; stłoczone domki osiedla spoczywały jeszcze w głębokim śnie. Mijając znajome, wyryte w ziemi schodki, Lelaszwili zwalniał kroku i rzucał bystre spojrzenie na ścieżkę wiodącą ku Depo. Ale i tu było pusto.

— Żeby choć na chwilę wpaść do „duchanu", rozgrzać się szklaneczką wina — wzdychał Lelaszwili. Niski domek „duchanu" bielał wyraźnie na zakręcie ulicy. Tam już nie spano — raz po raz otwierały się drzwi. Ale nawet na chwilę nie wolno opuścić posterunku. Więc Lelaszwili maszerował dalej po szerokiej ulicy z taką miną, jakby szedł w jakiejś śpiesznej sprawie.

Już po raz pięćdziesiąty chyba mijał niebezpieczne schodki, kiedy w stromej uliczce, wiodącej od Nadzaładewi, ukazał się mężczyzna.

Szedł ostrożnie, jak gdyby się skradał; spod włochatej czapy, nasuniętej na brwi, rzucał niespokojne spojrzenia, to w jedną, to w drugą stronę; stara czucha, ściągnięta rzemieniem w pasie, okrywała chude, przygarbione plecy.

„Giga Chatiwari! — poznał go od razu Lelaszwili — wpadłeś, bracie!" I przyśpieszył kroku.

Chatiwari wyszedł właśnie na szeroką ulicę i chciał ją przejść prędko, zmierzając ku schodkom, kiedy wartownik zaszedł mu drogę.

— Dzień dobry — powitał go wesoło. — Dokąd to tak śpieszysz, Chatiwari?

Spotkanie było tak nagłe, że Chatiwari stanął jak wryty. Przez chwilę nie mógł znaleźć słów. Skurczył się jakby, głębiej nasunął czapę na brwi. W szarych jego oczach, otoczonych siecią zmarszczek, odbiło się wielkie przygnębienie.

— Ja, widzisz — zaczął nieporadnie.

— Widzę, widzę — spojrzał mu Lelaszwili ostro w oczy. — Widzę, że mierzysz prosto do dziury w parkanie! I nie wstyd ci też, Chatiwari? — czarne oczy młodego zapaliły się gniewem. — Łamistrajkiem chcesz być, czy co u licha?

— Ale, zaraz łamistrajkiem!—wykręcał się Chatiwari. — Widzisz...— wzrok jego uciekał wciąż w bok — zostawiłem tam, to znaczy w Depo, śrubsztak i młotek, a pilnie mi właśnie potrzebne...

— Na cóż ci to właśnie p i l n i e potrzebne? — nastawał szyderczo Lelaszwili.

— Trzeba jakoś żyć, nie? — uśmiechnął się bezradnie stary.—A mnie tu właśnie robota nadarza się u wdowy Tesji, wiesz tej, co to jej męża zabiło w lecie. A tu jak na złość narzędzia zostały w Depo...

Lelaszwili ujął go mocno dłonią za ramię.

— Ty mi tu bajek o żadnej Tesji nie opowiadaj, rozumiesz? — potrząsnął starym. — Łamistrajkiem chcesz być, ot co!

Chatiwari zmiękł jakoś, skulił się.

— Szeni czyrime *) — powiedział cicho — wam młodym łatwo strajkować — wyrzucą cię z Warsztatów, pojedziesz do Baku albo do Batumu; młody i z fachem wszędzie robotę znajdzie — a gdybyś tak jak ja miał pięcioro drobiazgu i wszystko to od rana piszczy „babaja **) jeść"... to...

Żałosne spojrzenie starego dopowiedziało resztę.

Lelaszwili puścił jego ramię. Zmarszczył brwi, zasępił się. Uczuł dławiące w gardle współczucie.

— Ech, Chatiwari! — powiedział już bez gniewu. — Widzę, że żyjesz jak w ciemności. Dobrze by było pogadać z tobą przy szklaneczce wina w duchanie, ale cóż, kiedy nie mogę stąd odejść! Bo tylko patrzeć, znowu nadarzy się komu robota u wdowy Tesji! — roześmiał się.

Ale spoważniał od razu, widząc, że stary wciąż zerka ku ścieżce do Depo.

— Nic z tego nie będzie, Chatiwari! Nawet nie patrz w tę stronę — powiedział surowo. — Ile ci płacą za dniówkę?

— 60 kopiejek — wyznał coraz bardziej zgnębiony Chatiwari.

— I możesz wyżyć za te pieniądze z pięciorgiem dzieci?

— Gdzieżby? — uśmiechnął się gorzko Chatiwari. — Ze cztery godziny albo więcej trzeba pracować po fajerancie, żeby wyżyć.

— A chciałbyś dostawać 80 kopiejek za dniówkę?

— Któż by nie chciał? — wzruszył ramionami stary.

— Więc widzisz — zapalił się Lelaszwili. — My strajkujemy po to, żebyś dostawał 80 kopiejek i nie pracował po 14 godzin, a ty co? Za-

*) Szeni czyrime — słowo pieszczotliwe — dosłownie: „twój ból mnie".
**) Babaja — spieszczone „ojciec".

miast trzymać z robotnikami, kapitalistom pomagasz? Znaczy wróg jesteś?

— Jaki ja wróg? — przestraszył się stary. — Grzech ci tak mówić! O te parę groszy tylko mi chodzi, bo dzieciska jeść krzyczą. A kapitalistom pomagał ja nie będę! — upierał się nachmurzony.

— I tłumacz to takiemu! — Lelaszwili aż czapkę przesunął na głowie z frasunku.

Potem ujął znów starego za ramię i, tak stojąc na drodze, zaczął mu wykładać cierpliwie jak dziecku, dlaczego łamiąc strajk idzie przeciwko robotnikom i pomaga kapitalistom. Chatiwari słuchał, słuchał, w końcu powiedział:

— Nie pójdę ja, pójdą inni. Mało to robotników bez pracy? Zawsze się znajdą łamistrajki.

— To im gnaty poprzetrącamy! Rozumiesz? — wybuchnął wreszcie Lelaszwili. — Cackać się z nimi nie będziemy! Żebyś wiedział!

Ten ostatni argument trafił wreszcie do starego.

— A długo też ten strajk potrwa? — spytał cicho.

— Jeżeli łamistrajków nie będzie — to strajk może się za parę dni skończyć — ożywił się Lelaszwili. — Każdy dzień strajku, to milionowe straty dla kolei. Rozumiesz?

— Ba! Żeby to te parę dni jakoś przeżyć! — westchnął z głębi serca Chatiwari.

Lelaszwili przypomniał sobie naraz: prawda! Fundusz bojowy! Jak to powiedział Soso? „Musimy podtrzymać tych, którym najtrudniej jest przetrwać strajk".

Lelaszwili poczuł naraz ogromną radość, że jest przecież jakieś wyjście z tej ciężkiej sprawy.

Objął starego za chude ramiona, powiedział patrząc w te zabite troską szare oczy:

— Pomożemy ci, Chatiwari, przetrzymać te dni.

— Pomożecie? Kto pomoże? — spytał tamten z najgłębszym zdumieniem.

— My, robotnicy, pomożemy. Czekaj na mnie wieczorem. Przyniosę ci pieniądze.

— Jakie pieniądze? — mruczał stary oszołomiony, i nagle rzucił nieufne spojrzenie na Lelaszwili. — A nie zwodzisz ty mnie, bracie, żeby mnie tylko od tej przeklętej dziury odciągnąć?

Lelaszwili roześmiał się młodym, szczerym śmiechem.

— Idź spokojnie do domu, Chatiwari, my nie z tych, co zwodzą. — I popchnął go lekko w plecy.

*

Dopiero późnym wieczorem mógł Lelaszwili spełnić swoją obietnicę. Niełatwa to była rzecz za dnia znaleźć kogoś w Nadzaładewi, a co dopiero po ciemku! Toteż kiedy zjawił się wreszcie w niskiej, półciemnej izdebce, gdzie mieszkał Chatiwari, stary stracił już był wszelką nadzieję.

„Nabrał mnie, starego durnia!" — myślał gorzko.

Tym większa była radość, kiedy Lelaszwili wysypał przed nim na stół sporą garść srebrnych monet. Stary liczył je drżącymi palcami w niepewnym świetle kaganka.

Było tego całe trzy ruble.

Wsypał je zaraz do tekturowego pudełka, pudełko schował do szuflady starej szafki.

Spojrzał przy tym w stronę szerokiego tapczana przy ścianie.

— Ucieszy się jutro Manana — zaśmiał się z cicha. — Kiedym dziś wspomniał, że nam robotnicy pomogą, wpadła na mnie: „Gdzieżeś ty, głupi, widział, żeby robotnicy sobie pomagali? Każdy jeno o siebie się troska!"

— Bywa tak, bywa! — przyznał Lelaszwili. — Ale to właśnie musimy zmienić.

Rozmawiali potem długo.

Lelaszwili jak najprościej tłumaczył staremu to, o czym im mówił Soso. Skąd się wziął wyzysk robotnika i że tylko sami robotnicy wspólnymi siłami mogą się wyzwolić.

Chatiwari potakiwał radośnie głową. Przy każdym jego poruszeniu na ścianie chwiał się ogromny cień w kosmatej czapie. W mrocznej izdebce słychać było oddechy śpiących dzieci. Czasem które zagadało prędko przez sen. Knot kaganka skwierczał; płomyk to wydłużał się, to kurczył.

— Żeby to częściej tak kto przyszedł, pogadał — westchnął stary — bo to człowiek przez głupotę na własną zgubę pracuje!

Ściskając mu rękę na pożegnanie, Lelaszwili wiedział: „ten już łamistrajkiem nie będzie".

*

W ciągu pięciu dni martwa cisza zalegała długie budynki Warsztatów Kolejowych. Wystygłe parowozy pod arkadą Depo próżno czekały, aż je poruszy ręka maszynisty. Warty zorganizowane przez robotników nie przepuszczały ani jednego łamistrajka. Składy kolejowe zawalone były

frachtami towarowymi i każdy dzień strajku przynosił kolei ogromne straty. Wreszcie dyrekcja ustąpiła i zgodziła się na żądania robotników.

Szóstego dnia o świcie zahuczał znowu przeciągły, urywany gwizdek Warsztatów. Tym razem nie tylko wzywał do pracy. Tym razem donośnie i długo głosił pierwsze zwycięstwo robotników.

IX

BEZPRAWIE

Wiosna tysiąc osiemset dziewięćdziesiątego dziewiątego roku nadeszła jakoś nagle, nie wiadomo kiedy. Na zboczach gór bielały jeszcze śniegi, a miasto tonęło już w kwiatach. Z nagich, długich prętów magnolii wytrysły wielkie białe kielichy, kryjące niby płomyki purpurowe w swym wnętrzu; w ogrodach migdałowe i brzoskwinione drzewka wyglądały jak strojne dziewice w weselnym korowodzie.

Nadszedł maj i zasypał wszystkie ulice i place Tyflisu zamiecią białych, różowych i żółtych płatków akacji. Zakwitły bzy i rododendrony, zamieniając każdy skwer w odurzający bukiet.

Kura, po wiosennemu mętna i wezbrana, niosła na spienionych falach białe, różane i purpurowe płatki kwiatów.

Nastały upały jak w lecie. Na ulicach i w kioskach sprzedawano lody i napoje chłodzące. Noce były parne. Mieszkańcy sypiali na gankach lub na płaskich dachach domów.

W seminarium w sypialniach okna były otwarte przez całą noc.

Zbliżały się egzaminy.

I często świt zastawał Soso Dżugaszwili nad książką. Musiał teraz nocami uczyć się tych przedmiotów, których nie tknął w ciągu roku. Pomimo otwartych okien w sypialni było duszno i gorąco. Soso wychylał się z okna, żeby złapać choć trochę świeżego tchu płynącego z dalekich gór, których śnieżne szczyty srebrzyły się w świetle księżyca. Z dołu, z kwitnących skwerów i ogrodów rozbrzmiewały dźwięki czonguri *) i chóralne śpiewy. Gdzieś niedaleko tańczono lezginkę, słychać było klaskanie w dłonie i coraz szybsze okrzyki: „Asz! Asz! Asz! Asz!“ Słodki, upajający zapach kwitnących glicynii bił w okna sypialni.

Ale trzeba się było oderwać od czarów tej nocy i wrócić do „Historii prawosławia na Kaukazie“.

---

*) Czonguri — instrument muzyczny o trzech strunach.

*

Nawet w tym gorącym czasie przedegzaminowym Soso nie opuszczał ani jednego kółka robotniczego. I naprawdę dokazywał cudów zręczności, wymykając się szpiegom Abaszydze. Dawno już zbadał wszystkie przejścia i przełazy na drodze do seminarium.

Był to nawet rodzaj sportu i odpoczynku po kilkogodzinnej pracy: zostawić zagapionego szpicla na drodze i zniknąć mu nagle z oczu w jakiejś szczelinie muru, by wpaść do wiadomego sobie ogrodu, a stamtąd przez ukrytą w zwojach winogradu furtkę przedostać się na inną ulicę. Wracał też Soso zwykle do seminarium z zupełnie innej strony, niż się spodziewano. Wracał z najniewinniejszą miną z „poobiedniej przechadzki", trochę tylko zdyszany.

Abaszydze jednak nie dał się tym zwieść.

I pomimo że nigdy nie udawało mu się przyłapać Dżugaszwili, wiedział, co sądzić o jego „poobiednich przechadzkach".

Pewnego dnia pod koniec maja gruchnęła wśród seminarzystów wiadomość:

„Dżugaszwili wydalony z seminarium".

Z początku nikt nie dawał temu wiary.

Koledzy wiedzieli, że Dżugaszwili miał tylko kilka trójek, a z historii, z logiki i matematyki — piątki.

Jakim prawem nie dopuszczono go do egzaminów?

W seminarium wrzało:

„To świństwo! To nowa podłość Abaszydze!"

Rozniosło się, że Abaszydze wystąpił na zebraniu zarządu. Że oskarżył Dżugaszwili o działalność rewolucyjną. Powtarzano nawet, co mówił.

„Dlaczego najzdolniejszy uczeń z całego seminarium ma trójki?! — grzmiał Abaszydze. — Dlatego, że pochłania go polityka! I nie dość, że sam zajmuje się polityką, ale wciąga do niej kolegów i demoralizuje całe seminarium!"

Tym razem Abaszydze zwyciężył.

*

Dwudziestego dziewiątego maja Soso był ostatni raz u inspektora, żeby odebrać swoje papiery. Abaszydze nie starał się nawet ukryć swego triumfu. Odezwał się jednak z jezuickim ubolewaniem:

— Niech ci to będzie ostrzeżeniem na przyszłość, młodzieńcze.

Soso wziął papiery i odchodząc już powiedział dobitnie, patrząc inspektorowi prosto w oczy:

— To nie jest żadne ostrzeżenie; to jest po prostu — bezprawie!

— Co? Co takiego? — zerwał się Abaszydze.

Ale Soso był już za drzwiami.

Wstąpił jeszcze do sypialni po swoje rzeczy.

Hurmem wpadli tam za nim koledzy.

— Coś ty mu powiedział? Czego tak wrzasnął?

Zamykając swój kuferek Soso odparł spokojnie:

— Powiedziałem, że to jest po prostu bezprawie.

Za chwilę w całym seminarium uczniowie szeptali z błyszczącymi oczyma:

— Słyszałeś? Dobrze mu powiedział.

— Tylko Dżugaszwili mógł tak powiedzieć! On się nikogo nie boi!

Koledzy całą gromadą odprowadzili Soso do skweru Puszkina, a Dawid Gogochia aż do mostu. Soso niósł swój niewielki czarny kuferek, Gogochia uparł się nieść jego palto.

— Cóż ty teraz poczniesz? — zapytał Gogochia.

Soso spojrzał na jego szczerze zmartwioną twarz i roześmiał się:

— Nie przypuszczałeś chyba, że zostanę popem, otrzymawszy dyplom? Co pocznę? Postaram się zaraz o korepetycję. Na szczęście umiem daleko więcej, niż to było w programie świątobliwych ojców.

Doszli do mostu.

Po drugiej stronie rzeki na wysokiej skale wznosiły się posępne mury Metechskiego Zamku.

Pod mostem Kura toczyła swe burzliwe fale. W jarzącym blasku słońca twarz Soso wydała się Gogochii bardzo blada. Czarne łuki brwi i ciemne gęste włosy czyniły ją jeszcze bledszą.

Dawid przezwyciężając wrodzoną nieśmiałość odezwał się:

— Wiesz, bardzo źle wyglądasz, powinieneś koniecznie pojechać do Gori, choć na miesiąc.

— O tym nie ma mowy — przerwał mu Soso. — Nie mogę teraz wyjechać z Tyflisu.

Naraz przypomniał sobie coś. Podniósł na kolegę spochmurniałe nagle spojrzenie:

— Słuchaj, Gogochia. Jedziesz teraz do Gori?

— Jadę. Na krótko. Potem już wracam na wieś do Mingrelii.

— Widzisz — mówił Soso — trzeba powiedzieć matce. Ja napiszę, ale później, jak się urządzę. Rozumiesz? Wiem, że matka się zmartwi... Więc wytłumacz, jak możesz. Powiedz, że zarobić na swoje utrzymanie zawsze potrafię, a może i jej dopomogę. Powiedz, że jak się urządzę, to przyjadę choć na kilka dni. Pozdrów ode mnie...

Dawid odczuł wzruszenie kolegi.

— Nic się nie martw, Soso — powiedział gorąco. — Wszystko opowiem. I wytłumaczę.

Uścisnęli się.

— Kiedyż my się zobaczymy? — westchnął Gogochia. — Żegnaj, genacwale!

Stał na moście i patrzał za odchodzącym kolegą. Może się obejrzy?

Ale Soso nie obejrzał się. Z kuferkiem w ręce i paltem, przerzuconym przez ramię, szedł ostrym krokiem w stronę osiedli robotniczych — Didube i Nachałowki.

X

„NAUCZYMY SIĘ ZWYCIĘŻAĆ"

Tuż za krzewami Musztaidskiego ogrodu, gdzie zaczynało się osiedle Didube, rozciągał się pusty, trawą zarośnięty plac. Przez środek tego placu szła szeroka, wydeptana ścieżka.

Wczesnym rankiem przeraźliwy gwizdek Warsztatów Kolejowych budził Didube. Ścieżką pośrodku placu ciągnęły grupy robotników w stronę Warsztatów Kolejowych. Później plac pustoszał. Ale wnet wylegała tu cała dzieciarnia robotniczego osiedla. Dziewczynki rozsiadały się na trawie ze swymi szmacianymi lalkami, młodzi chłopcy zapamiętale grali w „czyliki-dżoki". Do tej gry trzeba było mieć dwie pałeczki. Dłuższą pałeczką odbijało się krótszą. Czasem wśród dzieciarni rozległ się okrzyk:

„W korobia! Gramy w korobia!"

Gra w „korobia" czyli w „jastrzębia", polegała na tym, że wszystkie dzieci tworzyły koło. Jedno było „kwoką", jedno „jastrzębiem". „Jastrząb" usiłował porwać któreś z piskląt. Wtedy reszta rozpraszała się, a „kwoka" rzucała się na „jastrzębia" w obronie swego pisklęcia. Młodsze dzieci nie lubiły tej gry. Zamiast uciekać, czepiały się „kwoki" i krzyczały, jakby je porywał prawdziwy jastrząb.

Gra w „łapti", ulubiona przez starszych chłopców, również płoszyła młodsze dzieciaki. Zmykały czym prędzej, unosząc swoje szmatki i „czyliki-dżoki", osłaniając głowy przed czarną lanką, którą z pasją przerzucały sobie obie partie. Jedna partia broniła „miasta" — druga zdobywała miasto z „pola".

Właśnie partia, która broniła „miasta", znalazła się w bardzo ciężkiej sytuacji. „Matką" czyli „kapitanem" tej partii był Micha, dziesięcioletni może, cienki jak badyl chłopak.

Z rozwianą czarną czupryną rzucał się za piłką, odbijając ją celnymi uderzeniami.

Ale partia Michy była słabsza i siły jej bardzo nierówne. Właśnie krępy, niezgrabny Dawid na lewym skrzydle nie zdążył odbić piłki i musiał się cofnąć.

W tej chwili ścieżką od ulicy Potijskiej w stronę Musztaidskiego ogrodu szybkim krokiem szedł szczupły, ciemnowłosy młodzieniec. Jednym spojrzeniem ocenił fatalną sytuację partii Michy. Piłka już, już miała przelecieć po raz drugi nad głową Dawida, kiedy nieznajomy chwycił ją w locie. Potem uderzeniem wytrawnego gracza „skuł" przeciwnika, zmuszając go do odwrotu. Wśród ogłuszających wrzasków: „Wasza! Wasza!" — partia Michy odepchnęła przeciwnika do granicy „pola".

Kiedy Micha, upojony zwycięstwem, ochłonął wreszcie i obejrzał się za niespodziewanym sojusznikiem, tamten odszedł już w stronę Musztaidskiego ogrodu. Chłopcy przeprowadzili go wzrokiem pełnym uwielbienia.

— To ci gracz! — westchnął z głębi piersi Micha.

— Z takim to nie sztuka zwyciężyć! — dąsał się rosły rudowłosy Arczył, który był „matką" przeciwnej partii.

Najmłodszy z partii Michy, jeszcze po dziecinnemu pulchny, piegowaty Wano powiedział:

— A ja go znam! On mieszka na Potijskiej w tym samym domu, co my, i nazywa się Soso.

*

Domek na ulicy Potijskiej był jednopiętrowy, biało tynkowany, z drewnianym krytym gankiem wzdłuż całego piętra. Bujne pędy dzikiego wina wspinały się po obłupionych z tynku ścianach, zwisały z dachu i zaglądały do okien. Rzekłbyś, że stary, zmurszały domek pragnie ukryć swą nędzę pod tym zielonym bogatym płaszczem. Ale wewnątrz domu, w mieszkaniu robotnika Warsztatów Kolejowych, Mity Gurgenidze, wyzierała niczym już nie osłonięta bieda; prosty, drewniany tapczan, trzcinową matą kryty, pod oknem zgruba sklecony stół, podłoga z nierównych desek, zamazane szybki w niewielkim okienku.

Soso Dżugaszwili dojrzał to wszystko od razu, kiedy tu wszedł z gospodarzem mieszkania.

Gurgenidze próbował otworzyć jedyne okno, ale dzikie wino zarosło zawiasy zewnątrz i okno nie chciało się otworzyć. Stół chybnął się, kiedy Gurgenidze oparł się o niego.

— Można otwierać drzwi na ganek — powiedział zmieszany trochę tymi brakami, których przedtem nie zauważył.

— To głupstwo, to wszystko się zrobi! — pocieszył go Soso.

— Więc umówiliśmy się, genacwale? Zostaję u was.

Uścisnął mocno rękę gospodarza. A potem słuchał, jak pod krokami odchodzącego Gurgenidze klekotały wyschnięte deski w podłodze ganku.

— To ma też swoją dobrą stronę — uśmiechnął się Soso. — Będę zawczasu słyszał, że ktoś do mnie idzie.

Widok z ganku ucieszył go.

Ganek i okno wychodziły nie na ulicę Potijską, ale na mały zapuszczony ogródek. Rosnąca tuż koło domu rozłożysta akacja rzucała na ganek swój pierzasty, ruchliwy cień. Na horyzoncie, na tle głęboko błękitnego nieba, najbliższa góra wyginała ciemny grzbiet niby olbrzymi śpiący zwierz. Bliżej, w zieleni ogródków bielały niewielkie domki. Wśród gęstych liści akacji zajadle kłóciły się wróble.

W trawach dzwoniły cykady *).

Nagle w tę senną ciszę upalnego dnia wdarł się przeraźliwy, urywany gwizdek Warsztatów Kolejowych. Koniec przerwy obiadowej! Soso odetchnął z głębi piersi. Nareszcie poczuł się wśród swoich! Nareszcie był wolny!

Wszedł do pokoju. Zrzucił kurtkę z błyszczącymi guzikami. Obmierzła mu już strasznie. Ale posłuży jeszcze, skoro innej nie ma. Starannie zawinął rękawy koszuli.

— Trzeba tu najpierw zrobić porządek — rozejrzał się dokoła. Za chwilę wracał już od gospodarzy uzbrojony w dwie szczotki, wiadro z gorącą wodą i ścierkę.

*

Gurgenidze pamiętał jednak o tym, że stół w pokoju lokatora chyboce się. Trudno będzie pisać na takim stole. Więc na drugi dzień, wróciwszy do domu podczas przerwy obiadowej, wyszukał kawałek drewna, przystrugał i poszedł naprawić stół. Otworzył drzwi i stanął zdziwiony, rozglądając się dokoła.

Ten sam przecie pokój i nie ten sam.

Podłoga, stół, jedyne krzesło wyszorowane do białości. Okno otwarte.

---

*) Cykady — rodzaj koników polnych.

— Podciął widać wino! Patrzaj, jaki zmyślny! — pokiwał głową Gurgenidze.

Czyste szybki okna błyszczały w słońcu. Na stole leżały porządnie ułożone książki. Gurgenidze próbował, czy stół się nie chyboce. Stał jak mur.

„I nogę sam dosztukował. A to majster! Patrzcie, taki uczony człowiek, a najprostszej robocie poradzi!"

Jeszcze raz obejrzał się Gurgenidze po tym pokoju. Wesoło się tu jakoś zrobiło, że wyjść się nie chciało.

— Prawdę mówią, że poznasz człowieka po mieszkaniu jego — pokiwał głową z uznaniem.

*

Tego dnia Soso wrócił wcześniej z kółka robotniczego. Zebrania kółek odbywały się teraz za każdym razem w innym mieszkaniu robotniczym, najczęściej w Nadzaładewi. Każdego popołudnia przychodził młody robotnik z Warsztatów Kolejowych i zawiadamiał Soso, gdzie dziś odbędzie się kółko. Całe przedpołudnia zajmowało bieganie po korepetycjach, często na drugi koniec miasta. Wolny wieczór zdarzał się rzadko. Należało wyzyskać każdą chwilę.

Ale dziś trudno mu było pracować!

Dręczył go niepokój o Ładо. Jeżeli dziś Ładо się nie zjawi... Ładо Kecchoweli przez czas dłuższy pracował w drukarni Cheładze. Teraz miał tam jednego czy dwóch towarzyszy. I dzięki temu udawało mu się nocami drukować ulotki.

Właśnie onegdaj wziął do druku ulotkę napisaną przez Soso z powodu strajku w tkackiej fabryce Mirzojewa. Mijał drugi dzień. W umówionym miejscu Ładо się nie stawił. W domu, gdzie mieszkał, nie nocował. I dom był wyraźnie śledzony.

Czyżby się co stało?

Soso położył pióro.

Teraz dopiero zauważył, że jest już ciemno.

W mieście otoczonym górami zmierzch spada nagle. Śnieżne szczyty gór różowieją jeszcze w słońcu, a na miasto kładą się już gęste mroki. Soso zapalił niewielką naftową lampę stojącą na stole. Przez chwilę patrzał, jak o biały klosz lampy obijają się ćmy i padają na stół, trzepocąc skrzydełkami.

Jeżeli dziś Ładо nie przyjdzie...

Nagle zdało mu się, że słyszy kroki na schodach. Kroki były drobne, lekkie, jakby szło dziecko. Soso wyjrzał na ganek.

W niepewnym świetle zmierzchu zamajaczyła przed nim mała, cienka figurka.

— Kogo tu szukasz, biczo*) — spytał.

— Ja... ja przyszedłem do ciebie, Soso. Nie poznajesz? — W głosie chłopca brzmiał wyrzut. — Ja jestem Micha!

— Chodź no tu bliżej, Micha. Najpierw skąd wiesz, jak mi na imię?

— Wano mi powiedział.

— A kto to jest Wano? — pytał rozweselony już trochę Soso.

— Wano jest w mojej partii — objaśniał cierpliwie Micha. — Taki mały, z piegami. On gra nieźle, tylko słabo bije.

Chłopiec przysunął się do drzwi. W świetle lampy ukazały się teraz opalone na kolor brązowy, bardzo chude nogi w znoszonych trepkach, krótkie majtki, szelki na szczupłych spalonych przez słońce ramionach i drobna twarz pod strzechą ciemnych włosów. Spod tej strzechy czarne oczy chłopca wciąż jeszcze spoglądały z wyrzutem.

Ci dorośli tak łatwo zapominają!

Ale Soso już sobie wszystko przypomniał: i straconą pozycję partii Michy, i samego Michę, rozpaczliwie miotającego się za piłką i owego niezgrabiasza na prawym skrzydle.

— Teraz cię poznaję, owszem — uśmiechnął się do chłopca. — Ciekaw jestem, skąd ten twój Wano „z piegami" wie, jak mi na imię i zna mój adres?

— Bo on tu mieszka! W tym samym domu! — Micha ożywił się. Nareszcie się dogadali! — Ale dobrze wtedy „skułeś" Arczyła — powiedział z zachwytem. — Raz! raz! Morowo!

— Raz, raz! — przedrzeźnił go Soso. — O mało mi ten niezdara oka nie wybił.

— To Dawid! — westchnął Micha. — Z nim mam kłopot... i w ogóle... — sposępniał nagle.

Soso przyglądał mu się chwilę.

— A w ogóle, Micha, po coś ty tu właściwie przyszedł?

Radosne podniecenie chłopca zgasło. Odwrócił się bokiem. Dłubiąc paznokciem w spruchniałej framudze drzwi, mruknął:

— Bo, bo oni... bo Arczył... wciąż mnie pobijają!

— Nic dziwnego, że cię „pobijają" — powiedział surowo Soso — skoro ty na skrzydle stawiasz takiego niedołęgę jak ten Dawid.

— On sam się stawia — poskarżył się Micha. I odwracając głowę spytał ciszej: — A co to znaczy: „na skrzydle"?

---

*) Biczo — po gruzińsku chłopiec.

— Zaraz ci wyjaśnię — Soso sięgnął po ćwiartkę papieru. Ujął ołówek. Micha oderwał się od framugi drzwi.

— Patrz... tu jest „miasto"... tu „pole". Tu stoi twoja partia... raz, dwa, trzy... sześć — znaczył Soso krótkie kreseczki.

— Ze mną... siedem! — wstawił skwapliwie Micha.

— Dobrze... siedem. Tu pośrodku stoisz ty, „kapitan" czyli „matka".— Środkową kreskę Soso obwiódł krążkiem.

— To ja? — uśmiechnął się radośnie Micha. Ciemnym palcem wskazał ów krążek. Przy czym na białą kartkę padł kosmaty cień jego czupryny.

— Zasłaniasz! — powiedział Soso.

Micha pośpiesznie cofnął głowę i palec.

— Więc patrz — tu masz centrum armii — a tu masz skrzydła: prawe i lewe. Przypuśćmy, że przeciwnik uderza na twoje prawe skrzydło. Czy możesz obronić to skrzydło, stojąc tak daleko? Nie możesz. Choćbyś się rzucał jak piskosz w sieci. Z tego wynika, że broniąc środkowej pozycji, musisz być pewien swoich sił na prawym i lewym skrzydle. A ty właśnie na skrzydle stawiasz najsłabszego gracza...

— A skąd ja mogłem przewidzieć, że oni akurat będą bić w Dawida? — wzruszył Micha chudym ramieniem.

— Dowódca musi wszystko przewidzieć; inaczej nie jest dowódcą, rozumiesz?

Micha westchnął ciężko. Soso położył ołówek i spojrzał na chłopca niby to poważnie, ale z wesołymi iskierkami w oczach.

— No, Micha, głowa do góry! Bijesz, owszem, celnie. Sam widziałem. — Micha podniósł rozjaśnione oczy — Ale starasz się bić za wszystkich swoich graczy. A to na nic. Dowódca nie może się bić za całą armię. Ale za całą armię o d p o w i a d a, rozumiesz? Skoro już dobrałeś sobie takich zuchów jak twój Dawid, to powinieneś obok niego postawić kogoś, kto go podtrzyma. I musisz koniecznie dobrać sobie lepszych graczy...

— A skąd ich wziąć? Kiedy oni wszyscy idą do Arczyła — powiedział z goryczą Micha.

— A dlaczego idą do Arczyła?

— Bo... bo Arczył ciągle zwycięża!

Po tym bolesnym wyznaniu Micha zapatrzył się ponuro na kosmatą ćmę, szeleszczącą po papierze... Później spojrzał rozbłysłymi nagle oczyma i powiedział zdecydowanie:

— A ty mnie naucz!

— Czego? — uśmiechnął się Soso.

— Zwyciężać!

Soso roześmiał się głośno. Poklepał chłopca po rozwichrzonej czuprynie.

— Słusznie, Micha! To jest nasze najważniejsze zadanie: nauczyć się zwyciężać! I tego musimy się uczyć! Obaj. I nauczymy się. Na pewno!

W tej chwili na ganku dały się słyszeć sprężyste męskie kroki. To Ładо!

Soso objął chłopca ramieniem i łagodnie popchnął ku drzwiom.

— A teraz maszeruj, genacwale! I bądź spokojny! Zwyciężymy. Nie tylko Arczyła, ale daleko silniejszego wroga!

We drzwiach ganku Micha minął wysokiego Gruzina w miękkich kaukaskich butach i w czarnej alpagowej bluzie, ściągniętej wąskim paskiem.

Spojrzeniem pełnym urazy ogarnął chłopiec piękną twarz tego niepożądanego gościa, co właśnie w najciekawszym miejscu przerwał im rozmowę.

Ładо posłyszał był ostatnie słowa Soso. Obejrzał się za drobną figurką i ściskając dłoń Soso w swojej szerokiej, ciepłej dłoni, rzucił wesoło:

— Coś bardzo poważnie traktujesz tego malca!

— Każdego człowieka należy traktować poważnie — odpowiedział Soso.

— Nawet, jeżeli ten człowiek ma dziesięć lat?

— Tym bardziej, jeżeli ma dziesięć lat. — Soso zmrużył po swojemu oczy. — Nie zagaduj, Ładо! Wytłumacz się, gdzieś się podziewał całe dwa dni? I co z odezwą?

— Zaraz zdam raport — ale uf! nóg nie czuję!

Ładо wyciągnął się na tapczanie. Długie jego nogi w miękkich butach z cholewami zwisały na podłogę.

— Co z odezwą? — powtórzył Soso.

Ładо sięgnął do cholewy buta — wydostał wąziutko złożony papierek.

— Gotowa!

Soso rozwinął ulotkę i przejrzał ją.

— Dobrze napisane! — powiedział Ładо z uznaniem.

— A gdzie reszta? — spytał Soso.

— Załatwione.

— Co to znaczy „załatwione"? Wczoraj rano w umówionym miejscu Goga nie znalazł ani ulotek, ani ciebie.

— Wczoraj rano, a raczej o świcie — Ładо nie mógł ukryć cichego triumfu — ulotki zdobiły już mury fabryki Mirzojewa. A resztę stara

Babe ukryła w koszu pod czurekami i na pewno rozdała robotnicom wraz z czurekami.

Soso stanął przy tapczanie.

— Tyle razy była już mowa o tym, żebyś tego nie robił. To jest wbrew wszelkiej konspiracji.

Ładо rozprostował ramiona.

— Zgadzam się, ale to wydało mi się najprostsze; wynieść ulotki z drukarni w nocy prosto do fabryki, żeby je robotnicy rano znaleźli już na murach.

Soso przeszedł się po pokoju.

— Jesteś niepoprawny. W każdym razie należało zawiadomić Gogę! Czekał na próżno!

— Tego, niestety, nie mogłem zrobić — powiedział Ładо z westchnieniem. — Natknąłem się na szpicla i długo nie mogłem go zgubić.

W milczeniu, które zapadło, słychać było gwizdki parowozów, wekslujących w Depo.

— Dlaczego nie nocowałeś w domu? — spytał Soso po chwili.

— Skąd wiesz? — poruszył się Ładо.

— Wiem — powiedział krótko Soso.

— Wyobraź sobie, miałem wczoraj pecha; przed domem sterczał taki sam znudzony typ. Musiałem szukać noclegu gdzie indziej.

— Też wiem.

— Może sam chodziłeś?

— Może.

— Zupełnie niepotrzebnie! — żachnął się Ładо.

Soso nie odzywał się. Podszedł do stołu, przykręcił płomień lampy, bo zaczęła kopcić, później stanął we drzwiach ganku. Milczał tak długo, aż Ładо zaniepokojony uniósł się na tapczanie.

— Co ty tam knujesz w ciemności? — rzucił półżartobliwie.

Soso, nie śpiesząc się, podszedł do niego:

— Musimy pomówić poważnie, Ładо.

— Jakby z tobą można było kiedy mówić niepoważnie! — westchnął Ładо.

Soso nie zwrócił uwagi na ten wykrzyknik.

Zrobił parę kroków, znów się zatrzymał.

— Chodzi o to — zaczął — że sprawa nielegalnej gazety staje się dziś dla mnie sprawą palącą.

— Dlaczego „dziś"? — przerwał Ładо — Zawsze była paląca.

— Jest jedna okoliczność — ciągnął spokojnie Soso — nowa okoliczność.

— Jaka?

— Jest wiadomość, że Uljanow ma zamiar wydawać ogólnorosyjską nielegalną gazetę.

Ładо usiadł gwałtownie:

— Uljanow? Wolny?

— Na razie jeszcze nie. Ale za kilka miesięcy będzie wolny. I na pewno swój plan wypełni. Czyli za rok możemy mieć ogólnorosyjską nielegalną gazetę pod redakcją Uljanowa.

W głosie Soso, w jego opanowanych zwykle ruchach przebijało wewnętrzne wzburzenie.

— Ta właśnie okoliczność — mówił dalej — sprawia, że nielegalna gazeta w języku gruzińskim staje się najbardziej pilnym dla nas zadaniem. Bo rosyjska gazeta, ta, która będzie kierowała ruchem robotniczym całej Rosji, nie będzie zrozumiała dla robotników gruzińskich, ani ormiańskich. Naszym więc obowiązkiem jest uprzystępnić każde słowo Uljanowa robotnikom gruzińskim, a jeżeli zdołamy — i ormiańskim.

Ładо nie odrywał oczu od twarzy przyjaciela. Znał dobrze ten żar wewnętrzny, co rozpalał bladą zwykle twarz Soso i przebłyskiwał w oczach.

— Cóż — powiedział Ładо stłumionym przez wzruszenie głosem — wiesz przecież, jestem gotów, choćby dziś.

Soso, jakby nie słysząc jego słów, mówił dalej:

— Właśnie wczoraj obaj z Cułukidze doszliśmy do wniosku, że jedynym, któremu można powierzyć taką odpowiedzialną robotę, jesteś ty.

— Czy jedynym, nie wiem... — Twarz Ładо pozostawała w cieniu. Tylko głos zdradzał jego wzruszenie. — Ale ty wiesz, Soso, że to jest marzenie całego mego życia. Mam już nawet nazwę dla tego pisma: „Brdzoła“ *) — Spojrzał z chłopięcą radością. — Dobra nazwa? Co?

— Owszem — powiedział Soso — nazwa odpowiednia.

Z trudem ukrywał uśmiech. Tak mu się przypomniał tamten Ładо z Gori!

Surowiej już ciągnął:

— Mamy już więc redaktora i nazwę pisma. Nie mamy tylko jeszcze środków na zorganizowanie drukarni. Ale ta sprawa musi być załatwiona w najbliższych miesiącach. Teraz grozi nam co innego.

— Co? — zaniepokoił się Ładо.

---

*) Brdzoła — po gruzińsku „walka“.

— Grozi nam — mówił spokojnie Soso — że kiedy zdobędziemy pieniądze na drukarnię, zabraknie nam redaktora.

— Nie rozumiem — zmarszczył brwi Ładо — mów jaśniej!

— Powiem jasno. Zachowujesz się z lekkomyślnością nie do wybaczenia. Narażasz się dla spraw, w których może cię zastąpić kto inny, i ryzykujesz, że właśnie do tej najbardziej odpowiedzialnej roboty ciebie zabraknie.

— Przesadzasz, Soso!

— Nie przesadzam. Szpicle depcą ci już po piętach!

— Nic podobnego! — zaprzeczył żywo Ładо. — Każdy z nas może przypadkiem natknąć się na szpicla.

— Jeden szpicel, to przypadek, dwóch, to obława — powiedział Soso.

— Dobry aforyzm — przyznał Ładо — ale w danym wypadku niesłuszny. Bo to jednak nie obława.

— Tylko co?

— Tylko drugi taki sam... przypadek!

Roześmieli się obaj.

— Nie wierzę w przypadki — machnął ręką Soso. — W każdym takim przypadku kryje się jakaś nasza nieostrożność. I teraz, kiedy za kilka miesięcy od ciebie może zależeć, czy ukaże się ta nasza gazeta, która jest nam potrzebna jak oręż bezbronnemu...

Ładо zerwał się z tapczana.

— Soso! Przyrzekam ci, że się nie wsypię, dopóki nie wydam przynajmniej trzech numerów „Brdzoły"!

— Ja ci pokażę trzy numery! — pogroził mu pięścią Soso.

— Rad bym choćby dziś! — mówił żarliwie Ładо. — Nie wychodziłbym wcale na świat z takiej drukarni! Siedziałbym jak kret pod ziemią! I drukowałbym dzień i noc. Od razu mi zapachniało farbą drukarską!

Wciągnął nosem powietrze, jakby już czując ten zapach drukarni. Zapomniał o zmęczeniu. Cały płonął tym marzeniem lat dziecinnych.

— Szkoda, że to tak długo trzeba czekać! — westchnął. — Czy nie dałoby się wcześniej?

Pogrążyli się obaj w szczegółowe rozważania, gdzie należy wydawać gazetę.

— Sądzę, że w Baku — powiedział Soso.

— Dlaczego w Baku? — w głosie Ładо brzmiał zawód. — Nie wyobrażam sobie, żebym podołał bez ciebie.

Soso, chodząc po pokoju, zaczął wyjaśniać, dlaczego właśnie w Baku. Jest to największy ośrodek przemysłowy na Kaukazie. Oprócz tego skupiają się tam różne narodowości: Azerbajdżanie, Ormianie, Gruzini, Tatarzy i Rosjanie. Przy bezrobociu i nędzy, jaka panuje w Baku, waśnie narodowościowe (a kapitaliści podsycają je umyślnie) mogą przybrać bardzo ostrą formę. Gazeta będzie tu miała dużą robotę do spełnienia.

Ładо słuchał, wodząc za nim wzrokiem. Musiał przyznać, że argumenty Soso były słuszne.

„Jak zawsze" — pomyślał Ładо. Nagle zastanowił się nad tym, odkąd to on i Cułukidze zaczęli się liczyć z każdym słowem tego najmłodszego z nich? Bodajże od chwili, kiedy Soso wstąpił do organizacji?

Szczupła, ciemna postać Soso to ukazywała mu się w świetle lampy, to pogrążała w cieniu. Ładо starał się obiektywnie spojrzeć na tego przyjaciela lat dziecinnych; zrozumieć, skąd pochodzi autorytet tego dziewiętnastoletniego młodzieńca, najskromniejszego z nich wszystkich.

W tej chwili Soso zatrzymał się przed nim:

— Oto dlaczego właśnie w Baku powinniśmy wydawać nielegalną gazetę.

— To wszystko słuszne — westchnął Ładо — ale... trudno mi będzie bez ciebie.

Soso przyglądał mu się zmrużonymi oczyma, w których taił się uśmiech.

— Obiecuję ci wstępny artykuł do każdego numeru, zgoda? — wyciągnął do niego rękę, Ładо uścisnął ją gorąco w swojej silnej dłoni.

— Trzymam cię za słowo, Soso!

*

Kilka dni z rzędu Micha pilnie wypatrywał Soso. Pragnął się pochwalić, że już dwa razy jego partia pobiła partię Arczyła. Ale Soso nie nadchodził, a sprawy Michy zaczęły się psuć. Choć usilnie starał się „wszystko przewidzieć", jak przystało na dowódcę, i na „skrzydłach" nie stawiał Dawida, jednak często przegrywał. Bo lepszych graczy wciąż nie mógł jeszcze sobie dobrać.

Któregoś popołudnia Micha znalazł się znowu przed domkiem na ulicy Potijskiej.

Był już wrzesień. Sploty winogradu na ścianach poczerwieniały. Wróble hałasowały wśród gałęzi akacji.

Micha nie namyślając się wszedł po schodach na ganek. Zauważył, że drzwi do pokoju Soso są otwarte.

Stanął przy drzwiach. Powiedział cicho:

— Soso, to ja!

Ale nikt się nie odezwał.

Wtedy postąpił parę kroków i zajrzał do pokoju. Od razu zauważył, że na stole nie ma książek, a tapczan zamiast koca osłania trzcinowa mata.

Zmarkotniały rozglądał się chłopak po tym pokoju, który zrobił się pusty i smutny, kiedy drzwi w głębi otworzyły się i stanął w nich wysoki brodaty Gruzin w roboczym ubraniu.

— Czego tu chcesz, biczo? — spojrzał na chłopca surowo spod gęstych czarnych brwi.

— Ja... do Soso — bąknął Micha.

— Nie ma Soso! A na co ci on?

Micha milczał.

Potem spytał:

— A kiedy przyjdzie?

— Wcale nie przyjdzie. Wyprowadził się.

— Całkiem? — zmartwił się chłopak.

Gurgenidze zaczął tracić cierpliwość.

— Skoro ci mówię, że się wyprowadził, to wyprowadził! I wędruj, skądeś przyszedł.

Micha nie ruszał się z miejsca.

— A... dokąd się wyprowadził?

— Za bardzoś ciekawy, biczo. Nie twoja rzecz, dokąd.

— Moja — bąknął chłopiec.

Długie jego rzęsy drżały na opalonych policzkach.

Gurgenidze przyjrzał mu się z bliska.

— A na co ci Soso? — spytał miękko.

Micha odwrócił się i wydłubując jakąś drzazgę z framugi, wydusił nie podnosząc oczu:

— Bo on... bo Soso powiedział, że będziemy się uczyć zwyciężać... i zwyciężymy, a teraz...

Gurgenidze podszedł do niego, położył swoją ciężką rękę na wątłym ramieniu chłopca.

— Skoro ci Soso tak powiedział, to możesz mu wierzyć, biczo!

Micha podniósł wzrok i zdziwił się, bo jakby inny człowiek stał przed nim.

Szare oczy spod krzaczastych brwi świeciły dobrocią.

— Bo widzisz... chłopcze, Soso to taki człowiek! Jak powie, to na pewno tak będzie, rozumiesz? Skoro ci powiedział, że nauczymy się zwyciężać i zwyciężymy — to bądź spokojny — murowane!

Micha stał markotny.

— A gdzie ja go teraz znajdę? — spytał cicho.

Gurgenidze objął go ramieniem.

— Znajdziesz go, chłopcze, nie bój się! Dla takich, jak ja i ty, droga do zwycięstwa jest jedna. Rozumiesz? I na tej drodze zawsze znajdziesz Soso. Bądź pewien!

Helena Bobińska

OBYWATELE

„Warszawa — miasto, w którym spostrzegasz, o ile człowiek jest większy od wszystkich swoich klęsk..."

Pablo Neruda

ROZDZIAŁ PIERWSZY

1

Z daleka widać już było zapalające się światła śródmieścia; piętnaście minut jazdy tramwajem. Mężczyzna w płóciennym paletku przystanął w pobliżu bramy w ogrodzeniu, otaczającym rozległy teren. O parę kroków stała grupka przechodniów. Na placu budowy lampy oświetlały z wysoka płytką rozpadlinę: wykop pod fundamenty. W dole uwijało się kilku ludzi w kombinezonach. Jeden stał pośrodku, zapisując coś w notesie. Co pewien czas machał chorągiewką w stronę ciężarówek podjeżdżających pod paszczę koparki. Potem ziemia wysypywała się na platformę z głuchym, ciężkim szelestem.

— Za wcześnie chciał odjechać — powiedział mężczyzna w płóciennym płaszczu. Zza okularów w rogowej oprawie błysnęły jego oczy. Był barczysty, nieco pochylony, ale wysoki. Robotnik z notesem szedł wołając coś do szoferów. Słychać było jego cienki głos, kiedy kłócił się z kierowcą. — To dziewczyna — roześmiał się ktoś wśród patrzących. Ciężarówka cofnęła się na nierównym dnie wykopu. Robotnik w kombinezonie wracał na swoje stanowisko. Przystanął w pewnej chwili i przytrzymując notes między kolanami, poprawił jasne, skręcone włosy wymykające się spod beretu.

W bramie wjazdowej ukazał się przysadzisty człowiek w kapeluszu zsuniętym na tył głowy. Zapalił papierosa i przystanął poza kręgiem światła. Mężczyzna w okularach przyjrzał mu się uważnie, marszcząc brwi ponad rogową oprawką. Tamten stał zamyślony, z rękoma założonymi w tył. Od czasu do czasu przytykał do ust zwiniętą dłoń, w której się żarzył ukryty ogieniek. Przechodzień w okularach przysunął się nieco ku niemu. Spotkał badawczy, pochmurny wzrok spod gęstych brwi. — Nie sz-szanują mnie! — zawołał przechodzący pijak, który nagle wynurzył się z ciemności. — I jak tu żyć? — Nie wiadomo skąd

wyrósł milicjant. — Co jest? — odezwał się młodziutkim głosem. — Zaprowadzić pana na noc? Wie pan, gdzie! — Człowiek w kapeluszu cisnął niedopalony ogarek i przydeptał go nogą. Przeszedł na drugą stronę jezdni. W bocznej ulicy, tuż przy narożniku stała „Pobieda". Rozległ się odgłos zamykanych drzwiczek; samochód zmienił bieg i ruszył w stronę śródmieścia.

Z placu budowy wyszła szurgocząc butami grupa robotników i skierowała się ku pętli tramwajowej. Z głębi nadciągali inni. Wokół parterowego baraku z napisem „Zarząd Budowlany" stała jeszcze garść ludzi. Niektórzy siedzieli na deskach, porozrzucanych stosami. Dwóch młodych robotników, w kombinezonach spryskanych wapnem, wyprowadzało rowery na ulicę. Jakiś przechodzień dźwigający walizkę zagrodził im drogę.

— Tu taki nie pracuje — odpowiedział jeden z rowerzystów. Przechodzień odstawił walizkę na chodnik. Była owiązana sznurem. Wyjął kartkę i wymienił jakieś nazwisko: — Telefonowałem tam, gdzie przedtem pracował. Powiedzieli, że znajdę go tutaj, w dyrekcji. Jestem przyjezdny. — W dyrekcji? — zaśmiał się rowerzysta — takiego tam nie ma. — Mężczyzna w okularach, który już odchodził w stronę pętli, zatrzymał się o kilka kroków od nich. Przechodzień z walizką był młody. Jego czarne, niespokojne oczy myszkowały po budowie. Niewysoki, szczupły, o wąskiej chłopięcej twarzy. Zdjął czapkę i wytarł czoło z potu. Ciemna czupryna wyrastała mu nisko znad brwi. — Nazywa się Kuźnar — powtórzył ze zmęczeniem.

— Zdaje się — powiedział mężczyzna w okularach — że on tu był przed chwilą. Odjechał autem. — Odjechał! — zawołała dziewczyna w kombinezonie, która wyszła z budowy z grupką robotników. — Będzie jutro od samego rana! — Przez chwilę słychać było ich głosy i stukanie butów po chodniku.

— Może pomóc? — rzekł mężczyzna w okularach, widząc, ze chłopak z trudem podźwignął z ziemi walizkę. — Dziękuję, nie trzeba — mruknął. Zerknął na grube szkła, zwrócone ku niemu z życzliwym połyskiem. — Morawiecki — przedstawił się mężczyzna w okularach. — Paweł Czyż... — kiwnął głową tamten. Schwycili jednocześnie rączkę walizki i unieśli ją z chodnika. Po chwili zanurzyli się w ciemności, idąc w kierunku pętli, skąd dolatywał zgrzyt i dzwonienie tramwajów.

O tej porze na tutejszych ulicach zapadała prawie cmentarna cisza, przerywana rzadkimi krokami przechodniów. Budowa osiedla „Nowa

Praga III" narzuciła dzielnicy swój harmonogram. Regulowała jej życie w myśl własnych potrzeb i praw. Był to centralny ośrodek ruchu, światła i głosu w tutejszej przestrzeni. W przestrzeni, której wojna omalże nie zrównała z ziemią. Nie ominęło jej oblężenie miasta we wrześniu 1939; ani pożoga powstańczego lata w 1944. Nic jej nie ominęło. Należała do utrapionych okolic Warszawy. Do okolic, od których samo miasto odsunęło się jakby ze wstydem. Mimo to solidarnie dzieliła jego losy, Teraz był październik. Październik 1951. Jak gdyby w nagrodę za milczącą wierność — śródmieście rzuciło tu jedną ze swych ekspedycyj odbudowy. Był to zaiste wielkoduszny gest — owa manna cegieł, która spłynęła pewnego dnia na opustoszałe karczowisko. Wyrosły wieże dźwigów szachtowych, baraki, szopy, magazyny... Od dni, gdy hitlerowskie bombowce rozpracowywały tę część miasta, nie znano tu równie hałaśliwych odgłosów. Budowę obliczano na szereg lat, kubaturę na miliony metrów. Na razie jednak dzielnica prowadziła jakby podwójne życie — za dnia zwrócona w przyszłość, nocą znowu oddana swojej złej przeszłości. Dzielnice i ludzie — są to obiekty, wymagające cementu, rusztowań i dźwigni.

2

Znalazłszy się w śródmieściu Morawiecki poczuł jakąś nieokreśloną ulgę. Był przecież dwukrotnie u jego drzwi, za każdym razem dzwonił i stukał bez skutku, więc jasne, że nie było go w domu, licho wie, gdzie się wałęsał. „Nic się już chyba dzisiaj nie stanie" pomyślał odruchowo i w tej samej chwili uświadomił sobie, że tego dnia od rana miał niejasne przeczucie czekających go przykrości. Opadło go po raz pierwszy przy goleniu i żeby je odpędzić zastosował wypróbowany zabieg: przepowiedział sobie w myśli wykład, który miał przygotowany na ten dzień dla XI klasy. W rezultacie Krystyna zastała go w łazience potrząsającego namydlonym pędzlem, gdy mruczał do siebie siedząc na skraju wanny: „Przyczyny tego zjawiska, moi złoci, wcale nie były takie proste..." — Spóźnisz się do szkoły — powiedziała kręcąc głową z politowaniem. Stała z rozczesanymi włosami i Morawiecki zauważył siwe pasma, których znowu przybyło. „Ona siwieje — pomyślał ze wzruszeniem — a ja gadam do siebie. Starzejemy się. Nie do wiary, żeśmy tego nie wzięli pod uwagę". Odwrócił się od niej i puścił strumień wody do wanny, żeby zagłuszyć znów powracający niepokój. „Rzeczywiście, spóźnię się do szkoły, ona ma rację" — pomyślał z przestrachem. Bał się tego codziennie od trzydziestu pięciu lat, wyjąwszy okres

uniwersytecki, gdy leżenie z pustym żołądkiem do obiadu (za 70 groszy) było aktem świadomej woli.

Nowy Świat ze swymi kamieniczkami wychuchanymi z przeszłości, z miedzianymi dachami, z asfaltem, na którym drgały mleczne światła lamp, jak oliwa rozlana w kanale — zachwycał jego duszę historyka. Stał teraz pod drzewem koło Domu Partii, patrząc z zadowoleniem na samochody wjeżdżające w tę panoramę księstwa i królestwa, wstawioną w centrum miasta po stu latach. Ale nie chciał za bardzo oddalać się od domu, ruszył więc na lewo, w stronę Marszałkowskiej, i przypomniał sobie Pawła Czyża z walizką przewiązaną szpagatem. Morawiecki zanotował w pamięci, żeby nazajutrz zapytać Antka Kuźnara, czy mały Czyż trafił do nich w końcu i co to w ogóle za chłopak. Jego wygląd i sposób zachowania świadczyły o czymś, ale diabli wiedzą o czym. Gdyby był w jego klasie, Morawiecki miałby z nim kłopoty, to pewne — ale jakie? Zapamiętał tę ruchliwą, zmienną twarz i namiętne światełko we wzroku, które musiał dawać jakiś łatwopalny materiał. Ten chłopak będzie miał przygody, to twarz poszukiwacza życia, twarz z dawnych gościńców, którymi chłopcy o płonących oczach wędrowali do miast. „No, no — zreflektował się Morawiecki — nie fantazjuj, stary koniu".

Zatrzymał się przed wystawą księgarni i z przyzwyczajenia przebiegł wzrokiem tytuły. „Młodość świata" przeczytał na jednej z okładek. Przypomniały mu się srebrne pasemka we włosach Krystyny i spojrzał na zegarek. Miał jeszcze trochę czasu; powiedziała, że wróci później, jakieś sprawy, czy zakupy, nie pamiętał dokładnie. Tę stronę ich życia trzymała mocno w rękach, zdał się w tym na nią ze swoim roztargnieniem krótkowidza, który z trudem rozróżnia cyfry na banknotach. Siwe pasma w jej włosach — musiała o nich wiedzieć, co myślała czesząc się wczoraj, onegdaj i dziś przed lustrem? Tak, to było jedyne, czego nie ustalili między sobą, przyszło niepostrzeżenie przez jakieś szpary w ciasno zbitych dniach, nie liczyli się z tym. „I nawet nie zdążyliśmy tak wiele przeżyć — uprzytomnił sobie z troską — zawsze zdawało się, że to początek i wszystko jest przed nami". Uśmiechnął się na myśl, że jako kilkunastoletni chłopak nie lubił powieści, których bohater ma ponad czterdziestkę, nie warto było czytać historii o starych ludziach. „Mam czterdzieści trzy lata — pomyślał ze zdziwieniem — a ona czterdzieści dwa. Nie moglibyśmy już być bohaterami ciekawej powieści, to zabawne. A przecież ciągle czuję się rówieśnikiem epoki, ciągle mi się wydaje, że to o mnie w niej chodzi, że ludzie w moim wieku są miarą teraźniejszości".

CDT wznosił się na rogu Brackiej i wywoływał w Morawieckim jednocześnie niepokój i fascynację, jak niektóre książki fantastyczne, zbudowane z nierzeczywistych elementów. Gmach przypominał mu chwilami planetarium założone tu, aby miasto, gdy zechce, mogło komunikować się z księżycem; biurowiec wyglądał jak hotel dla astronomów, którzy pewnego dnia wystartują z dachu w jakimś pocisku międzyplanetarnym. Morawiecki patrzył z zainteresowaniem na tę dziwną konstrukcję, wypełnioną sino-fioletową substancją, w której świetle sprzedawano seryjne towary. Czuł przy tym nieokreśloną sympatię dla architekta-projektodawcy za szczególny rodzaj wyobraźni, podrażniający myśli do światopoglądowej dyskusji. „My — przebiegło mu przez głowę — my z pokolenia szklanych domów..."

„Skąd mi się dziś biorą te skojarzenia? — skontrolował się nagle zgodnie z dawnym nawykiem. No, oczywiście: dzisiejsza awantura w XI A..." Oburzające — mruknął z irytacją do przechodzącej kobiety, która obejrzała się zdumiona.

Z Alei Jerozolimskich skręcił na lewo w Marszałkowską i po kilku minutach zszedł na jezdnię, posuwając się teraz w sznurze przechodniów wzdłuż szyn tramwajowych, przecinających ziemne łożysko, z którego obu stron wyrastały potężne kondygnacje bloków i klatki rusztowań, czerwieniły się sześcienne stosy zwiezionych cegieł, strzelały wieże wind, stalowe szyje żurawi... Morawiecki poczuł się tutaj jak cywil zabłąkany na polu bitwy i zwolnił kroku, powściągnięty sprawiedliwym szacunkiem dla zjawiska dokonującego się tu bez jego pomocy, siłami, których nie tworzył. Wysoko, gdzieś w powietrzu uwieszone światła dawały znaki rozpoznawcze jakimś ludziom, pracującym jeszcze o tej porze na niewidzialnych z dołu pokładach budowy. Ów wielki zamęt tworzenia miał w sobie majestat rzeczy powstającej i rodzącego się ładu, wspanialszy niż spokojny majestat przyrody.

3

Krystyna była już w domu. Wszedł w płaszczu i kapeluszu do kuchni, gwiżdżąc ich hasło: kilka taktów z „Bolera" Ravela. — Jestem — odezwała się Krystyna. — Czemu tak późno? — Siedziała przy nakrytym stole nad książką. Morawiecki znowu zagwizdał „Bolero" i sięgnął po książkę. Była nierozcięta — tom z serii klasyków. Obracał ją przez chwilę w rękach i odłożył. — Dziwny zapach — mruknął — czy nie czujesz? — Zdawało mu się, że w mieszkaniu pachnie ziołami lub żywicą. Usiadł przy stole i zaczął rozcinać nożem stronice książki. —

— Jerzy — powiedziała cierpliwie — zdejm płaszcz i kapelusz. — Rzeczywiście siedział w kapeluszu i jesionce. — Przepraszam — mruknął pokornie. Wrócił po sekundzie; przez ten czas podała herbatę. Kątem oka zauważył pusty talerzyk. Podniósł głowę i przyjrzał jej się.

— Nie jesz nic dzisiaj? — spytał.

Zwykle nie odpowiadała na takie pytania. Oczywiście, to była jej niezależność. Uśmiechnął się:

— Co porabiałaś? — i nie czekając na odpowiedź wspomniał o telefonie dyrektora Szneja. Dzwonił około czwartej i radził się, jak postąpić. Działyniec uraził chłopców, tym razem podobno zbyt drastycznie, by mogło się obejść bez poważnych następstw.

— Wyszedłem ze szkoły po 3-ej lekcji. Wstąpiłem do biblioteki, potem zjadłem obiad. Pamiętasz, we wtorki Działyniec wykłada w XI klasie przez ostatnią godzinę. Przed wyjściem rozmawiałem z Antkiem Kuźnarem, ZMP organizuje odczyt o planie 6-letnim. Nic nie zapowiadało awantury. Po obiedzie siedzę przy biurku i poprawiam referat Weissa. Niezły, ale niedbały stylistycznie. Dzwoni dyrektor... Wiedziałem, że coś się dzisiaj stanie, miałem od rana przeczucie.

Zabębnił palcami po stole, znów gwiżdżąc pod nosem „Bolero". Co to jest: żywica? kamfora? naftalina? Czy ona słuchała? O czym myślała, czytając nierozciętą książkę? Nie mógł spotkać jej wzroku. Zaplotła ręce swoim zwykłym ruchem i nie wiadomo, co o tym myśli. Teraz lepiej wygląda, niż z rana w łazience; dobrze jej z gładko upiętymi włosami. Lubił jej mocno zarysowane usta, prawie męskie, i szare oczy — oddalone od siebie — pod łagodnymi, ciemnymi łukami brwi. Kiedy ją poznał, była podobna do chłopca. Teraz jest nawet bardziej kobieca. Ale czy to możliwe? Nie, chyba się mylił... czy możliwe, że uróżowała sobie policzki? Wzruszył ramionami: nowe przywidzenie...

— Widziałeś się z Działyńcem? — spytała obserwując nóż, którym rozcinał kartki.

— Pojechałem do niego natychmiast. Ale ta małpa wyszła z domu. Czekałem z pół godziny, potem znów wlazłem na trzecie piętro, nie było go. Wiesz, jaki to kawał drogi. Budują tam osiedle, patrzyłem jak kopią. Mechaniczna koparka. Interesujące.

Śledził jej ruchy, gdy zbierała ze stołu naczynia; zawsze podziwiał urok tych gestów, były oszczędne, celowe, prawie niedostrzegalne. Widział jej plecy, czarny sweter, ładną pochyłość ramion, włosy związane z tyłu. Trzymała się zadziwiająco prosto, nigdy nie widział jej zgarbio-

nej. Gdy tak stała przy kuchni, odwrócona do niego tyłem, można ją było wziąć za młodą dziewczynę.

— A może dyrektor przesadził? — powiedziała nie odwracając głowy.

— Nie znam szczegółów — odparł — chodziło podobno o „Przedwiośnie".

Zaczęła myć naczynia. Morawiecki zapalił papierosa. Trochę irytowało go, że nie poświęca mu należytej uwagi. Powinna usiąść przy stole, to są ważne rzeczy, naczynia można zmyć później.

— Działyniec jest w złym stanie — rzekł wypuszczając kłąb dymu — zanosiło się na to od dawna.

— Na co się zanosiło? — spytała.

— Na to, co się stało. Na skandal. Chłopcy są czujni w tych sprawach. Zresztą od dawna mają żal do Działyńca. Właściwie nie powinno mnie to obchodzić. Ale to nie jest takie łatwe. Kilka godzin włóczyłem się po mieście.

Przyjrzał jej się, uniósłszy nieco brwi.

— Nie mogę mu pomóc... Siedzi w nim coś obcego w środku, rozumiesz? A on tego nie widzi. Pożera go od wnętrza jak rak...

Przerwał w pół zdania. Podniósł się, żeby jej pomóc. — Nie, proszę cię, zostaw... — szepnęła. Uklękła, by zebrać z posadzki skorupy filiżanki, która wypadła jej z ręki. Stał nad nią pocierając szkła o rękaw marynarki. — Na Nowym Świecie widziałem wczoraj na wystawie taką samą — mruknął. — Jutro tam zajdę i kupię.

Zaczął spacerować po kuchni. Potem przystanął. To chyba jednak nie była naftalina... Czy sprzedadzą tę filiżankę? Może należała do serwisu, będą robić trudności?

— Powinieneś zobaczyć się z Działyńcem. Czy jutro będzie w szkole?

— Ma zdaje się lekcję w X A. Drugą czy trzecią.

„Taka filiżanka — obliczał — to chyba najwyżej parę złotych. Będzie jej przyjemnie, że o tym pamiętam".

— Byliście jednak przyjaciółmi, Jerzy. Postaraj się go przekonać. — Mówiła to swoim zwykłym głosem. Pewnie przywidziało mu się, że drżały jej ręce, kiedy zbierała skorupy.

— To on się powinien postarać — wzruszył ramionami. — Uważa, że ja nie mogę inaczej myśleć niż on. Każdemu innemu uwierzy, a mnie nie, ja kłamię. Przyjaźń według niego to jest nie tylko solidar-

ność — to jest całkowite wspólnictwo. Ja muszę być taki sam jak on, rozumiesz — ja j e s t e m taki sam: a jeżeli nie — to znaczy, że kłamię.

— Nigdy ci tego nie powiedział.

— Nigdy mi tego nie powiedział, bo sam już nie zna swoich uczuć. Po prostu czuje ból. Żeby odczuwać ból, nie trzeba być lekarzem.

„Czy mówię rzeczy niesłuszne? — kontrolował swoje zdania — nie, chyba raczej oczywiste. Więc dlaczego ona na mnie patrzy takim wzrokiem, jakbym własnoręcznie przybijał Działyńca do krzyża? I to właśnie ona — przecież nigdy go nie lubiła".

— Może ci być jeszcze potrzebna czyjaś przyjaźń, Jerzy.

— Jeśli chodzi o mnie, wystarczy mi twoja przyjaźń.

Wytarła ręce i znowu usiadła przy stole. Uśmiechnął się do niej, ale odwróciła oczy. Tak samo odwróciła oczy dawno temu, kiedy jej się oświadczał. Szkliste, przerażone ze wzruszenia, dziewczęce spojrzenie spod rzęs. „Doprawdy — pomyślał Morawiecki — wystarczy mi twoja przyjaźń..."

— To inna sprawa — powiedziała Krystyna. — W związku ze mną nie będziesz musiał o niczym decydować. W sprawie Działyńca musisz jakoś postąpić, tak albo inaczej.

— Inaczej — mruknął Morawiecki. — Zresztą — powtórzył, rozkładając ręce — nie znam szczegółów. Jutro się dowiem w szkole. A po lekcjach spróbuję porozmawiać z chłopcami.

Spostrzegł ze zdziwieniem, że wzięła papierosa z paczki, którą zostawił na stole. — Hm... — chrząknął zaintrygowany. Paliła bardzo rzadko.

— Czy naprawdę potrzebujesz mojej przyjaźni, Jerzy?

Skierował na nią swe szkła i milczał. Nigdy nie zadawała takich pytań.

— Czy naprawdę potrzebujesz chleba i wody? — odparł po chwili biorąc ją za rękę. „Nie powinniśmy o tym mówić..." przebiegło mu przez głowę „o takich rzeczach mówi się na scenie, nie unikniemy teatru..." Cofnął rękę i w tej samej chwili zaniepokoił się, że mogło jej to zrobić przykrość. Wziął nóż i zaczął rozcinać kartki.

— Bez chleba i wody człowiek nie może się obejść — powiedziała— ale chyba tylko bez chleba i wody.

— Więc jesteś moim chlebem i wodą.

Nie mógł spotkać jej spojrzenia i właściwie był jej za to wdzięczny.

— Co robiłaś po biurze? — spytał ostrożnie.

— Ja nie jestem ci tak potrzebna, jak myślisz, Jerzy. Lubisz się przyzwyczajać do ludzi, do mebli... Ależ tak, na pewno. Biedaku, przecież tymi oczami dostrzegasz tylko to, co masz najbliżej, pod ręką. Po prostu, byłam pod ręką, bardzo blisko.

— Byłaś? — szepnął Morawiecki. Zrozumiał nagle, że ta rozmowa stawała się nowym, nieznanym jeszcze wydarzeniem w ich życiu i że było za późno, aby je odwrócić.

— Co się stało, Krystyno? — spytał półgłosem.

— Uważaj — powiedziała — wypalisz sobie dziurę w rękawie. — Przyglądał się jej dłoni, gdy strzepywała mu rozżarzony węgielek tytoniu z rękawa.

— Nie będzie śladu — mruknął.

Odczekał chwilę. We wszystkim, co mówiła kryło się coś niejasnego, jak zapach, który go prześladował. To nie była prawda o ich małżeństwie. Prawda o ich małżeństwie nie polegała na faktach. Byli jak dwoje ludzi, którzy od lat gaszą pragnienie wodą ze wspólnej studni. Nie czuli jej smaku — smakiem wody jest chłód i przejrzystość, lub chwila, gdy jej zabraknie. Nigdy nie potrafiliby sobie wyobrazić, że może jej zabraknąć. Pili ją co dzień, bez wielkiego pragnienia, ale to wystarczało, by nie odczuwali większych pragnień.

Zdjął okulary i przetarł je chustką. Miał jeszcze do poprawienia referat Weissa o przyczynach gospodarczych rewolucji francuskiej. Ten chłopak za łatwo myśli i wskutek tego posługuje się słowami, zamiast ich szukać. Przeciwieństwo Antka Kuźnara.

— W tamtych okolicach — powiedział — kiedy czekałem na Działyńca, natknąłem się przypadkiem na starego Kuźnara. No, nie jest jeszcze taki stary. Pracuje na budowie osiedla. Mam dobrą pamięć: raz go tylko gdzieś widziałem, i to dosyć dawno. Wygląda jakoś mrukowato.

Zamyślił się na wspomnienie rozmowy z Pawłem Czyżem, jego walizki i zapalczywych oczu. Chyba już o tej porze trafił do Kuźnarów. Od jutra rozpocznie zapewne nowe życie.

Wstał i rozprostował kości. Przeszedł się dużymi krokami po kuchni, obmyślając sobie jutrzejszą rozmowę z chłopcami. Krystyna siedziała przy stole, wpatrzona w jeden punkt, z głową opartą na ręce; lata nie zmieniają rysów, dodają tylko nowych, wypełniają puste płaszczyzny młodości siecią nowych dróg. Człowiek starzeje się jak ziemia, której pola i łąki czas przecina liniami koniecznych połączeń. Miała tę samą twarz o dużych ustach i wydatnych kościach policzkowych, i nieco skośnych, szeroko osadzonych oczach. W pierwszych latach po ślubie nazy-

wał ją „kałmucką Dianą". I jeśli potem przybywało tej twarzy zmarszczek, nie potrafił tego zauważyć, gdyż nie rozstawali się nigdy na dłużej niż parę dni, a i jemu czas dorzucił tyleż samo i równie niepostrzeżenie; swymi zmienionymi oczami oglądali co dzień swoje zmienione twarze, nie odkrywając w nich zmian.

„Ten las jest rozległy, należy do pana; ta ziemia jest bogata, należy do mieszczanina; oto ziemia biedna, należy ona do mnie i kocham ją: lecz gdy się już mocno natrudziłem, podatek zabiera mi moje najlepsze plony". Ładnie ze strony Józia Weissa, że przytoczył to w swoim referacie. Morawiecki uśmiechnął się z zadowoleniem. Były to słowa wyjęte z chłopskiej skargi, nadesłanej na Stany Generalne. Parę tygodni temu cytował je podczas wykładu w XI klasie. „Oczywiście, znowu mi powiedzą, że nie trzymam się ściśle programu".

Miał w głowie parę uwag i poprawek, które powinien przekazać Weissowi, albo... Tak, to byłby niezły pomysł — namówić Stefana Święckiego na koreferat. Jeżeli te siedemdziesiąt kilo erudycji zgodzi się i będzie miało czas.

Zatarł ręce i przeszedł z kuchni do pokoju. Na biurku paliła się lampka. Usiadł, otworzył notes i sięgnął po pióro. Zastanowił się nad pierwszym punktem, gdy ogarnęło go niemiłe uczucie, że w pokoju nie wszystko jest na swoim miejscu. Uniósł głowę, by obrzucić spojrzeniem meble, ale nie znalazł nic szczególnego; możliwe, że pokój był nieprzewietrzony. W mieszkaniu o piętro wyżej prowadzono głośną rozmowę, potem zaszumiała woda w rurach. Wzrok Morawieckiego spoczywał na szklanej popielniczce. Odłożył pióro i pochylił się nad nią. Wziął ją do ręki, przysunął bliżej: na jej dnie leżała pusta, obtłuczona ampułka i kawałek zużytej waty. Morawiecki przyglądał im się długą chwilę; na górze ktoś włączył radio, rozległ się sygnał czasu.

Gdy wrócił do kuchni i usiadł koło Krystyny, poczuł przez sekundę lęk przed własnym głosem, którym miał zadać pytanie. Oparł ręce na kolanach i ostrożnie zebrał myśli.

— Nie powiedziałaś mi jednak, coś robiła po biurze — rzekł cicho.

— Miałam do załatwienia kilka spraw. Nic interesującego.

— Z kim się widziałaś?

— Z nikim właściwie. Nie miewam ciekawych spotkań z ludźmi, to twoja specjalność, Jerzy.

— Nie lubisz mnie dzisiaj — spróbował się uśmiechnąć.

Położyła dłoń na jego ręce.

— Nie mów głupstw, profesorze. Wróć do swojej roboty.

Przez ułamek sekundy odniósł jednak wrażenie, jak gdyby czekała, aż on pierwszy zacznie o tym mówić.

— W popielniczce znalazłem ampułkę po zastrzyku — usłyszał nagle swój głos.

Wzruszyła ramionami.

— Przepraszam cię. Zapomniałam ją opróżnić.

— Nie o to chodzi — powiedział. — Robiłaś sobie zastrzyk?

— W szpitalu, w czasie powstania, robiłam więcej niż dwadzieścia na dzień. Mam wprawę.

Morawiecki zacisnął szczęki i przełknął ślinę.

— Po co robiłaś ten zastrzyk? — spytał.

— Od jakiegoś czasu źle się czuję. Nic szczególnego, przejściowe wyczerpanie.

— Byłaś u lekarza?

— Byłam. U Steina.

— U Marcelego? — szepnął Morawiecki.

— Wolałam pójść do Steina, bo wiedziałam, że nie przyjmie ode mnie pieniędzy. Do pierwszego zostało nam niecałe sto złotych. A żony przyjaciół leczy się za darmo.

Uśmiechnęła się, ale spostrzegł, że jej górna warga nie potrafiła się uśmiechnąć.

— Co ci powiedział Marceli?

— Badał mnie blisko godzinę. Jeśli zajdzie potrzeba, skieruje mnie na klinikę.

— Na klinikę? — powtórzył Morawiecki.

— Jerzy — powiedziała spokojnie — zdaje się, że nic ze mnie nie będzie.

Morawiecki poczuł jakąś przykrą suchość rąk.

— Co za głupstwa — szepnął — co za głupstwa...

— Stein wspomniał o raku żołądka.

„Nie! — pomyślał Morawiecki — Nie! On tego nie mógł powiedzieć!"

Podniosła się zza stołu. Nalała wody do szklanki i wypiła drobnymi łykami.

— Martwię się o ciebie, czy dasz sobie radę.

Morawiecki poszukał jej spojrzenia.

— To jest omyłka lekarska — powiedział ze ściśniętym gardłem. — Tak. Omyłka lekarska.

Jej ręka drżała tak mocno, że odwrócił wzrok.

— Sam mi opowiadał o takich wypadkach — dodał czując jak blednie.

— Bądźmy dorosłymi ludźmi, Jerzy.

— Czy być dorosłym, to znaczy wierzyć w najgorsze? — krzyknął prawie.

— Nie. Tylko umieć znieść najgorsze. Pomyśl o tym spokojnie.

Stała oparta o biały kredens kuchenny, przebierając w palcach bursztynowy naszyjnik; kamienie wydawały cichy, dźwięczny odgłos. „Niemożliwe — pomyślał — życie nie może się skończyć w takim momencie". Przypomniał sobie jakiś dzień z chłopięcych lat, już wtedy chyba musiał przeżyć podobne uczucie.

— Omyłki lekarskie zdarzają się częściej, niż myślisz — odezwał się, z trudem rozlepiając wargi.

Nic nie odpowiedziała, słychać było tylko dźwięk bursztynów i czyjeś kroki nad sufitem. Morawiecki bał się, że tym razem przyszła zbyt ciężka próba i że jej nie podoła. Jedna z tych zbyt ciężkich prób, którymi nie należy oceniać człowieka: jeśli nie wytrzyma zbyt wielkiego bólu, świadczy to tylko o tym, że nie wytrzymał zbyt wielkiego bólu, o niczym więcej.

— Zadzwonię do Marcelego — rzekł wstając z krzesła.

— Nie teraz, proszę cię. Przypuszczam, że sam do ciebie zatelefonuje jutro do szkoły.

W pokoju zadzwonił telefon. Morawiecki uczynił kilka kroków w stronę drzwi i poczuł lęk przed podniesieniem słuchawki. Nie chciał tracić ostatniej nadziei. Telefon mógł być od Steina. Wszedł do pokoju, łudząc się, że aparat umilknie. W chwili gdy położył rękę na słuchawce, rozległ się trzeci sygnał.

— Słucham.

W aparacie zabrzmiał niepewny głos Antka Kuźnara.

— Panie profesorze?...

— Słucham — powtórzył Morawiecki, przemagając zmęczenie.

— Przepraszam, że tak późno. Jestem u Stefana Święckiego. Czy pan już wie, co się stało?

Morawiecki skinął głową; nie czuł się na siłach wydać głosu.

— Hallo! — zaniepokoił się Kuźnar — panie profesorze?

— Tak, słucham — powiedział Morawiecki.

— To właściwie nie jest sprawa na telefon. Chcemy z panem jutro porozmawiać po lekcjach. Zrobione?

Morawiecki nie odpowiadał.

— Hallo! — powtórzył Antek.

— Nie wiem, czy jutro będę w szkole — rzekł Morawiecki, osłaniając ręką usta.

— Jakto? — usłyszał — przecież pan ma u nas wykład, jutro środa.

— Dobrze... — szepnął Morawiecki.

W telefonie nastąpiło podejrzliwe milczenie, po czym zaszeptano; to Kuźniar zapewne porozumiewał się ze Święckim.

— Hallo, panie profesorze — zawołał po chwili — więc załatwione? Jutro po lekcjach?

— Załatwione... Dobranoc, tak, dobranoc... — mówił Morawiecki odkładając słuchawkę.

Wrócił do kuchni i przystanął obok Krystyny. „Czy to aby nie za wiele?" pomyślał. Otarł chustką czoło i szyję. Zdawało mu się, że wskutek jakiejś omyłki czy nieporozumienia zakładano nań uprząż, w której będzie musiał pociągnąć nadchodzące dni. „Zmęczony koń" pomyślał. I uśmiechnął się do Krystyny.

— Biedaku — powiedziała — mój wielki biedaku.

ROZDZIAŁ DRUGI

1

Paweł Czyż wysiadł z tramwaju na Placu Dzierżyńskiego. Przystanął z walizką o kilkanaście kroków od pomnika i mimo że było już późno, przyglądał się sporą chwilę kamiennej postaci na cokole. Dzierżyński wydał mu się podobny do hetmana, bodaj czy nie do Czarnieckiego; wolałby go tu ujrzeć w skromnym mundurze CzeKa, lub z mauzerem w ręku; albo w słynnej scenie likwidacji buntu eserów, gdy Dzierżyński zjawił się bezbronny wśród uzbrojonych spiskowców.

Paweł usiłował dojrzeć jego twarz, ale była ukryta w mroku ciemniejącego nieba; rozsiane na placu światła kandelabrów ukazywały tylko wyniosły zarys posągu. Dzierżyński wydał się Pawłowi samotny w ogromnej, pustawej przestrzeni, wśród bielejących gmachów i wysmukłych latarni. „Postawili cię tutaj" pomyślał marszcząc brwi, „a przecież powinieneś być na dole, z nami, przydałbyś się". „Uczyłbyś" poprawił się po chwili, gdyż przyszło mu na myśl, że „przydać się", to było trochę za mało i za poufale.

Raz jeszcze rzucił okiem na posąg i ruszył naprzód, taszcząc swoją walizkę. Elektoralna powinna być gdzieś niedaleko; Pawła ogarnęła na-

gle złość, że od paru godzin włóczy się po mieście i każdy przechodzień rozpoznaje w nim prowincjusza zabłąkanego w stolicy. Ale zaraz potem uśmiechnął się z przekorą: no, proszę, ale jednak jest już w tej Stolicy! Paweł zaśmiał się w myśli na wspomnienie P., mieszkania na Brukowej, codziennych kłótni z siostrą i ze szwagrem...

Nasunął daszek czapki głębiej na oczy i minął dwie kamienice; na mlecznej latarence z numerem odczytał napis: Elektoralna.

Kuźnar mieszkał o kilka domów dalej. Znalazłszy się tak blisko celu, Paweł odczuł raptowny niepokój: czy rzeczywiście znajdzie się tam dla niego miejsce? Na jego list Kuźnar odpisał dość zwięźle: „Przyjeżdżaj, spodoba ci się — to zostaniesz, kłopotu nam nie sprawisz".

Brata stryjecznego swej matki Paweł widział zaledwie kilka razy. Michał Kuźnar był raczej urodzajnym tematem rodzinnych opowiadań, niż rzeczywistym, namacalnym wujem. Pracował od lat i mieszkał w Warszawie, rzadko zaglądał do P. Możliwe, że szacunek, którym cieszył się w rodzinie Czyżów był spowodowany odległością. Jaki się okaże przy bliższym spotkaniu? Michał Kuźnar, wuj Michał. Paweł pamiętał jego gęste brwi i dudniący głos, którym klął na piłsudczyków. Było to krótko przed wybuchem wojny, Paweł miał wtedy siedem czy osiem lat; patrzył z kąta na krępego człowieka, z dużą, okrągłą głową, który wołał do jego ojca: „Chłopie miłosierny!" Następnym razem zobaczył go w sześć lat później. Wkrótce po Wyzwoleniu Kuźnar przyjechał do P. Posiedział z godzinę, przyglądając się fotografii ślubnej rodziców Pawła, mówił niewiele i bębnił krótkimi palcami po stole. Po jego wyjściu Paweł usłyszał, jak szwagier powiedział do siostry, że ten Kuźnar to chyba wysoko nie zajechał. Widać, nie bardzo się ze sobą dogadali. I może dlatego Paweł poczuł doń sympatię; szwagra uważał za chama i oportunistę. Kuźnar miał małe, przenikliwe oczy pod grubymi brwiami i na ramionach dźwigał tę samą dużą głowę o niewysokim czole i młodzieńczej poszarzałej już nieco czuprynie. Nie wiadomo dlaczego przypominał Pawłowi radziecki czołg „T 34"; no i spodobał mu się. Powiedział o tym siostrze, na co szwagier wzruszył ramionami i mruknął, że takie czołgi idą dziś na szmelc. „Stary demobil" machnął ręką. „Czekaj" pomyślał Paweł ze wściekłością „on ci jeszcze pokaże co umie".

2

W niklowej ramce przy dzwonku tkwiła kartka z wypisanym na maszynie nazwiskiem: „Michał Kuźnar". Paweł odstawił walizkę i przez chwilę ogarnęło go uczucie, jakiego zazwyczaj doznaje niepewny przy-

bysz przed obcymi drzwiami. Poczuł łaskotanie w okolicy serca i przesunął językiem po wyschniętych wargach. To tutaj. Tak wyglądają drzwi, za którymi będzie co dzień się budził i zasypiał. Pomyślał nagle o siostrze i jej mężu, którego nie cierpiał, o Brukowej i mieszkaniu na czwartym piętrze, o matce w białym welonie i ojcu z czarnymi wąsami, którzy wisieli nad kanapą, zapatrzeni w przestrzeń, pogodni i spokojni, jak gdyby spoglądając na świat oczami wyrozumiałych i bezstronnych widzów, oswobodzonych raz na zawsze zarówno z cierpień jak i z pragnień. Dość długo jeszcze po ich śmierci Paweł wyobrażał sobie, że tak muszą wyglądać w niebie i takim wzrokiem na niego patrzą z odświętnej wysokości, ze świata mirtów, czerni i welonów. Oczywiście dawno już przestał wierzyć w życie pozagrobowe, ale teraz, gdy stał przed drzwiami Kuźnarów, zatęsknił nagle za tym podwójnym, nieruchomym spojrzeniem, które czuł na sobie przez dwadzieścia lat.

— Bronka! Bronka! — usłyszał dudniący bas za drzwiami — przynieś-no ręcznik!

Paweł nadstawił uszu: z mieszkania dochodził plusk wody i jakby końskie chrapanie.

— Tyle razy już ojcu mówiłam, żeby się nie mył w kuchni! — odkrzyknął ktoś cienko z dalszego pokoju.

— Bronka, ty mnie nie wychowuj. Daj ręcznik, smarkata!

Za drzwiami coś się zakotłowało, rozległ się tupot nóg. Cienki głos zabrzmiał bliżej:

— Powiem Antkowi, daję słowo, że powiem! Po to państwo dało ojcu łazienkę, żeby się mył w kuchni?

— Bronka, daj ręcznik, mówię! — wrzasnął męski głos — co ma państwo do tego, gdzie ja się myję?

— To jest brak kultury, żeby ojciec wiedział! Jak Antek wróci, zaraz mu powiem!

— Nic nie powiesz, głupia... — mruknął bas niespokojnie, po czym znowu rozległo się chrapanie.

Paweł przygryzł wargi, żeby stłumić śmiech. Plusk wody umilkł, zrobiło się cicho. Paweł nacisnął guzik dzwonka i ustawił się na wprost drzwi. Czekał chwilę, a potem zadzwonił po raz drugi.

— Bronka! Bronka! — zagrzmiał bas — Antek dzwoni! Otwieraj! - Ktoś uciekał z kuchni ciężkimi krokami, Pawła dobiegły jakieś przekupne szepty i namawiania, po czym w uchylonych drzwiach ukazała się krótko obcięta czupryna, spod której zerknęły na Pawła ciemne, zdziwione oczy.

— Pan do kogo?

— Do towarzysza Kuźnara — odpowiedział Paweł.

Dziewczyna przyjrzała mu się ciekawie. Paweł zdjął czapkę i odstawił walizkę.

— Do ojca? — spytała dziewczyna, unosząc cienkie brwi nad okrągłymi oczami.

— Jestem Paweł Czyż — wytłumaczył — przyjechałem z P. Towarzysz Kuźnar otrzymał mój list. — Miała gołe, szczupłe nogi w tenisówkach i zetempowską koszulkę bez krawata.

— Bronka! — zawołał głos zza drzwi — To Pawełek Czyż! Zaproś do pokoju, zaraz przyjdę!

Paweł poczuł w swojej dłoni drobną, twardą rękę. „Ale ma uchwyt!...“ pomyślał. Dziewczyna roześmiała się i potrząsnęła głową tak, że czarna grzywka zasłoniła jej brwi.

— Rozbierz się — powiedziała — zaraz dam herbatę.

Paweł znalazł się w pokoju, pośrodku którego stał owalny stół i krzesła, a pod ścianą wysokie, dębowe łóżko. Pokój lśnił od czystości, ale wydawał się nie zamieszkały. Posadzka odbijała światło lampy, nie osłoniętej abażurem. Nad łóżkiem wisiała fotografia kobiety z warkoczami upiętymi wokół głowy. „To jego żona — pomyślał Paweł — umarła na robotach w Reichu po powstaniu. Gdzie ja będę spał?“ Podszedł do okna, wychodziło na nieotynkowany blok, z którego nie zdjęto jeszcze rusztowań; dom nie miał podwórza, w dole bielało wapno, jak nieruchomy, świecący staw, chodniki z desek biegły wśród resztek gruzu i pustaków, stały jeszcze szopy chroniące budulec przed deszczem, dom wyrastał z placu budowy, światła paliły się w oknach naprzeciw, między szczeblami oszalowań.

— To ty jesteś Pawełek Czyż? — usłyszał Paweł za plecami. Kuźnar stał w koszuli i spodniach, zawinięte rękawy odsłaniały do łokci jego włochate ręce. „Był w lagrze?“ — zdziwił się Paweł na widok wytatuowanego numeru.

— Przepraszam, wujku — powiedział — ale w liście wujek napisał, że... Tak zrozumiałem...

Kuźnar mu nie przerywał. Stał z rękami w kieszeniach i przypatrywał mu się spod namarszczonych brwi. — „Goli wąsy...“ zauważył Paweł. Co on powie za chwilę, ten obcy mężczyzna z dużą głową wychyloną nieco naprzód; nie wiadomo czy jego małe oczy patrzą wesoło, czy złośliwie; Paweł czuł na sobie jego spojrzenie.

— Ja tutaj nie mam nikogo innego w Warszawie... — powiedział czerwieniąc się.

— Bronka! — wrzasnął nagle Kuźnar — dajesz herbaty, czy nie? — Odsunął z hałasem krzesło i usiadł przy stole. — Te, te, te... — przedrzeźnił drwiąco zerkając na Pawła — Czy ja ci nie napisałem wyraźnie, żebyś tu się przytaszczył z manatkami? Jesteś, no to jesteś. Zaraz się napijemy herbaty. Siadaj.

Paweł usiadł na krześle i otarł ukradkiem ręce o kolana. Postanowił coś powiedzieć, drażniło go, że Kuźnar wydaje się nie przywiązywać większej wagi do jego przyjazdu.

— Szukałem wuja na budowie — rzekł zgrubiając nieco głos — ale powiedzieli mi, że wuj już odjechał.

— Na budowie? — mruknął Kuźnar i skrzywił się. — Aha, na budowie. A skądżeś wiedział, że ja tam będę?

— Telefonowałem do wydziału — odparł Paweł — i poinformowali mnie...

— Aha, do wydziału transportu. — Kuźnar nachmurzył się. — Tak, ja już w transporcie nie pracuję. Dali mi inną robotę. To jest tak, rozumiesz, że jak się tylko człowiek nauczy robić jedno, no to mu zaraz mówią: tu jesteś już niepotrzebny, idź robić drugie.

— Ludzi brak — zauważył Paweł.

— Ludzi brak — stęknął Kuźnar. I znowu nań zerknął spod grubych brwi: — Toś ty widzę mądry?

Paweł poruszył uszami i wolał nic nie odpowiadać.

— Tak, ludzi brak — powtórzył Kuźnar pod nosem. — A co ty będziesz tutaj robił w Warszawie? Uczyć pewnie się chcesz?

— Mają mnie skierować do redakcji jednego z dzienników — odpowiedział Paweł — w P. pisywałem do gazet reportaże z terenu.

— Bronka! — przerwał mu Kuźnar — daj-no tej herbaty!

— Zaraz! — dobiegł cienki głos z kuchni — niech się ojciec uspokoi!

— Utrapienie... — sapnął Kuźnar. — Ona studiuje na Akademii Medycznej. Powiadam ci, zdolna sztuka. Ćwiczy się w dziecięcych chorobach. Takie, ciut, malutkie bąki chce leczyć. Bronka! Jak to się nazywa?!

— Co? — odkrzyknęła Bronka.

— Ta twoja specjalność! No, jak ona się nazywa, smarkata? Pediatria?

— Właśnie, pediatria — odpowiedział sam sobie. — Zaraz da herbaty. No, a Antek w przyszłym roku zda maturę. Żonie się zmarło, to

wiesz, żyjemy tu we troje. Dom całkiem świeży, wilgotno jeszcze trochę. Tam jest drugi pokój, mniejszy, Antek w nim sypia, to się jakoś pomieścicie.

— Dziękuję wujowi — rzekł Paweł wpijając palce w kolana. — Ja chyba zacznę niedługo zarabiać, to się odwdzięczę.

— Tak — mruknął Kuźnar, nie słuchając — do matki jesteś podobny. Oczy miała ciemne jak ty i twarz pociągłą. Na piersi nie chorujesz?

— Nie — odrzekł Paweł ze zdziwieniem.

— Bo to wasza rodzinna choroba. Twój ojciec zawsze kaszlał, a potem do szklanki pluł. Ostatnie miesiące galopem pojechał, chłopie miłosierny. A i matkę musiał zarazić, szybko po nim umarła. Cecylka zdrowa?

— Zdrowa — przytaknął Paweł — rodzi w przyszłym miesiącu. Ciasno byłoby, więc wolałem zawczasu się wynieść.

Weszła Bronka z herbatą. Paweł obserwował jej ruchy, gdy rozstawiała szklanki. Podsunęła mu masło i koszyk z pieczywem. Zaczęli jeść w milczeniu. „Z czego ja im zapłacę?" niepokoił się Paweł. Po kilkugodzinnej włóczędze był głodny, nie jadł obiadu tego dnia. „Nie jest nawet rodzonym bratem matki" myślał „tylko stryjecznym. Jakie on ma wobec mnie obowiązki? Może mu się zdaje, że ja tylko na parę dni?"

— Na przyszłe lato — odezwał się Kuźnar smarując chleb — Bronka pewno wyjedzie. To będziesz mógł zająć jej pokój koło kuchni. Zawsze mu będzie swobodniej, co, Bronka?

Paweł odłożył nóż. Czuł wypieki na policzkach i uszy go paliły. Spojrzał z ukosa na Bronkę.

— Wcześniej wyjadę — wzruszyła ramionami. — Na wiosnę. Jak tylko zdam egzaminy.

— Słyszysz? — zaśmiał się Kuźnar. — Jak tylko zda egzaminy. Utrapienie. A ona, powiadam ci, jak się uweźmie, to nie dasz rady. Ty się jej pilnuj, Paweł.

— Niech się ojciec uspokoi — powiedziała Bronka.

Kuźnar chrząknął i spojrzał porozumiewawczo na Pawła mrużąc oko.

— Ukraj-no jeszcze chleba ojcu.

Bronka ukrajała kilka kawałków i zdmuchnęła grzywkę opadłą na brwi. Paweł śledził wzrokiem ich oboje. „Czy to jest tak naprawdę?" myślał podejrzliwie. Widział, jak wygląda prawdziwe życie jego sio-

stry i szwagra, i wiedział również, jak umieli je zatajać. „Czy oni aby nie udają?“ zastanawiał się, patrząc na Kuźnara i Bronkę.

— Dziękuję — potrząsnął głową — nie będę już więcej jadł. Nie — odmówił prawie ze złością, gdy Kuźnar kazał Bronce nalać mu jeszcze herbaty — nie jestem już głodny.

Poczuł na sobie wzrok ich obojga i spostrzegł, że wymienili zakłopotane spojrzenie. Poczerwieniał aż po korzonki włosów i spocił się ze wstydu. Ale Kuźnar zaczął czyścić drucikiem szklaną fajeczkę, po czym znów zmrużył oko i oglądał ją na wylot pod światło.

— Było pięciu Czyżów — odezwał się po chwili — twój ojciec był środkowy: dwóch przed nim i dwóch po nim. Najstarszy Czyż, Stanisław, pracował u Paustów w „Fortunie“ i w czasie strajku dał w pysk dyrektorowi; Szwajcar, nazywał się Knoll.

Paweł był zmęczony, miasto, do którego przyjechał, wydało mu się nagle ogromne. „700 tysięcy mieszkańców — obliczał — nie dam sobie rady...“ Nazajutrz miał się zgłosić do partii. Paweł starał się to słowo wymawiać bez szczególnego nacisku, tak samo jak się mówi: dom czy kraj. Ale to słowo wywoływało w nim zbyt mocne uczucia, by mógł je pokryć obojętnym głosem. Partia! Ilekroć je wymawiał, wpierał w człowieka oczy pociemniałe z żarliwości. W jego ankietach personalnych był mocny punkt: pochodzenie. Rodzina Czyżów, robotnicy z ojca na syna, nie żałowała rąk dla rewolucji, proszę: Stanisław Czyż, jego stryj, dał w pysk kapitaliście, zesłali go potem na dalekie białe płaszczyzny, których Paweł szukał w szkolnym atlasie długo po jego śmierci. A drugi Czyż, Wacław? Ten uciekł z P. w 1905 i wyskoczył ze swą czarną czupryną aż na odeskich barykadach! Dwóch młodszych, Tadeusz i Wiktor, robili w Łodzi strajk tramwajarzy, a o którymś z nich poszła wieść, że dowodził w ostatniej wojnie jednym z radzieckich pułków białoruskiego frontu...

— Hm. Pod tym samym nazwiskiem? — zapytał Kuźnar przypatrując się Pawłowi poprzez dym z papierosa.

— To nie zostało stwierdzone — odparł Paweł — ale wiadomość jest pewna.

Siedział bokiem, oparty łokciem o stół, i strząsał popiół na talerzyk. Znowu spotkał bystry wzrok Bronki. Odgarnęła włosy z czoła, jak gdyby chcąc mu się lepiej przyjrzeć.

— Czy należysz do partii? — spytała.

Paweł uśmiechnął się wyrozumiale. Zerknął na Kuźnara, ale ten znów grzebał drucikiem w swojej fajeczce. Paweł przeczesał palcami

sterczącą czuprynę i zaczął opowiadać o P. Tak, miasto od dawna związane z ruchem, stare tradycje rewolucyjne i bojowy proletariat. Oczywiście zostało trochę ludzi z tamtych czasów, na przykład taki Feliks Biernacki z SDKPiL. Nowi dopiero rosną.

— Nie chciałeś tam zostać? — odezwała się Bronka półgłosem. Paweł strzelił ku niej podejrzliwym wzrokiem i opuścił powieki. Czegóż ta znowu się czepia?

— Bronka — odezwał się Kuźnar — sprzątnij-no ze stołu.

Ale w tej samej chwili usłyszeli dzwonek u drzwi, a w chwilę potem czyjś śmiech i przyciszoną rozmowę. Wbiegła Bronka z drugą dziewczyną. Paweł niepewnie podniósł się z krzesła.

— Ojciec! Agnieszka przyszła! — wołała Bronka, ciągnąc za rękę dziewczynę w skórzanej kurtce.

Kuźnar mruczał z zadowoleniem, klepiąc gościa po grzbiecie, jak konia. Dziewczyna śmiała się, obrzucając spojrzeniem pokój i troje ludzi, zdawało się, że wszystko spostrzega jednocześnie i wcale jej nie dziwi obecność Pawła.

— Agnieszka! — huczał Kuźnar. — Patrzcie, jak w porę przyszła! Powiedz-no, do kogoś przyszła, co? Paweł, to jest Agnieszka Nieborzanka, przyglądnij-no jej się, takiej drugiej nawet w Warszawie łatwo nie spotkasz!

— Ojciec! — krzyknęła Bronka — znowu ojciec zaczyna? Agnieszka tego nie cierpi! To jest nasz krewny — przedstawiła go — Paweł Czyż. Będzie u nas mieszkał.

Paweł stał z opuszczonymi rękami, owładnięty niejasnym przestrachem. „Kto to jest?" usiłował odgadnąć. Dziewczyna zbliżyła się do niego i podała mu rękę. Spoważniała nieco, patrzyła mu prosto w oczy, nastąpił moment kłopotliwego milczenia. Paweł zmieszał się pod jej wzrokiem, był jakby zbyt jasny, nigdy nie widział dotychczas takiej dziewczyny. Słyszał jej głos, rozmawiała z Kuźnarem; czy usiądzie? usiadła, rozpięła kurtkę, miała pod nią szary sweter i niedbale zawiązaną chustkę w kolorowy deseń.

— Dlaczego nie siadasz, Paweł? Nie krępuj się, ona swoja. — Kuźnar popchnął go i posadził na krześle. — Ona uczy w tej samej szkole, do której Antek chodzi! Agnieszka, powiedz-no, czego ty uczysz? Botaniki — tłumaczył — botaniki uczy w młodszych klasach, a jeszcze niedawno to ją uczyli, rozumiesz?

Agnieszka roześmiała się.

— A czy to takie dziwne? — mówiła niskim, czystym głosem.

Przecież zawsze tak jest; najpierw jedni człowieka uczą, a potem człowiek innych... Prawda? — uśmiechnęła się do Pawła.

— Człowiek, człowiek... — przedrzeźniał Kuźnar —a może gęś, nie człowiek?

Paweł nie potrafił się uśmiechnąć, bo nagle zdał sobie sprawę, jak bardzo pragnie tu zostać. Nie obejmował jeszcze wszystkiego, co się stało, czuł tylko, że głęboko pogrąża się w życie i że dom Kuźnarów pełen jest tego życia, nie znanego jeszcze, i nie zbadanego, które już sięgało mu piersi i serca, jak rzeka, gdy się powoli w nią wstępuje. Siedział z rozpalonymi policzkami, starając się ukryć oczy, mogły one zdradzić jego gwałtowne uczucia, bezładne, pomieszane myśli i lęk na widok tej dziewczyny o prostych, spokojnych rysach. Po kilku minutach wydały mu się znajome, jak gdyby ją już kiedyś widywał co dzień i słuchał jej głosu długimi godzinami. Z trudem uprzytomniał sobie, że kwadrans temu nie wiedział, jak ona wygląda, nie mógł już sobie tego wyobrazić, to było nieprawdopodobne, przyszła przecież tutaj, jak gdyby wywiedziona z głębi jego pamięci. Agnieszka Nieborzanka, czy możliwe, że nie słyszał dotychczas tego nazwiska?

Opowiadała półgłosem o jakimś zajściu w szkole i pytała, kiedy wróci Antek Kuźnar, on znał podobno szczegóły zdarzenia, gdyż był przy nim obecny.

— Trochę się niepokoję, czy chłopcy nie zrobili jakiegoś głupstwa. Dlatego dzisiaj do was zaszłam, Antek by mi wszystko opowiedział.

Paweł obserwował Agnieszkę, Bronkę i Kuźnara. Tutaj wszystko już się ułożyło dawno i poza jego plecami, mógł być najwyżej intruzem: Agnieszka odwiedza Kuźnarów, Bronka przyjaźni się z Agnieszką, Antek chodzi do szkoły, w której ona uczy botaniki... mrowie ludzi i spraw, omówionych i zbadanych, o których on nie miał pojęcia i których nigdy już nie opanuje. Nazywa się Agnieszka Nieborzanka, panieńskie nazwisko. Ale kto wie? Paweł nagle się przeraził: kto wie, może ona ma narzeczonego, za miesiąc może wezmą ślub, i wszyscy o tym tutaj doskonale wiedzą, prócz niego? Ogarnęła go zazdrość, poczuł nieprzemożoną chęć napotkania jej wzroku.

— Czy pan się nie zetknął w P. z moją koleżanką? — spytała odpowiadając na jego spojrzenie — jest nauczycielką w szkole TPD, może pan ją zna?

Wymieniła nazwisko swojej przyjaciółki, której Paweł nie znał. Potrząsnął przecząco głową i utkwił wzrok w serwecie. Chętnie by wsiadł teraz w pociąg do P., żeby poznać tę jej przyjaciółkę, ale nie, nie wsią-

dzie, nie pojedzie, nie ruszy się z tego krzesła, nie wykrztusi z siebie ani słowa, za minutę ona podniesie się i powie: „no, na mnie czas“ i wyjdzie, a na schodach pomyśli, że do Kuźnarów przyjechał jakiś kuzyn, i to będzie wszystko, czym on, Paweł Czyż, zapisze się w jej pamięci.

— No, na mnie czas — powiedziała.

Bronka zaczęła się przymilać, dmuchać w grzywkę i prosić, żeby jeszcze nie odchodziła, Antek na pewno zaraz wróci. Agnieszka zapinała jednak guziki kurtki, nie, nie mogła już zostać: — Mak na mnie czeka — tłumaczyła — znowu się będzie niepokoił.

Paweł nie mógł wstać z krzesła. Poczuł nagle, że jeśli nie przytrzyma się mocno rękami, spadnie gdzieś bardzo nisko, w głowie mu się zakręciło od rozczarowania, to krew tak szybko uciekała do serca. Jak przez mgłę usłyszał śmiech Kuźnara:

— Krótko cię trzyma, ten twój Mak! Przyznaj-no się dziewczyno, pewnie z nim sypiasz w jednym łóżku?

„Co on mówi?“ zadrżał Paweł, czerwieniąc się i blednąc.

— Nie — śmiała się Agnieszka — jak był mały, to z nim spałam, a teraz już nie, bo ma pchły.

I wyjaśniła, spoglądając na Pawła, że Mak to dwuletni jamnik o nieznośnym charakterze: wygryzł kiedyś przez zemstę wielką dziurę w materacu, gdy wróciła po północy z zetempowskiej zabawy.

— Aha... — mruknął Paweł i naraz zrobiło mu się nadzwyczaj lekko na sercu. Zaczął się śmiać, wstał, omal nie przewracając krzesła, i spotkał trzy pary oczu patrzące nań ze zdziwieniem.

— Bardzo lubię psy — powiedział nienaturalnym głosem i znowu usiadł na krześle.

Agnieszka zawahała się, jakby nieco zmieszana jego zachowaniem Uniosła ręce, żeby poprawić włosy.

— Kiedy się pokażesz? Agnieszka, kiedy przyjdziesz? — dopytywała się Bronka.

„Jaka ona jest ładna...“ pomyślał Paweł. Włosy miała jakby spłowiałe od słońca, jakby je suchy, gorący wiatr zgarnął jej z czoła; uśmiechając się mrużyła oczy, jej brwi zbiegały się wtedy nad krótkim nosem; przyjemnie było na nią patrzeć.

— Do widzenia! — powiedziała wyciągając rękę do Pawła.

— Te, te, te! — wtrącił się Kuźnar, szturchając go w plecy — ty się nie wykręcisz, Paweł! Odprowadź ją do przystanku, słyszysz? Bronka! — zagrzmiał — Bronka! Przygotujesz mu tymczasem spanie! Łóżko polowe jest na antresoli, jak się nie będziesz rzucał przez sen, to ustoi!

Agnieszka! — wrzasnął na całą sień — tylko ty mu w głowie nie zawróć!

— Dobranoc! — zawołała Agnieszka. Mimo ciemności panującej na schodach, Paweł odgadł, że się zarumieniła.

3

Szli Elektoralną do Placu Dzierżyńskiego, ulica była już bezludna, Paweł uważał, by nie dotykać ramienia Agnieszki. Bał się, że spłoszy tę chwilę, wydawała mu się niezbyt rzeczywista. Po kilku godzinach, ledwie zdążył zasmakować nowego życia w Warszawie, idzie już oto nocą, przez pustą ulicę, obok nieznajomej dziewczyny, której twarz rysująca się w mroku zapierała mu oddech. Szukał gorączkowo słów, aby nawiązać rozmowę, z innymi dziewczętami przychodziło mu to łatwo, podczas gdy teraz nie śmiał się odezwać: głos by go zdradził jak złego aktora. Agnieszka przyśpieszyła kroku, szła teraz nieco naprzód, biegł prawie za nią, musiała być zła o coś, o co? — myślał Paweł z rozpaczą. Weszli już na plac pełen żółtawych świateł, zatrzymali się na skraju chodnika. Paweł spotkał jej zakłopotane spojrzenie, pewnie nie chciała, żeby ją dalej odprowadzał.

I nagle zaczął mówić, sam zaskoczony, skąd mu się to wzięło: tak, przyjechał do Warszawy, bo w P. było mu ciasno. Zerwał z tym w ciągu godziny, no, może paru dni, i przyjechał tutaj jak stał.

— Nigdy nie zwlekam z decyzją — uśmiechnął się ze skromnością lwa — jeżeli robię krok naprzód, to nie po to, żeby się zaraz cofnąć. Inaczej nie potrafię, wie pani?

Wetknął ręce w kieszenie kurtki i lekko zakołysał się na piętach. Był niewiele wyższy od niej, lecz w tej chwili poczuł się ogromny i lekko znużony siłą swego charakteru.

— To bardzo ciekawe — powiedziała Agnieszka, przygryzając wargi.

— Tak — zgodził się Paweł — no, zresztą rozejrzę się jeszcze. Na razie muszę korzystać z gościnności Kuźnarów, krępuje mnie to trochę, ale mam od jutra objąć stanowisko w prasie codziennej, przypuszczam, że dadzą mi mieszkanie. Kuźnarom jakość postaram się odwdzięczyć...

— Może pan umieści podziękowanie w gazecie? — rzekła powoli Agnieszka. — Pański wuj byłby tym uszczęśliwiony.

Paweł zerknął na nią, niepewny, czy powiedziała to poważnie; w warszawskiej prasie nigdy nie zauważył takich podziękowań, czemu z niego kpiła?

— Miałem właściwie na myśli... — zaczął, nie wiedząc, co miał właściwie na myśli. Ale Agnieszka przerwała mu wzruszając ramionami:

— Och, głupstwo. Po prostu tak się jakoś powiedziało.

— Ładny plac — szepnął Paweł. Przyglądali się przez chwilę oświetlonym budynkom, stojąc obok siebie w milczeniu.

— Gdzie pani właściwie mieszka?

Mieszkała na Żoliborzu. Przeszli powoli przez jezdnię. Paweł rozpiął kurtkę i zsunął z czoła czapkę. Mimo chłodu było mu ciepło, postanowił zapytać ją wprost, czy jest związana z jakimś mężczyzną.

— Niech pan już wraca — powiedziała przystając na betonowej wysepce — wsiądę tu do tramwaju.

„I to już wszystko?" przestraszył się Paweł. Gotowe myśli rozpierzchły mu się naraz, rozejrzał się w popłochu, jakby chciał je gonić po placu.

— Kiedy pani przyjdzie?... — szepnął.

Nie było już jej koło niego. Stała na platformie tramwaju, kiwając doń ręką

— Niech pan wraca! — zawołała — bo bramę zamkną!

— Kiedy pani przyjdzie?! — krzyknął biegnąc za tramwajem. Potknął się i zatoczył jak pijany.

— W przyszłym tygodniu! Do widzenia! — tramwaj nabierał szybkości.

— Do widzenia... — wymamrotał Paweł, ściskając w ręku pogniecioną czapkę. Agnieszki nie było już widać. Paweł odwrócił się i stanął jak wryty: omal nie wlazł na maskę „Chevrolety", która zahamowała o krok za jego plecami. Szofer pogroził mu pięścią przez szybę.

Paweł roześmiał się głośno do siebie: przyjdzie w przyszłym tygodniu! Najchętniej poczekałby na tym samym przystanku; trzy, cztery, pięć dni, wreszcie na platformie wagonu ukaże się Agnieszka. „Dzień dobry, skąd pan się tu wziął?" „Czekam tutaj na panią od tamtego wieczoru". Co by wówczas rzekła? Musiałaby się jednak nad nim zastanowić. Dziwny chłopak ten kuzyn Kuźnarów, który przyjechał z P.

Paweł szedł przez siebie, przystając co kilkadziesiąt kroków, aby raz jeszcze zobaczyć jej oczy, którymi nań patrzyła i usłyszeć jej ciepły, dźwięczny głos. Rozmawiał z nią szeptem i dopiero teraz odnajdował właściwe słowa, które jej chciał powiedzieć; przypływały same, układając się w strzeliste zdania, w porywcze, namiętne monologi. A ona? Ona milczała, z pół przymkniętymi oczami, zasłuchana i przejęta wzru-

szeniem. „Agnieszka...“ — myślał Paweł, zatrzymując się pod szumiącymi gałęziami.

Poczuł chłodne kropelki osiadające mu na brwiach, od paru chwil mżył drobny, gęsty deszczyk. Wokół niego w ciemności szarzały nieruchome figury, jakby zaskoczone w dziwacznych, nierozumnych skrętach jego krokami chrzęszczącymi po żwirze. W Ogrodzie Saskim panowała już noc, z daleka dolatywał zgrzyt tramwajów, a z bliska szelest drzew. Paweł usiadł na ławeczce, by przed powrotem do Kuźnarów uporządkować poszarpane myśli. Zdjął czapkę, położył ją koło siebie i odchylił głowę w tył, chłodząc zgorączkowaną twarz. Spróbował przez minutę nie myśleć o Agnieszce, policzył do sześćdziesięciu, ale szepnąwszy „pięćdziesiąt dziewięć“ uprzytomnił sobie, że przez cały czas siedziała obok niego i trzymał jej dłoń w ręku. Paweł zerwał się i znów opadł na ławkę. Czy oszalał? Przecież nie zdołał ani razu schwycić jej spojrzenia, w którym byłby choć ślad serdeczności; tak samo spoglądała na krzesło i stół; na pewno nie mogła już sobie teraz przypomnieć jego twarzy; wysiada z tramwaju na Żoliborzu, wchodzi do jakiegoś domu, otwiera drzwi, jest u siebie... Jak wygląda jej pokój? Czy czeka w nim ktoś na nią prócz psa, o którym wspomniała?

Paweł zacisnął zęby. Usiłował myśleć o jutrzejszym dniu, o swojej przyszłej pracy, o ludziach, których spotka. Miał poważne braki w teorii marksizmu-leninizmu, przyznawał się do tego przed sobą, zarzucali mu to towarzysze w P. „Za mało się uczę“ myślał z okrutną jasnością: „rozpraszam wolę na drobiazgi, zmarnowałem parę lat“. Jadąc do Warszawy, w zatłoczonym przedziale, przysięgał sobie, że w ciągu nadchodzących dni stanie się skupioną, bezosobową funkcją rozumu i woli, aż do samozaparcia logiczną i bezlitośnie celną. Marzeniem Pawła była dialektyka stosowana w życiu. Marzył o niej jako o najwyższej zasadzie, porządkującej myśli i uczucia, nadającej życiu kształt kuli ulanej z ciężkiego monolitu. Życie, które by osiągnęło ów doskonały kształt, stałoby się zarazem pociskiem i odważnikiem, nakazem i miarą, celem i narzędziem. Było to uparte, zapamiętałe pragnienie Pawła, które tutaj w Warszawie za wszelką cenę postanowił spełnić. „Po roku, może po dwóch“ — myślał mijając stacyjki podwarszawskie — „zrobię więcej niż inni przez dziesięć. A po dziesięciu...“ Po dziesięciu latach widział się — co prawda niezbyt wyraźnie, lecz bardzo wysoko. Z odległości tych dziesięciu lat, które miał przed sobą, patrzała nań jego twarz, twarda, wyżłobiona ostrym rylcem, z oczami nieugięcie wbitymi w jeden punkt. Wszystko było to oczywiście niezbyt określone i mgliste, jak to zwykle się dzieje w dziedzinie wyobraźni.

I oto nagle, ledwie zdołał nogą stąpnąć na nowowytyczonej drodze, od razu zaczął błądzić i stracił pewność ruchów. Więc tylko tyle wystarczyło? Doprawdy, niewiele. Ale czy można było ustalić, że pewnego dnia spotka Agnieszkę? Że pewnego dnia idąc swoją drogą wejdzie w obłok? Wszystko byłoby równie prawdopodobne, jak to, co się stało. Siedział na ławce, w mżącym deszczu, czapka leżała obok niego, posągi bielejące w mroku zdawały się przedrzeźniać jego niezdarne porywy. Paweł czuł się jak bankrut, który stracił fortunę, gdyż naraz wpadło mu do głowy, by zostać poetą. Zobaczył pokój redakcyjny, który niepostrzeżenie rozszerzył się w ogromną salę obrad, pełną ludzi i gwaru; w ostatnim rzędzie siedziała Agnieszka, dając mu jakieś znaki. „Kiedy przyjdziesz?" zawołał Paweł spod stołu prezydialnego. Usłyszał grzmiący śmiech Kuźnara i obudził się. Z włosów na czoło spływały mu krople dżdżu, przejął go chłód. Poszukał czapki, która spadła na ziemię, i ruszył z powrotem w stronę placu.

Otworzyła mu Bronka. Kuźnar siedział przy stole, w kłębach dymu, pochylony nad papierami, i nie podniósł nawet głowy, gdy Paweł przechodził. Bronka położyła palec na ustach, weszli po cichu do sąsiedniego pokoju. Zapaliła światło, Paweł zatrzymał się w progu. W pokoju było dużo książek, na ścianie wisiał proporczyk z wyszytym znakiem ZMP, pod rajzbretem przysuniętym do okna leżał kij hokejowy, para butów wysokogórskich i pompka do roweru. Pachniało tu gumą i tuszem.

— Tutaj będziesz spał — powiedziała Bronka wskazując polowe łóżko ustawione między rajzbretem a półką z książkami — Antek jeszcze nie wrócił, ale ty się kładź, bo pewnie jesteś zmęczony. Dobranoc.

Skinęła mu poważnie głową i wyszła. Paweł został sam. Zdjął marynarkę i rozwiązał krawat. Ogarnęła go senność, usiadł na łóżku i ziewając rozejrzał się po pokoju. Rozpoznawał grzbiety znajomych książek: dwa tomy wybranych pism Lenina, „Krzyżacy", „Lalka"... „Opowieść o prawdziwym człowieku"... „Dużo czyta" pomyślał z szacunkiem. Ściągnął buty i poszukał wzrokiem swojej walizki; stała pod ścianą. Paweł rozwiązał sznur i położył ją płasko na posadzce. Z dna spod bielizny wygrzebał książkę w sztywnej, szaroniebieskiej okładce. Był to „Krótki kurs WKP(b)". Przewrócił kilka stron, zajrzał do rozdziału o materializmie dialektycznym, i mrucząc sennie pod nosem schował książkę na dno walizki. Z sąsiedniego pokoju dobiegło kaszlnięcie Kuźnara. Paweł przytaszczył walizkę i wsunął ją pod łóżko. Potem zaczął się szybko rozbierać.

Zasnął jak kamień, ledwie przyłożywszy głowę do poduszki. Było już pewnie po północy, gdy przebudził się na chwilę i poczuł, że ktoś uważnie mu się przypatruje. Na tapczanie siedział półnagi, silnie zbudowany chłopak z butem w ręku. Paweł uśmiechnął się przez sen, światło raziło go w oczy. — Śpij... — usłyszał i czyjaś dłoń przysłoniła lampkę.

ROZDZIAŁ TRZECI

1

— Po co się śpieszyć, bracie, jedź wolniej — powiedział Kuźnar. Już nieraz w życiu wypowiadał te słowa, zazwyczaj kierując je do siebie. Poczucie miary należało do zalet, które najwyżej cenił. „Życia nie przeskoczysz" mawiał niejednokrotnie. Należało mu przyznać, że trzymał się tej zasady. Jego ciężkie, przysadziste ciało, osadzone na krótkich, mocnych nogach i dźwigające okrągłą, twardą głowę — wydawało się niezdolne ani do wzlotów, ani do upadków; po prostu, człowiek solidnie stąpający po ziemi i raz na zawsze przeświadczony, że lepszego gruntu dla siebie nie znajdzie. Co tu było do przeskakiwania? Na co zdałby się pośpiech? Kuźnar uważał, że „śpieszyć się" może magnat, piękna kobieta czy utracjusz, jednym słowem — ludzie sowicie obdarowani, niespokojni, znudzeni sobą lub łatwością swoich zdobyczy. Ale człowiek jego pochodzenia, człowiek prosty nie powinien się śpieszyć. Żył więc ostrożnie i powoli, tłumiąc w sobie zbyt ostre pragnienia, pleniąc wszelką daremność i jałowiznę. Dbał o siebie tak jak doświadczony rolnik o swą ziemię; rodziła ani zbyt chudo, ani zbyt obficie, chleb bywał z niej gorzki — niebogata ziemia, ale innej nie chciał.

Ludzie, z którymi się stykał, czuli w nim tę bezpieczną właściwość i na ogół lubili go za to. Wzbudzał zaufanie swą spokojną dobrodusznością, umiał wysłuchiwać cudzych kłopotów i trosk, nie piął się zbyt wysoko, miał czas. Miał czas dla siebie, stwarzając w ten sposób wrażenie, że ma czas dla innych. Mówiono o nim, że potrafi pomóc człowiekowi. Było wielu ludzi, z których każdy, pogrzebawszy w pamięci, rzekłby, że niejedno mu zawdzięczał. „Michał Kuźnar to równy gość" opowiadali o nim koledzy, sąsiedzi i podwładni. Pozwalał się określać tymi słowami, nie żądając innej charakterystyki; przywykł do nich, jak do własnego odbicia w lustrze. Unikał ludzi, którzy próbowali lepiej się

w nim rozeznać. Po co? Uważał to za zły narów. Sam sobie także rzadko w duszę zaglądał. Czy nie miał wszystkiego na wierzchu? Nie ukrywał w życiu żadnej tajemnicy, proszę: dziad jego był dwumorgowym chłopem, pod Rawą Mazowiecką, ojciec przywędrował do Tomaszowa i najął go stary Bornstein, właściciel fabryki sztucznego jedwabiu, a co do matki — o czymże tu mówić! chyba o grzechu, który popełniła biorąc zbyt długi urlop po jego urodzeniu: zmarła w czasie połogu, nie spytawszy dyrekcji o zgodę. Czego jeszcze chcecie? Życie ulepiło Kuźnara jak gdyby na prędce: krótkie, krzywe nogi zawdzięczał angielskiej chorobie, lekką wadę słuchu — dziecięcej szkarlatynie, a zgrubiałe ręce o guzowatych palcach — wczesnej młodości, gdy woził taczki na łódzkich budowach, zanim w 1923 roku wyzwolił się na murarza. Co to jest człowiek? Co to jest dusza, życie i świat? Pytania, których człowiek sam sobie nie zadaje, są cierpliwe; mogą długo czekać na odpowiedź. Żyją koło niego, zaszemrzą czasem i ucichną, trwają gdzieś ponad nim jak niebo nad drzewem. Kuźnar osadzał się w swoim gruncie, zapuszczał korzenie, krzepł; życie, człowiek, dusza i świat — odpowiedziałby po zastanowieniu — to jest i burza, i wiatr, i to że jedni cię biją albo na ciebie chcą wleźć; i to przede wszystkim, że jesteś. „Chłopie miłosierny — rzekłby w końcu ze śmiechem — ty się nad tym za bardzo nie zastanawiaj, bo wyjdzie ci wreszcie, żeś świnia! Znałem jednego fryzjera w Tomaszowie, co za długo gwiazdom się przyglądał i potem chciał tylko brukiew jeść, aż schudł całkiem i dziadem kościelnym został!"

Długo przypatrywał się ludziom swymi oczami, głęboko wbitymi pod brwi, brał od nich to, co wydawało mu się trudne i cenne; uczył się na cudzych zdobyczach. W trzydziestym roku życia był już czynnym działaczem w Związku Budowlanym i mniej więcej w tym samym czasie doszedł wreszcie do ładu z niespełnioną, młodzieńczą miłością do swej siostry stryjecznej Stasi Kuźnarówny, którą pojął za żonę jeden z pięciu Czyżów, Feliks, chorowity brunet, najlepszy gitarzysta w P. Była to miłość kilkuletnia, nieśmiała i nieujawniona, z którą Kuźnar nie wiedział, co począć. Przyszła niespodziewanie i umieściła się poza wszelkim znanym doświadczeniem, gorzka i wstydliwa, nieomal grzeszna ze względu na bliskie pokrewieństwo. Kuźnar w tym okresie mocno się szarpał, rozpaczliwie broniąc swoich miar i wag życiowego rozsądku.

I właśnie wówczas, w dniach gdy zrozumiał, że odległość dzieląca od szczęścia jest dłuższa niż ramię człowieka, Kuźnar poznał swoją przyszłą żonę, Henrykę ze Śladkowskich, córkę urzędnika skarbowego.

Wkrótce powiła mu dwoje dzieci: Bronisławę i Antoniego, oboje urodzonych w Warszawie, gdzie Kuźnarowie zamieszkali w roku 1931, w bocznej oficynie wysokiej, ciemnej kamienicy przy ulicy Wroniej.

Przedsiębiorcy budowlani, urzędnicy magistraccy i funkcjonariusze „opieki społecznej" często stykali się w owych latach z Michałem Kuźnarem. Jego przysadzista, bryłowata postać w kapeluszu zsuniętym na kark pojawiała się na budowach, gdy wybuchały zatargi; murarze mówili do niego „ty" na zasadzie starego koleżeństwa, otaczali go gromadą, przystawał pośród nich i słuchał, podciągając opadające spodnie, dawał się ludziom wygadać, nie przerywał, miał czas. Jego interwencje były zazwyczaj skuteczne i jeśli nawet szedł na ustępstwa wobec przedsiębiorców, ufano mu, że dobrze bronił sprawy. Wśród robotników krążyły dziesiątki anegdot o przemyślności Kuźnara, o jego ciętych, błyskawicznych odpowiedziach, o wściekłym ryku, jakim ogłuszał przeciwną stronę, gdy zachodziła potrzeba. Uczestnicy owych wielogodzinnych układów i targów opowiadali, że Kuźnar używał wszelkich możliwych sposobów, dostępnych człowiekowi, by złamać opór przeciwnika. Zaklinał, przekonywał, wzruszał, groził — i wypijał przeciętnie do dwunastu szklanek herbaty, tak że pod koniec siedział zlany potem, w koszuli rozpiętej na piersiach, i mówił ochrypłym, zaflegmionym szeptem. Podziwiano siłę tego człowieka, siłę człowieka osiadłego, który na świecie czuł się jak u siebie. W okresie jednolitego frontu zauważył go resort spraw wewnętrznych i Kuźnar wysłuchał pewnych ofert „w kierunku twórczej współpracy"; zdjął je z rękawa i rozgniótł paznokciem. Groziła mu potem Bereza, próbowali go zastraszyć, zasypiał w owych dniach nieco czujniej niż zwykle. Brał pod uwagę wiele możliwości, jakie życie potrafi stwarzać, i nie zdziwiłby się, gdyby padła na niego najgorsza, nie uważał się bowiem za wybrańca losu. Miał skąpą wyobraźnię i może dlatego spokojnie patrzył w przyszłość. Może dlatego również niezbyt dokładnie pojmował, o co chodzi komunistycznym działaczom, z którymi dość często w owym czasie się stykał. Mówili o nim, podobnie jak inni: „Kuźnar to porządny chłop", ale w ich ustach brzmiało to nieco inaczej, jak gdyby pobłażliwie, z ledwie uchwytnym akcentem politowania. W jego mieszkaniu na Wroniej odbyło się kilka zebrań, przez jakiś czas ukrywał czyjąś teczkę z papierami, kiedy indziej człowieka w okularach, który kaszlał przez trzy noce, a potem znikł.

Pewnego dnia nurt spienił się wyrzucając na brzeg tysiące ludzkich ciał; domy, drogi i miasta, lasy, kościoły pogrążyły się w odmętach.

Kuźnar razem z innymi wkroczył w czas pożarnego pośpiechu, powodzi i wielkich wód. Życie stało się rzeką wojenną.

— Nie śpieszcie się, Kurnatko — mruknął po raz drugi do szofera — i tak dojedziemy.

— Dobrze, towarzyszu dyrektorze — odparł szofer zmniejszając gaz na wiadukcie.

„Dyrektorze! — warknął w duchu Kuźnar — Dyrektorze! Patrzcie-no go jaki uczony".

Zerknął z ukosa na młodą, pucołowatą twarz Kurnatki i zapytał:

— Ile macie lat?

— Dwadzieścia trzy, towarzyszu dyrektorze — zaśpiewał Kurnatko swym akcentem spod Święcian.

„Bodajeś pękł" pomyślał Kuźnar. — Długo prowadzicie wóz?

— W wojsku mnie nauczyli, towarzyszu dyrektorze.

— Na piersi nie chorujesz? — spytał Kuźnar patrząc nieżyczliwie w kierunku jego ucha.

— Zdrowy jestem, towarzyszu dyrektorze — odparł pogodnie Kurnatko — badali mnie w wojsku.

— Bo niektórzy chorują... — rzekł Kuźnar ponuro po chwili milczenia.

Dzień pełen był jeszcze szarej, porannej wilgoci, niebo wisiało nisko nad ulicami, jak mętny, nieruchomy odblask asfaltu; „Pobieda" mijała na przystankach tramwaje oblepione ludźmi; późna jesień warszawska wchodziła do miasta po wrześniowej suszy w pochmurnym milczeniu i chłodzie. Ziemia okoliczna była wyschnięta i przepalona słońcem, które przez sto dni nie opuszczało nieba, jak żółte, rozgorzałe oko. Wjechali na most, Kuźnar spoglądał przez boczną szybę wozu na płaskie brzegi zagracone nadrzeczną brzydotą, i mrużąc oczy od ołowianej jasności wody myślał, że nieźle byłoby spędzić całe życie na jakimś wiślanym statku między Sandomierzem a Płockiem. Potem westchnął i znowu spojrzał z niechęcią na różowe ucho Kurnatki, którego onegdaj przydzielili mu wraz ze służbową „Pobiedą".

Ostatecznie, gdyby się był uparł i odmówił, znaleźliby kogo innego, a on siedziałby sobie dalej w wydziale transportu za biurkiem z trzema telefonami, z których co najmniej jeden był niepotrzebny. Dwa lata pracował na tym stanowisku i uczynił z wydziału wzorowe gospodarstwo, obsypane premiami i Krzyżami Zasługi. Sam oczywiście piersi nie wypychał, cenił szarą, codzienną robotę, mozolne podciąganie ludzi, roz-

ważny namysł, przełamywanie ludzkich wad, jednym słowem — ową mądrą, gospodarską walkę, którą toczyć lubił i potrafił. Wszystko to trzy dni temu przekreślił jeden telefon.

2

Gdy go wezwano do Ministerstwa Budownictwa Miast i Osiedli, Kuźnar niczego nie podejrzewał. Był przekonany, że potrzebują tam opinii o kimś, kto przewinął się przez jego wydział. Sekretarka wskazała mu drzwi, mówiąc uprzejmie: — Obywatel Rusin czeka na was — „Rusin?" zastanowił się Kuźnar kładąc dłoń na klamce „zaraz, zaraz..." i w następnej sekundzie zobaczył nad biurkiem słomianą grzywkę Rusina, sczesaną na bok i równo przyciętą nad skronią. — Chłopie miłosierny! — zawołał Kuźnar otwierając ramiona — co za licho cię tu przyniosło? — Rusin uśmiechnął się i podał mu rękę. Patrzyli na siebie przez chwilę, ciekawie badając się oczami, przy czym Kuźnar chrząkał, kiwał głową i klepał się po kolanach, a Rusin przyglądał mu się uważnie. „Po prostu chce ze mną pogadać" pomyślał niespokojnie Kuźnar i rzekł kładąc pięść na biurku: — No, o ciebie to ja się nie martwiłem. Ty rzemień jesteś, Karol. Tylko brzytwy o ciebie ostrzyć! Toś ty w Szczecinie parę lat siedział, co?

Rusin skinął głową: przenieśli go z tamtejszego KW w zeszłym miesiącu.

— W Szczecinie siedział! — zaśmiał się Kuźnar, tłumiąc podejrzliwe domysły. — Ech, bracie, bracie, jak to się można nie spotkać! Powiedzieć tylko komu: całe trzynaście lat! Aleś ty się nic nie zmienił, Karol, nic a nic!

— No, przypuśćmy — mówił Rusin grzebiąc się w papierach — trochę się pewnie zmieniłem. Ja, proszę ciebie, od Wyzwolenia siedziałem w terenie, tak. Dlategośmy się ze sobą nie spotkali. A teraz mam sprawę do ciebie. — Podniósł głowę znad papierów i Kuźnar spotkał jego okrągłe, wypukłe oczy o bladoniebieskich źrenicach.

— Niceś się nie zmienił! — ryknął serdecznie, zaniepokojony nie na żarty. — Jak Boga kocham, ani ciut-ciut!

Rusina znał niezbyt blisko, ale od dawnych lat. Na masówkach przemawiał zwykle z kupy desek; głos miał trochę drewniany, słowa i ruchy oszczędne. W Związku Zawodowym wiedziano o nim, że siedział już parę razy i prawdopodobnie posiedzi jeszcze parę razy, dogadać się z nim przy kieliszku nie próbuj, trochę nudziarz i żyła, no

a poza tym twardy i uczciwy gość. Z Kuźnarem lubili się, tak jak mogłyby się lubić dwa solidne buty, każdy z innej pary, które jakiś dziwak założył na nogi. I tyleż o tej sympatii było między nimi mowy, co między takimi właśnie butami. W robocie związkowej Kuźnar często słuchał jego rad; Rusin odwiedzał go także w mieszkaniu na Wroniej i kilkakrotnie wskazał Kuźnarowi ludzi we władzach związkowych, którzy współpracowali z policją, a kiedy indziej uzyskał pomoc Kuźnara dla innych, których policja poszukiwała. W swoją stronę go jednak nie ciągnął. Wybuch wojny zastał Rusina w areszcie na Daniłłowiczowskiej, przyszły o nim potem wieści ze Lwowa, a w 1946 Kuźnar przeczytał jego nazwisko w szczecińskiej gazecie, która wpadła mu przypadkiem w ręce.

„Jeśli on ma do mnie sprawę" kombinował „to znaczy, że to nie jest drobiazg, ani żadna tam pogawędka, tylko ciężki wagon z kamieniami, ja go znam".

— Dzieciaki masz? — zapytał wyciągając ze swego arsenału człowieka-poczciwca, zakochanego w rodzinie. I mrugnął wesoło okiem.

Rusin pominął pytanie milczeniem. Zastanawiał się nad czymś przez chwilę, pozwalając Kuźnarowi śledzić swą twarz o płaskim nosie i grubych kościach, po czym uporządkował papiery leżące na biurku.

„Zawsze taki byłeś", myślał Kuźnar czekając, „chomąto, nie człowiek. A pogawędzić to on chyba tylko przez sen potrafi".

— Towarzysze dobrze o tobie mówią — powiedział Rusin. — Mocno postawiłeś ten swój transport.

— Hm... — mruknął Kuźnar.

Rusin pochylił się nieco nad biurkiem.

— Dawno wstąpiłeś do partii?

Kuźnar wzruszył ramionami.

— Ja do partii właściwie nie wstępowałem — odparł — ja do partii przyszedłem pieszo. Stamtąd... — odchylił rękaw pokazując obozowy numer. — Dużo byłoby gadania, chłopie miłosierny.

Położył na Rusinie ciężki, osowiały wzrok. Czy ten człowiek zrozumie? Czy zdoła sobie wyobrazić jego pierwsze miesiące wojenne, taki na przykład październik, listopad, grudzień..., gdy Kuźnar, ze swą wymiarkowaną mądrością i skrzętnym zapasem doświadczeń, ujrzał się nagle bezradny, rozbity, osaczony? Straszny czas, w którym zwątpił o wszystkim naraz, ze sobą samym na czele, ze sobą samym z ledwie minionych dni, gdy tak trzeźwo ogarniał swoje i cudze sprawy. Miotał

się wtedy, szarpał się w przestrachu między żoną a dziećmi, ot człowiek, który stracił głowę i biega wśród pożaru z kubkiem wody...

— Jak uderzyli na Związek Radziecki, to dopiero zacząłem coś jakby rozumieć. Ale powoli.

— Nie miałeś jasnego obrazu sił klasowych — skinął głową Rusin.

Kuźnar zerknął na niego nieufnie. „Ty mi nie pomagaj" pomyślał.

— Widziałem z bliska — odparł — twarze robotników niemieckich w hełmach ze swastyką.

Spotkał chmurne spojrzenie Rusina i machnął w duszy ręką na tę rozmowę. Z jakiej właściwie racji miał przed nim składać samokrytykę? Wyglądałoby to raczej na spowiedź w cztery oczy, a spowiedzi nie znosił.

— Po co mnie wzywałeś, Karol? — zapytał spokojnie.

Rusin uśmiechnął się, obnażając mocne, żółtawe zęby.

— A po to — rzekł wskazując palcem leżące przed nim papiery. Ożywił się nagle i nos mu nawet trochę poczerwieniał.

Kuźnar patrzył na niego spod oka i ani drgnął. Umiał w pewnych momentach zamieniać się w ciężki, nieruchomy wór. „Teraz ty mów" urągał zjadliwie.

— Chcieliśmy ci powierzyć ważny odcinek budownictwa — mówił Rusin z poważnym naciskiem — to jest duża robota, przekraczająca plan 6-letni. Musiałeś o niej słyszeć.

Szybkim ruchem rozłożył na biurku wielki, szeleszczący prostokąt papieru, przygładził go rękami i Kuźnar zobaczył wtedy po raz pierwszy Osiedle — Nowa Praga III.

Rusin zaczął mu pośpiesznie tłumaczyć, o co chodzi. Latając palcem po planie, a drugą ręką skubiąc w podnieceniu grzywkę, objaśniał, ile już zrobili, co trzeba jeszcze zrobić do stycznia, i że to wszystko było mało, za mało, prawie nic — w porównaniu z ogromem zamiarów. — To są lata, Michał — tłumaczył zachłystującym się szeptem — zobacz-no, cały ten teren na południowy wschód nietknięty... Budowę trzeba pchnąć w tę stronę, tu ona musi się klinem werżnąć. A wiesz, co to za teren? Pola dzisiaj tam leżą! Pola! Ziemia! Budowa musi stamtąd krowy i kozy przepędzić. A ona nie ma sił.

Kuźnar siedział bokiem, bez ruchu, spoglądając na biegający palec Rusina, i tłumiąc w sobie zdumienie, jakie w nim wywołał ów nagle odmieniony człowiek. Czekał cierpliwie, aż skończy, słuchał szczegółowych objaśnień, dotyczących obecnego stanu robót i nawet udawał, że zainteresowała go kolorowa legenda, umieszczona w dolnym rogu

planów: budynki w stanie surowym, budynki w stanie zamkniętym, budynki oddane do użytku. — A tutaj masz nowe wykopy — wskazał uroczyście Rusin.

— Aha... — mruknął kuźnar.

— Ale przyszłość budowy jest tutaj — powtórzył Rusin rozpościerając palce nad rozległą białą płaszczyzną, ledwie tkniętą niedostrzegalnymi konturami przyszłych bloków o błękitnawym, przejrzystym rysunku. — To jest dopiero myśl, widzisz? — mówił cicho podsuwając mu plany. Kuźnar kiwnął głową: myśl ludzka na planie tak właśnie powinna wyglądać.

Rusin umilkł, siedział przez moment nieco przygarbiony, a potem wyprostował się, szukając wzroku Kuźnara.

— Więc bierzesz tę robotę... — rzekł spokojniej. — Ja tam z tobą pojadę, pogadamy z ludźmi. — Nie spuszczał z niego oczu. — Wybieraj dzień.

Kuźnar obrócił się doń twarzą i wygrzebał „Górnika" z paczki leżącej na biurku.

— Dobra myśl — potrząsnął głową — całkiem dobra, Karol. Możemy o tym pogadać, przypuśćmy — zastanowił się unosząc bogobojnie brwi — za jakie pół roku.

— ...Poproście, niech zadzwoni za godzinę — powiedział Rusin — teraz jestem zajęty.

Odłożył słuchawkę i trzymał przez chwilę rękę na aparacie.

— Ty chcesz żartować — odparł surowo.

Kuźnar poruszył się na krześle.

— To ty żartujesz, Karol.

— Ja nie żartuję. Mówię ci: weź tę robotę.

— Żartujesz, bracie, żartujesz. Tobie się może zdaje, że ja wolny człowiek? A tak, proszę ciebie: siedzę sobie na ławce w Alejach i wróbelki karmię. Hehe! Weź tę robotę! A moją komu oddam? Ty pewnie myślisz, że mnie puszczą z tego transportu? Ech, chłopie miłosierny!

— To już załatwione — rzekł Rusin.

— Co załatwione? Co załatwione?! — irytował się Kuźnar — co tu jest w ogóle do załatwiania, człowieku?!

— To, że ciebie puszczą z transportu.

Kuźnar znieruchomiał. Ostrożnie podniósł wzrok i poszperał ukradkiem w bladej twarzy Rusina.

— Że niby jak? — wymamrotał.

— To jest uzgodnione z towarzyszami z KC — wytłumaczył spokojnie Rusin.

Kuźnar poczuł, że wystąpiły mu kropelki potu w miejscu, gdzie niegdyś miał wąsy. „Nie wykręcę się" pomyślał ze zgrozą. Skurczył się na krześle, wciskając głowę w barki.

— Kochany — stęknął głucho — ja się przecie na tym nie znam. Nic a nic. Ty im powiedz, Karol: on się nie nadaje, nie na jego głowę taka rzecz. Ja już nawet zapomniałem, jak winkiel wygląda, człowieku, a ty chcesz, żebym całe miasto wybudował. Ty tak im powiedz, no?

Rusin pokręcił głową.

— Ja tego nie powiem.

— Powiedz, Karol, powiedz...

— Ja tobie mówię, przyjmij tę robotę, dasz rady.

— Generałem mnie lepiej mianujcie, ja się na tym tak samo znam.

— Na ludziach się znasz. Partia ci pomoże, Kuźnar. Z początku będzie trudno, a potem się nauczysz.

— A jak się nie nauczę?! — huknął Kuźnar — to co? Co ja w ogóle jestem: dawny koźlarz! A potem pod sznur umiałem sadzić! No i co? Jak wam zamiast osiedla, same klozety wybuduję, to na mnie przecie będzie, nie?

— Ee, tam są fachowcy — obstawał przy swoim Rusin, przygładzając nerwowo grzywkę — inspektorat nadzoru, zarząd budowlany, proszę ciebie, specjaliści. Ty obejmiesz organizacyjne i polityczne kierownictwo. Ogólne nastawienie dasz. — Znów zaterkotał telefon, ale Rusin nie podniósł słuchawki.

— Czego wy ode mnie chcecie — rzekł Kuźnar ze zmęczeniem — zostawcie mnie lepiej w spokoju. Robię swoje, po co mnie pchać w biedę.

Rusin przechylił się przez biurko, zaglądając mu w twarz. Nos mu znowu poczerwieniał.

— Ty partyjny jesteś — powiedział półgłosem — czy nie?

Kuźnar milczał. Poczuł naraz swoje pięćdziesiąt lat, powykrzywiane stawy i obolałe kości. Może Rusin miał zamiar powrócić do przedwojennych czasów? Tak, wiele się od tych czasów zmieniło. Władza proletariatu. Ludowe państwo. Socjalistyczne budownictwo. Klasa robotnicza. Partia. Nigdy nie złamałem solidarności z klasą robotniczą. Jestem krwią z jej krwi, jestem człowiekiem o rękach czystych i czarnych jak mazowiecka ziemia. W lagrze podpierałem nimi ludzi, którzy

słabli. Czy ty wiesz, co to była konspiracja w lagrze? Zapytaj towarzyszy, którzy mnie tam znali. Spytaj ich, czy wykręcałem się od solidarności z klasą robotniczą. Kiedy wstąpiłem do partii? Kiedy wstąpiłem do partii! Spytaj chłopaka z KZM-u, który umarł z opuchłą łepetyną na moich kolanach, w bunkrze pełnym gnoju, czy byłem wtedy daleko od partii! Ech, Rusin, Rusin. Wracaliśmy z towarzyszami pieszo, na poranionych nogach, do Warszawy, pięciu zbójów w pasiakach...

— Kuźnar — odezwał się Rusin po chwili milczenia — ty się dobrze zastanów. To będzie miasto robotnicze. Jakbyś świat tworzył dla tysięcy ludzi! Blok obok bloku — pałace. Szkoła tam stanie dla robotniczych dzieci. I ty się jeszcze namyślasz? Ja się tobie dziwię, Kuźnar. Żłobki, ogródki do zabaw, proszę ciebie, świetlice, kino... Kino, Michał. To wszystko partia powierza w twoje ręce. Stadion sportowy! Miasto-projekt Stolica pracuje nad planami. Oko w głowie, mówię ci, oko w głowie. Pralnie nowoczesne!... Bierz tę robotę. No?

— Nie mogę — szepnął Kuźnar potrząsając głową — ty mnie nie męcz, Karol. Ja już dawnej siły nie mam. Nie mogę.

Rusin ochłódł i wyprostował się w fotelu. Przez chwilę spoglądał na Kuźnara z suchym, lekko zdziwionym namysłem, po czym wstał porządkując papiery.

— Proszę powiedzieć, że za minutę będę wolny — powiedział ze słuchawką przy uchu.

Kuźnar siedział i nie ruszał się. Spod opuszczonych powiek oglądał swoje ręce, oparte o kolana.

— No to trudno — rzekł obojętnie Rusin. — Żałuję, żeśmy się nie dogadali.

Zdmuchnął popiół z biurka i czekał.

— Człowieku! — wrzasnął nagle Kuźnar ze wściekłością. — Daj mi ze trzy dni czasu! Niech się zastanowię!

Zgarnął z biurka papiery do teczki i ruszył bez pożegnania ku drzwiom, potrącając krzesło.

— Tylko niech ci się nie zdaje — warknął od progu, — że ja... — Machnął ręką i wyszedł trzasnąwszy drzwiami.

Nazajutrz około trzeciej do wydziału transportu zgłosił się młody szofer o różowych policzkach i oznajmił serdecznie, że wóz czeka na „towarzysza dyrektora". Kuźnar go obrugał, ale Kurnatko przyjął to z niezmąconym spokojem i nawet uśmiechał się stojąc z czapką w ręku. O trzeciej byli już na budowie, gdzie Kuźnar spędził parę godzin w biu-

rach, nie wyrzekłszy do nikogo ani słowa. Po czym odjechał „Pobiedą" i wysiadł na wiadukcie, każąc Kurnatce wracać do wszystkich diabłów. — Tak jest, towarzyszu dyrektorze! — odpowiedział szofer z dziewiczym uśmiechem. I spytał, o której podjechać nazajutrz rano na Elektoralną. — Przed siódmą! — zawołał Kuźnar z chodnika. — A nie bierz na łebka!

— Budowa, towarzyszu dyrektorze — zaciągnął Kurnatko hamując lekko przed bramą z napisem „Osiedle — Nowa Praga III".

— Wjeżdżaj... — burknął Kuźnar, patrząc na zegarek. Była siódma piętnaście. Rusin miał tutaj być o pół do ósmej.

ROZDZIAŁ CZWARTY

1

Na korytarzu Antek Kuźnar dał znak Weissowi i Święckiemu.

— Uważajcie — powiedział — czuję, że Baobab będzie chciał się wymknąć.

— On nie lubi takich rozmów — rzekł Święcki wydymając policzki.

Józio Weiss miał smutne oczy. Stał z rękami w kieszeniach i patrzył na Kuźnara z miną konającej sarny.

— Może byśmy przełożyli to na kiedy indziej? — szepnął.

Kuźnar i Święcki zamienili ironiczne spojrzenia. Oczywiście, inteligenckie skrupuły Weissa. Święcki uśmiechnął się złośliwie.

— Tobie się pewnie zdaje, że jesteś bohaterem chwili? Uspokój się, to wcale nie o ciebie chodzi.

— Nic mi się nie zdaje — Weiss nakrył rzęsami swoje migdałowe oczy i zarumienił się. — Mnie trochę żal Baobaba. Przecież to jego przyjaciel.

— Baobab nie jest dzieckiem — zarechotał Święcki, trzęsąc swym opasłym brzuchem — tyś zwariował, synu.

— Tyle razy cię prosiłem, żebyś tak do mnie nie mówił, Stefan — powiedział z wyrzutem Weiss.

— Nie kłóćcie się — przerwał Antek Kuźnar. Założył ręce w tył i śledził wzrokiem schody. Z góry, z trzeciego piętra, dobiegła wrzawa i tupot nóg. Poręcze zadygotały, na głowę Święckiego spadła para gim-

nastycznych pantofli, rozległ się krzyk i gwizd. W tej samej chwili ze schodów zwalił się dziki tłum VI A i VII B, które właśnie skończyły lekcje.

Święcki i Weiss zostali rzuceni o ścianę, Antek uczepił się poręczy, horda pospolitaków wzniecając kłęby kurzu parła z wrzaskiem do szatni.

— Gówniarze! — wrzeszczał Święcki szukając na ziemi okularów — chuligani!

Obok Kuźnara wyrósł nagle mały Leszek Zboiński z rudą czupryną niestrzyżoną chyba od kwartału.

— Baobab jest przy telefonie w kancelarii! — zawołał — zaraz powinien tędy przechodzić!

Kuźnar skinął głową. — Gdzie Olek Taras?

— A bo ja wiem? — machnął ręką Zboiński. — Zemknął po czwartej godzinie. Pewnie znowu poszedł na Smolną. Co to go wszystko obchodzi?

— Jego obchodzi Basia ze Smolnej — wytłumaczył Święcki — łazi za nią od dwóch tygodni.

— Znowu plotkujesz, Stefan — westchnął Weiss.

Święcki odgryzł spokojnie kawałek paznokcia i rzekł: — Stwierdzam tylko fakty, synu.

— Tarasem trzeba się będzie zająć — powiedział Antek marszcząc czoło. — Nie wolno mu tak postępować, należy do aktywu.

— Basia też należy do aktywu — zachichotał Święcki.

Chłopcy roześmieli się.

— Uwaga — mruknął malutki Zboiński odgarniając z brwi strąkowatą czuprynę — idzie Baobab. — Ustawili się obok siebie, Weiss ukrył się za szerokimi plecami Kuźnara, którego Święcki wypchnął nieco naprzód.

Na schodach ukazała się duża postać Morawieckiego.

2

Głos Steina brzmiał w telefonie spokojnie i po pierwszych słowach Morawiecki odzyskał równowagę. Ręka, w której trzymał słuchawkę przestała drżeć i, nie przerywając rozmowy, uśmiechnął się nawet do Agnieszki Nieborzanki, dyktującej maszynistce ogłoszenie o jakiejś wycieczce.

— Marceli — mówił półgłosem — dziękuję ci, że dzwonisz. Krystyna powtórzyła mi twoją diagnozę. Czy sprawa wygląda aż tak poważnie?

Rozumiem, rozumiem — skinął głową szukając ręką papierosów w kieszeni marynarki, podczas gdy brzęczący głos Steina wyjaśniał, że podobne wypadki medycyna zalicza do rzędu poważnych — mnie chodzi o co innego, Marceli: czy jest jakaś nadzieja? Nadzieja! — powtórzył głośniej schylając się nad aparatem. Maszyna ucichła. Agnieszka przerwała dyktowanie, nie chcąc mu widocznie przeszkadzać. Morawiecki usłyszał nagle swój głos wołający słowo: nadzieja, i przestraszył się, że do tego już doszło.

— Słucham, słucham! — krzyknął do aparatu, w którym coś zastukało — jestem, Marceli! — I odetchnął, czując jak koszula odlepia mu się od piersi: — O utracie nadziei nie może być mowy — zakomunikował daleki, niewidzialny Stein.

Morawiecki potarł trzecią zapałkę i nareszcie udało mu się zaciągnąć dymem.

— Jest zupełnie spokojna — odparł — znasz ją od tej strony. Wczoraj musiała mnie nawet pocieszać — roześmiał się nieco zbyt szeroko — tak, tak, poszła do biura. Więc mówisz, że...

Stein mu przerwał, nie mając zapewne wiele czasu. — Dobrze — zgodził się Morawiecki — jutro o 7 wieczór u Marca. Dziękuję ci, Marceli.

Odłożywszy słuchawkę musiał się opanować, by ukryć zbyt przejmujące wzruszenie. Stał przez chwilę na środku kancelarii i przyszło mu do głowy, że po raz pierwszy w życiu doznał tak pełnego uczucia szczęścia. Przeszedł się po kancelarii, przesuwając ręką przedmioty na biurkach i uśmiechając się do siebie. „Nie ma mowy o utracie nadziei" powtórzył szeptem. Spotkał jasny wzrok Agnieszki: — Koniec na dziś, panie profesorze?

— Gdzież tam! — roześmiał się — Antek Kuźnar i towarzysze zagięli na mnie parol. Chcą mnie uwięzić w klasie na jakąś zasadniczą rozmowę. A pani?

Ostatnia godzina z VI B — odpowiedziała, sprawdzając przepisany tekst — a potem wolność do jutra.

— Jeżelibym zdążył, to zajdę po panią i wstąpimy na kawę — rzekł Morawiecki wychodząc.

— Dobrze — skinęła głową.

„Nie ma mowy o utracie nadziei" myślał Morawiecki idąc na górę „czy on nie tak powiedział?" To by znaczyło, że mieli przed sobą dni, miesiące — lata, podobne do tych, jakie upłynęły. Lata rozmów, drobnych nieporozumień, kłopotów, niewielkich rozczarowań, lata średniej

szczęśliwości, lata o smaku wody. „Pieniądze wygrzebię spod ziemi" postanowił w duchu „wyprzedam się i zaczniemy wszystko od początku, jak wtedy, po ślubie".

Woźny Reśkiewicz stał na półpiętrze ze szczotką. — Co słychać, panie Reśkiewicz? — zagadał do niego przechodząc. Reśkiewicz odparł ponuro, że w X A chłopcy znowu wybili szybę. — No to świetnie! — ucieszył się Morawiecki i przeskoczył dwa stopnie, pozostawiając woźnego w osłupieniu.

Gdy znalazł się na pierwszym piętrze, nagle sobie przypomniał sprawę Działyńca, który nie przyszedł tego dnia do szkoły. „Może kiedy indziej, nie dziś" pomyślał z niechęcią. Chciał zawrócić na dół do szatni, ale było już za późno. Spotkał wbite w siebie cztery pary oczu. Kuźnar, Święcki, Zboiński i Weiss zastąpili mu drogę.

3

W klasie XI A na tablicy pozostał na pół starty wzór matematyczny, wyżej czyjaś ręka nakreśliła dużymi literami: „Niech żyje ludowa Korea!" — natomiast w prawym rogu u góry ktoś zapewne próbował narysować byka w okularach, o twarzy Morawieckiego, ale niezbyt udatnie.

Zboiński zamknął drzwi na klucz. Chłopcy zajęli miejsca koło okna; usiedli na pulpitach, zwiesiwszy nogi na ławki.

— O co chodzi? — zapytał Morawiecki spacerując po klasie. Przystanął przed tablicą i obejrzał byka. „Oczywiście Taras" pomyślał „ale przecież nie mam tak bezmyślnej mordy". — No? — odwrócił się, wzruszywszy ramionami — więc czym mogę wam służyć?

Antek Kuźnar szukał z namysłem odpowiednich słów.

— Pan wie, o co chodzi, panie profesorze — powiedział po chwili ciszy. Weiss opuścił długie rzęsy, Święcki udawał, że nagle go zainteresowała lampa wisząca nad katedrą, a Zboiński rozsupływał kawałek sznurka.

— Aha — potrząsnął głową Morawiecki — więc ja wiem, o co chodzi. Ale taki ze mnie obłudnik, że czekam, aby się dowiedzieć, po coście mnie tu zaciągnęli...

— To jest z naszej strony dowód zaufania — rzekł poważnie Kuźnar. Morawiecki poczuł na sobie jego szare, badawcze oczy. Stropił się trochę i odwrócił wzrok. — Zależy nam na pana zdaniu w tej sprawie

— Pewno! — pisnął dziecinnie Zboiński.

— Tutaj chodzi także o pana profesora — oznajmił Świecki przez nos.

„Aha" zrozumiał Morawiecki, „tu chodzi także o mnie. Polityczna kontrola nad bykiem w okularach, proszę, proszę". Przecierał szkła, szykując się do walki. Weiss przysiadł bokiem na pulpicie, było mu chyba trochę przykro: za nich, za siebie, za Morawieckiego; oparł głowę na ręku, mierzwiąc śniadymi palcami czarne, skręcone włosy.

— Słucham — odezwał się Morawiecki — może Weiss opowie, jak to było.

— Niech lepiej Antek mówi — rzekł półgłosem Weiss.

Kuźnar poprawiał sznurowadło; zawsze wynajdywał jakieś drobne czynności, by zyskać czas do namysłu. Morawiecki obserwował go z zainteresowaniem: mocno sklepiony, powolny, nieco przyciężki na swój wiek; krótko przystrzyżone włosy i szerokie szczęki dawały mu twardy, solidny kontur. Tacy nielekko się rodzą, ale skoro się już urodzą, niełatwo oddają życie. Morawiecki przymknął oczy i ujrzał cierpliwie uśmiechniętą twarz Krystyny. „Nie oddam twojego życia" pomyślał.

— Profesor Działyniec — usłyszał głos Antka Kuźnara — wystąpił wczoraj jako nasz przeciwnik ideologiczny.

— Jawny wróg! — poprawił zapalczywie Zboiński — co tu owijać w bawełnę! Działyniec się zdemaskował!

— Uspokój się, kruszyno — syknął Święcki — Kuźnar ma głos, potem będziesz piał. — Zboiński przechodził właśnie mutację.

Kuźnar położył ręce na kolanach; nie spuszczał oczu z Morawieckiego, który stał oparty o skraj katedry.

— Organizacja ZMP-owska — mówił, dokładnie oddzielając wyrazy — musi wyciągnąć z tego jakieś wnioski, panie profesorze. My nie możemy tej sprawy zaklajstrować, czy w ogóle o tym zapomnieć. Nasze obowiązki...

— Każdy ma swoje obowiązki — szepnął machinalnie Morawiecki. Weiss poruszył się na pulpicie, jakby chcąc coś powiedzieć. Morawiecki spotkał jego wilgotne niespokojne spojrzenie.

— Było tak, panie profesorze — wtrącił się z przejęciem Zboiński — siedzimy jakby nigdy nic, profesor Działyniec mówi o „Przedwiośniu". Patrzę na Antka, a to już było pod koniec lekcji, i tego, widzę, że Weiss wstaje... i słyszę, panie profesorze...

— Zamknij się — powiedział Święcki — daj mówić Kuźnarowi.

Zboiński zamachnął się ręką i o mało nie spadł z pulpitu; powstało chwilowe zamieszanie; był drażliwy z powodu małego wzrostu.

— Mam niecałą godzinę czasu — oświadczył Morawiecki — a w ten sposób daleko nie zajedziemy. Z organizacją u was nietęgo.

Kuźnar czekał spoglądając na nich spod brwi. „Kiedy on zdążył tak się wyrobić, ten mały?" zastanowił się Morawiecki.

— No tak — ciągnął powoli Kuźnar — wystąpienie profesora Działyńca dotyczyło „Przedwiośnia". Czy pan wie, co on powiedział? Powiedział, że Żeromski potępił w tej książce komunizm, jako ideologię obcą narodowi polskiemu.

— To draństwo... — rzucił przez zęby Zboiński i zerknął, czy go aby usłyszano.

— Metoda — wycedził Święcki — znam to na pamięć, mój synu.

— Na razie bez komentarzy — zaproponował Morawiecki. — Jeśli oczywiście chcecie, żebym dalej słuchał.

Odwrócił się do nich plecami i policzył do dziesięciu. Po kilku sekundach zaległo milczenie.

— No więc? — zachęcił Kuźnara, udając, że nie widzi, jak mały Zboiński zapala papierosa.

— Wtedy wstał Weiss, panie profesorze, i zaprotestował. Uważam, że miałeś prawo tak postąpić — mówił Kuźnar — właśnie ty. Weiss powiedział, że nie może się zgodzić z taką interpretacją „Przedwiośnia". Że według niego to jest wykrzywianie narodowej roli twórczości Żeromskiego. Tak powiedziałeś? — zwrócił się do Weissa.

— Zdaje się, że tak — szepnął Weiss, nie podnosząc głowy. Zapadło milczenie.

— To wszystko? — spytał Morawiecki.

— Nie — zaprzeczył Kuźnar — profesor Działyniec zwrócił się wtedy do Weissa. To słyszała cała klasa: „Ty, Weiss, masz na ten temat najmniej do powiedzenia". Pan rozumie, panie profesorze?

— I wyszedł z klasy! — zawołał Zboiński.

— Czy pan rozumie? — powtórzył z naciskiem Kuźnar. — Weiss ma na ten temat najmniej do powiedzenia...

Morawiecki zrozumiał. Józio Weiss w zeszłym roku rozstał się z matką i młodszą siostrą, które wyjechały do państwa Izrael. Stanowczo odmówił wyjazdu. Od kilku miesięcy utrzymywał się z korekt redakcyjnych i mieszkał u Święckich w jednym pokoju ze Stefanem. Działyniec o tym wiedział. Postępek Weissa był znany w kołach młodzieżowych i może sam Weiss najmniej chętnie o nim mówił. Morawiecki odwrócił się do okna, aby ukryć wzburzenie. Zobaczył dziedziniec

szkolny z dwoma słupami do koszykówki, ogrodzony drucianą siatką rozdartą w kilku miejscach.

— Więc jakie wnioski? — rzekł po chwili ciszy. — Wszystko to, prawdę mówiąc, nie jest dla mnie jasne.

— Nie jest jasne? — zasyczał drwiąco Święcki — pan profesor sądzi, że to jeszcze za mało?

— Nie łap mnie za słowa, Święcki — odparł spokojnie Morawiecki-- jesteś przecież geniuszem, a nie pułapką na myszy.

— Chcemy usłyszeć pana zdanie, panie profesorze — rzekł Kuźnar.

Morawiecki ujrzał nagle chudą twarz Działyńca i ogarnęła go bezsilna irytacja. Odwrócił się od okna.

— To nie jest dla mnie jasne, bo znam profesora Działyńca od lat. Być może, że różni się od was światopoglądem, ale jest uczciwym człowiekiem. Nie wierzę w diabły, które opętują ludzi. Jestem materialistą, Święcki. Wprawdzie nie tak obkutym jak ty, ale jednak.

Święcki uśmiechnął się z wyższością. Morawiecki poczuł rozdrażnienie. Naturalnie — ten węszy w nim wroga. W ubiegłym roku mieli dość przykry zatarg na lekcji historii. Święcki zarzucił mu tendencyjne zatarcie klasowych przyczyn upadku Powstania Listopadowego. W ataku mieścił się ów ton insynuacji, który Morawieckiego wytrącił z równowagi. Święcki go nie lubił. Za co? Przyznał mu przecie wtedy obiektywną część racji. Ale nie o to szło. Święcki nie lubił go za co innego. Śledził go, tropił ze złośliwością psychologa — nie tylko erudyty, który dawno prześcignął program szkolny, ale przede wszystkim psychologa, i to znawcy psychologii przestępczej. Morawiecki wiedział, że ten przenikliwy grubasek wypatruje w nim jakąś zasadniczą słabość, i skoro ją odkryje, nie będzie zwlekał z uderzeniem.

— Może pan profesor zbyt blisko zna profesora Działyńca? — powiedział flegmatycznie Święcki. — Czasami to przeszkadza.

Weiss drgnął jak ukłuty. — Stefan, proszę cię... — Kuźnar milczał, a Zboiński ściągnął brewki, chcąc wywrzeć wrażenie, że rozumie, o co chodzi.

— Tak — odparł Morawiecki — znam go dosyć długo... I ręczę wam, że nie chciał obrazić Weissa. Czy wy nie rozumiecie, jak trudno czasem z wami rozmawiać? Oczywiście, jesteście mądrzejsi niż my. Ale my — jesteśmy już trochę zmęczeni. Profesor Działyniec wykłada w szkołach średnich od dwudziestu lat. Wychował ze trzy pokolenia. W pewnym okresie miał się habilitować, był nawet niedaleko katedry uniwersyteckiej. No, ale jakoś mu się to nie udało. Czy wiecie, co to znaczy, kiedy

się coś człowiekowi nie udaje? Nie! widzicie tylko jego przypadkowe potknięcia i umiecie z nich natychmiast korzystać.

„Nie darowałby mi tego, co mówię" — pomyślał mimo woli.

— Przepraszam — zapytał półgłosem Kuźnar. — Pan to nazywa przypadkowym potknięciem, panie profesorze?

Morawiecki milczał. „Kto tu ma słuszność?" przemknęło mu przez myśl.

— Walka klasowa ma swój mechanizm — ziewnął Święcki ze znudzeniem pięćdziesięciolatka zamkniętego w dziecinnym pokoju.

— Mechanizm, o którym mówisz, polega często na tym, że się odmawia człowiekowi pomocy...

Morawiecki przerwał i przesunął po nich wzrokiem. Nie spotkał ani jednego spojrzenia.

— Ale proszę, mówcie wreszcie jasno, cóżeście postanowili w tej sprawie?

Chłopcy patrzyli na Antka Kuźnara. Święcki dał mu ukradkowy znak oczami, słychać było stłumione oddechy i skrzypienie ławek.

— My nie zgadzamy się z pana postawą, panie profesorze — odezwał się po chwili Kuźnar. — Aktyw zetempowski zgłosi wniosek do Rady Pedagogicznej o zawieszenie profesora Działyńca w funkcjach wykładowcy.

Morawiecki przystanął. Zdjął okulary i odruchowo potarł je o rękaw, mrugając powiekami. Ławki, ściany i twarze zlały się w mglistą szarawą plamę.

— Chcieliśmy pana o tym zawiadomić jako wychowawcę naszej klasy — uzupełnił Święcki, spoglądając nań ciekawie szparkowatymi oczami.

— Słuchajcie! — zawołał Morawiecki. — Przecież to czyste szaleństwo! Kuźnar, zastanów się! Jednym machnięciem ręki chcecie przekreślić człowieka?

Weiss nagle przesiadł się z pulpitu na parapet okna. Zmierzwione włosy przykryły mu czoło, kołysał niespokojnie długą, szczupłą nogą, nie widać było teraz wyrazu jego twarzy, gdyż światło padało nań z tyłu. Morawiecki wyczuwał kątem oka ów smukły, zatroskany cień, który go nie oskarżał.

— Panie profesorze — tłumaczył Kuźnar, starając się ukryć zdenerwowanie — myśmy wczoraj wieczorem u Stefana przedyskutowali nasz wniosek. Wystąpienie profesora Działyńca miało miejsce w obecności całej klasy. Pan wie, co to jest cała klasa. To nie tylko my, ZMP-owcy.

To są także niezorganizowani, no i tacy jak na przykład Knake... albo Tyborowicz... Woda na ich młyn. Profesor Działyniec ujawnił się jako nasz wróg. Fakt, panie profesorze. My nie przekreślamy ludzi, my tylko musimy unieszkodliwiać naszych wrogów.

„Subtelna różnica terminologii — pokiwał w duchu głową Morawiecki — jakiż ze mnie prostak".

— Po pierwsze — odparł odzyskując nagle ostry, dokładny spokój— trzeba najpierw wysłuchać drugiej strony. Do diabła, za kogo wy mnie macie?! Święcki, jeśli chcesz mi powiedzieć, że jestem zgniłym liberałem, to wiedz, że tu chodzi o prostą ludzką uczciwość! Człowiek sądzony staje się gorszy od nas, jest już przestępcą, chyba że sądzi sam siebie. Pozwólcie Działyńcowi osądzić siebie samego, nie róbcie z niego zbrodniarza, dajcie mu trochę czasu. Kto wie, może z nim pogadam. No, Kuźnar? Zboiński?... Święcki?... Rozegrajmy uczciwie tę partię.

Przypalił papierosa od Zboińskiego i czekał na odpowiedź, kierując szkła w stronę Kuźnara.

Ale Antek Kuźnar nie odpowiadał. Siedział nieco pochylony, mocno zaplatając palce rąk opartych łokciami o uda. Swoim milczeniem wyrażał nieufność do ostatnich słów Morawieckiego, a jednoczesnie nieokreśloną obawę przed dalszą dyskusją, która zapewne wydawała mu się niezbyt zrozumiała.

Morawiecki zbliżył się do niego. Położył obie ręce na pierwszym z brzegu pulpicie i mówił z ciężkim, powolnym namysłem:

— Jestem obywatelem tego kraju. Polski Ludowej. Staram się wszystko w nim zrozumieć. Jestem — jak wy to nazywacie — uczciwym bezpartyjnym inteligentem. Nie mam żadnych powodów do obaw, moja przeszłość jest czysta. Wolno mi mieć własny sąd o tej sprawie.

— To są frazesy, panie profesorze — odezwał się Święcki niemiłym, skrzypiącym głosem.

Kuźnar dał znak oczami, żeby przestał. Zboiński targał swoją rudą czuprynę. Morawiecki, nie patrząc na Święckiego, potrząsnął cierpliwie głową:

— Dobrze, więc pomówmy ze sobą bez frazesów. — Podszedł do tablicy i zaczął ją powoli wycierać. Gdy była już czysta, zwrócił się do Weissa: — Czy jesteś zupełnie pewny, że profesor Działyniec charakteryzując w ten sposób komunizm, wypowiedział to jako swój własny pogląd?

Weiss milczał, kołysząc nogą.

— Weiss, postaraj się myśleć bezstronnie. Czy człowiek przy zdrowych zmysłach mógłby dziś taką rzecz powiedzieć w obecności świadomych ZMP-ców? Może profesor Działyniec r e f e r o w a ł tylko błędną perspektywę ideologiczną „Przedwiośnia"? Jak myślisz?

Weiss przestał kołysać nogą. Ściągnął brwi i patrzył w twarz Morawieckiego z niepewną, zatroskaną ufnością.

— To jest bolesna książka, Weiss — tłumaczył Morawiecki, siadając koło niego na parapecie okna — ja rozumiem, że lubisz scenę. kiedy tłum robotniczy idzie na Belweder. Ale w intencji autora ta scena miała inne znaczenie, niż sądzisz. Tak, ostrzegał przed rewolucją... Czy myślisz, że ja dwadzieścia lat temu nie łamałem sobie nad tym głowy? Bagatela, zakończenie „Przedwiośnia"!... Wielcy pisarze czasem potrafią się mylić, Weiss. Przeczytaj, co Lenin pisał o Tołstoju. Czy dałbyś zetempowskie słowo, że profesor Działyniec nie interpretował w ten sposób błędu autorskiego?

— Nie wiem... Nie zastanawiałem się nad tym, panie profesorze... — szepnął Weiss.

— A wy? — rzekł Morawiecki spoglądając na Zboińskiego i Kuźnara.

Chłopcy zaczęli chrząkać, zmieszani. Święcki siedział nadęty, obgryzając paznokieć. Morawiecki nie dał im czasu zebrać myśli i mówił chodząc dużymi krokami po klasie:

— Nic nie ma tutaj pewnego, szanowni przysięgli. Nie ma zbrodniarza, nie ma przestępstwa i nie ma ofiary. Jeśli chodzi o krzywdę moralną, to przecież znamy naszego Weissa, który skoczyłby w ogień za każdą stroniczkę wielkiej literatury. I bodaj czy nie to profesor Działyniec miał na myśli: „Ty masz na ten temat najmniej do powiedzenia, Weiss, bo jesteś znany sensat, pięknoduch i romantyk!" A wy od razu wytaczacie oskarżenie o mord rytualny!

Zatrzymał się nieopodal katedry i przyjrzał im się ze swej potężnej wysokości. Czy nie oszukiwał tych chłopców, młodszych od siebie prawie o całe ludzkie życie?

„Nie, ja nie kłamię" uspokoił się w duchu. I poczuł niezmierną ociężałość uczuć, skołatanie, rozbicie myśli.

4

Agnieszka Nieborzanka natknęła się nań w szatni profesorskiej, gdy wkładał płaszcz. Zaczęła się śmiać i dopiero wtedy sobie przypomniał, że byli umówieni. Krystyna wychodziła z biura około 4-ej, miał więc jeszcze przeszło godzinę czasu. W gmachu szkolnym było już pu-

sto, gdy wychodzili. Na ulicy zmrużył oczy, świeciło blade, jesienne słońce. Poszli w kierunku placu Trzech Krzyży. Agnieszka szła nieco naprzód, w kurtce zarzuconej na ramiona, włosy miała tego dnia gładko sczesane do tyłu. Morawiecki nie odzywał się, można było przy niej milczeć. Po rozmowie z chłopcami czuł niemiłą czczość, został mu po niej pusty, rozdrażniony niepokój i znużenie. Najchętniej posiedziałby teraz sam przy filiżance kawy, aby zebrać myśli i rozważyć spokojnie wszystkie racje, swoje i ich. „Źle załatwiona sprawa" przyszło mu do głowy. Wiedział, że takie sprawy dają o sobie znać po pewnym czasie. W czasie zazwyczaj najmniej pożądanym.

Przystanęli w pobliżu gmachu Ministerstwa Przemysłu, przed którym stał rząd zaparkowanych aut.

— Zdaje się, że pan nie ma ochoty na rozmowę — powiedziała Agnieszka — pójdę już sobie.

Patrzyła na niego, przytrzymując ręką włosy rozsypywane przez wiatr. Morawiecki zaniepokoił się nagle, że może zostać sam.

— Niech pani nie odchodzi — uśmiechnął się — nudziarze potrzebują ofiar. Wypijemy kawę, a potem panią puszczę. Chodźmy stąd, tutaj zawsze panują przeciągi.

Obrzucił wzrokiem kościół odsłonięty z rusztowań, i starą kamienicę sterczącą na rogu Książęcej.

— Ten plac nigdy nie będzie ładny — mruknął pod nosem.

— Podobno mają przebić wylot na Wisłę — zauważyła Agnieszka, patrząc na budynek Instytutu Głuchoniemych.

„Plac podobny do mnie" myślał z ironią Morawiecki „stare graty obok nowych, bez ładu i składu, a w środku — Pan Bóg... i przeciągi".

Weszli do cukierni Galińskiego i zajęli miejsca w drugiej salce. Morawiecki przypomniał sobie, że tutaj spotykali się z Krystyną, jeszcze przed ślubem, w pierwszych miesiącach znajomości. Pochylił się nad stolikiem, usiłując odpędzić tę myśl. Wybierali zwykle miejsce w głębi, koło okna. Wisiał tam jakiś obraz, czy nie reprodukcja „Grunwaldu"? Kiedyś spóźniła się o pół godziny. Czekając, kreślił na marmurowym blacie jej imię palcem umaczanym w rozlanej kawie. Zastała go wpatrzonego w powalany stolik, nie zdążył zamazać imienia, gdy nadeszła i przy powitaniu poplamił jej nową rękawiczkę. Tak wyglądały jego oświadczyny. Czy to była jesień? Nie, wiosna, wczesna wiosna. Spóźniła się wskutek burzy, po wiosennej burzy poprosił ją o rękę. A zachorowała jesienią. Dwie pory odległych od siebie lat. Czas dzielący wiosnę od jesieni nie zawsze bywa czasem urodzaju.

Spostrzegł dłoń Agnieszki powoli mieszającą kawę w filiżance. Przyszło mu na myśl, że w oczach ludzi siedzących przy sąsiednich stolikach ich spotkanie mogło wyglądać na schadzkę. Agnieszka była przecież ładna. Żonaty mężczyzna z obrączką na palcu i młoda dziewczyna o czystych, spokojnych ustach. „Nie powinienem się z nią spotykać" pomyślał i ukrył rękę pod stolikiem.

— To stara kawiarnia — rzekł rozglądając się po sali — starsza chyba ode mnie. Jestem tu pierwszy raz po wojnie.

— Była, zdaje się, czynna w czasie okupacji — powiedziała Agnieszka.

— W tym czasie nie chodziłem do kawiarni — roześmiał się — siedziałem w oflagu II c. Woldenberg pod Piłą.

Skorzystał z nadarzającego się tematu i zaczął opowiadać o życiu w obozie jeńców. Agnieszka umiała słuchać. Wspomniał o pieszej drodze powrotnej do kraju i o długich tygodniach w Warszawie, kiedy szukał Krystyny, wywiezionej przez hitlerowców ze szpitalem powstańczym.— Odnaleźliśmy się dopiero pod koniec marca — wyjaśnił. — Pewnego dnia obudził mnie rano jej głos w sąsiednim pokoju. Rozumie pani, prawie po sześciu latach. Mieszkałem wtedy u Działyńca. No i tam mnie znalazła.

W bystrym, trochę pochmurnym spojrzeniu Agnieszki odczytał swoje ostatnie zdania i pożałował ich trochę. Po cóż było wspominać o Działyńcu, o tym, że u niego mieszkał — czy warto reklamować tę zażyłość? Morawieckiego ogarnął niepokój, lecz zanim zdążył zdać sobie sprawę z jego źródeł, przejęła go niechęć do samego siebie, za ową myśl. Usłyszał swoje własne słowa sprzed kwadransa: „Nie mam powodu do obaw, moja przeszłość jest czysta".

Wypił łyk kawy i odsunął filiżankę.

— Z Działyńcem znamy się około dwudziestu lat. Jeszcze z czasów uniwersyteckich.

— Słyszałam o tym — skinęła głową Agnieszka.

Ale Morawieckiemu to nie wystarczyło.

— Działyniec według mnie jest uczciwym człowiekiem — rzekł dobitnie. — Przeżywa teraz zły okres, tak, to prawda. Trzeba jednak zrozumieć...

— Czy pan rozmawiał z chłopcami? — przerwała Agnieszka.

Spotkał jej spokojny, jasny wzrok.

— Tak.

— I jaki rezultat?

— Właściwie żaden.

Opowiedział jej przebieg rozmowy. Nie wspomniał o złośliwościach Święckiego, zatrzymując dla siebie tę porcję dodatkowej goryczy. Przytoczył tylko argumenty Kuźnara i swoje własne.

— Zdaje się, że ich nie przekonałem — rzekł wzruszając ramionami — widzą w Działyńcu przeciwnika, nic ponadto. A psychologia wydaje im się wiedzą podejrzaną politycznie. Nawet taki rozsądny chłopak jak Kuźnar nie chciał mnie słuchać. Pod koniec wygłosiłem prawie mowę adwokacką! No, cóż? W ich wieku byłem złożony z samych wątpliwości... Ale oni jeśli mają jakieś wahania, to chyba takie jak żelbetowy wieżowiec: gdzieś tam na dwudziestym piętrze, trochę podobno się chwieje. A ja jestem stary, dwupiętrowy dom, jak wóz przejedzie ulicą, to ściany i szyby drżą. Nie dogadaliśmy się.

Podniósł na nią szkła i odgadł, że nie ma w niej sojusznika. „Schadzka" pomyślał drwiąco „schadzka, w czasie której trzeba uważać na każde słowo". Przyglądał jej się z żalem i ze zdziwieniem: ładna dziewczyna, o śmiałym i mądrym spojrzeniu, z płowym pasmem włosów nad surowymi brwiami, nie chciała go zrozumieć. Poczuł się nagle osamotniony. Skąd czerpali prawo, aby go osądzać? Był od niej starszy o prawie dwadzieścia lat, a od nich o przeszło dwadzieścia. Ogarnęło go senne znużenie, nie pojmował, po co siedzi z tą dziewczyną w opustoszałej kawiarni.

— Czy pan nie sądzi, panie profesorze, że Działyniec celowo sprowokował chłopców? — spytała Agnieszka obserwując go uważnie.

— Nie! — żachnął się Morawiecki. — Co za pomysł! — zastanowił się przez moment, jakby chcąc wybadać własne myśli, a potem powtórzył: — Nie!... nie...

— Jestem pewna, że tak — powiedziała Agnieszka. — I zdaje się, że pan w głębi duszy także. Nie chciał pan się do tego przyznać przed chłopcami... a teraz przede mną. Prawda?

— Niechże pani da spokój! — krzyknął prawie Morawiecki. Poprawił okulary i dodał po chwili oschle — Proszę mi nie przypisywać myśli, których nie mam i nie miałem. Nie jestem uczniem IV klasy.

— Odłóżmy tę rozmowę na później — szepnęła z ledwie dostrzegalnym uśmiechem — dziś pan jest zdenerwowany.

Morawiecki ciężko poruszył się na krześle.

— Przepraszam panią — rzekł spokojniej.

Agnieszka uniosła brwi: za co? Była zwolenniczką szczerych rozmów, nie cierpiała zakłamanych mieszczańskich konwencyj.

— Dziwna z pani dziewczyna — uśmiechnął się po chwili milczenia Morawiecki — ciekawe, co też pani myśli o takich ichtiozaurach jak na przykład ja?

Agnieszka nie odpowiedziała na uśmiech. Patrzyła nań poważnie, z życzliwym i ciepłym zainteresowaniem.

— Myślę, czy profesor Działyniec jest wart pańskiej przyjaźni — odparła. — Ale niech się pan nie gniewa, że tak mówię.

— To coś zupełnie nowego — mruknął zaskoczony.

Teraz z kolei uśmiechnęła się Agnieszka. Podniosła ręce, aby poprawić z tyłu rozsypane włosy. Morawiecki śledził jej każdy ruch spoza okularów.

— Ależ tu nie chodzi o przyjaźń! — protestował, gdy napomknęła, iż chłopcy odczuwają zapewne to samo, i właśnie dlatego, że go lubią, chcą w nim tę przyjaźń podważyć. — Ładna mi przyjaźń! Tyle akurat, żeby utrudnić mi ruchy, kiedy go próbuję wyciągnąć... Przyjaźń! Z Działyńcem nie potrafię się już porozumieć. Podzieliło coś nas i zdaje się, że ostatecznie...

Urwał, zmieszany, bo spostrzegł, że sam wkłada argumenty w jej ręce. Z Działyńcem nie kłócili się przecież o kolor liści jesienią, czy o porę kwitnienia bzu. Chciał wypić parę łyków kawy, ale filiżanka była już pusta. Zawołał kelnerkę: — Proszę jeszcze pół czarnej. — Czuł zdenerwowanie, niesmak w ustach, okulary mu się zapociły; najchętniej wyszedłby teraz, by uniknąć pytań Agnieszki.

— Dzień dobry — powiedziała kiwnąwszy głową. Przy sąsiednim stoliku usiadł mężczyzna w samodziałowej marynarce. Ukłonił się Agnieszce, po czym wyjął z kieszeni gazetę. Morawiecki milczał, skrępowany, patrząc w strużkę rozlanej na stoliku kawy.

Ale Agnieszka nie zadała żadnego pytania. Była niezbyt rozmowna. Morawiecki powoli odzyskiwał równowagę. Kiedy kelnerka podała pół czarnej, podniósł wzrok na Agnieszkę i uśmiechnął się z rodzajem wdzięczności:

— Mówię od rzeczy, przepraszam panią. Mam trochę domowych zmartwień. A poza tym rozmowa z chłopcami kosztowała mnie odrobinę nerwów. Jedno z drugim.

— Chcieli panu pomóc — powiedziała Agnieszka — oczywiście, na swój sposób. I nawzajem — od pana spodziewali się jakiejś pomocy.

— Są bardzo podejrzliwi — szepnął.

Agnieszka potrząsnęła głową.

— Po prostu zależy im na tym, żeby ludzie, których lubią, umieli

potwierdzać ich wyobrażenia o życiu. Jeśliby ich pan zawiódł, chyba nie darowaliby tego panu.

— A jeśli mnie coś zawiodło? — zapytał nagle Morawiecki.

Spotkał jej zatroskany, serdeczny wzrok i odwrócił oczy.

— Nie jestem w tej chwili niczego pewny — rzucił sucho. Przez parę minut panowało między nimi zakłopotane milczenie. „Po co to wszystko mówię?" pomyślał.

Agnieszka siedziała z lekko zmarszczonymi brwiami, podparta pięścią; zwichrzony kosmyk oddzielił jej się od włosów i opadł na skroń.

— Czy stykał się pan z Działyńcem podczas okupacji? — spytała po chwili, mieszając w zamyśleniu resztkę wystygłej kawy.

— Przecież byłem w oflagu — odparł zdziwiony — a on spędził wojnę w Warszawie.

— Tak — szepnęła Agnieszka — prawda. Był pan w oflagu.

Morawiecki spojrzał na zegarek: trzecia piętnaście. Sięgnął do kieszeni po drobne.

— Właściwie niewiele wiemy o ludziach — powiedziała Agnieszka jak gdyby do siebie.

Morawiecki uniósł brwi ponad szkłami.

— Są przecież ankiety personalne — zauważył z dobrodusznym humorem.

— Nie to miałam na myśli — odrzekła.

Kiedy wychodzili, mężczyzna siedzący przy sąsiednim stoliku przywitał się z Agnieszką. Morawiecki, ubierając się w szatni nieopodal wyjścia, widział jak rozmawiają stojąc na schodkach łączących dwie salki. Znajomy Agnieszki zdawał się jej coś tłumaczyć, często kiwając głową; gdy odpowiadała, słuchał uważnie i pocierał podbródek końcem palców. Był to dość młody, niewysoki człowiek, zażywny lecz muskularny, o różowych, czysto wygolonych policzkach.

— Rzeszot, sekretarz redakcji „Głosu Popularnego" — wyjaśniła w chwilę później Agnieszka — zamówił u mnie artykuł z terenu szkół ogólnokształcących.

— Gratuluję — rzekł Morawiecki z roztargnionym uśmiechem — będziemy mieli polskiego Makarenkę.

Agnieszka śmiała się tłumacząc, że musi od czasu do czasu dorabiać na boku, by związać koniec z końcem; nie potrafiła żyć z ołówkiem w ręku i zwykle przed pierwszym musiała pożyczać. Stali koło przystanku „Setki", przed którym ciągnął się sznur czekających ludzi; Morawiecki uprzytomnił sobie, że jak rok długi pamiętał ją zawsze w tej samej

skórzanej kurtce z kasztanowymi guzikami; w zimie przychodziła wesoła i zmarznięta, jej rumieńce i oszronione włosy wprawiały go zwykle w dobry humor.

— No, ja na Żoliborz — powiedziała wyciągając rękę. — Niech się pan nie martwi, wszystko będzie dobrze.

Przytrzymał jej dłoń. „Naprawdę? — pomyślał z przejęciem — „wszystko będzie dobrze?" Przypomniał sobie spokojny głos Marcelego w telefonie; „nie należy tracić nadziei, wszystko będzie dobrze, nie oddam twojego życia"; oto wielkie miasto pełne ludzi, człowiek nie może tutaj ginąć samotnie, nie jesteśmy sami na tym placu, ileż tu przechodniów.

Spostrzegł, że zbyt długo trzyma jej rękę, poczerwieniał nieco zakłopotany, Agnieszka także się zarumieniła odwracając oczy.

— Idę na Wiejską — wskazał za siebie — po żonę.

— Do widzenia — uśmiechnęła się Agnieszka.

— Jeszcze tylko słowo — mówił z namysłem patrząc ponad jej ramieniem na jezdnię, przez którą przechodzili ludzie — niech mi pani powie: co zamierzacie zrobić w sprawie Działyńca? Czy organizacja partyjna przychyli się do wniosku ZMP-owców?

Agnieszka potrząsnęła głową:

— Nie wiem — odparła — nasze uchwały zapadają kolektywnie. Zresztą jak dotychczas mamy tylko jednostronne informacje.

— Czy wyjaśnienia Działyńca będą brane pod uwagę?

— Sądzę, że tak. Wiele zależy od jego postawy. Jeśli swoim zachowaniem potwierdzi opinie chłopców...

— Przypuśćmy, że nie potwierdzi.

— Trudno wszystko z góry przewidzieć — zachmurzyła się Agnieszka. I dodała cieplej, widząc jego zatroskaną twarz — Niech pan zrozumie, panie Jerzy. Działyniec dał powody do wzmożonej czujności. Trudno się zgodzić, żeby ZMP-owcy dyktowali Radzie Pedagogicznej warunki, ale z drugiej strony nie można tolerować wrogów w roli wychowawców. Decyzja musi pójść po linii...

— Tak — skinął Morawiecki — rozumiem. Do widzenia.

Dotknął ronda kapelusza i odszedł szybko w stronę Wiejskiej. Lecz po kilku krokach zawrócił. Zatrzymał ją na skraju chodnika, pod zapalonym sygnałem.

— Przepraszam — mruknął — a co pani właściwie o nim sądzi? o Działyńcu?

Agnieszka przypatrywała mu się ciekawie.

— Mój Boże — szepnęła po chwili kręcąc głową — czy pan myśli, że można wszystko o człowieku wiedzieć?

— Sam nie wiem wszystkiego o sobie — rzekł Morawiecki patrząc jej w twarz.

— Może się mylę co do pana — odparła powoli — ale nie wygląda pan na człowieka, który oszukuje.

Odgarnęła skręcone pasmo znad brwi, jakby jej przeszkadzało go widzieć.

— Czy coś się stało? — spytała.

Gdy milczał, dotknęła jego ręki i powtórzyła, że wszystko będzie dobrze. Zapalił się zielony sygnał.

— Do widzenia! — zawołała odchodząc — niech pan pozdrowi ode mnie swoją żonę!

— Dziękuję... — odparł Morawiecki stojąc z kapeluszem w ręku.

5

Wyszli z Wilczej i skręcili na prawo w Aleje chrzęszcząc stopami po zeschłych liściach; na ziemi, trawnikach i pustych ławkach pełno ich było. Wlekli się w milczeniu, kołysząc teczkami lub założywszy je z tyłu na grzbiecie. Nikt nie miał ochoty rozmawiać. Weiss szedł zamyślony z rękami w kieszeniach, przyglądając się liściom; od czasu do czasu przystawał, aby obejrzeć jakiś ładniejszy okaz. Było dość ciepło, choć co parę chwil podnosił się wiatr, strosząc rude włosy Zboińskiego, który trzymał się blisko Antka Kuźnara. Święcki oddzielił się od reszty; dreptał przodem, zerkając na przejeżdżające auta, jak zwykle obojętny w obliczu natury. Przy kiosku na Rozdrożu wypili po kuflu ciemnego piwa i ruszyli dalej w stronę Bagateli. Zboiński rzucił kamień psu, który się do niego przyplątał, Kuźnar pogwizdywał przez zęby, przyglądając się w zamyśleniu ludziom siedzącym na ławkach. O tej porze w Alejach było już pustawo, trolejbusy z ciężkim szumem toczyły się po asfalcie krzesając sine iskry na spięciach przewodów.

Tak doszli do Belwederu i przystanęli patrząc w głąb na biały budynek z kolumnami, przed którym stały dwa samochody. Wokół pałacu panowała cisza, jasne płyty dziedzińca świeciły w słońcu. Gapili się przez chwilę w oszklone wejście, jakby chcąc stwierdzić, czy wszystko jest tutaj w porządku. Święcki wciągnął brzuch i wysunął nieco naprzód głowę, otworzywszy z przejęciem rybie usta. Zboiński przypatrywał się z uznaniem warcie stojącej przy bramie. Kuźnar przestał gwizdać i stał między nimi, przytrzymując oburącz wypchaną teczkę,

skupiony i uważny. — Chodźmy — szepnął Weiss stojący za jego plecami. Zawrócili powoli. Święcki trącił Zboińskiego zapatrzonego w dowódcę warty i odeszli.

— Jesteście gnojki — mówił w chwilę później Święcki, gdy usiedli na ławce przed wejściem do Łazienek — Baobab zjadł was w kaszy. Gdyby nie ja, w końcu przyznalibyście mu rację.

— Gdyby nie ty!... — przedrzeźniał obrażony Zboiński, który wziął to oczywiście do siebie — Gdyby nie ty! Eech! — splunął na żwir i odwrócił się do niego plecami.

— W każdym razie nie przekonaliście go — wycedził Święcki — a co do Weissa, w ogóle szkoda gadać. Zachowałeś się jak mięczak.

Weiss siedział przygarbiony na skraju ławki huśtając teczkę między kolanami.

— Nie — odpowiedział półgłosem — to nie o to chodzi. — I po chwili dorzucił ciszej — Jemu dziś było trudno rozmawiać.

— Dlaczego? — zdziwił się Zboiński. Podniósł rudy łepek znów zaniepokojony, że czegoś nie rozumie.

— Nie wiem — szepnął Weiss.

Święcki zasyczał z irytacji.

— To może weźmies go za łąckę i zaplowadzis do doktola? Może pan doktól powie, co mu jest?

— Nie wygłupiaj się — powiedział oburzony Zboiński. — Wszystkich się dziś czepiasz.

Umilkli zachmurzeni. Weiss podniósł niespokojny wzrok na Antka. Przypatrywał mu się przez chwilę spod czarnych rzęs. Ale Kuźnar zdawał się myśleć o czymś innym. Weiss opuścił oczy.

— Działyniec jest nerwowy... — zaczął z wahaniem — możeśmy go...

Święckiemu zbielał nos ze złości.

— Hitler też był nerwowy — zagulgotał. — I bardzo lubił dzieci. Kwakrzy amerykańscy uważają, że faszyzm należy leczyć psychoanalizą. Wszyscy jesteście gnojki.

Przez chwilę panowała ponura cisza. Zboiński obserwował z niesmakiem dziecinny wózek, w którym wyło niemowlę w włóczkowej mycce.

— Nie rozumiem Morawieckiego — odezwał się Kuźnar. — Czy on jest wobec nas szczery?

Wstał z ławki, przeszedł się parę kroków i znowu usiadł między Weissem a Święckim.

— Brak nam praktycznej znajomości ludzi — dodał z zasępieniem.

Podniósł kawałek żwiru z ziemi i obracał go w palcach.

— Mówiłeś niedawno, że Baobab to fajny gość — zauważył niepewnie Zboiński.

— Uhm — skinął głową Antek — mówiłem. Ale to było przed dzisiejszą rozmową. Okazało się, że źleśmy ją przeprowadzili. To znaczy, że nie znaliśmy go. No i Stefan, tyś nam trochę popsuł.

— On jest zakłamany — powiedział Święcki zakatarzonym głosem — dlatego mnie tak denerwuje.

— Czepiałeś go się co drugie słowo. Ostatecznie, obowiązuje nas jakaś taktyka. A ty...

— Gruby wieprzu! — wrzasnął Zboiński — Słyszysz? Wszystko przez ciebie!

— A ty od razu potraktowałeś go jak wroga — dokończył Kuźnar.

— On czyta do poduszki wyższą matematykę, nie? — urągał Zboiński kopiąc Święckiego w kostkę — Co my dla niego znaczymy! Mięta.

Święcki ani drgnął. Wytarł nos i siedział z jadowitym spokojem.

— Morawiecki nie jest naszym wrogiem — szepnął Weiss podnosząc teczkę, która mu spadła na ziemię.

— Józek — mruknął Kuźnar — ty go za bardzo lubisz.

Wszyscy spojrzeli na Weissa, który jeszcze bardziej posmutniał i przestał huśtać teczkę.

— Ja też go lubię — zachrypiał nagle Zboiński. Znowu strzyknął śliną, a potem smutno zwiesił głowę.

— Tak — przyznał Kuźnar kręcąc głową — to prawda, my go jednak lubimy.

Święcki zasapał ze wściekłości.

— Nie mam tu nic do roboty — oświadczył czerwony jak pomidor — ślińcie się, ale beze mnie. Ja idę. Jedno co wam mogę poradzić: czytajcie „Krótki kurs" i „Zagadnienia leninizmu". Idę!

Rzucał się jak karp na kuchennym stole, ale nie wstawał z ławki. Nikt nań nie zwracał uwagi.

— Pamiętacie — mówił w zamyśleniu Zboiński — jak Tyborowicz w zeszłym roku powiedział, że polski „ruch narodowo-radykalny" przed wojną posiadał zdrowe pierwiastki? I jak Baobaba krew wtedy zalała?

— Wyrzucił go za drzwi — powiedział Weiss.

— Myślałem, że go szlag trafi, taki się zrobił czerwony, nie?

— Aha — rzekł Kuźnar — Morawiecki zachował się wtedy jak pierwszorzędny gość.

Zamyślili się, patrząc na liście poruszane wiatrem.

— A historia z Witkiem Łuczyńskim? — odezwał się Weiss — Pamiętacie?

— Nie — zaciekawił się Zboiński — ja nie pamiętam.

— Boś ty jeszcze wtedy chodził do szkoły na Żoliborzu — wytłumaczył Kuźnar — to było dwa lata temu. Stary Łuczyński umarł i Witek nie miał z czego żyć. Morawiecki wypłacał mu przez rok na utrzymanie. Ze swojej pensji.

— Ccie... — cmoknął Zboiński z zachwytem.

— Przez cały rok nikt o tym nie wiedział, rozumiesz? — dorzucił Antek.

Święcki, który udawał, że nie słucha, powiedział mrugając oczami:

— Wziął słowo honoru od Witka, że nie puści o tym pary z ust. Dopiero jego ciotka wygadała się dyrektorowi.

Wszyscy spojrzeli zdziwieni na Święckiego, który po tych słowach kichnął i odwrócił się do nich plecami.

— Ja — odezwał się po chwili Weiss — znam go najdawniej z was wszystkich. — Skubał palcami ciemny puch nad górną wargą, jak zawsze gdy chciał coś powiedzieć o sobie.

— Poszedłem wtedy pierwszy raz po wojnie do szkoły. To był wrzesień 1945 roku. Miałem wtedy dziesięć lat. Po okupacji byłem bardzo nerwowy — tłumaczył Weiss — i kiedy skończyły się lekcje, pierwszego dnia, zamknąłem się w klozecie. Czekałem, aż wszyscy wyjdą. Jak zrobiło się zupełnie cicho, to dopiero wtedy wyszedłem. Ale na ulicy, przed bramą, znowu zacząłem się bać. Stałem z tornistrem na plecach i nie mogłem zrobić kroku naprzód. Nagle słyszę, że mnie ktoś pyta, dlaczego nie wracam do domu. Patrzę, stoi przede mną duży człowiek w okularach i przygląda mi się jakoś dziwnie. Chciałem uciec, ale on mi zagrodził drogę i pyta, jak się nazywam. „Józef Weiss" odpowiadam. A on się nawet nie uśmiechnął, tylko pokiwał głową i powiedział: „Bardzo mi przyjemnie. Ja się nazywam Jerzy Morawiecki". Podał mi rękę, a potem zapytał, czy nie mam ochoty pójść z nim na lody. „Na Targowej jest lodziarnia — mówi — postawię ci dużą porcję i porozmawiamy". Szkoła była wtedy na Ząbkowskiej. Postawił mi wtedy dwie porcje z kremem, a kiedy zjadłem, zapytał, czy moi rodzice żyją. Odpowiedziałem, że mieszkam z matką, a ojca zabili hitlerowcy. „Przez ostatni rok mieszkaliśmy w skrytce nad chlewem" powiadam. On wtedy zdjął okulary i długo je czyścił chustką. Potem zapytał, czy ja się jeszcze boję. Powiedziałem, że tak i zdaje się, że zaczęłem płakać. „Nie masz się już czego bać" — powiedział — „daję ci słowo, że nikt ci nic złego

nie zrobi". Otarł mi nos swoją chustką i dodał: „Daję ci na to słowo honoru. Hitlera już diabli wzięli, a w Polsce teraz rządzą dobrzy ludzie". I ja mu wtedy uwierzyłem.

— Następnego dnia dowiedziałem się, że mnie przenieśli do oddziału A, gdzie on był wychowawcą — zakończył cicho Weiss. — I odtąd przestałem się bać.

Chłopcy wysłuchali tej historii z uwagą, pełną namysłu. Święckiemu piało w nosie.

— Co za człowiek! — zastanowił się po chwili Zboiński — pokręcony jakiś, czy co? Dlaczego nie chciał dzisiaj po ludzku z nami gadać?

— Przeszkadzało mu coś — westchnął Weiss — czułem od początku, że przyszedł dzisiaj jakiś nieswój. Nic mi nie powiedział o moim referacie.

— Rzeczywiście? — zainteresował się Święcki — Nic ci nie powiedział o twoim referacie?

— Ani słowa.

— To ciekawe — mruknął Święcki — a obiecał, że dziś z tobą o nim porozmawia.

— Jeszcze się nigdy nie zdarzyło — potrząsnął głową Zboiński — żeby on nie dotrzymał słowa.

— To prawda — potwierdził Kuźnar — w tych sprawach jest solidny.

Wstał z ławki i patrzył na nich marszcząc czoło.

— Trudno — wzruszył ramionami — nie możemy już się z tego wycofać. Morawiecki to jedna sprawa, a Działyniec — druga. Co o tym myślisz, Stefan?

— Ja już się wypowiedziałem — gdaknął Święcki — Działyńcowi trzeba patrzeć na ręce. Dałbym głowę, że... Zresztą sami wiecie.

— Nie mamy dowodów — powiedział Antek.

Święcki zachichotał:

— Rewolucja to nie jest proces sądowy. Kiedy poczuje cios, sam puści farbę.

— Albo się lepiej zamaskuje...

— Nie na długo, mój synu. Wróg musi działać i w końcu się ujawnia. Zresztą, nie możemy ustąpić, bo Tyborowicz, Knake i spółka zaczną traktować ZMP-owców jak mydłków.

— Baobab będzie przeciw nam — rzucił Zboiński — może nie powinniśmy się byli wdawać w tę sprawę. — I zerknął na Antka, zaniepokojony, czy nie powiedział głupstwa.

— Gdyby twój stary tak myślał!... — zatrząsł się Święcki.

Ojciec Leszka Zboińskiego, członek Rady Zakładowej w dawnej fabryce Gerlacha, obecnie „imienia Świerczewskiego", był starym działaczem robotniczym i KPP-owcem.

— Więc podtrzymujemy nasz wniosek — rzekł Kuźnar.

Zboiński machnął ręką. Weiss milczał. Święcki uśmiechał się zgryźliwie. Od strony Bagateli maszerowała kompania kadetów, prowadzona przez młodziutkiego porucznika w czapce z czerwonym otokiem. W ostatnim szeregu szli czterej malcy w długich spodniach, z wysiłkiem drepcząc za kolumną.

Chłopcy wstali z ławki i patrzyli ze skraju chodnika, wymieniając fachowe uwagi. Kadeci strzygli ku nim oczami spod daszków. — Czołem! — zawołał Zboiński, który poznał w przedostatnim szeregu swojego kuzyna, Stasia Górkę, syna przodownika pracy z warszawskiej elektrowni — Przyjdź w sobotę! Mam dwa bilety do „Palladium"!

Górka kiwnął głową, wybijając krok na asfalcie.

— Znowu był nalot na Phenian — powiedział Kuźnar rozwinąwszy gazetę, gdy wrócili na ławkę. — Bomby o spóźnionym zapłonie. Setki ofiar wśród kobiet i dzieci.

— Dostaną jeszcze za swoje — warknął Zboiński.

Zaczęli rozmawiać o wojnie w Korei i o rokowaniach, które utknęły na martwym punkcie, gdy nagle Święcki wytrzeszczył oczy i trącił łokciem Weissa. Wszyscy umilkli i skierowali wzrok pełen pogardy w stronę Rozdroża, skąd zbliżała się ku nim drobna figurka Olka Tarasa, który z daleka kiwał do nich ręką.

— Odprowadził już Basię — zauważył ponuro Zboiński.

— Pewnie myśli, że mu zazdrościmy... — Święcki znowu był wściekły.

— Obrzydliwy nawalacz!

— Niech mu się nie zdaje, żeśmy go zauważyli.

— Złoży samokrytykę na kole klasowym...

— Mandolina...

— Cacuś...

Taras, muskularny blondynek o błękitnych oczach, napotkał cztery zimne, wzgardliwe spojrzenia patrzące poprzez niego w daleką perspektywę Alei.

— Cześć! — zawołał z niewinnym uśmiechem. — No? Rozpracowaliście Baobaba?

Przysiadł na skraju ławki i przytrzymując teczkę łydkami, wyjął kieszonkowy grzebyk, by przyczesać nieskazitelną fryzurę.

— Ciebie rozpracowujemy — rzekł grzecznie Zboiński, odsuwając się od niego.

— A bo co? — zdziwił się Taras, szeroko otwierając swoje dziewczęce oczy.

— Jesteś niespołeczne bydlę — stwierdził Święcki.

— Cyniczny zgniłek — dorzucił Zboiński, który niedawno przeczytał to określenie.

— Jak mogłeś nawiać przed rozmową z Morawieckim? — powiedział Weiss — przecież wiedziałeś, że mamy dziś z nim gadać, Olek?...

— I nawet nie uznał za stosowne się usprawiedliwić — podsumował Kuźnar.

— On żyje w świecie miłości — zarechotał Święcki — „Czy pamiętasz tę noc w Zakopa-a-nem?..."

— Helo, boy? — pisnął radośnie Zboiński — Jak się panu podoba coca-cola?

Taras wysłuchał tego z godnością, poczem rzekł trzepocząc naiwnie rzęsami:

— A ja myślałem, że chcecie iść w niedzielę na mecz. Gra CWKS z łódzkim Włókniarzem.

Zapadło głuche milczenie.

— Co ma z tym wspólnego CWKS? — szepnął po chwili Zboiński, z uprzejmą obojętnością unosząc lewą brew.

— Jakto, co ma wspólnego? — zdumiał się Taras — przecież mówiłem wam, że ojciec Basi pracuje w GUKKF-ie.

— Hm — mruknął Kuźnar poruszony — no i co?

— No i może nam się wystarać o bezpłatne bilety na mecz.

W czterech sercach toczyła się przez chwilę rozpaczliwa walka, poczem Święcki wydał z siebie bulgoczący odgłos:

— Masz?

Taras wyjął spokojnie pięć karteczek i zaszeleścił nimi z miną anielskiego kusiciela.

— Ale samokrytykę złożysz? — powiedział nieufnie Kuźnar wyciągając rękę.

Taras westchnął i rozdał bilety. W chwilę później, trzymając się pod rękę, pogodzeni i zagadani, płosząc wróble skaczące wśród opadłych liści, szli wspólnym, rozkołysanym krokiem w stronę przystanku na Rozdrożu.

(Dalszy ciąg nastąpi) **Kazimierz Brandys**

MOJA ZIEMIA JEST SŁODKA

Moja ziemia słodka dla obcych
jest bardzo gorzka dla swoich,
moja ziemia słodka dla obcych
ma wiecznie zielone wiosny,
ma wiecznie zielone wiosny,
nad nią słońce z żółci stoi.

Ach, czysty błękit spokojny
nie współczuje twojej żałobie,
Ach, czysty błękit spokojny,
widać, Kubo, Bóg dał tobie,
widać, Kubo, Bóg dał tobie,
ten błękit czysty, dostojny!

To gitara, ten ptak z drewna
dał mi z dziobka swoje śpiewki,
to gitara, ten ptak z drewna.
Ja ci powiem, Kubo biedna,
że twe palmy wzrosły ze krwi,
że twe palmy wzrosły ze krwi,
że jest z łez twe morze bez dna!

Pod twoim uśmiechem miękkim,
ja ci powiem, Kubo biedna,
że krew widzę, słyszę jęki
pod uśmiechem twoim miękkim,
krew i jęki
pod uśmiechem twoim miękkim,
krew i jęki
pod uśmiechem twoim miękkim,
krew i jęki.

Człowiekowi w głębi lądu,
który na wsi się pogrzebał,
innej śmierci już nie trzeba,
człowiekowi z głębi lądu.
A zaś człowiek ze stolicy
to jest, Kubo, człowiek w nędzy;
chodzi głodny, bez pieniędzy
jak ten żebrak, po ulicy,
tańczy, chociaż nie ma chleba,
nie unika towarzystwa.
(Mój son kłamstwa się wystrzega,
a to prawda najprawdziwsza).

To Jankesów, to Hiszpanów,
proszę panów,
ziemia nam się dostała,
gdzie na biednego spadała
pięść Jankesów lub Hiszpanów.
Właśnie tak!
Samotna wśród oceanów
ziemia się nam dostała!
Gdy dłoń słabsza nie ulega,
uściśnij rękę odważną,
gdy dłoń słabsza nie ulega,
biała, czerwona czy czarna,
biała, czerwona czy czarna,
uściśnij ją zaraz, nie czekaj.

Pewien marynarz z Ameryki,
dobrze,
w jednej z portowych uliczek,
dobrze,
Pewien marynarz z Ameryki
chciał mi raz wyciąć policzek,
chciał mi raz wyciąć policzek,
ale tam został na wieki,
dobrze,
ale już został na wieki,
dobrze,
ale już został na wieki
pewien marynarz z Ameryki
w jednej z portowych uliczek,
gdzie chciał mi wyciąć policzek,
dobrze!

SON NUMER SZÓSTY

Jestem Yoruba, w mowie Yoruba
płaczę.
Czarnych Yoruba
pełna jest Kuba,
płacz Murzyna Yoruba
niechaj usłyszy Kuba,
ja wam wyśpiewam, wesoły Yoruba,
śmiechy i płacze.

Yoruba jestem,
nie inaczej,
śpiewam i płaczę.

A gdybym nie był Yoruba,
to byłbym Kongo, Mandinga, Karabali,
bo różnych Murzynów ma Kuba.
A mój son brzmi:

Oto zagadka,
nadzieja nasza:
moje jest twoje,
twoje jest moje,
krew nasza płynie
jednym zdrojem.

Palma, palma, zielony kołpak,
ojciec, ojciec i jego chłopak
żmija, żmija, złocisty robak.

Son gorący w tańcu się pali,
niechaj go tańczą czarni, biali,
pierś przy piersi,
szklanka przy szklance,
woda i woda i rum w karafce!
Murzyn Yoruba, Lukumi,
Mandinga, Kongo, Karabali.
Różnych Murzynów ma Kuba. A mój son brzmi:

Myśmy złączeni już od dawna,
młodzi i starzy,
czarni i biali, wszyscy zmieszani,
ten jest panem, ten poddanym,
wszyscy zmieszani,
Święty Benedykt i ów poddany,
wszyscy zmieszani,
czarni i biali od bardzo dawna
wszyscy zmieszani,
święta Maryja i ten poddany
wszyscy zmieszani,
wszyscy zmieszani, święta Maryja,
święty Benedykt, wszyscy zmieszani,
wszyscy zmieszani, święty Benedykt,
święty Benedykt, święta Maryja,
święta Maryja, święty Benedykt,
wszyscy zmieszani!

Jestem Yoruba, Lukumi,
Mandinga, Kongo, Karabali.
Różnych Murzynów ma Kuba. A koniec sonu brzmi:

Słuchaj, Mulacie:
dość dumy, bracie,
a i biały niech z nami zostanie.
I niech stąd nikt nie odchodzi,
patrzeć nie przestaje,
słuchać nie przestaje,
niech pić nie przestaje,
niech jeść nie przestaje,
niech żyć nie przestaje,
bo ten wspólny taniec nigdy nie ustanie!

SON KUBAŃSKO-WENEZUELSKI

Nic, że to gitara moja,
śpiewaj, Juan Bimba,
będę ci wtórował!
— Śpiewam na Kubie w Wenezueli,
a piosenka snuje się tak:
Jaka gorzka jest ta nafta,
karamba,
ach, jaka ta nafta gorzka,
karamba,
kubańskiego cukru ma smak!
Śpiewaj, Juan Bimba,
będę ci wtórował!
Na mym kraju ciemna plama,
cudzoziemska, obca łapa,
zna ją dobrze już Hawana;
ach, biedny kubański sztandar,
biedny Wenezueli sztandar,
tu i tam pięść cudzoziemska,
amerykańska, angielska,
z zagranicy nami włada!
Śpiewaj, Juan Bimba,
będę ci wtórował!
— Hej, Zamora, stary druhu,
zeschłe kości prędko zbieraj,
zbudź się i już nie umieraj,
zostaw swoich trupich kumów,
sprawy tutaj są podobne
do spraw w sześćdziesiątym roku:
bogacz zawsze brzuch napełnia,
kiedy innych ściska bieda,
a gdy przychodzi do płacenia,
biednych ze skóry obdziera.

Śpiewaj Juan Bimba,
będę z tobą śpiewał!
Chodzę pieszo, stojąc pijam,
gdym potrzebny, idą po mnie,
moje łóżko jest wygodne,
bo na gołej ziemi sypiam.
Taka moja śpiewka cała,
chociaż zamiast śpiewać — gadam,
dziś na ucho opowiadam,
bo to między nami sprawa,
ale taki dzień się zbliża,
że już tylko będę krzyczał!
Krzycz, krzycz, Juan Bimba,
będę ci wtórował!

ROZMOWA O MURZYNIE

Rozmawiałem z gołąbkiem,
który latał nad Nowym Yorkiem:
choć latał wysoko,
nie widział wokół
ni gwiazdy, ni żadnego kwiatu.
Tylko kamień i dym
i dym i ołów
i ołów i płomień
i płomień i kamień i ołów i dym
wszędzie był.

— Gołąbku, czyś nie widział
we łzach Murzyna?
— Nie.
— Czy Murzyn śpiewał?
— Tak.
Gdy ujrzał mnie,
pozdrowił,
głos nastroił
i zaśpiewał tak:

— Mam ja kawałek marzenia,
gołąbku,
dostałem go od marzyciela:
z tego marzenia, gołąbku,
wytnę i rzucę w świat
gwiazdę i kwiat.
(Gwiazdę i cały jej blask
i cały blask, jaki ma kwiat).

— Mam ja kawałek piosenki,
gołąbku,
od śpiewaka go dostałem:
z tej piosenki, gołąbku,
złożyć chcę
hymn i śpiew.
(Hymn będzie przeciw lynchowi,
śpiew ma służyć pokojowi)

— Mam ja kawałek żelaza,
gołąbku,
dostałem go od kowala:
z tego żelaza, gołąbku,
ot, jaki robię sprzęt:
młot i sierp.
(Kuję młotem, kuję,
sierpem tnę i tnę)

ELEGIA NA ŚMIERĆ JESUSA MENENDEZA*

(fragment)

I

... zbrojny
w odwagę raczej niż w stal
(Gongora)

Trzcina kładła się i wstawała
w rozpaczy wyciągając rozchwiane
ramiona.
Trzcina śmierć zwiastowała,
wiedziała, skąd padnie strzał.
Wskazywała ci krwawego kapitana,
kapitana ze skóry i ołowiu,
całego ze skóry i skóry,
całego z ołowiu, ołowiu i ołowiu,
z ukrytym pistoletem kapitana.
Z jakim bólem to mówiła,
gdy cię uprzedzała
trzcina
zrozpaczona
wyciągając
ramiona!

*) Jesus Menendez, komunista, organizator i przewodniczący Związku Zawodowego Robotników Przemysłu Cukrowniczego na Kubie, został zamordowany przez oficera kubańskiego w 1948 roku.

On tam czyha
z otwartymi głodnymi ustami,
gotuje się do skoku,
drgające mięśnie napina
z ukrytym pistoletem kapitan.
On tam czyha
i węszy pod wiatr
krew twoich żył,
krew już niemal przelaną,
a oczy wbił w twoje plecy,
a nienawiść wbił w twój głos
z ukrytym pistoletem kapitan.

Tak trzcina
mówiła
zrozpaczona
wyciągając
ramiona.

Szedłeś pośród trzcin uśmiechnięty,
wielki i płonąłeś nieugięty.
Gęsta słodycz w twoim głosie wodza,
każde słowo niby piorun w nocy
błyska i bije w Yankesów po kolei.

Aż nagle wystrzał
huknął. Cios utkwiony
na ostrzu huku
i kapitan z ołowiu i ołowiu
i ołowiu,
kapitan ze skóry i skóry
i skóry,
kapitan mordu i mordu
i mordu
tarza się w twojej krwi, w twojej krwi,
we krwi!

II

... wiele akcji poszło w górę.
(New York Herald Tribune, dział finansowy.)

A potem
między wieżami nocnych straży
przelała się słoneczna krew
z jednego do drugiego morza.
Potem arteria rozdarta
wylała kwaśnawą strugę na cukier;

oto krew wystawiona na sprzedaż,
jej wartość rankiem notują na giełdzie,
wpisują na zawrotną taśmę
jadowitą, pełznącą, niby długa
żmija, pokryta tatuażem
nieskończonego szeregu cyfr i zbrodni.
Kursy akcji idą w górę
lub spadają o pół punktu.
Pożyczki wieczyste przynoszą
do pięciu procent rocznie.
Cuban Atlantic Company
miała, na przykład
wczoraj, we wtorek
kurs dwadzieścia dziewięć i pół, czyli spadła o dwa punkty;
La Punta Alegre Sugar Company
przy zamknięciu notowań stała wyżej o jedną ósmą punktu;
gazeta Wall Street Jóurnal notuje,
że zyski Minnesota and Ontario Paper Company
są o cztery miliony wyższe niż zeszłego roku.
(New York Times oklaskuje i skrzeczy: Dobrze jest!)
Agencja giełdowa Dow Jones
przez własny telefon ogłasza,
że Fedders Quigan Corporation
wycofał swoją propozycję,
aby podtrzymać kurs akcji zwykłych,
akcje Cuban Railrood Company
poszukiwane i pewne.
Firma Mullings Manufacturing Company
otrzymała od wojska
ogromne zamówienia
na artyleryjskie pociski.
Wreszcie ogłasza się kurs dnia:
Cuban Company Comunes
otwiera kursem pięć
zamyka — pięć i trzy ósme.
West Indies Company
otwiera kursem sześćdziesiąt dziewięć punktów
zamyka — sześćdziesiąt dziewięć i pięć ósmych.
United Fruit Company
otwiera kursem trzydzieści jeden,
zamyka — trzydzieści jeden i jedna ósma.
Cuban American Company
otwiera kursem dwadzieścia jeden,
zamyka — dwadzieścia jeden i trzy czwarte.
Foster Welles Company
otwiera kursem czterdzieści,
zamyka — czterdzieści jeden i pięć ósmych.

Nagle
wielki grom łamie kruchy dach,
wpada iskrą
z niskiego, piekielnego nieba
do zatłoczonego salonu:

Krew Menendeza dziś przy zamknięciu
stała sto pięćdziesiąt i trzy ósme z tendencją zwyżkową.

przełożyła **Zofia Szleyen**

MIROSŁAW ŻUŁAWSKI

RZEKA CZERWONA *)

W nocy z 2 na 3 października o godzinie 0 garnizon Cao-Bang wyszedł na drogę kolonialną nr 4 zniszczywszy za sobą wszystkie urządzenia i uszkodziwszy wszystkie samochody. Przygotowanie ewakuacji odbyło się w zupełnej ciszy. Kolumny żołnierzy stały w milczeniu pod niebem tropikalnej nocy. Ani jeden silnik nie targał ciszą doliny. Charton, Forge i Segrais z wszystkimi oficerami poszli pieszo na czele swoich oddziałów. Pierwsze szeregi Marokańczyków wychodziły ze spuszczonymi głowami z opustoszałej osady. Niektórzy oglądali się za siebie, ogarniając raz jeszcze spojrzeniem ponurą polanę Cao-Bang, świecącą blaskiem łysizny w zakolu czarnych kopców. Ciężkie milczenie wisiało nad szeregami. Forge zagłębiał się już w dżunglę, ale tubylcy i Legioniści stali jeszcze z bronią u nogi, słuchając skowytów nocy. Kolumna Chartona rozciągała zwolna swe pierścienie z chrzęstem stalowego węża.

Forge ze swoim taborem otwierał pochód. On też pierwszy stracił z oczu bielejącą plamę Cao-Bang, ogarnięty przez las. Droga wiodła zrazu przez polany i krzaczaste parowy pełne cieni, później zamieniać się poczęła zwolna w czarną gardziel. Marokańczycy szli cicho jak leśne stwory. Nad ich głowami zwierać się poczęła coraz gęściejsza zieleń. W coraz większej ciemności Forge rozciągnął powolutku swe kompanie, chcąc zachować swobodę ruchów w razie starcia. Sam trzymał się środka taboru, przystając często i nasłuchując.

— Idziemy jak cienie — powiedział do Suzaie — czujki Vietminhu na kopcach nie mogą nas słyszeć.

Stali na brzegu drogi wsłuchując się w noc. Lekki chrzęst piechoty w marszu rozpływał się zupełnie w obłąkanym skrzeczeniu dżungli.

— Jeśli tylko nie naleziemy na nich na drodze, to możemy przejść nie zauważeni — odpowiedział Suzaie. — Nie powinni się spostrzec wcześniej niż w południe, że w Cao-Bang nie ma nikogo.

Forge westchnął ciężko.

— Dużo bym dał za to, by wiedzieć, jak daleko zajdziemy do południa.

Ruszył znowu, stawiając po omacku nogi. Droga była wyboista, pobrużdżona wyschłymi koleinami, porozsadzana pęczniejącą roślin-

*) Patrz Nr poprzedni Twórczości.

nością. Forge nie widział zupełnie, gdzie stawia stopy. Każdy krok był stąpnięciem w ciemność. Forge podniósł wzroku ku niebu, ale nie zobaczył ani jednej gwiazdy. Świeciły przecież wątłe, jednak pulsujące światłem, kiedy rozpoczęto marsz.

— Mamy ze trzy kilometry takiego tunelu — szepnął Suzaie, wskazując w kierunku nieba. — Później wyjdziemy na zbocze, gdzie las jest rzadszy. Za jakie dwie godziny...

— Pah! — fuknął Forge z niezadowoleniem — na drodze kolonialnej trzeba liczyć, ile się zrobi w dwie godziny kroków, a nie kilometrów.

Szli obok siebie w milczeniu. Forge rozpuścił nogi i omal nie wyrżnął nosem w plecy żołnierzy stojących w ciemności w poprzek drogi.

— Co tam?

— Nie wiadomo, majorze — odpowiedział głos przed nim. — Szpica zatrzymała się, to i my stoimy.

— To wy, Théoliere?

— Ja, komendancie.

— Kerrol jest daleko przed wami?

— Ze dwieście metrów. Pchnąłem już do niego łącznika. Zaraz się dowiemy, co ich zatrzymało.

Forge obejrzał się. Jego łącznicy musieli być gdzieś za nim, na odległość szeptu. Lecz nic nie było widać w tej ciemni. Tylko po omacku można było dowodzić, zwłaszcza że Charton zabronił używania radiostacji polowych przed upływem następnego dnia, by nie zdradzić kolumny, zanim Vietminh sam nie odkryje, że nie ma jej już w Cao-Bang. Potem już tylko szybkość stanowić będzie o jej losie. Szybkość, z jaką kolumna posuwać się będzie po drodze kolonialnej na spotkanie Lepage'a, i szybkość, z jaką Vietminh skoncentruje siły dla jej osaczenia. Ten nocny marsz, to śmiertelny wyścig z czasem o życie na drodze pnącej się jak Golgota. Wie o tym każdy strzelec marokański, każdy kulis vietnamski, każdy legionista uginający się pod plecakiem pełnym ostrych naboi, oślepiony nocą, zlany potem.

Kolumna stała ciągle, unieruchomiona przez niewidzialną przeszkodę. Żołnierze nasłuchiwali, ściskając kurczowo broń. Słychać było tylko nocne skowyty dżungli, od których dygotały napięte nerwy. Forge nie zdradził najmniejszym słowem swego zniecierpliwienia. Wiedział, że postój na drodze w wyjącej ciemności wyczerpuje ludzi bardziej niż najcięższy marsz. Kiedy nie słychać drepczących kroków kolumny,

dżungla rzuca się do gardła z chichotem grozy. Forge nie bał się tej nocy ataku Vietminhu. To on miał w tej chwili przewagę koncentracji, nie nieprzyjaciel. Bał się czasu, który ciekł leniwie, ale nieprzerwanie, jak krew z otwartych żył, podczas gdy kolumna stała od czoła po straż tylną w czarnym tunelu drogi kolonialnej, dygocąc w parnej wilgoci.

Kolumna stała przeszło pół godziny. Okazało się, że dżungla pochłonęła odcinek drogi. Trzeba było czekać na otwarcie przejścia przez Nungów.

Zdyszany goniec Chartona nadbiegł od tyłu i podał Forge'owi kartkę papieru. Suzaie zaświecił ślepą latarkę. Błysnęła niebiesko, nie jaśniej niż świętojański robaczek. Forge odczytał słowa, których się spodziewał, które widział i bez światła, które mógłby odczytać nie rozwijając skrawka papieru.

„Pamiętajcie, że musimy iść szybko".

Odpisał na odwrocie.

„Droga jest gorsza, niż przypuszczaliśmy".

Później kolumna ruszyła dalej, pełznąc powoli jak ślepa glista. Idący na przedzie Marokańczycy Kerrola rozeznawali drogę po omacku. Najmniejszy odblask nieba nie przebijał sklepienia lasu. Słuch ludzi wyostrzył się tak, że wyczuwali nierówność drogi po odgłosie kroków poprzedzających szeregów.

Théoliere szedł na czele plutonu w drugim rzucie, zabezpieczając główną kolumnę. Nigdy w życiu nie czuł się lepiej. W piersi, w miejscu gdzie powinien czaić się niepokój lub przestrach, odczuwał tylko rześkie podniecenie, jakby chodziło o nocne polowanie na tygrysy. Kiedy uchylał hełmu i przygładzał niesforne włosy słyszał, jak trzeszczą mu pod palcami elektryczne iskry. Nogi niosły go lekko przez garby i zapadnie drogi. Szedł tak szybko, pociągając za sobą ludzi, że właził co chwila na oddział Kerrola. Marokańczycy szli w milczeniu, nastawiając ucha na każdy odgłos nocy. Ilekroć nocny ptak wrzasnął zbyt blisko, palce ich dotykały cyngla. Nie było wiadomo, czy to dżungla rozbrzmiewa głosami stworzeń, czy nawołuje się nieprzyjaciel. Na każdym zakręcie drogi mogła czyhać zasadzka.

Théoliere kroczył z rozmachem, przeskakując przez koleiny i depcąc ścięte przez straż przednią liany. Pod drzewami wisiała gorąca wilgoć. Pot na czołach ludzi nie wysychał. Wielkie pajęczyny lepiły się do twarzy jak czyjeś lepkie, delikatne palce. Théoliere próbował zrazu zgarniać je chustką, ale przekonał się rychło, że chronią nieco od ukąszeń moskitów.

Maszerowano już może z godzinę, może więcej. Théoliere począł zwolna przyzwyczajać się do świata ślepców. Inne niż wzrok zmysły przekazywały do mózgu gorączkowe sygnały. W pewnej chwili Théoliere poczuł znajome cierpnięcie nosa, jakiego doznawał w dzieciństwie, kiedy szedł przez ciemny pokój i natykał się na niewidoczną przeszkodę. Wyciągnął ramię. Ktoś stał przed nim na drodze.

— Co? — szepnął, kładąc dłoń na czyjeś mokre plecy. Odpowiedział mu głos Kerrola.

— Zatrzymaj ludzi. Cała droga zawaliła się od deszczów. Obsunięcie, wiesz. Musimy przerąbać przejście przez zbocze.

Théoliere usłyszał w ciemności uderzenia kilofów i łopat. Wytężył oczy, lecz nie zobaczył nic. Ciemność panowała nieprzenikniona, najmniejszy odprysk światła nie pełgał po ziemi.

— Jak oni wiedzą, gdzie rąbać?

Poczuł, jak ramiona Kerrola wzniosły się pod jego dłonią. Z tą ciemniejszą od powietrza bryłą czerni, która gadała głosem Kerrola, miał kontakt tylko przez słuch i dotyk.

— Nic nie widzą, tak jak i my. Wrębują się na słuch i dotyk.

Théoliere pchnął łącznika z meldunkiem do Forge'a. Kazał ludziom usiąść, sam usiadł także wymacawszy dłonią potężny korzeń drzewa mangowego.

— Dałbym rok życia, żeby móc zapalić — westchnął Kerrol.

Théoliere pomyślał, że każdy z ludzi kolumny zrobiłby w tej chwili to samo. Wyobrażał ją sobie, tę kolumnę unieruchomioną od końca do końca, jak rozciąga się pod czarnym sklepieniem drogi kolonialnej, przestępując z nogi na nogę. Ludzie nie są jeszcze dość zmęczeni, by szukać wypoczynku przy sposobności przymusowego postoju. Drżą z niecierpliwością, aby iść dalej w noc, jak najdalej od Cao-Bang, jak najbliżej zbawczej kolumny Lepage'a, czekającej gdzieś u Dong-Khe. Théoliere próbował wyobrazić sobie kompanie taboru, Forge'a czekającego cierpliwie z rękami na brzuchu, kulisów obarczonych drążkami z żywnością i amunicją, Legię klnącą na pewno w tej chwili Marokańczyków, nie mogącą zrozumieć, dlaczego się stoi. Przymknął oczy, by lepiej widzieć. Gdzieś z lasu nadpłynął wyraźny obraz Chantal i stanął mu jak żywy pod powiekami.

— Co ci jest?

Kerrol nachylał się nad nim, ujmując go za ramiona.

— Czemu krzyknąłeś?

Théoliere zerwał się na równe nogi.

— Ja, krzyknąłem? Musiałem się chyba zdrzemnąć.

Kolumna stała godzinę. Wreszcie stojący z tyłu usłyszeli przed sobą chrzęst kroków. Powoli, ostrożnie trawersowano po omacku zbocze świeżo wyrąbanym przejściem. Kolumna Chartona posuwała się po nim, jak ślimak po liściu.

Później droga poczęła opadać. Biegła w dół i w dół jak w studnię. Robiło się coraz bardziej parno. Prowadzący pochód, Kerrol, czuł jakiś czas jeszcze pod stopami twarde wyboje drogi. Ale zwolna grunt robił się coraz miększy, coraz bardziej grząski. Wreszcie Kerrol poczuł, że zapadł do pół łydki w gęste błoto. Przystanął. Z prawej i lewej słyszał ciężkie oddechy Marokańczyków. Stanęli także, starając się pojąć nowe wcielenie drogi. Kerrol zamiótł ramieniem przed sobą. Natrafił na wilgotne liany, które odskoczyły z chlaśnięciem.

— Zbłądziliśmy?

Oparł się ramieniem o najbliższego żołnierza. W tej czerni i głuszy, w tym błocie i zaduchu nieludzkiej drogi, w środku dżungli dyszącej szaleństwem dotknięcie ludzkiego ciała podziałało na niego jak modlitwa.

— Nie, mój poruczniku — szepnął Marokańczyk — jesteśmy ciągle na drodze.

Wyciągnął ramię przed siebie i Kerrol zdał sobie nagle sprawę, że nie tylko czuje i słyszy, ale także widzi ruch jego ręki.

— Niech pan popatrzy w górę, poruczniku.

Kerrol podniósł wzrok i zobaczył wysoko wąską ścieżynę nieba z zamglonymi światełkami gwiazd. Tak czasem widać gwiazdy, kiedy patrzy się w studnię. Niebieska ścieżyna ciągnęła się wzdłuż krótkiego pęknięcia w czarnym stropie lasu.

— Droga biegnie wzdłuż rzeki. Dlatego widać trochę nieba — powiedział półgłosem Marokańczyk. Kerrolowi zdało się, że go poznaje.

— Ty jesteś Mohamed?

— Według rozkazu, mój poruczniku.

— Masz kocie oczy. Trzymaj się mnie blisko.

Kerrol ruszył, pociągając za sobą żołnierzy. Błoto chlupotało pod nogami, wydzielając mdlący odór rozkładu. Kerrol poczuł po kilku krokach, że jego obuwie zamieniło się w mokre, ciężkie bryły. Zwolnił kroku. Marokańczycy szli obok niego i za nim, człapiąc jak stado łosi. Kerrol słyszał jak cmokało błoto, kiedy wyciągali zeń nogi. Obejrzawszy się dostrzegł ledwie widoczne cienie postaci, kołyszące się na tle leśnej ściany. Z lewej strony połyskiwała mdło blada smuga. To rąbek

nieba odbijał się w rzece jak w czarnym lustrze. Puszcza dławiła jego nikły odblask, nie jaśniejszy od smugi przyziemnej mgły. Kerrol nauczył się szybko, że nie wolno podnosić głowy ku dalekim gwiazdom. Za każde spojrzenie w wąziutką strużkę nieba ciekącą w ciemnych głębiach lasu płacić przychodziło chwilami ślepoty, w czasie których oczy nie dostrzegały różnic w odcieniach czerni. A z nich właśnie składał się świat pod wielkimi drzewami. Kerrol wiedział, że jest ostrzem kolumny zagłębiającej się w dżunglę, że ci, co postępują za nim, idą nie patrząc przed siebie, ufni w jego wzrok, słuch i dotyk. Mimo woli zacisnął palce na rękojeści przewieszonego przez ramię automatu.

Która to może być godzina? Kerrol zbliżył przegub dłoni do oczu i popatrzył na fosforyzującą tarczę zegarka. Wpół do czwartej. Od trzech i pół godziny straż przednia znajdowała się w marszu. Kerrol nie potrzebował zamykać powiek, by przywołać obraz mapy. Wystąpiła wyraźnie na tle ciemności, zielono-żółta, przekreślona linią drogi kolonialnej. Ile jest kilometrów z Cao-Bang do miejsca, w którym droga dotyka rzeki? Ze cztery. To znaczy, że on, Kerrol zrobił w trzy i pół godziny cztery kilometry. Tyle co nic! Legioniści w ogonie kolumny, gdyby sami tak nie śmierdzieli, mogliby czuć jeszcze smród latryn w Cao-Bang.

Kerrol chciał przyspieszyć kroku, ale zaplątał się w gęstwę lian i młodych pędów. Droga znów ginęła w ścianie żarłocznej zieleni. Marokańczycy podali do tyłu krótkie zawołanie. Kilkunastu półnagich Nungów wyszło naprzód. Po chwili dał się słyszeć świszczący oddech ich krzywych mieczy. Kerrol stał z przymkniętymi oczyma i słuchał dalekiego echa bretońskich sianokosów. Wreszcie kolumna ruszyła znowu. Marokańczycy otarli się o spocone ciała Nungów i wyszli do przodu. Droga była otwarta.

Biegła teraz bez końca błotnistym dnem doliny, zduszona z wszystkich stron dżunglą, parna i duszna. Odór gnicia i rozkładu dobywał się z ziemi, przyprawiając o mdłości. Chmary moskitów obsiadały twarze i ręce ludzi. Kolumna Chartona brodziła w płynnym błocie, upaprana po łydki, posuwając się wolniutko jak w złym śnie.

Około godziny piątej straż przednia poczęła wydobywać się z błota. Droga pięła się zboczem, coraz bardziej stromo. Od strony doliny dżungla towarzyszyła jej wiernie, ale przeciwległy brzeg wychodził na zbocze zarosłe kolczastymi krzakami. Niebo pękło szeroko wysypując na drogę resztę porannych gwiazd. Kerrol rozróżniał w mroku białe

upłazy wapnia, na których ślizgali się jego ludzie. Zatrzymał na chwilę Marokańczyków.

— Słuchajcie, chłopcy — przemówił do nich — nie wiem, czy na miejscu Vietu nie wybralibyśmy tego miejsca na zasadzkę. Musimy zabezpieczyć flankę.

Rozejrzał się po ludziach. Stali jak szare cienie. Uderzyła go przeraźliwa cisza, która zapadła nagle nad dżunglą, jakby coś miało się za chwilę stać.

— Mohamed, weźmiesz sekcję i przeczeszesz zbocze aż po wierzchołek. Ubezpieczamy was. Jak cię zahaczą, cofaj się na nas.

Mohamed zebrał ludzi i poszedł. Nie uszedł pięćdziesięciu kroków, kiedy niebo zapaliło się jak od łuny. Światło wybuchło na horyzoncie, wystrzeliło za lasem, objęło w jednej chwili cały nieboskłon. Purpura, zieleń i złoto pociekły z zenitu oszalałą kaskadą.

— Słońce wschodzi — powiedział Kerrol sięgając do kieszeni — wolno palić.

Marokańczycy poklękali przy drodze, zapalając fajki i papierosy, z karabinami pod pachą. Niektórzy odwracali się twarzą w stronę niewidocznego za ścianą lasu słońca, szepcąc modlitwy i uderzając czołem o ziemię. Mohamed posuwał się zboczem, klucząc wśród zarośli. Biała od wapnia droga wiła się niżej, widna jak na dłoni. Mohamed sadził skokami od krzaka do krzaka, wyprzedzając swych towarzyszy. Przeszukiwał wzrokiem każde załamanie terenu, każdą kępkę zarośli, gotów uchwycić najmniejszy odblask nieba na lufach czy w oczach nieprzyjaciół. Biegnąc przeczuwał całym wystawionym na cel ciałem smagnięcie pierwszej salwy. Jeszcze jeden skok w górę łysawym wertepem, jeszcze jedna sekunda śmiertelnej ciszy, jeszcze i jeszcze. Jeszcze żywa krew w nim wali jak młotem. Obejrzał się. Ludzie posuwali się za nim skokami, jak automaty. Mohamed dobiegał do ostatniej przegrody krzaków u bielejącej od skał grani. Z grymasem szaleństwa skoczył między nie, ściskając w dłoni mokry od potu granat.

Na grani nie było nikogo.

Mohamed spojrzał w dół. Daleko, wzdłuż zbocza wiła się błyszcząca smuga drogi kolonialnej. Ludzie na jej skraju wyglądali jak brązowe larwy o czerwonych główkach. Wyżej, jak okiem sięgnąć, ciągnęły się łysawe wzgórza podbite gęstą dżunglą. Słońce wisiało na horyzoncie przeraźliwie jasne. Mohamed widział, jak jego promienie dosięgają szybko głównej kolumny, wstępującej na zbocze. Jej marsz był ubez-

pieczony. Mohamed począł zbiegać w dół, drżąc od wewnętrznej radości i przeżytego napięcia.

Od północy do świtu kolumna Chartona przebyła sześć kilometrów drogi kolonialnej.

Pułkownik zarządził krótki postój. Żołnierze rozłożyli się wzdłuż zbocza. Wydano suchy prowiant i kawę z rumem. Po upiornym marszu nocnym twarze ożywiły się, rozległy się żarty i śmiechy. Zmęczeni, niewyspani, obłoceni ludzie kolumny Chartona odnajdywali siebie w pełnym świetle dnia. Łyk kawy z rumem i gorzki smak tytoniu wracały ich światu żywych.

Forge i Segrais zameldowali się u Chartona na drodze, w połowie zbocza. Pułkownik siedział na kamieniu zmieniając przemoczone skarpetki. Przez noc oczy mu zapadły. Ale wydawał się być dobrej myśli. Mimo powolnego tempa marszu zdołano wyjść z Cao-Bang bez strzału. Prawdopodobnie Viet nie połapał się jeszcze, że wilk czmychnął mu z matni. Ale teraz, za dnia, trzeba iść szybciej. Kolumna Lepage'a czeka o niespełna trzydzieści kilometrów. Zapytał oficerów, kiedy ich zdaniem można spodziewać się połączenia obu kolumn.

Forge spojrzał w niebo, zaciągające się już na horyzoncie oślepiającym blaskiem roztopionego ołowiu.

— Będzie upał — powiedział chmurnie — daleko się dziś nie zajdzie.

Charton szarpnął się niespokojnie.

— Chciałbym być jutro na wysokości Dong-Khe.

Forge zasępił się jeszcze bardziej. Wiedział, że to od niego, od dowódcy straży przedniej Charton spodziewa się przyspieszenia marszu. Ale wiedział także, że jego Marokańczycy nie mogli iść szybciej ubiegłej nocy.

— Dałbym za to dużo, abyśmy jutro na noc doszli do Dong-Khe — odparł — ale nie sądzę, pułkowniku, abyśmy dziś czy jutro mogli iść szybciej niż szliśmy tej nocy.

Charton zwrócił się gwałtownie do Segrais'a.

— Jak szła Legia?

Segrais wypluł niedopałek papierosa. Popatrzył z niechęcią na Forge'a i powiedział:

— Legia nie ma oczu Marokańczyków. Gdyby Forge szedł szybciej, zostałbym w tyle. Ale Legia ma dobre nogi. Za dnia pójdziemy lepiej.

— Nawet w upał?

Segrais zawahał się.

— Pan wie — powiedział — że nawet Senegalczycy nie maszerują dobrze w tutejsze upały...

Charton zasznurował buty. Przyglądał się chwilę skorupie zasychającego na nich błota.

— Taaak — powiedział przeciągle. — Walczymy na razie z drogą i upałem. Ale proszę nie zapominać, że jest jeszcze Viet...

Wstał, stuknął butami o ziemię i poprawił hełm.

— Kontynuujemy pochód.

Słońce wznosiło się przerażająco szybko. Drzewa i ludzie rzucali na drogę długie, granatowe cienie. Na przodzie cichutko huknęły marszowe piszczałki taboru. Kolumna Chartona szła drogą ze światła i cienia, cała w plamach jak olbrzymia salamandra.

Parokilometrowy odcinek drogi przecinający górskie zbocze przebyty został w niespełna godzinę. Droga była równa i twarda, nie naruszona przez deszcze i dżunglę. Wielkie drzewa, samotne wśród kolczastych zarośli, rzucały na nią rzadkie bukiety cienia. Upał wisiał już w niebiosach, ale nie leżał jeszcze na barkach maszerujących ludzi. Wszystkim poprawiły się humory. Nawet Forge wydawał się być lepszej myśli. Dżungla rozciągała się w dole cicha i nieruchoma jak zielona topiel. Żaden liść nie poruszał się w stojącym powietrzu. Żaden głos zwierzęcia czy ptaka nie dolatywał od zbitej ściany liści, lian i bambusów. Po nocy pełnej wrzasków niezmierny spokój dnia wisiał nad kolumną, rozluźniając napięte nerwy żołnierzy.

Kerrol szedł dalej na szpicy. Przystawał, wysyłał czujki do przodu, ubezpieczał je, buszował po krzakach, macając drogę i jej sąsiedztwo. Kurz stojący nad maszerującą kolumną pokrył twarze i mundury jego ludzi. Czarne brody Marokańczyków przybrały barwę drogi. Kerrol sam szary jak upiór od kurzu i potu szedł środkiem drogi, przymykając oczy, ilekroć wychodził z cienia wielkich drzew w oślepiające plamy słońca. Théoliere szedł za nim krok w krok na odległość zawołania.

Długie zbocze skończyło się wreszcie i droga pobiegła znowu w dół. Zieleń po obu jej stronach stawała się coraz gęstsza. Droga prostowała się zwolna, w miarę jak dżungla pięła się w górę, sklepiając się gdzieś wysoko jak kościelna nawa. Kerrolowi zdawało się zrazu, że wnętrze lasu jest prawie ciemne. Ale stopniowo wzrok przyzwyczajał się do zielonego półcienia, w jakim pogrążyła się droga, jakby biegła dnem olbrzymiego akwarium. Wkrótce zbite sklepienie liści przysłoniło widok nieba. Gdzieś tam nad koronami drzew szalało niewidoczne słońce. W zielonej studni drogi kolonialnej wisiał gęsty, przyziemny

zaduch. Gorące wyziewy ziemi i roślin zatykały dech. Ruchy ludzi zwolniły się, jakby całe zmęczenie marszem zwaliło się na nich od razu.

Kolumna Chartona wchodziła w leśny tunel, oddział za oddziałem. Nungowie z płaskimi mieczami w rękach wystąpili znów na czoło. Pułap z gałęzi, cierni, lian i bambusów opuszczał się coraz niżej, zmuszając ludzi do pochylania głów. Tempo marszu zwolniło się, jakby powietrze zamieniło się w wodę. Kolumna pełzła leniwie, dusząc się z gorąca i braku tchu. Marokańczycy, oddziały tubylcze, kulisi z drążkami na ramionach, legioniści wlekli się ledwie poruszając nogami. W zielonej, nie kończącej się studni nie można było ubezpieczać boków kolumny, nie można było macać czujkami okolicy, można było tylko iść z pochyloną głową, walcząc z rosnącym ciężarem ekwipunku i własnego ciała. Charton zastanawiał się nawet, czy nie zarządzić wypoczynku, ale doszedł rychło do wniosku, że w tym złowrogim miejscu najdłuższy nawet postój nie mógłby dać ludziom wytchnienia. Pułkownik rozkazał wydać dodatkową rację wody.

Koło południa droga poczęła się wznosić. Dżungla pękła nad kolumną, ukazując niskie niebo koloru rtęci. Jaskrawy odblask niewidocznego słońca stał na środku nieboskłonu oświetlając szkielety skał, bielejące wśród zarośli. Kolumna pięła się coraz węższą drogą, wzbijając chmury wapiennego pyłu.

Na pierwszym wzniesieniu Charton zarządził wypoczynek. Upał południowych godzin zwalił się na ludzi. Pokryci błotem i kurzem podobni bardziej do upiorów niż wojska zalegli każdą plamę cienia na zboczu. Marokańczycy Kerrola obsadzili dwa wapienne kopce panujące nad drogą, zapewniając kolumnie bezpieczeństwo. Pod osłoną ich maszynek przeczekiwano śmiertelne godziny tropikalnego żaru.

Stanowiąca straż tylną kolumny kompania karna Legii leżała w przydrożnych chaszczach z nosami wytkniętymi w stronę, skąd przyszła. Drogę zaryglowano, zwaliwszy na nią w poprzek drzewo, za którym ustawiono karabin maszynowy. „Whisky", Van Hoven i Deladerriere leżeli u jego lufy, wypatrując oczy na drogę, pustą w słońcu jak koryto wyschłego potoku.

— Jedno jest pocieszające — odezwał się Van Hoven — a mianowicie to, że nikt z nas już drugi raz tą drogą nie pójdzie. Miło pomyśleć, że cokolwiek się stanie, to już ostatni raz.

„Whisky" nie usiłował nawet splunąć. Kurz i upał nie pozostawiły mu w gardle krzty śliny.

— Dla mnie i o ten jeden raz za dużo — mruknął. — Mam od

samego początku nosa, że nie tędy mi droga. Idę nie tą drogą, co trzeba, i w złym kierunku.

Daladerriere wypluł ze wstrętem przeżuty owoc mango.

— Innej drogi nie ma — powiedział obojętnie.

— Mnie już to raz powiedzieli — powiedział na wpół do siebie „Whisky". — No i uwierzyłem.

Van Hoven zachichotał złośliwie.

— Trzeba było zastanowić się wcześniej. Teraz już na wszystko za późno. Wyzdychamy se wspólnie na tej drodze.

„Whisky" poczuł, że bierze go złość. Twarz go zaczęła palić, jakby dostał po pysku.

— Wasze niedoczekanie! — wymamrotał po polsku.

— Co mówisz?

— Nic. Napiłbym się rumu.

— Swój już wychlałeś, jak zwykle. Masz, pociąg se, ale tylko łyk.

Van Hoven podał mu manierkę. „Whisky" pociągnął tęgo i od razu poczuł się lepiej.

— Wydzielają ten rum jak lekarstwo.

Van Hoven zakorkował manierkę i przypiął ją troskliwie do plecaka.

— Bo też to jest lekarstwo. Znam takich, którzy żyją tylko dlatego, że łyknęli w porę. Powinieneś zawsze zachować kroplę na moment, kiedy będziesz mieć pietra.

„Whisky" ledwie go słuchał. Upał, rum i senność poczęły go morzyć na dobre. Wydało mu się nagle, że odpoczywa w skwarne południe podczas żniw. Dokoła mazowiecka równina, słońce przypieka, świerszcze grają w ścierniskach. Polna, piaszczysta droga wije się wśród pól. Ktoś nadchodzi nią z daleka, w koszuli i spodniach, sierp niesie na ramieniu. Stanął na drodze i patrzy.

— Viet!

„Whisky" ocknął się. Przed oczyma mu mignął metaliczny posuw zamka. Daladerriere przylgnął do kolby, wyprężywszy mokry grzbiet.

Na drodze stał szczupły, drobny chłopak w koszuli i szortach, w płaskim hełmie okrytym siatką, trzymając w rękach automat.

— Nie strzelać! — syknął Van Hoven. — Chyba, że zaczną pierwsi.

„Whisky" odruchowo odpiął granat i położył przed sobą.

Vietnamczyk postąpił parę kroków. Patrzył na zwalone w poprzek drogi drzewo, jakby wyzywał śmierć. Potem odwrócił się i odszedł powoli w dżunglę, nie obejrzawszy się ani razu.

Gémiani wyskoczył zza krzaka.

— Prędko! Meldunek do dowódcy kompanii!

Wiadomość przeniknęła od ogona do czoła kolumny jak prąd. Charton popatrzył na zegarek. Pierwsza trzydzieści pięć. I tak nieźle. Przeszło dwanaście godzin kolumna szła bez Vietminhu na karku. Mimo to poderwał ludzi wcześniej, niż zamierzał. W skwarze i pyle posuwano się dalej drogą, kluczącą wśród skał pod straszliwym niebem z ołowiu.

Vietminh nie pokazał się więcej tego dnia. Wieczorem Charton zatrzymał kolumnę na wzgórzu oznaczonym kota 422. Od wyjścia z Cao-Bang do wieczora 3-go października zrobiono 17 kilometrów.

Oddziały ubezpieczenia okopały się resztką sił. Kolumna legła pokotem na wzgórzu. Żołnierze i kulisi zasypiali ciężkim snem, gdzie kto stał. Niespokojna noc tonkińska zwaliła się na nich z opętańczym zgiełkiem dżungli, pełna gróźb i przerażających chwil ciszy.

Théoliere ubezpieczał na stoku wzgórza sen śmiertelnie znużonego plutonu Kerrola. I jego ludzie zasypiali z otwartymi oczyma mimo natarczywego nawoływania podoficerów. Théoliere nie odczuwał senności. Z granatem ręcznym na piersi i rakietnicą za pasem obchodził stanowiska swego oddziału. W narastającej ciemności wlazł niemal na Forge'a sprawdzającego straże.

Forge zburczał go zrzędliwie.

— Siedlibyście gdzie, zamiast włóczyć się po nocy. Nogi będą wam i jutro potrzebne.

— Mam dobre nogi, majorze. Na jutro też ich starczy.

— I na pojutrze?

— I na pojutrze — odpowiedział z chłopięcą beztroską.

Major Forge chrząknął nieprzyjaźnie i poszedł dalej swoją drogą. Suzaie postępował za nim krok w krok, sztywny, jakby kij połknął.

Théoliere stanął w miejscu, z którego mógł widzieć w bladym świetle nieba zarys drogi wijącej się niżej. Obmyślał właśnie, jak się zachować na wypadek nocnego ataku, kiedy niedorzeczny i nieproszony obraz Kerrola zamachującego się szpicrutą stanął mu przed oczyma. Théoliere odegnał go, wstrząsnąwszy się niespokojnie, ale obraz powrócił natrętnie jak w gorączce. Théoliere zobaczył znowu wyraźnie scenę na lotnisku. Kiedy na nią patrzył na jawie, nie dostrzegał w niej nic szczególnego. Przywidując się nocą w dżungli nabierała niepokojącego znaczenia.

— Muszę być chyba zmęczony — pomyślał.

Przetarł ręką oczy i spojrzał na las. W leciutkim świetle, jakim pulsowało niebo, widział szare plamy skał i ciemne smugi zarośli drżące od

rozgrzanego powietrza. Wydawało się, że to dżungla wypełza w ciemności na wzgórze jak potworny płaz.

Théoliere powrócił do myśli o ewentualnym ataku. Ale uparty obraz wrócił znów, narzucając się uwadze. Kerrol stał rozzłoszczony, grożąc szpicrutą.

— Pakuj się do samolotu, bo cię zdzielę!

„Nha-qué" nie zasłoniła się nawet. Nie zrobiła najmniejszego ruchu. Cała jej postawa wyrażała rozpacz psa, którego chcą rozdzielić z panem.

Kerrol zwrócił się do Martina, zażenowany i wściekły.

— To żółte cielę nie chce się ewakuować. Powiada, że pójdzie za mną.

Dziewczyna podniosła na Théoliere'a wilgotne, ciemne oczy. Oczy Chantal. Nie wytrzymał tego spojrzenia i odwrócił głowę.

Dżungla pełzła w tym samym miejscu co przed chwilą. Théoliere otarł pot z czoła i usiadł. Poczuł się nagle zmęczony.

Otwarł oczy pod wrażeniem, że ktoś mu chlusnął w twarz strugą światła. Niebo stało w jaskrawej zorzy od krańca po kraniec. Théoliere zerwał się z uczuciem nieodwracalnego nieszczęścia, dźgnięty panicznym strachem. Dniało. Major Forge siedział na płaszczu o parę kroków, udając, że patrzy w inną stronę.

Théoliere oprzytomniał od razu. Podszedł do majora i stanął w służbowej postawie, połykając wstyd. Forge skinął mu głową. Suzaie stał przy nim z oczyma wbitymi w mapnik. Forge pociągnął łyk gorącej kawy z manierki, dał znak ordynansowi, by nalał jej porucznikowi i powiedział:

— Viet lubi atakować przed świtem.

Wyciągnął ramię ku południowemu zachodowi, wykonując palcami taki ruch, jakby trącał niewidzialne klawisze. Théoliere usłyszał nagle, że horyzont pod palcami majora trzeszczy i huczy jak olbrzymie ognisko. Wpił w dowódcę rozszerzone źrenice.

— Viet atakuje kolumnę Lepage'a — powiedział półgłosem Suzaie.

Théoliere wytężył wzrok w stronę, gdzie znikała droga kolonialna. Mgły wstawały z dolin, dżungla smużyła się wzdłuż zboczy, barwy piekła kapały z nieba. Na horyzoncie przewalał się nieprzerwanie złowrogi turkot.

— Miałem szczyptę nadziei, że jednak najpierw zaatakują nas — powiedział Forge.

Suzaie nie odrywał się od mapy, usiłując zaznaczyć położenie kolumny Lepage'a.

— Tak — odparł — teraz sytuacja jest o wiele bardziej przykra. Jeśli Lepage utraci swobodę ruchów, a Viet nas z kolei zaatakuje, będziemy mogli liczyć tylko na siebie samych.

Forge wypił resztę kawy.

— Będziemy się przebijać — powiedział z rezygnacją. — Trzeba będzie otworzyć sobie przejście pięściami, nie oglądając się na los Lepage'a.

Zadyszany łącznik nadbiegł stokiem wzgórza. Forge wstał. Pułkownik Charton wzywał go do siebie czym prędzej.

Krótko po wschodzie słońca kolumna ruszyła w drogę. Żołnierze podnosili głowy łowiąc uchem dalekie kotłowanie się ognia. Twarze ludzi ścięły się, tylko oczy wyrażały niepokój. Kolumna szła krok za krokiem, trzymając palce na cynglach. Przodem i bokami szły tyralierą patrole, przygarbione jak w oczekiwaniu salwy.

Do południa nie wydarzyło się nic. Kolumna walczyła ze zmęczeniem, upałem i drogą, nie widząc śladu nieprzyjaciela. Kurz stojący nad drzewami nie opadał. Żar buchał od zbielałego nieba, wzrastając z każdą godziną.

Kompania karna Legii osłaniała odwrót. Gémiani z kilkunastu legionistami i karabinem maszynowym zostawał okrakiem na drodze, później odrywał się, dochodził do głównej kolumny i zostawał znów. Vietminh czaił się gdzieś niewidoczny, idąc w trop. Po każdym skoku w tył oddziału ubezpieczającego droga pustoszała jednakowo w chmurze kurzu.

„Whisky" ustawił po raz setny KM na skraju drogi i patrzył przez celownik. Gdzieś za jakimś krzakiem, na tej przeklętej drodze pisane mu widać zginąć. Człowiek nad nim nie zapłacze, pies nie zawyje. Żadna ręka nie ozdobi nigdy kwiatami zbiorowego grobu w dżungli, niczyje usta nie szepną „wieczne odpoczywanie". Psie życie, psia śmierć najemnego żołdaka, depcącego cudzą ziemię. Po raz pierwszy od wielu miesięcy „Whisky" poczuł, że chwyta go za gardło nieludzka tęsknota za krajem. Droga, którą szedł w krwawym pocie, nie była drogą powrotu. Kierunek, w jakim szła kolumna Chartona, był zły.

„Whisky" oparł czoło o rozpalony zamek karabinu i robił krótki rachunek sumienia w obliczu śmierci.

— Masz go znowu — powiedział szeptem Van Hoven.

„Whisky" podniósł głowę. Szczupły chłopak z Vietminhu stał na drodze i wydawał się czekać. Automat zwisał mu na ramieniu.

— Nie zadają sobie nawet trudu, żeby nas atakować. Czekają, aż sami pokładziemy się na drodze i wyzdychamy z gorąca — powiedział ze złośliwą satysfakcją Van Hoven.

Gémiani pochylił się nad uchem Deladerriere'a.

— Ściąg no tego żółtka, niech nie myślą, że z Legii można kpić.

Deladerriere przywarł do maszynki.

— Za daleko — powiedział — i słońce myli.

„Whisky" odwrócił się i sięgnął po automat.

— Odskoczcie za zakręt. Ja tu zostanę. Wtedy on podejdzie blisko...

Czuł, że twarz mu pobladła. Serce dudniło w piersi, podchodząc do gardła.

Gémiani oblizał spieczone wargi. Zastanawiał się przez chwilę, patrząc na drogę.

— Dobrze — powiedział wreszcie. — Tylko zaraz potem doszlusuj. On na pewno nie jest sam.

„Whisky" wyciągnął do Van Hovena rękę.

— Daj manierkę.

Van Hoven podał mu ją bez słowa. „Whisky" łyknął nie żałując sobie. Gémiani dał znak. Legioniści chwycili maszynkę i pognali w tył. „Whisky" słyszał, jak coraz ciszej stukały ich buciory. Wytrzymał jeszcze chwilę i obejrzał się. Tylko kurz stał nad drogą, którą przeszła kolumna Chartona, którą pobiegli kamraci. „Whisky" odwrócił głowę i spojrzał po lufie automatu. Vietnamczyk stał dalej w pełnym słońcu, patrząc na drogę. Zanim zdążył zrobić krok, „Whisky" splunął, podniósł się na kolana, wstał, i wsadziwszy ręce w kieszenie spodni poszedł wolno przed siebie.

Słońce prało go w plecy z wysoka, jakby popychając z lekka. „Whisky" szedł z powrotem drogą kolonialną z uczuciem pewności, że teraz idzie dobrze.

*

— Jaki dzisiaj dzień mamy?

Suzaie spojrzał zaskoczony na majora. Forge siedział na skraju drogi z nieprzytomną twarzą. Wybałuszył wyłupiaste oczy i patrzył bezmyślnie przed siebie. W ręce trzymał manierkę pełną gorącej kawy.

— 6-ty października, majorze.

Forge podniósł manierkę do ust i pił małymi łykami. Potem spojrzał nieufnie na adiutanta.

— Szósty? To znaczy, że na dojście do Dong-Khe potrzebowaliśmy czterech dni?

— Jesteśmy już trzy kilometry za Dong-Khe, majorze.

Forge rozejrzał się wkoło. Marokańczycy leżeli pokotem w skąpym cieniu krzaków. Droga wiła się w górę i znikała za skalną ścianą. Zza wzgórz dobiegał stłumiony ale bliski odgłos boju. Przez trzeszczenie broni maszynowej przebijały się głuche wybuchy moździerzy i dźwięczne wystrzały 75-ek.

— Lepage bije się już trzeci dzień — powiedział Forge. — A my nie oddaliśmy jeszcze ani jednego strzału.

Zapatrzył się w stronę wzniesienia, na które wspinała się droga.

— To już Long-Phai?

— To już Long-Phai — odparł Suzaie. — O cztery kilometry przed nami.

Forge jęknął cicho, wychylił resztę kawy i dźwignął się z wysiłkiem. Przyjął wyciągnięte ramię adiutanta i wsparł się na nim całym ciałem.

— Jestem już za stary, Suzaie. Wojna, to sprawa młodych.

Stał chwilę, zbierając myśli.

— Chodźmy do Chartona, Suzaie.

Szli w milczeniu, omijając nieruchome ciała żołnierzy. Miejsce postoju wyglądało jak pobojowisko. Marokańczycy leżeli w pozach, jakie mają polegli. Żaden z nich nie uniósł głowy za przechodzącym dowódcą.

Zastali pułkownika przy radiostacji. Charton uśmiechnął się blado na widok Forge'a. Rozłożył ręce bezradnie, jakby chciał uprzedzić wszelkie pytania.

— Te przeklęte samoloty nie mogą przylecieć. Lotnicy nie widzą ziemi poprzez opar.

Forge zaklął ciężko.

— Ten kraj jest cały zrobiony z wody. Widać Panu Bogu już nic innego nie zostało. Woda pod ziemią, woda na ziemi, woda w powietrzu.

Spojrzał z rozpaczą w niebo. Zawleczone od krańca po kraniec ołowianym tumanem pulsowało żarem tysiąca pieców.

— Lepage podaje, że kończy mu się amunicja. Musi strzelać szybko, bo Viet naciera na niego bez przerwy.

— Ja mam dość naboi — odparł nieprzytomnie Forge. — Od wyjścia z Cao-Bang nie wystrzeliłem ani jednego.

Charton rzucił adiutantowi pytające spojrzenie. Suzaie wykonał

samymi palcami słaby gest bezradności. Charton mówił dalej, nie spuszczając oczu z Forge'a.

— Lepage zaznacza, że ciągle jeszcze zachowuje swobodę ruchów. W każdej chwili mógłby oderwać się, gdyby nie to, że ma rozkaz czekania na nas.

— Ja bym mu kazał iść do diabła — burknął Forge.

Pułkownik zaniepokoił się nie na żarty.

— Co wam, Forge? Nie czujecie się dobrze?

— Ja bym mu kazał iść do diabła — powtórzył Forge. — Niechby się odrywał, póki jeszcze może. Niechby myślał o pomaganiu sobie a nie nam. Nam nie jest w stanie nic pomóc.

— Jakto? — spytał łagodnie Charton.

Forge fuknął zaczepnie:

— Czy Lepage poobsadzał kopce, górujące nad przełęczą? Nie! Czy wywindował na nie swoje 75-tki i kryje ogniem zbocza Long-Phai? Nie! Lepage sam leży na zboczu i niedługo nie będzie miał czym strzelać. Niech mu pan doradzi, aby się odrywał co tchu.

— To niemożliwe, dziś wieczór wyjdziemy na wysokość jego ugrupowania. Bój, jaki toczy Lepage, osłania od trzech dni marsz mojej kolumny.

Radiotelegrafista podał mu skrawek papieru. Lepage donosił, że uformował czworobok i oczekuje pod wieczór pojawienia się kolumny Chartona.

Pułkownik rzucił okiem na zegarek.

— Za pół godziny ruszamy, majorze Forge. Niech pan zagrzeje ludzi.

— Im i bez tego gorąco — mruknął Forge.

— Nie o to chodzi. Niech im pan coś powie...

Forge wzruszył ramionami.

— Co im mam powiedzieć? Że bronią Francji? Nawet Francuzom nie śmiałbym tego tu powiedzieć.

— Niech pan im powie, że jak Viet ich złapie, to ich poobdziera żywcem ze skóry.

Forge zdjął hełm, otarł mokre czoło i wyciągnął rękę do Chartona.

— Na wszelki wypadek żegnam pana, pułkowniku.

Uścisnęli sobie dłonie.

— Powodzenia, Forge — rzekł sucho Charton. Odwrócił się ukrywając wzruszenie. Przywołał gestem łącznika i rzucił mu szorstko:

— Poproście do mnie majora Segrais.

Forge odszedł, kuśtykając poprzez koleiny. Charton patrzył za nim tak długo, dopóki mógł go widzieć. W dali słychać było piszczałki Marokańczyków, obwieszczające zbiórkę.

O godzinie trzeciej po południu kolumna Chartona rozpoczęła wspinanie się na przełęcz. Droga biegła zygzakami, odtrącana przez skały to w jedną, to w drugą stronę. Rozpalona gardziel przesmyku zwierała się w ciasny przełyk. W tych miejscach jedynym ubezpieczeniem maszerującej kolumny było obsadzanie przez straż przednią skał, wiszących nad drogą. Kerrol i Théoliere połączyli na rozkaz Forge'a swoje oddziały, operując na zmianę po obu stronach drogi. Zza wzgórza dolatywała leniwa strzelanina. Słychać było wyraźnie pryskanie ognia karabinowego i różańcowe serie maszynek.

Kerrol szedł podpierając się kijem. Jego rude włosy stały się szare od kurzu. Pot ściekał mu po twarzy kroplami błota. Nie mógł utrzymać Théoliere'a, rwącego do przodu jak młody źrebiec.

— Czekaj — krzyknął za nim Kerrol — nie pędź tak.

Théoliere zwolnił kroku.

— Masz dobre nogi — wykrztusił Kerrol dysząc — mógłbyś się ścigać z Marokańczykami.

Théoliere patrzył na żołnierzy wspinających się zboczem. Szli cierpliwi i niezmordowani, trzymając w pogotowiu broń.

— Co za wojsko! — powiedział z zachwytem.

Kerrol przystanął na chwilę, wydychując płuca. Złapał wreszcie oddech.

— Aż dziwno mi czasem, że nas nie wyrżną i nie przejdą do Vietu. Byłeś w Maroku?

Théoliere zaprzeczył ruchem głowy.

— A ja byłem. Dajemy im tak samo bobu, jak dawaliśmy tym tutaj. To nie do wiary, jak silne są w człowieku imperatywy wpojone przez wychowanie. Marokańczycy i Senegalczycy są wierni do ostatka. Biją się sami nie wiedząc o co, z poczucia obowiązku. Nauczono ich, jak się uczy psa, że służyć trzeba temu, kto daje jeść.

Théoliere nie odpowiadał. Słowa Kerrola sprawiały mu przykrość. Bretończyk wspierał się na kiju, dysząc ciężko. Czerwonymi od kurzu oczyma badał nieustannie zbocza nad drogą.

— Ale pewnego dnia — ciągnął dalej — znajdzie się ktoś, kto do nich przytknie lont. Zobaczysz, jak wtedy wylecimy w powietrze, jakeśmy wylecieli w Indochinach.

Machnął desperacko ręką.

— A zresztą pewnie nie zobaczysz.

Marokańczycy pięli się powoli na urwisko. Byli wśród nich górale z Wysokiego Atlasu, smukli i gibcy jak kozice.

— Masz matkę? — spytał Kerrol.

Théoliere mruknął potwierdzająco.

— Gdzie mieszka?

— W Nancy. Mamy własny, duży dom.

— Aha! Ja mam też matkę. Mieszka w małej rybackiej chacie nad brzegiem morza. Od progu widać, jak ocean rozbija się o skały. Moja matka siedzi teraz przed chałupą i ceruje pończochy. Spogląda co chwila na ścieżkę i myśli o mnie.

Théoliere przełknął ślinę, jakby mu coś uwięzło w gardle. Marokańczycy dawali ze skał znaki, że można iść dalej. Ruszyli.

Kerrol szedł zatopiony w myślach. Wreszcie począł znów mówić pośpiesznie, przerywanym przez zadyszkę głosem.

— Mój ojciec harował przez całe życie. Pewnego dnia nie powrócił z morza. To jest bretońska śmierć. Moja matka czekała bez łez, jak czekają inne bretońskie kobiety. Musiała pogodzić się z losem. Miała nas czterech synów i wszyscy odeszliśmy od niej. Bretania nie może wyżywić dzieci rybaków, dlatego daje tylu żołnierzy i marynarzy. My też jesteśmy wierni jak psy za kawałek chleba.

Théoliere słuchał z uczuciem coraz większej przykrości. Coś jak niedorzeczne poczucie winy obudziło się w nim i gniotło.

— Ty jesteś z dobrej rodziny, Martin, ty wierzysz, że walczysz tu za Francję i honor oficera. Twoja matka też w to wierzy. To są ważne sprawy waszego świata. Jak zginiesz, twoja matka popłacze, ale zawiesi z dumą Krzyż Wojenny pod twoim portretem. Moja matka czeka na mnie, jak czekała na ojca. Jeśli nie wrócę, będzie to dla niej, jakbym nie wrócił z morza. Zwykłe nieszczęście.

— Przestań Kerrol. Jesteśmy w obliczu nieprzyjaciela...

Kerrol przystanął znów, wydychując zmęczenie.

— Co ty mnie będziesz uczył! Mam opinię najlepszego oficera bojowego taboru, nie?

Patrzył przez chwilę na Martina ze złością. Wreszcie ruszył dalej.

— Słuchaj — powiedział cicho — jeślibyś się z tego wydostał, odwiedź moją matkę. Masz tu w moim notesie jej adres. Powiedz jej, że myślałem o niej do końca.

— Nie pleć głupstw, Kerrol.

— To nie są głupstwa. Powiedz jej, że wychowała mnie na porząd-

nego człowieka, ale ta wojna zrobiła ze mnie drania. Jeśli służysz złej sprawie, to nie masz wyboru. Musisz sam stać się zły. Tyś przynajmniej nie zdążył upaprać się po łokcie jak ja. Zachowałeś biały pióropusz.

Théoliere milczał uparcie. Marokańczycy stali już na wierzchołku wzgórza. Obaj oficerowie dopędzili ich szybko.

— Kota 477 — rzekł Kerrol patrząc na mapę. — Mamy rozkaz obsadzić wzgórze i czekać na resztę kolumny.

Obejrzał teren i wyznaczył stanowiska dla obu karabinów maszynowych. Ludzie okopali się płytko w twardym gruncie.

Théoliere został na szczycie i patrzył. Droga biegła u stóp wzgórza, pnąc się na przełęcz Long-Phai, widną jak na dłoni. Wapienne kopce podszyte dżunglą panowały nad całą okolicą, świecąc ponuro tonsurami łysawych czubów. Przełęcz rozdzielała dwie głębokie doliny, siwiejące we mgle. Na dnie jednej ruiny Dong-Khe bielały jak kupka kości wśród dżungli. W drugiej leżało That-Khe, dalekie i zamglone. Z koty 477 wydało się Martinowi bliskie i niedosiężne jak szczęście.

Naraz w tym krajobrazie dzikiej grozy uderzyło go coś niezwykłego. Nasłuchiwał chwilę.

— Kerrol! — zawołał zduszonym głosem — Kerrol! Słyszysz, jaka cisza?

— Słyszę — odpowiedział Kerrol — Vietminh przestał atakować Lepage'a. Albo weszliśmy mu w paradę, albo...

Świsnął przez zęby i zrobił dłonią gest zaciskania pętli.

Oddziały kolumny wchodziły kolejno na wzgórze. Forge wspiął się aż do miejsca, z którego widać było That-Khe. Patrzył długo na drogę, znikającą pod przełęczą w dżungli. W blasku ołowianego nieba czuby kopców wznosiły się groźne i bliskie, że ręką sięgnąć. Forge nie spuszczał z nich oka.

— Złe miejsce — powiedział sam do siebie.

Suzaie stał obok z mapą w ręku. Forge zwrócił się do niego.

— Niech radiotelegrafiści dadzą mi pułkownika.

Suzaie przywołał Marokańczyka ze skrzynką radiostacji polowej na plecach. Pułkownik stał dalej i spoglądał wkoło, czekając na połączenie. Wreszcie podoficer podał mu słuchawkę.

— Pułkowniku — powiedział Forge — ośmielam się raz jeszcze nalegać. Wydajcie rozkaz natychmiastowego marszu na That-Khe. Widzę je stąd jak Mojżesz ziemię obiecaną.

Głos w słuchawce skrzeczał i piszczał. Forge słuchał z nieruchomą twarzą. Wreszcie odłożył słuchawkę.

— Lepage — powiedział na głos — żąda, abyśmy zostali tu, gdzie jesteśmy. Spróbuje się połączyć z nami jeszcze tego wieczoru.

Wyciągnął ramię i zatoczył nim szerokie półkole od kopców ku przełęczy.

— W takim miejscu!

Myślał chwilę spuściwszy głowę. Potem przywołał adjutanta.

— Suzaie, idź do Kerrola i powiedz mu, aby obsadził przełęcz Long-Phai. Niech trzyma się na niej zębami i pazurami. Powiedz mu, że od niego zależy los kolumny.

Suzaie, zasalutował służbiście. Forge odprowadził go wzrokiem. Suzaie jeden z całej kolumny golił się każdego ranka i czyścił mundur przed apelem.

Suzaie zastał Kerrola na szczycie wzniesienia. Badał przez lornetkę okolicę.

— Nic — powiedział na widok adiutanta. — Nic tylko góry i dżungla. Trudno uwierzyć, że o krok od nas leży kolumna Lepage'a i cały ten Viet, co nie daje jej przejść.

Suzaie chciał coś powiedzieć, ale w tejże chwili z głębi lasu wzbiły się w czerwieniejące niebo blade smugi rakiet i pękły w cztery zielone bukiety. Suzaie chwycił mapę i nakreślił na niej cztery krzyżyki.

— To Lepage wskazuje nam położenie swojego czworoboku.

Od dżungli doleciało pierwsze stęknięcie ropuch, zwiastujące bliskość nocy.

— Kerrol — powiedział Suzaie — dowódca taboru obarcza was trudną misją. Macie obsadzić przed nocą przełęcz i trzymać ją za wszelką cenę. Od was zależy los kolumny.

Kerrol skrzywił się półgębkiem. Od czterech dni i nocy los kolumny zależał od niego i jego Marokańczyków.

— Dobrze — odpowiedział bez zapału — powiedzcie majorowi Forge, że rozkaz jego będzie wykonany.

— Jak będziecie już na przełęczy, wystrzelcie zieloną rakietę.

Suzaie wracał zboczem. Ostatnie promienie zachodzącego słońca zaróżowiły smugę kurzu, stojącej jeszcze nad drogą. Niebo nabierało barw dzikich kwiatów dżungli. Tylko papuzia zieleń lasu poczynała już czernieć. Suzaie spojrzał na zegarek.

— Trrrrach!

Niebo zawaliło się z łoskotem, ziemia wybuchła w górę jak kamienny wodotrysk. Suzaie zataczał się wycierając palcami oczy. Powietrze

wyło, las pełen był łomotu i huku. Suzaie oprzytomniał i rzucił się wielkimi susami ku drodze, rycząc co sił w płucach.

— Ataaaaak!

Potykając się i padając, klucząc wśród wybuchów i gwizdów dobiegł do stanowiska dowódcy taboru. Forge klęczał przy radiostacji. Suzaie klęknął obok nie mogąc złapać tchu. Forge oddał słuchawkę telefoniście.

— Skoncentrowany atak ogniowy na całej długości kolumny. Moździerze i broń maszynowa. Czy Kerrol wyszedł?

Suzaie odzyskiwał zwolna mowę i słuch.

— Wyszedł — powiedział — ale nic więcej nie wiem.

Forge spojrzał na drogę. Niebo zgasło i czerniało szybko jak pogorzelisko. Tylko dżungla błyskała rudymi iskrami ognia.

Blady jak trup łącznik nadbiegł od szczytu wzgórza. Spryskany był świeżą ziemią i obsypany liśćmi.

— Co tam? — zapytał Forge.

— Viet atakuje wierzchołek wzgórza. Zrzuciliśmy go z powrotem w walce wręcz.

— Kto tam jest?

— Porucznik Théoliere.

— Kerrol?

Żołnierz zawahał się.

— Poszedł ku Long-Phai, komendancie.

Forge spojrzał w kierunku Long-Phai. Przełęcz wisiała na tle nieba, groźna i spokojna. Dżungla pod nią pluła iskrami. Ale nad przełęczą świeciły tylko wczesne gwiazdy.

Łącznicy nadbiegali od wszystkich dowódców stanowisk. Meldunki były jednobrzmiące. Wszędzie ten sam dokładny ogień moździerzy. Wszystkie posterunki opędzają się atakom doskonale wyposażonego nieprzyjaciela.

Forge połączył się z Chartonem. Pułkownik wysłuchał jego raportu i przekazał mu ocenę sytuacji. Vietminh atakuje wyborowymi oddziałami kilku batalionów z górujących stanowisk, na których dokonał koncentracji pod osłoną dżungli. Lepage donosi, że jest osadzony przez ciężki atak i nie może zrobić kroku naprzód. Legia wytrzymuje od pierwszej chwili zmasowany napór nieprzyjaciela. Straty duże. Kulisi i część oddziałów tubylczych uciekli po pierwszych strzałach w dżunglę.

— Co mówi Lepage? — spytał Forge.

— Daje nam wolną rękę. Sam będzie się starał oderwać.

Przez chwilę w telefonie charczała tylko gęsta strzelanina.

— Co rozkazujecie? — zapytał wreszcie Forge.

Głos Chartona załamał się.

— Rozkazuję przebijać się na That-Khe. Do widzenia, majorze Forge.

Forge odłożył wolnym ruchem słuchawkę. Pocisk z moździerza nadlatując zawył jak wilk. Forge nie schylił nawet głowy. Niebo nad Long-Phai stało ciemne, nie przekreślała go żadna spadająca gwiazda.

— Suzaie — powiedział Forge — roześlij rozkaz oderwania się wszystkim dowódcom kompanii. Przebijamy się na That-Khe, nie drogą przez przełęcz, tylko wprost w dół, przez dżunglę. To jedyna szansa.

Suzaie pchnął łączników.

Forge doszedł do grupy żołnierzy, leżących na skraju dżungli. Marokańczycy strzelali szybko. Polegli leżeli twarzami do ziemi. W ciemności rozlegały się jęki rannych.

— Chłopcy — powiedział głucho Forge — kolumna jest rozbita. Musimy na własną rękę przebić się do That-Khe.

Obejrzał się. Wzdłuż całego zbocza widać było cienie Marokańczyków sunące ku drodze. Forge umocował pod brodą podpinkę hełmu.

— Naprzód chłopcy, w dżunglę!

W nocy błyskującej żądłami wystrzałów kotłowało jak w garnku. Krzyki i wycia ludzi wypełniły las, w którym umilkły płazy, ptaki i zwierzęta.

*

Mohamed Arab Arezki siedział po cienistej stronie drogi oparty plecami o pień. Na prawo i lewo od niego Europejczycy, Afrykańczycy i Azjaci czekali bezczynnie w cieniu. Słońce waliło z wysoka podnosząc z dżungli kłęby pary. Zza ściany lasu dochodziła jeszcze daleka strzelanina. Mohamed wsłuchiwał się w nią wbiwszy w ziemię otępiałe spojrzenie.

Ktoś trącił go lekko w ramię. Biało odziany Vietnamczyk w hełmie i z automatem na ramieniu zapytał go po francusku:

— Nic ci nie jest? Nie jesteś ranny?

Mohamed zaprzeczył ruchem głowy.

— Możesz chodzić?

Dał znak, że może.

— Nie jesteś głodny?

Mohamed popatrzył na Vietnamczyka nieufnie.

— Dlaczego mnie o to pytasz? Nie jestem oficerem. Jestem zwykłym jeńcem.

Vietnamczyk uśmiechnął się przyjaźnie. Oczy zwęziły mu się przy tym w dwie skośne, ciepłe szparki.

— Wszyscy tu są zwykłymi jeńcami. Ale jeńcem nie jest się całe życie, chyba że się chce. Czym byłeś dotąd?

Mohamed nie rozumiał. Patrzył z niepokojem na Vietnamczyka.

— Czy dotąd nie byłeś jeńcem? Rychło zrozumiesz, że znacznie bardziej niż teraz.

Podszedł do następnego.

— Nic ci nie jest? Nie jesteś ranny?

Ludzie podnosili ku niemu spojrzenia, w których odbijały się okropne sceny nocy. Marokańczycy, Annamici, biali rozpoznawani po kilkudniowym zaroście, wszyscy szarzy jak obierzyny w ścieku.

— Nie jesteś głodny?

Mohamed odwrócił też głowę za Vietnamczykiem. Zobaczył go, jak nachyla się nad brodatym Marokańczykiem siedzącym z twarzą opuszczoną ku ziemi.

— Czegoś taki smutny? Walczymy przecież także o wolność twojej ziemi. Zobaczysz, jak zwyciężymy. Nie chciałbyś być wolny jak ja?

Mohamed patrzył nie odrywając oczu. Coś jak nikła iskierka zatliło się w jego zmęczonych źrenicach.

(Dokończenie nastąpi)

Mirosław Żuławski

Z rewolucyjnej poezji niemieckiej XIX w.

Lata 1848—49 — to szczytowy okres wolnościowej poezji niemieckiej. Rewolucja marcowa nie miała wprawdzie swojej Marsylianki, ale w ogniu walki powstawały tysiące pieśni i wierszy, pisanych często przez anonimowych autorów z ludu i drukowanych w rozlicznych jednodniówkach i ulotkach. Silny był w Niemczech oddźwięk bojowej twórczości poetów, piszących na wygnaniu, jak Heinrich Heine, Georg Herwegh, Ferdinand Freiligrath, Georg Werth i inni. Ci trzej ostatni byli członkami Związku Komunistów, przyjaciółmi Marksa i Engelsa. Płomienne wiersze Herwegha drukowane były często w redagowanej przez Marksa w latach 40-tych Gazecie Reńskiej; nazwiska Freiligratha i Wertha związane są ściśle z walką Nowej Gazety Reńskiej w okresie Wiosny Ludów.

T. P.

LUDWIK UHLAND

OTO PRZEKLEŃSTWO...

Oto przekleństwo nieszczęsnego kraju,
Gdzie się wolnością i prawem pomiata,
Że tam najlepsi i najszlachetniejsi
Wśród bezowocnych udręk siły trawią,
Że tych, co dla ojczyzny sercem płoną,
Pod pręgierz się tam stawia, jako zdrajców
I ten, kogo niedawno zbawcą zwano,
Pod obcym dachem szuka dziś schronienia.

A podczas, gdy zamiera kwiat narodu,
Krzewi się bujnie diabelskie nasienie
Pychy, tchórzostwa, gwałtu i służalstwa.
Lecz to się zmieni, gdy przez burzę dziejów
Wolność i prawo i ład sprawiedliwy
Przebiją się na światło i utrwalą!
A wtedy ci, co stali, gniewni, z dala,
Wmieszają się radośnie w tłum rodaków,
A wtedy każde serce i dłoń każda
Pchnie naprzód sprawę powszechnego dobra.

przełożył **Tadeusz Polanowski**

UMIERAJĄCY TRĘBACZ

Że też musiałem paść, do diabła!
Jak będą mogły teraz polskie lance,
Jak będzie mogła teraz polska szabla
Przy innym dźwięku harcować w walce?

Nieraz trąbiłem w słotę, w zawieję,
A w koło burza, a w koło ciemności —
Lecz miałem nadzieję, lecz miałem nadzieję,
Że się doczekam jeszcze wolności;

Miałem nadzieję, kiedy śmierć zmierzała
Chytrze, podstępnie w moją pierś z daleka,
Kiedy mi świszcząc z bliska zagrażała —
A teraz wiem, że nic mnie już nie czeka.

O, towarzysze, przyjdźcie mi z pomocą,
By dusza prędzej przed sądem stanęła!
Na mojej trąbce zagrajcie z mocą:
„Jeszcze Polska nie zginęła!"

Bym tylko pieśń tę słyszał, nic więcej,
Kiedy nadejdą konania dreszcze,
A potem trąbkę złóżcie mi w ręce —
Bo mi się przyda w dniu sądu jeszcze!

Kiedy chcąc, aby na ziemię wrócili,
Pan Bóg zawezwać umarłych raczy,
To będzie musiał już w pierwszej chwili
Zbudzić w czeluściach mogił trębaczy.

Wyjdę spod darni, świeży i młody —
Któż wtedy moją radość wysłowi,
Kiedy na trąbce wszystkie narody
Wezwę do walki przeciw carowi!

1840

WSPOMNIENIE

(fragment)

Gdy Polska bitwę ostatnią przegrała,
Ponad brzegami Renu wysokimi
I na gór zboczach potężna zagrzmiała
Przysięga: „Chcemy być ludźmi wolnymi!"
I słychać burzę głęboko w dolinie,
A poprzez ziemię jedno słowo płynie,

Takie, że wszystkie serca drżą z radości —
Zły sen jedynie nawiedza czasami:
Za żelaznymi, za siedmiu kratami
Owym rycerzom minął czas młodości.

Choć śmierć okrutna zabrała nam wiele,
O ileż więcej życie zrabowało!
Lecz nie rozpaczać, drodzy przyjaciele,
Wolność wciąż głowę trzyma dumnie, śmiało!
Jej obraz nam pozostał — cóż po ramie?
Kto się użali, gdy listwa się złamie?
Niechaj przeminą wielkości imiona!
Nowe nadejdą, drodzy przyjaciele,
I w naszych zmarłych zasieją popiele
Nowych herosów i nowe nasiona.

przełożył **Leopold Lewin**

FERDYNAND FREILIGRATH

WOLNA PRASA

Szef drukarni rzekł dobitnie, widząc, że dokoła swoi:
„Jutro, wiecie, zaczynamy! Więc potrzeba nam naboi!
Mamy czcionki ołowiane, a początek bitwy bliski.
Z metalowych alfabetów dziś będziemy lać pociski!

Dajcie formy, dajcie tygle! Węgle już gotowe mamy!
Żeby nikt nam nie przeszkodził, zaryglujcie dobrze bramy!
Do roboty więc panowie! Składacze i metrampaże!
Ten manifest wolnościowy dosyć mocny się okaże!"

Rzekł i pierwszy swoje czcionki rzuca w tygle rozpalone.
Już stopiły się w gorącu i zawrzały perl, kolonel,
zakipiały petit, garmont! Już w antykwie i frakturze
rosną bańki radykalne, wymykając się cenzurze!

Sycząc w formy się przelewa wrząca masa manifestu.
Całą długą noc jesienną mężczyzn trudzi się dwudziestu.
Dmą ochoczo w miechy, topią, nie próżnują ani chwili,
aż w okrągłe, lśniące kule wszystkie czcionki przetopili.

Spakowany w szare worki zapas leży już i czeka,
by o świcie go rzucono w wielką bitwę o człowieka.
Śmiały dziennik! Nigdy jeszcze nic o treści tak zuchwałej
skoro świt nie wyfrunęło z oficyny tej zgrzybiałej!

Mistrz spogląda zachmurzony i do serca dłoń przykłada:
„Tak być musi, choć to boli mnie i innych, trudna rada!
Lecz czyż może być inaczej? Po cóż łudzić się nadzieją!
Czcionka może być dziś wolna, jeśli kulę z niej odleją!

Owszem, myśl zwyciężać winna, nie materii dzikie moce!
Ale wróg tę myśl zamyka, wiąże, depcze i druzgocze!
Dobrze więc! Niech mowa czcionek odtąd w lufach się zamyka!
Czcionki nasze, celnie lećcie z niezwykłego wierszownika!

Lećcie na królewski zamek, o nieustraszone czcionki,
szorstką, piękną pieśń wolności wygwizdując jak skowronki.
Bijcie w katów i służalców, i w łeb głupi pod koroną,
co sam sprawił, że w drukarniach czcionki w kule przetopiono!

Gdy prawdziwej wolnej prasy doczekamy się po walce,
wygrzebiemy was spod ruin, w których będą gnić służalce!
Z tępych kul na ostre czcionki przetopimy was z powrotem...
Czy słyszycie? Ktoś zapukał. Trąby się ozwały grzmotem!

Huknął strzał! I jeszcze jeden! Hurra, bracie, to sygnały!
Trąbki, kopyt grzmot, ulice pieśnią tłumów zahuczały!
Prędko, kule! broń! Jesteśmy! Naprzód, naprzód, bojownicy!"
Rewolucja! Pierwsza salwa zatrzeszczała na ulicy!
1846 *przełożył* **Robert Stiller**

GEORG WERTH

W DRODZE DO DÜSSELDORFU

Do Düsseldorfu w drodze dziś
Wyborną miałem sosjetę:
Pan radca stanu bardzo klął
Na Nową Reńską Gazetę.

„Jej redaktorzy — radca rzekł —
To istnych diabłów sfora,
Co Boga nie lękają się,
Ni Ober-prokuratora.

Jeden na wszystko mają lek:
Ład chcą wywrócić na nice
Przez całkowity podział dóbr
W różowej ich republice.

Więc pokrajany będzie świat
Na setki milionów parceli;
Podzieli się grunta, podzieli piach
I morza też się podzieli.

I każdy człek otrzyma część
Dla swojej własnej podniety —
A redaktorzy — najlepszy kęs,
Ci z Nowej Reńskiej Gazety.

W kobiety nasze godzą też,
Małżeństwu grożą zagładą:
Niech odtąd wszyscy ad libitum
Do łóżka z sobą się kładą.

Więc z Mongołkami śniady Grek,
Niemiec z żółtymi Chinkami,
Z Eskimoskami smukły Szwed,
Indianin zaś z Turczynkami.

Ten system cały odmieni świat,
A najpiękniejsze kobiety
Któż weźmie sobie? Prosta rzecz:
Redaktorzy Reńskiej Gazety!

W ogóle zniweczyć wszystko chcą;
Nie szczędzą drwin i potwarzy!
W przyszłości wznosić nie ma nikt
Swym własnym bogom ołtarzy."

Zamilkł pan radca, zasię ja
Niemało byłem zdziwiony:
Cóż, całkiem z pana rozsądny człek
W naszym stuleciu szalonym!

Pragnę wyrazić radość swą
Z wielce czcigodnej sosjety,
Gdyż redaktorem jestem sam
Tej Nowej Reńskiej Gazety.

Jedź pan i naszą sławę nieś
Przez wszystkie morza i lądy.
Doprawdy widać, że pan ma
Niezwykle rozumne poglądy.

Niech sobie jedzie zacny człek —
Pomnik wystawić mu spieszę
W wesołym felietonie tym,
Ku czytelników uciesze.

Bo w samej rzeczy, nie każdy kiep
Kopniaka od nas dostanie —
Mam zaszczyt, drogi radco mój,
Wyrazić ci poważanie.

1848 *przełożył* **Tadeusz Polanowski**

Uwagi o realizmie w poezji Wiktora Hugo

Nasza poezja, cokolwiek byśmy myśleli o jej osiągnięciach, nie znajduje się dzisiaj na manowcach. Ideologia przyjęta przez ogół poetów chroni od zasadniczych pomyłek. Rzecz prosta i dzisiaj błądzić można. Błądzi się zresztą skutecznie. Ale te błędy pozbawione są uroku. Czymże jest odkrywanie jakiegoś nadzwyczajnego lądu wyobraźni, jeśli nie wyznaniem bezsiły wobec realności?

Nie manowce więc grożą. Groźne jest natomiast wąskie, powierzchowne pojmowanie realizmu poetyckiego. Realizm w poezji nie da się sprowadzić do formuły, do recepty. Postawę realizmu osiąga się, zdobywa po wielkich wyrzeczeniach, po przezwyciężeniu oporów własnych i obiektywnych trudności — jako najwyższy stopień uświadomienia ideowo-artystycznego. Postawy tej nie wystarczy przyjąć. Tu dobra wola, chociaż dobra wola to bardzo wiele, nie wystarczy.

Do prostoty, do prawdziwości, do prawdy w poezji, do realizmu w poezji można dojść zewsząd niemal. Cóż dopiero z tego miejsca w historii, w którym się obecnie znajdujemy. Pozyskaliśmy na użytek powszechny narzędzie i wzory doskonalenia, które w okresie minionym trzeba było wykopywać spod kosmopolitycznej wzgardy i zapomnienia. Dziś nie musimy, każdy na własną rękę, dopracowywać się należytego stosunku do tradycji narodowej, do postępowej tradycji sztuki. Nie wszystko rzecz prosta mamy za sobą. W stosunku do tradycji także grożą przepaście. Nie po gotowe wzory sięgamy do wielkich poetów. Nie po wzory do stylizacji. Po przykład, po postawę, po naukę wypływającą z ich doświadczeń.

Postępowa tradycja sztuki stoi przed nami otworem. Doświadczenie Wiktora Hugo, jednego z największych realistów w poezji, czeka byśmy zeń czerpali. Od roku mniej więcej, od czasu jak zajmuję się przekładaniem utworów tego poety, tu i ówdzie spotykam się ze wzruszeniem ramion:—Wiktor Hugo, stary nudziarz, też odkrycie... — i temu podobne. Bo ostatecznie kiedy mieliśmy poznać Wiktora Hugo? Niesposób było odkryć go, niesposób było poznać go właściwie bez pomocy tej ideologii, która wskazuje najwyższą społeczną wartość sztuki. Czyż bez pomocy tej ideologii możliwa byłaby wrażliwość na realizm w poezji w ogóle?

Kiedyśmy mieli poznać Wiktora Hugo? Obracaliśmy się w kręgu francuskich szkół i prądów poetyckich, to pewne. Od Baudelaire'a do nadrealistów. Czerpaliśmy więc to wszystko, co było odwróceniem, zaprzeczeniem dzisiejszych naszych potrzeb. Otrzymaliśmy gruntowne przygotowanie arealizmu.

Z dziejów poezji francuskiej od symbolizmu do dni dzisiejszych odczytujemy te tendencje, które składają się na pojęcie rozkładu kultury zachodniej. Cóż wyrażają francuskie prądy poetyckie, jeśli nie dążność do wyjścia w abstrakcję, w strony niemożliwe, niewyrażalne, do zerwania więzi między poezją a innymi przejawami ducha ludzkiego. Od czasów symbolizmu stale pogłębia się przepaść między przeżyciem poetyckim a treścią życia ludzkiego, między obrazem poetyckim a zjawiskiem rzeczywistego świata, między poetyckim słowem a mową narodu. Idealistyczna koncepcja „języka poetyckiego" jako mowy odrębnej, podlegającej własnym prawom rozwojowym, posiadającej własną funkcję organizowania wzru-

szeń niekomunikatywnych, odcięła francuską poezję od źródeł życia i młodości. Skazała ją na margines. Pozbawiła ją zdolności wyrażania przeżyć społeczeństwa. Racją jej bytu stała się negacja całej humanistycznej treści francuskiej kultury. Droga przebyta przez tę poezję od symbolizmu do nadrealizmu mówi sama za siebie.

Francuska poezja od przeszło pół wieku poszukuje beznadziejnie źródeł mocy i tajemnicy młodości. Wraz z Mallarmé'em rozbijano łupinę słowa, by doszukać się wdzięcznej pustki, potem rozkopywano podświadomość, by znaleźć sens bezinteresownej „przygody duchowej". Długotrwale poszukiwano klucza do sztucznej otchłani. Robiono bezcelowe rewolucje i odnoszono fikcyjne zwycięstwa.

Jednym z takich zwycięstw pyrrusowych było zwycięstwo nad Wiktorem Hugo. Siedemdziesiąt lat historii prądów poetyckich we Francji—to siedemdziesiąt lat walki z poetyką autora Chłosty i Legendy Wieków. To jemu właśnie symbolizm przeciwstawił Mallarmé'go, jako że wysoko niósł sztandar poetyckiego słowa nie upodlonego pełnieniem społecznej funkcji. Przeciwko niemu nadrealiści zrewidowali historię francuskiego romantyzmu przeciwstawiając mu „małych romantyków", Bertranda i Borela, którzy natchnienia swego nie skazili sprawami ludzkiej ziemi. Jego poezji walczącej o konkretne cele przeciwstawiono ideał przygody duchowej. To przeciwko niemu aż poza granice nonsensu wydmuchiwano poetyckie słowo. Przeciwko niemu, gdyż był jasny, zrozumiały i zaangażowany w konflikty swego czasu. Przyznano mu jedną wielkość, owszem, wielkość gadulstwa.

Gdy mówimy: realizm w poezji, mamy na myśli bardzo wiele. To wiele zależy od tego, z jakich pozycji patrzymy na poetycki utwór. Utwór opisowy np., nasycony konkretnymi obrazami, może wydać się nam i jest z pewnością realistyczny w zestawieniu z utworem impresyjnym, zamazanym wyobraźniowo. Z pewnością. Te zewnętrzne cechy na ogół nie zawodzą na pierwszym stopniu rozpoznania. One jednak nie wystarczają. Konkretność, wyrazistość wyobraźniowa mogą spełniać w utworze poetyckim inną funkcję niż organizowanie sprawdzalnej wizji świata. Konkretność obrazowania może być już mechanistyczna, ale bynajmniej nie realistyczna jeszcze. Nie jest poezją realistyczną taka poezja, która nie ogarnia ludzkiego świata zjawisk. Nie jest poetą realistycznym taki poeta, którego stosunek do świata jest doznaniowy, czysto wrażeniowy. Bywa, że sprawy wyrażone w pięknych, przekonywających metaforycznie utworach nie dadzą się przedłużyć ideologicznie. Umierają razem z wrażeniem.

Realizm poetycki wymaga czegoś więcej. Zajęcia słusznej, prawidłowej, ludzkiej postawy wobec świata, ustosunkowania się poety do świata z ludzkich pozycji. A cóż wyznacza najpełniej ludzką pozycję poety, jeśli nie walka, cierpienia, nadzieje, myśli, uczucia, wyobrażenia ludu? Tylko ta poezja jest realistyczna, która rodzi się z pozycji ludowych. Tylko ten poeta jest poetą realistycznym, który pisze łzami i krwią, smutkiem i uśmiechem ludu.

Droga do realizmu w poezji — to nie jest droga od wiersza do wiersza. Prowadzi przez ideologię. Realizm w poezji narodzić się może dopiero z dojrzałości ideologicznej, ze świadomości ideowej poety. Dopiero z chwilą kiedy poeta stanie z całym swoim warsztatem twórczym, całym sercem na pozycjach ludu.

Na przykładzie doświadczenia poetyckiego Wiktora Hugo tę drogę do realizmu w poezji widzimy wyraźnie. Nasycanie się jej treścią ludzką, doskonalenie jej formy, wzbogacanie środków wy-

razu — są ściśle związane ze wzrostem świadomości politycznej, z ideologicznym dojrzewaniem poety.

Wiktor Hugo był wybitnym poetą francuskiego romantyzmu, oczywiście. Lecz wielkość jego poezji narodziła się wówczas, kiedy romantyczny bunt napełnił wielką treścią społeczną, kiedy z konwencjonalizmem walczył nie z pozycji innego konwencjonalizmu, lecz z pozycji ludowych, kiedy dworską etykietę aleksandrynu łamał nie po to, aby wyrazić burzę rozwichrzonych uczuć, lecz gniew francuskiego ludu.

Przełom w poezji Wiktora Hugo zarysował się około roku 1849. Wówczas powstają pierwsze utwory przyszłej Chłosty. W okresie trzynastoletniego milczenia poetyckiego w latach 1840—1853 Wiktor Hugo rozpoczyna publiczną działalność polityczną. Palące sprawy życia społecznego, konflikty polityczne poszerzają horyzonty jego światopoglądu. Kiedy po przewrocie grudniowym sięgnie po poezję to po to, by użyć jej jako oręża w walce z uzurpatorem, a potem w walce z każdą przemocą. Gdy po trzynastu latach milczenia już jako wódz duchowy francuskiej demokracji Wiktor Hugo powróci do poezji, to natchnieniem swoim ogarnie sprawy życia, szczęścia, cierpienia, rozpaczy i nadziei całego narodu. Stanie się w pełnym tego słowa znaczeniu poetą narodowym, największym narodowym poetą Francji.

*

Stosunek do języka — to przecież postępowości, to także przecież realizmu w poezji. Stosunek do języka—to przecież sprawa ideologii. Czyż można twierdzić, że się zajmuje postawę ludową, że się zajmuje stanowisko ludu, jeśli się nie wyraża przeżyć, doznań i wyobrażeń ludowych? A jakimż stylem, jakim słownictwem je wyrażać? „Językiem" poetyckim, odrębnym, własnym, nieskalanym komunikatywnością? Symboliści i ich pogrobowcy są konsekwentni. Powołali do urojonego życia niesprawdzalny świat swoich wzruszeń. Dopiero kiedy skarżą się na tragizm swojego twórczego losu, na niezrozumienie i rzekomy zanik potrzeby poezji w narodzie, wtedy są komiczni. Śmieszą niekonsekwencją.

Wiktor Hugo jest właśnie przykładem dzisiejszego, tego, który dziś uważamy za postępowy, stosunku do języka.

Hugo pierwszy zwrócił się do całego narodu, pierwszy wprowadził do poezji słownictwo paryskiej ulicy, słownictwo ludu Francji. Język poetycki Wiktora Hugo? — Potoczna mowa francuska. Wystarczy słownik języka francuskiego, by go odszyfrować i bogactwo jego ocenić.

Na stary słownik czapkę frygijską nadziałem.
Nie ma słów patrycjuszów, ni słów plebejuszów —

powie już w 1834 roku w poemacie Odpowiedź na akt oskarżenia. A gdzie indziej

„Nie ma słów dobrze lub źle
urodzonych".

„Nie dbałość o piękno, ale dbałość o prawdę — oto zadanie poezji".

„Porzucam wiersz szlachetny czarnym pieskom prozy".

Czyż oznacza to pogardę wobec sztuki poetyckiej, wobec formy?

Francuska poezja nie zna świetniejszego wersyfikatora. Przez „palce" Wiktora Hugo przeszło kilkadziesiąt tysięcy rymów. Wiktor Hugo — i w tym jest także dzisiejszy sens jego realizmu — występuje, wyrażając się w sposób dzisiejszy, przeciw konwencjom poetyckim, które atomizują kulturę narodu, występuje przeciw odrębności poetyckiej mowy i poetyckiego świata, przeciw tak zwanej „świętości"

poezji. Oto konsekwencje jego postawy realistycznej.

Czyż rozumiemy głębię regresu, jakiego dokonał symbolizm, który właśnie rację bytu poezji widział, a jego pogrobowcy widzą do dziś, w tej autonomicznej świętości, w izolacji od życia narodu? Czyż Wiktora Hugo, który przezwyciężył bizantynizm, wtórny bizantynizm miałby pokonać?

W swojej poetyckiej młodości, w odach i balladach Hugo nie wyrażał się prostotą mowy ludowej. W swojej poetyckiej torbie owego czasu miał różne „hydry piekielne", sztuczne aluzje i pięknostkowe porównania. Do dzisiejszego, realistycznego pojmowania roli języka w poezji doszedł długą drogą ideowego dojrzewania. Idea postępu, demokracji, wolności dała mu dopiero środki wyrazu. Dopiero poeta-trybun ludu stał się rewolucjonistą formy.

Hugo w rewolucjonizowaniu poetyckiej formy — i w tym także dzisiejszy sens jego realizmu — nie był rewolucjonistą anarchicznym, postawa jego nie miała nic z demagogii. Hugo nie pragnął bynajmniej zniszczyć wszystkiego i wszystko zaczynać od nowa. Miał to samo, co my dzisiaj, uszanowanie dla tradycji i nie zamierzał palić aleksandrynu, narodowej formy francuskiej poezji. Hugo przez całe życie pisał aleksandrynem. Kruszył jego skostniałość, uelastyczniał, odnawiał, ożywiał. Przystosowywał go do wyrażania przeżyć powszechnych. Złamał usztywnienia cezury, wprowadził zasadę szeroko stosowanej przerzutni. Dokonał we francuskiej wersyfikacji reformy podobnej do tej, jakiej Mickiewicz dokonał w wersyfikacji polskiej.

W 1840 roku wywołał słynną, równie słynną jak o Hernaniego burzę, mało burzę, skandal z aleksandrynem. Dramat Cromwell rozpoczął się takim wierszem:

„Demain, vingt cinq juin mil six cent cinquante sept..."

Wiersz bez cezury (bez cezury logicznej), gdyż trudno oddzielić cezurą *mil* od *six sept.*

Dla wywołania większego skandalu Hugo wprowadził dowolny *juin* (mógłby być przecie *mai*, lub *mars*), aby zachwiać tę cezurę. Czytelnik zawaha się, czy *juin* uważać za wyraz jedno czy dwusylabowy.

Słynny wiersz z Cromwella jest manifestem realistycznego pojmowania formy. Jedyną bowiem dla Wiktora Hugo normą poezji jest sprawa realności, wyrażenia tego, co rzeczywiste. Rzeczywistość, świat rzeczywisty, tak samo historyczna data jak słońce, drzewo, łza, uśmiech ma prawo do miejsca w poemacie. Ale jak ją pomieścić? Formy językowe dyktują formę poezji. Realność urabia kształt poezji. Konseskwencje tego stanowiska są wyraźne.

Żywa mowa wtargnęła do tej poezji niosąc z sobą bogactwo ludowej wyobraźni, świeżość obrazowania. Pod żywiołem języka pękły sztywne ramy wersyfikacyjne. Wystarczy porównać aleksandryn klasyków z aleksandrynem Wiktora Hugo, by zdać sobie sprawę ze skali przeobrażenia. Symetryczny, przełamany cezurą na dwie połowy aleksandryn klasyków tak dalece dyscyplinował uczucia, że wyrażał już tylko ich pojęcie. Wiktor Hugo uczynił zeń giętkie narzędzie posłuszne poetyckiej frazie. Łamiąc go na cztery nieregularne człony, stosując ryzykowne przerzutnie, osiąga płynny, niehamowany tok wiersza. Celowo wprowadzane prozaizmy dramatyzują obraz poetycki. Hugo wzbogaca francuską wersyfikację o zaczerpnięte z ludowych pieśni formy rytmiczne. Rozmaitość wersyfikacyjna jego poezji jest nieporównywalna z twórczością żadnego z francuskich poetów.

Przeobrażenia wersyfikacyjne, które Hugo wniósł do francuskiej poetyki, są konsekwencją jego postawy ideowej. Zagadnienia rytmu i rymu, zagadnienia formy — to nie są sprawy abstrakcyjne, niezależne od wyrażanej treści. Na tym polega rola wielkich poetów, poetów narodowych, że na swoim warsztacie wykuwają formy i doskonalą narzędzie mowy. Wiktor Hugo tę rolę we francuskiej poezji odegrał.

Przez siedemdziesiąt lat zagłuszano głos tego olbrzyma poezji, jak się zagłusza wyrzuty sumienia, sztuczną wrzawą fałszywych proroków. By stłumić jego gniew i pogrzebać jego nadzieję, odmawiano mu precyzji i zarzucano błędy kompozycyjne. Któż te zarzuty stawiał? Ideologowie drobiazgów, odkrywcy takich lądów, które rozwieje jedno prawdziwe westchnienie. Wszystko, co żywe we współczesnej poezji francuskiej, wszystko, co przedarło się przez schyłkowy estetyzm burżuazji, korzeniami tkwi w poetyckiej glebie Wiktora Hugo.

*

Gdy mowa o realizmie w poezji Wiktora Hugo, wymienia się zazwyczaj Chłostę *(Châtiments)*. Oczywiście. Nic naturalniejszego. Chłosta to arcydzieło liryki politycznej, arcydzieło satyry, wzór wrażliwości poety-obywatela, zbrojącego swój lud do walki na barykadach. Obrazy nędzy, które ukazał, są wstrząsające do dzisiaj. Żaden utwór napisany w języku francuskim nie ma większej wymowy. Arcydzieło tak świetne, że chociaż Wiktor Hugo mierzył w Drugie Cesarstwo, trafia i dziś w każdą przemoc, w każdy policyjny reżym.

W obchodzącym nas zagadnieniu — realizm w poezji — nie wystarczy jednak na Chłostę się powołać. Nie wystarczy powiedzieć: realizm w poezji Wiktora Hugo wyraził się w Chłoście. Wyraził się oczywiście. Ale o krok byliśmy od bardzo uproszczonego wniosku, że droga do realizmu w poezji prowadzi przez satyrę. Wiktor Hugo nie dlatego jest realistą, że napisał Chłostę, ale dlatego napisał Chłostę, że jest wielkim realistą.

Spróbujmy zdać sobie sprawę, co to jest liryka polityczna Wiktora Hugo. To oręż do walki o wolność ludu. Z przemocą fizyczną, z wyzyskiem materialnym, z policyjnym reżymem Drugiego Cesarstwa. Tak. Ale w czyje ręce tę broń Wiktor Hugo wkłada? Z jakich pozycji walczy? Sam, wiemy, nie brał udziału w żadnej rewolucji. Gorąco sympatyzował. Lecz czy Chłosta jest wyrazem takiejże sympatii? Czy Hugo swoją liryką polityczną współdziała z ludem z pozycji sympatyzującego natchnienia? Otóż właśnie. Jego liryka polityczna, jego satyra — to nie były utwory pisane z pewnego dystansu dla ludu. Biły we wrogie siły reakcji bezpośrednio. Z pozycji ludowych. W liryce politycznej Wiktora Hugo nie ma wdzięczących się point, kalamburów, aluzji wyszukanych i zrozumiałych tylko dla drobnomieszczańskiej inteligencji. To nie jest pseudoludowa poezja. Tam nie tylko tematyka jest polityczna. W tej poezji zawarty jest autentyczny gniew ludu. Tego ludu francuskiego, o którym Wiktor Hugo powiada:

...jak piramida groźna stał. Na szczycie
Jaśniały znów do życia prawa zmartwychwstałe,
Ku niemu wyciągały rączki dzieci małe.
On nie żebrał o łaskę lecz mówił: — Tak trzeba!
Walcząc z wojną i zbrodnią bił jak piorun z nieba.
Tyranów precz pędziła jego dobra ręka.

Zbyt wielki był, niestety! Zdrady się nie lękał.
Ku przyszłości szedł czysty jak ranek majowy
I wpatrzony w ideał nie odwracał głowy...

Aż nagle wpadł w zasadzkę. Uległ podłej zdradzie.
Trupa jego widzicie tam, na barykadzie!

Liryka polityczna Wiktora Hugo zrodziła się na pozycjach ludowych. Nie omawia, uderza wprost. Jest gwałtowna, brutalna nawet. Chłosta spotkała się z generalnym zarzutem trywialności, przesady ze strony tych, dla których bezpośredni gniew ludu jest zawsze przesadny, nieumiarkowany. To jest najważniejsze. To właśnie, że Hugo pisząc o ludzie, dla ludu, pisze w imieniu ludu, krwią i łzami ludu. Wyraża jego program polityczny, jego ideologię, jego gniew. Nie tylko. Wyraża także jego nadzieję, zachwycenie, świat dookolny, wyraża je tak, jakby nań patrzył oczami ludu. Nie każdym przecież swoim utworem Wiktor Hugo walczy. Ale w każdym najbardziej osobistym wyznaniu bije ludzkie serce ziemi. W bretońskim pejzażu, w zachwyceniu pierwszą kobietą wyraża się to ludowe wzruszenie światem, w którym człowiek rodzi się, aby być szczęśliwy. Nawet Bóg, kiedy się jawi w jego poezji, jest ziemskim wyobrażeniem, ucieleśnieniem baśni oczyszczonej z wszystkich fideistycznych mitologii.

Tu się zawiera właśnie sedno realizmu poezji. Patrzeć na świat z pozycji ludu, wyrażać świat w kategoriach myślenia i odczuwania ludu.

Na wiele mógłbym się powołać przykładów, wiele strof cytować, które by tę jednolitość realizmu Wiktora Hugo ukazały. W Chłoście wyraża gniew i oburzenie ludu, w Wieku XX z pozycji ludowych ukazuje nadzieję, tę przyszłość świata, gdzie

Serce wolności bije w niebie i na ziemi

i w każdej ludzkiej piersi.

Czyż nie z tych samych pozycji rozlega się miażdżący bogów olimpijskich głos Satyra (Satyr), uosobiającego naturę, zwyciężającą wszystkie bogi i wszystkie religie?

To nasycenie konkretem, ta wyrazistość obrazowania podziwiana w drobnych utworach jak np. słynny Wieczór w Bretanii, ma głębokie uzasadnienie ideowe. Hugo, który doszedł swoim życiem do tęsknot i marzeń ludu, swoją poezję mógł doprowadzić do źródeł ludowego wzruszenia. Nasycił ją wyrazistością, konkretnością, tym wszystkim, co stanowi właściwość twórczej wyobraźni ludowej.

Na zakończenie tych uwag odwołam się do jeszcze jednego przykładu. Sen Booza jest jednym ze szczytowych osiągnięć liryki Wiktora Hugo. Uchodzi słusznie za perłę w koronie francuskiej poezji. Słynny ten utwór znajduje się we wszystkich antologiach. Co stanowi jego urodę? Na czym polega jego urzekające piękno, czemu wzrusza powszechnie? Mówi się kunszt, harmonia, obrazowanie itd. Ale to wszystko niewiele znaczy bez ideologicznego sensu. Można się nim zachwycić, zapewne można, są na to dowody, bez dociekania tego sensu, ale zachwyt jest niepełny, oparty na przeczuciu zaledwie. Sens ideologiczny nadaje dopiero temu utworowi jego pełnię. A tę pełnię stanowi zwycięstwo realizmu poetyckiego nad religijnym mitem.

W Śnie Booza Hugo sięgnął do judeo-chrześcijańskiej mitologii. Booz jest, jak wiadomo, jednym z patriarchów z długiego rzędu stanowiącego rodowód Chrystusa. Lecz Hugo w

utworze tym wywabił z mitu wszelką zawartość mistyczną. Mit dawny żyje nowym życiem: ziemskim. Wizja nabrzmiała erotyzmem. Inkarnacja, wcielenie odbywające się zwykle w kategoriach duchowych (Bóg wstępuje do duszy ludzkiej, lub dusza ludzka dosięga Boga), tutaj — po raz pierwszy w poezji w ogóle — dzieje się cieleśnie:

Tak jak spał Jakub niegdyś, jak spała Judyta,
Booz w noc tę z oczami zamkniętymi leżał.
Błękit nad jego głową uchylił swe dźwierza
I w Boozowe spanie sen z nieba zawitał.
Śniło się Boozowi, że widzi jak z brzucha
Dąb mu wyrasta szumiąc w wysokim błękicie.
Piął się nań ludzki ród jak ogniwa łańcucha,
U stóp jego król śpiewał, konał bóg na szczycie...

W ostatnim wierszu „bóg" jest imieniem pospolitym. Hugo w tym utworze celowo (gdzie indziej Bóg występuje zawsze jako imię własne) nawet formą pisowni zaznacza, że jest on jednym z wielu zjawisk ziemi. Proszę zwrócić uwagę jak Booz zwracając się do Boga mówi o swej zmarłej żonie :

Wrota niebios już dawno przed tą się roztwarły,
Która z mojego łoża weszła w twoje łoże,
Lecz jedno bez drugiego obejść się nie może,
Ona jest na wpół żywa, ja na wpół umarły. *)

Tak daleko w pogaństwo nie sięgnął żaden poeta w dobie chrześcijańskiej. A z jaką ironią, lekką, bez szarży mówi o obecności aniołów:

Cień panował godowy, dostojny, czcigodny.
Aniołowie z pewnością ukradkiem fruwali,
Gdyż widać było czasem, jak przeleciał w dali
Jakiś przedmiot niebieski do skrzydła podobny.

Mimo zabicia wszelkiej mistyki — mit żyje. Żyje życiem ziemskim. Bóg został ściągnięty na ziemię, a na niebie wszeszły i obrodziły sprawy ludzkie.

*

Tymi przykładami zaczerpniętymi z doświadczeń Wiktora Hugo starałem się ukazać skalę realizmu w poezji oraz jego ścisły związek z ideologią. Że realizm w poezji to właśnie ideologia, że iść drogą realizmu to znaczy zdobywać, pogłębiać świadomość ideową. Bo tylko w ten sposób można się zbliżyć do ludowych pozycji w sztuce. Daremne są, widzimy to z praktyki niektórych poetów naszych, wysiłki podpatrywania mechanizmu ludowej wyobraźni. Można podpatrzeć pewne sposoby, można sięgnąć po elementy i ozdobniki. Ale wysiłki te będą daremne, pozostaną jedynie na powierzchni zjawiska, jeśli nie narodzą się z ideologii. Doprowadzą jedynie do stylizacji. A droga do realizmu prowadzi wyłącznie przez ideologię. Doświadczenie Wiktora Hugo pomogło mi do zrozumienia tej oczywistej prawdy.

Zbigniew Bieńkowski

*) Czytelników, którzy wezmą może do ręki wybór poezji Wiktora Hugo pt. Chłosta (P I W 1952), proszę o poprawienie tej strofy Snu Booza według tekstu tutaj podanego.

W Ś R Ó D K S I Ą Ż E K

SEWERYN POLLAK: *Pocisk i słowo. 1947 — 1952.* Warszawa, 1952, „Czytelnik"; str. 60.

Swój pierwszy, wydany w r. 1946 zbiór poezji Godzina strzeżona zamknął Seweryn Pollak wierszem, w którym znalazły się słowa:

Człowiek niesie jak potok myśl,
Myśl stulecia kruszy i skały,
I kształtuje się wedle nich,
I wydziera się blaskiem zuchwałym.

Wiersze zawarte w tym zbiorze nie sugerowały jeszcze takiego wniosku. Sytuacja lat wojny i okupacji, sytuacja zniszczeń powojennych podrzucała poecie inny materiał tematyczny. Schronienia przed grozą tamtych lat szukał poeta w wierności własnym, osobistym uczuciom, w sile swego człowieczeństwa. Wiersz, który zacytowałem, był wtedy zapowiedzią ewolucji, wzbogacenia postawy ideowej, zapowiadał nową drogę odnajdywania wielkości człowieka w jego twórczej działalności, drogę narzucaną niewątpliwie poecie przez nadchodzące lata.

Dalszy rozwój miał przynieść poecie więcej jeszcze. Człowiek-symbol, człowiek-alegoria wierności, twórczości i zwycięstwa zamienia się w konkretną ludzką jednostkę, czerpiącą swoje siły nie z siebie samej, ale z łączności z kolektywem, z łączności z twórczą działalnością społeczeństwa:

Ale wiem — kiedy wola kryje się
za słowem,
Wola tysięcy,
Słowo się w stosy milionowoltowe
Rozżarza coraz goręcej.
A wtedy martwy ołów niby słońce
wokół
Żywe rozsyła promienie
I z czcionek się wydziera
milionów pragnieniem
Słowo jak pocisk:
pokój.

Poezja Pollaka nabiera teraz nowych akcentów. Obrazy pokazujące siłę ludzkiej zespołowej działalności stają się bardziej krwiste, otrzymują ostrzejsze cienie uczuciowe, nabierają gwałtowności. Poeta zaczyna kontrastować wiersz emocjonalnie, nasyca go dramatyzmem walki, aktywizuje swój stosunek do świata. Pieśń o maju 1945 jest dalszym tego przykładem.

W zbiorze jest bardzo ciekawy dokument — wiersz pokazujący proces przełamywania dawnych klasycystycznych, alegoryzujących konwencji artystycznych. W Drzewie rewolucji odtwarza poeta działalność ludzi naszego obozu w obrazie, w którym ludzie ci, jako ogrodnicy, pielęgnują drzewo wyobrażające rewolucję. I wyraźnie widać, że wszędzie tam, gdzie Pollak przełamuje konwencję, gdzie nie mieści się w alegorii, utwór nabiera bogactwa treściowego, tam natomiast, gdzie się w nią wtłacza — schnie. Okazuje się, że alegoria jako formuła artystyczna wcale nie pomogła poecie przemówić do czytelnika.

Poezja Pollaka jest poezją typu refleksyjnego. Poeta większość swoich utworów opiera na pewnych koncepcjach refleksyjno-filozoficznych, obraz staje się dla niego tylko punktem wyjścia. I tu także obserwujemy znamienny proces. Oto refleksja poety staje się głębsza, słuszniejsza niż w poprzednim zbiorze, poeta dysponując bogatszym i pełniejszym poznaniem świata, umie odnajdywać powiązania przeżyć, które odtwarza, z życiem ludzi, którzy go otaczają, z życiem społecznym.

I dlatego innego waloru nabiera liryzm niektórych bardzo osobistych

wierszy, które się w nowym zbiorze znalazły (np. Kołysanka dla Joasi). Kiedy dawniej obserwowaliśmy tendencję do samotnego kontemplowania przeżyć tego typu, teraz przeciwnie, poeta szuka ich społecznych powiązań, nie zatracając przy tym ich specyficzności. Pollak nie odrzuca dawnych zainteresowań poetyckich. Daje im tylko nową, słuszną interpretację. Bardzo charakterystyczne jest tu pojawienie się tłumaczeń ze Szczipaczowa.

Wiersz Ocalenie jest wynikiem trudnego do wyrażenia uczucia „miłości świata", optymizmu płynącego z przeświadczenia o ważności dnia dzisiejszego, o jego wielkiej, twórczej roli. I niewątpliwie słuszna jest tendencja poety, ażeby optymizm ten wiązać jak najściślej z obrazem przemian dokonywanych na świecie ludzką ręką (Wezwanie). Punktem wyjścia dla refleksji stał się w obu utworach obraz przyrody. Jeszcze raz metoda ta zostaje z powodzeniem wykorzystana w wierszu Antyelegia.

Wiersze tego typu wymagają jednak wielkiej czujności ideologicznej, gdyż czai się tu niebezpieczeństwo ulegania romantycznej konwencji konfliktu między poetą a światem, przeciwstawiania jednostki jej otoczeniu. Pollak nie ustrzegł się w jednym z wierszy przed tym błędem. Zakończenie utworu Gość kamienny brzmi następująco:

Jak z głodu, coraz bardziej czczy
Drętwiałem od oczekiwania,
A wiatr nie z chmur wyciskał łzy,
Lecz z kamiennego trwania.

Dość. I ja przetrwam — ciemny krąg
Milczenia i pragnienia
Przerwany. Ostrym rzutem rąk
Wyszarpnę się, nim zamknię krąg
Ruchoma wieża cienia.

Co oznacza „ciemny krąg milczenia i pragnienia"? Obraz ten sugeruje jakąś obcość poety w świecie, którą zamierza przełamać.

Poeta chętnie proces własnego dojrzewania ideowo-artystycznego wyobraża jako proces przezwyciężania zła tego świata, w formie problematu moralnego. Tak np. w wierszu Hamlet postać królewicza zabijającego uzurpatora awansuje do roli wyraziciela moralno-postępowych dążeń ludzkości. Z interpretacją taką trudno się zgodzić. Natomiast druga część tego wiersza pokazuje drogę poety do współczesnego świata jako drogę biegnącą od nocy poetyckich majaków do poczynania się nowego dnia:

Z człowieka początek
Biorąc i jemu służąc, on przedłuża wątek
Myśli, poczynań naszych i przez nas stwarzany,
Twórczej myśli podległy, krąg jej rozszerzywszy.
W ludzką służbę zaprzęga wiatry, oceany,
Wzrasta coraz piękniejszy, dostępniejszy, żywszy.
Tutaj czuję, że jestem wreszcie w domu własnym
Pięknym ładem uczucia, szerokim i jasnym,
Tutaj uczę się kochać, uczę nienawidzieć.
Nocy już nie powtórzę.

Są to niewątpliwie piękne strofy, świadczące o głębokim odczuciu humanistycznego sensu nowego świata.

W drugiej części zbioru zgrupował poeta utwory, które bardziej bezpośrednio wiążą się ze współczesną nam epoką, z budownictwem socjalistycznym, z dojrzewaniem nowego człowieka, z historią rewolucji. I tutaj dąży poeta do zamknięcia utworu w refleksji, ale tu sam materiał tematyczny

narzuca inny obraz poetycki, mniej abstrakcyjno-pojęciowy, bardziej wizualny. Wiersz staje się prostszy, bardziej przystępny.

Dwa utwory poświęca Pollak Warszawie. Z nich zwłaszcza MDM nocą wart jest wyróżnienia. Pollak i tu nie przestaje być poetą refleksji. Mniej absorbują go uroki percypowane zmysłowo, natomiast szuka i wydobywa historyczną, ideową wielkość i piękno wielkiej budowy, odtwarza uczucia pracujących murarzy.

— Rośnij, rośnij ku górze,
Pełny radości murze.
W zwielokrotnionym świetle
Lamp zatkniętych na szczycie,
Murarze, gdy dom wznosicie,
Serce wam mocniej bije,
Dłoń cegłę ujmuje cieplej,
Bo wasza robota żyje,
Pełniejsze rodząc życie.

Tak samo w zarysowanym obrazie przyszłości socjalistycznej Warszawy Pollak na plan pierwszy wysuwa moralne piękno epoki socjalizmu, piękno wolności od wyzysku, wolności od lęku. I bez wątpienia refleksja płynąca w ten sposób z bezpośredniej obserwacji przemian dokonywujących się w kraju przemawia do czytelnika, zapada w jego pamięć.

Znamy Seweryna Pollaka jako doświadczonego tłumacza poezji rosyjskiej, Puszkina w szczególności. Sprawa przyjaźni polsko-rosyjskiej jest właśnie tematem wiersza osnutego na tle życia Puszkina. W utworze Radiszczew powraca znana nam już klasycystyczna stylizacja. Nie jest przekonywający utwór Dzierżyński, którego postać poeta drapuje w szatę romantyczną.

Dwoma pięknymi utworami Do poety i Dom sercu miły zamyka Pollak swój zbiór. Pierwszy z tych wierszy jest wyrazem hołdu poety dla przyjaźni ludzkiej, drugi — poetyckim obrazem wielkości i znaczenia Konstytucji Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej.

Piękny jest również wiersz internacjonalistyczny pt.: Biel śniegu.

Odłóżmy teraz zbiorek i spróbujmy dać ogólną ocenę. Zbiorek ten świadczy, że poeta żywo reaguje na rozwijające się nowe życie naszej epoki, że potrafi przełamać swoją dawną skłonność do wtórnej poetyckiej retoryki, do stylizacji klasycyzującej, do oderwanej, powierzchownej refleksji. Ale skłonności tej poeta nie pokonał jeszcze do ostatka. „Z słonecznych bryłek słów Rodzi się prawda poezji" — tego rodzaju powierzchowne i błędne refleksje zjawiają się jeszcze w wierszach Pollaka, w wielu jeszcze wierszach dążność realistyczna załamuje się o gotowe formuły poetyckie, czerpane co prawda z dobrych tradycji, ale niemniej — gotowe, nieprzemyślane, osłabiające jego twórczość ideologicznie i artystycznie. Skąd na przykład zjawia się u poety naszych czasów „wielka harmonia świata"? Wzory te odrywają poetę od konkretnego historycznego okresu, w którym żyje, zacierają konkretne oblicze walki, w której poeta jest przecież głęboko zaangażowany. Pomyślne osiągnięcia Pollaka dają prawo życzyć poecie, aby przy wzmożonym dążeniu realistycznym pokonał wszystkie zasadzki na swojej drodze poetyckiej.

Włodzimierz Maciąg

KAZIMIERZ KOŹNIEWSKI: *Piątka z ulicy Barskiej*, Warszawa, 1952, Państwowy Instytut Wydawniczy; str. 283.

W naszej najnowszej prozie powieściowej, w prozie atakującej problema-

tykę naszej współczesności, dostrzec się daje znamienne zjawisko poszerzania artystycznych perspektyw widzenia tej współczesności. Jeszcze niedawno stać nas było tylko na reporterskie niemal konstatacje stanu przemian w określonych wycinkach współczesnego życia, a wyrazem syntetyzującego oglądu współczesności była tzw. powieść produkcyjna, najczęściej powieść o określonym zakładzie pracy. W powieści takiej próbowano zmieścić rozlewny nurt realistycznej epiki powieściowej. Postulowano osobne powieści o górnikach i rybakach, chemikach i farmaceutach, cukrowni i parowozowni, fabryce cukierków i wytwórni win owocowych, zapominając o tym, że nie uchwycenie specyfiki produkcyjnej decyduje o istotnej wartości literatury i o jej związku ze współczesnością. Tzw. powieść produkcyjna w jej najlepszych osiągnięciach, w powieściach Hamery czy Ścibora Rylskiego, o tyle była rzeczywistym osiągnięciem, o ile znalazła w niej wyraz istotna problematyka życia mas ludowych, zdobywających świadomość klasową, rewolucjonizujących istniejące formy pracy i bytowania, ale nie znaczy to przecież, żeby powieść tego typu wyraziła wszystko, co literatura o budowie socjalizmu powiedzieć może, żeby ta forma narracji powieściowej wyczerpywała możliwości pisarza-socrealisty.

Socjalistyczne stosunki pracy — to najistotniejszy czynnik, kształtujący socjalistyczną świadomość człowieka, stosunek człowieka do pracy w społeczeństwie socjalistycznym — to zasadniczy miernik jego wartości, obraz literacki rewolucji w produkcji—to mimo wszystko jeszcze niepełna prawda o człowieku. Wulgaryzowano czasem w praktyce twórczej założenia estetyki realizmu socjalistycznego. Wyróżnione tegorocznymi nagrodami państwowymi powieści zdają się wykazywać, że wyimaginowane po części, a po części uwarunkowane stopniem świadomości ideowej twórców opłotki realizmu socjalistycznego w ogóle nie istnieją, że od odwagi twórczej pisarza zależy skala odbicia problematyki naszych czasów w literaturze. Piątce z ulicy Barskiej przyznać należałoby uczestnictwo w dążeniu do rozleglejszego epickiego widzenia problemów współczesności i to stanowi o jej randze w skali osiągnięć powieściowych ostatniego okresu.

Koźniewski nie usiłował wtłoczyć w ramy tematyki produkcyjnej bogactwa problematyki współczesności, tak jak nie robił tego Brandys w czwartej części tetralogii, Newerly, Czeszko czy Breza w nagrodzonych w tym roku pozycjach. Nagrodzone w tym roku powieści świadczą o dążności do wzbogacenia i rozwinięcia w kierunku pełniejszej analizy problemów człowieka i jego działalności słusznych założeń, których realizacją cenną choć zubożoną była tzw. powieść produkcyjna. Pozycję książki Koźniewskiego określałaby z jednej strony dążność do pełniejszego potraktowania problematyki współczesności na fali ogólniejszych tendencji rozwojowych polskiej literatury, z drugiej jej nowatorstwo na tle literatury młodzieżowej, bo młodzież jest zarówno bohaterem jak adresatem książki Koźniewskiego. Koźniewski zerwał z nudnym dydaktyzmem i deklaratywnym moralizatorstwem tak rozpowszechnionym w książkach dla młodzieży i poszedł po tej linii rozwojowej powieści młodzieżowej, którą wyznaczał Chłopiec z Salskich Stepów.

Krystyna Kuliczkowska w recenzji z książki Koźniewskiego w nr. 45 Życia Literackiego nazwała Piątkę z ulicy Barskiej „książką o odzyskanej młodzieży", zamykając w tej

formule dostrzeżone przez siebie pokrewieństwa z Archipelagiem ludzi odzyskanych Newerlego i podkreślając ideę przewodnią powieści o grupce młodzieży warszawskiej, której droga rozwojowa wiodła od uległości faszystowskiemu podziemiu do zrozumienia, że Państwo Ludowe otwiera przed każdym perspektywy pełnego rozwoju, że praca twórcza w społeczeństwie socjalistycznym gwarantuje istotne zaspokojenie marzeń o prawdziwym bohaterstwie, że wreszcie droga negacji nie prowadzi nigdzie, bo „mówiąc nie, nie podniesie ani jednej cegły dla odbudowy Warszawy", że posłużę się tu językiem bohaterów Koźniewskiego. Książka Koźniewskiego nie świadczy w żadnym wypadku o odwróceniu się od palącej problematyki naszych dni, choć autor zaryzykował zerwanie z ciasno pojętą „produkcyjnością" tematyczną i problematykę tę zaatakował w swoisty sposób, demonstrując trudny do nazwania, w jakimś stopniu spokrewniony z rodzajem powieściowym Uczty Baltazara, wariant prozy powieściowej o dosyć wyrazistych koligacjach z powieścią sensacyjną w szlachetniejszym wydaniu.

Piątki z ulicy Barskiej nie należy zresztą analizować w oderwaniu od drogi rozwojowej twórczości samego Koźniewskiego. Autor interesujących, choć pisanych nie zawsze dopracowanym językiem reportaży wojennych (Przez dziesięć wojen, Rok ziemi obcej 1940-41), cennych reportaży o ziemiach odzyskanych (Żywioły) i Warszawskim Kongresie Pokoju (Siła lotu) ma na swoim sumieniu powieść sensacyjną *sensu stricto*. Mam na myśli drukowaną niegdyś w Przekroju i wydaną książkowo Szczotkę do butów, w której elementy taniej sensacyjności wiązały się organicznie z banalnym efekciarstwem, podszytym drobnomieszczańskiej proweniencji filozofią wojennej odyssei bohatera powieści Andrzeja Marka. Warto przeciwstawić Piątkę z ulicy Barskiej tamtej — zdaje się — pierwszej próbie Koźniewskiego beletryzacji materiałów reportażowych, bo postęp pisarski autora uwypukli się wtedy z imponującą plastyką. Wulgarność sensacyjności Szczotki do butów nie ma nic wspólnego z atrakcyjnością fabularną powieści o pięciu chłopcach z warszawskiej ulicy Barskiej, których w okrutny sposób wykoleiło faszystowskie podziemie, a dla normalnego życia odzyskało trudne piękno walki o socjalizm w Ludowej Ojczyźnie. Faszystowska konspiracja w latach 1947—1948 z jej pachciarską degrengoladą moralną, morderstwo kryminalne, wyzyskiwane już w motywach komediowych wątki geszefciarsko-spekulanckie i historia z poszukiwaniem skarbu w warszawskich ruinach, to główne wyznaczniki sensacyjności fabularnej Piątki z ulicy Barskiej. Motywy te nie obce były powieści Andrzejewskiego o pokoleniu młodzieży, która w zaraniu historii ludowego państwa nie potrafiła zerwać z przeszłością, ani zdemaskować oszustwa ideowego, którego padła ofiarą.

Książka Koźniewskiego jest w jakimś stopniu próbą rozwiązania konfliktu, którego Andrzejewski w Popiele i diamencie rozwiązać nie mógł, bo nie potrafił rozszyfrować sensu ideowego londyńskiej konspiracji, a i sens przemian zachodzących w Polsce nie był dla niego jasny. Młodszych kolegów, ostrowieckich konspiratorów, postawił Koźniewski w szczęśliwszej sytuacji, gdy konspiracja zrzuciła z siebie wszelkie bogoojczyźniane szminki, a rzeczywistość Polski Ludowej ukazała perspektywy swego rozwoju.

Skrzywdzonych i oszukanych przez konspiracyjnego szefa pięciu chłopców z ulicy Barskiej, których za „ideową" kradzież materiałów budowlanych, przeznaczonych na odbudowę Warszawy, sąd Polski Ludowej skazał na „poprawczaka" w zawieszeniu, poddał Koźniewski oddziaływaniu normalnego rytmu życia w odbudowującej się Warszawie, stosując jak gdyby założenia makarenkowskiej pedagogiki. Bohaterowie jego nie znaleźli się w jednym kolektywie jak w Poemacie pedagogicznym, ale mimo wspólnej kurateli pani Majewskiej, wyznaczonej przez sąd dla opieki nad nimi, dostali się do rozmaitych środowisk.

Lutek Kozłowski, syn sklepikarza, najbardziej narażony na wrogie oddziaływania chociażby ze względu na atmosferę domową, znalazł się w gimnazjum i mimo że Koźniewski w rozdziale obrazującym pedagogiczne skłonności Lutka nauczającego z dużą satysfakcją analfabetkę wykazał, że w chłopcu nie wszystko było do przekreślenia, nie dotarł do „archipelagu ludzi odzyskanych".

Nie dotarł do niego także Kazek Spokorny. Kazka uczynił Koźniewski ofiarą wrogich sił innego pokroju. Autor z dużą wnikliwością ukazał proces wrastania młodego chłopca w atmosferę rzetelnego stosunku do pracy w warszawskiej fabryce żarówek. Kazkowi zaimponowało traktowanie go jak człowieka dorosłego, tytuł przodownika pracy przekonał go o własnej wartości. Perspektywa należenia do Związku Walki Młodych otwierała możliwość radykalnego wyzwolenia się od koszmarów przeszłości, którą oceniać potrafił w sposób właściwy. Spokorny byłby człowiekiem w pełni odzyskanym, gdyby nie złośliwy przypadek, poza którym Koźniewski stara się dostrzec czynniki nie przypadkowe. Oto wtyczki wroga klasowego w aparacie organizacyjnym, aby utrącić samą ideę współzawodnictwa, wykorzystały okazję do skompromitowania przodownika Kazka Spokornego, odbierając mu z racji jego niechlubnej przeszłości prawo do uczestniczenia we współzawodnictwie. Przypadku było w tym tyle, że na zebraniu, na którym powzięto decyzję, nie było tych przedstawicieli organizacji politycznych, którzy by podstępną robotę Macisza, głównego wroga idei współzawodnictwa, potrafili zdemaskować. Skrzywdzony i zawiedziony we wszystkich nadziejach chłopak z całą świadomością pragnie pomścić swą krzywdę i poddaje się posłusznie dyrektywom „konspiracyjnego" szefa.

Wątek historii Kazka służy Koźniewskiemu do ukazania idei współzawodnictwa od strony jej znaczenia dla kształtowania się świadomości socjalistycznej jednostki. Wychowawcze walory współzawodnictwa uchwycił Koźniewski trafnie. Problem współzawodnictwa rozwiązał jednak Koźniewski w sposób schematyczny. U Koźniewskiego, a przecież nie tylko u niego, wygląda to w ten sposób: w fabryce żarówek ogłoszono współzawodnictwo, wśród załogi znaleźli się wnet gorliwi zwolennicy nowej idei, nie brakło także jej zdecydowanych wrogów, niektórzy odczuli nawet tak jak Kuncewicz pewne opory („Po pierwszym okresie wstrętów — ojciec jego, stary robotnik „Gerlacha", zawsze walczył z wszelkim akordem — porwało go współzawodnictwo" str. 149), ale w ogólności idea współzawodnictwa zwyciężyła. Schematysta stwierdzi, że podpatrzył życie, bo tak niby w rzeczywistości wygląda. A tymczasem nieprawda. Idea współzawodnictwa z całą pewnością nie wypływa z organicznych potrzeb duszy ludzkiej, jej powstanie warunkuje rzeczywistość socjalistyczna, stosunek do niej określa

przede wszystkim stopień świadomości ideowej. Do głębszego potraktowania problemu współzawodnictwa trzeba by jednak pełniejszej galerii niepapierowych bohaterów powieściowych a niestety tylko papierowe sylwetki ludzkie reprezentują załogę Kazkowej fabryki żarówek.

Bez porównania szczęśliwiej udało się Koźniewskiemu w perypetiach powieściowych Marka Kozła, pracującego w firmie Beton-Stal budującej Trasę W-Z, zaatakować problem socjalistycznej dyscypliny pracy. Zaczął bowiem Koźniewski nie od dekretu rządowego w tej kwetii, ale od wykazania, jak w konkretnym zakładzie pracy z analizy konkretnej sytuacji terenowej wynika konieczność radykalnej zmiany stosunku do pracy. Zebranie, na którym załoga Beton-Stalu wyciąga wnioski pozytywne z analizy sytuacji we własnym zakładzie, zbieżne z odgórnymi dyrektywami partii, ale ukazane w ich terenowym źródle — to najcenniejszy fragment książki. Nie bez przyczyny właśnie w rozdziale Narodziny uczuć kreśli Koźniewski interesujące, aczkolwiek trzecioplanowe w akcji powieści sylwetki ludzkie, jak chociażby w kilkuzdaniowej wypowiedzi scharakteryzowana postać starego robociarza Leszcza (str. 187—188). Proces rodzenia się poczucia odpowiedzialności przed kolektywem, poczucia wypływającego z nie nazwanej w żadnej wypowiedzi dyskusyjnej ale tkwiącej u podstaw każdej — solidarności proletariackiej, został w tym rozdziale ukazany techniką wcale nie ilustratorską. Ewolucję ideową Marka Kozła przeprowadził Koźniewski słusznie i przekonywająco, ale nie można powiedzieć, żeby groziło Koźniewskiemu zabrnięcie w tajniki duszy ludzkiej. Świadczy o tym banalne i rażąco prymitywne potraktowanie przez autora wątku miłości Marka i Hanki.

Postać Marka jest w każdym razie na tyle ciekawie zarysowana, że obraz jego przeżyć w trakcie manifestowania próby nowatorskiego systemu trójkowego w murarce ratuje złą zasadę konstrukcyjną tego epizodu. Nie podobna wygrać literacko sytuacji, której dramatyczność polega na tym, że nie wiadomo, kto zwycięży, trójka stosująca nowy system czy zwolennicy starych metod. Największy naiwniak zrobi do pisarza perskie oko, bo nie wątpi w to, w co pisarz zdaje się wątpić. Trzeba by całą sytuację wygrać na innych strunach, a zagadnienie nowatorstwa na literackie „wygranie" z pewnością zasługuje. Struny, na których gra Koźniewski, dźwięczałyby czyściej, gdyby je Koźniewski wykorzystał chociażby w scenie poszukiwania przez chłopców upragnionego przez szefa skarbu, choć wtedy chyba słusznie, nie wiem czy świadomie, Koźniewski nie uderzył w nie. Rozładowujący wcześnie czytelniczą ciekawość, jest skarb czy go nie ma?, przymiotnik w zdaniu „Okoliczności sprzyjały łowcom mitycznych dolarów" (str. 88) jest prawdopodobnie zwykłą gaffą autorską. Może to zresztą szlachetna rezygnacja autora ze sposobów, które już w historii o Ali Babie i czterdziestu rozbójnikach dawały świetne zresztą rezultaty.

Perypetie związane z losami kulawego Jacka, posłańca w redakcji najpoczytniejszego warszawskiego dziennika, nazwanego w powieści Kurierem Wieczornym, nie są nabrzmiałe tak zasadniczą problematyką jak dzieje Kazka czy Marka. Jacek z dyskusji robionego dosyć prymitywnie na proletariusza z krwi i kości redaktora Matusiaka z równie prymitywnie inteligenckim dziennikarzem Korneckim uczy się rozumieć rzeczywistość Polski Ludowej, a czynnikiem, wiążącym go coraz ściślej z tą rzeczywistością są jego dzien-

nikarskie zapędy, uwieńczone pokaźnymi sukcesami, bo Jacek dostarcza materiałów do rewelacyjnych artykułów Korneckiego. Artykuły te demaskują spekulacje sprzedawców w sklepach spółdzielczych i kombinacje z biletami do kin i teatrów. W ewolucji ideowej zaszedł Jacek najdalej z piątki bohaterów, bo swe zerwanie z przeszłością zamanifestował oddaniem całej sprawy w ręce organów władzy ludowej. Szkoda że Koźniewski nie uwypuklił znaczenia tej decyzji Jacka.

Znalazłoby się w książce Koźniewskiego sporo „puszczonych" partii, sporo „odfiszkowanych" problemów. Dobrze, gdy preparowane konstrukcje literackie o ważne problemy zahaczają, bo znalazłyby się w książce i takie fragmenty, które trafiają w próżnię. Co chciał Koźniewski wyrazić melodramatyczną sceną z Mery Radziszewską w redakcji Kuriera Wieczornego, czemu służy postać aktora Garskiego, moralisty z bożej woli, skoro w ewolucji najmłodszego przedstawiciela piątki, Zbycha, istotną rolę odgrywał jedynie zachwyt dla piękna nie zawsze rozumianej, ale zawsze odczuwanej sztuki?

Konstrukcja beletrystyczna Piątki z ulicy Barskiej osadzona jest na bardzo mocnych fundamentach reportażowych. W elementach beletrystycznych powieści razić może niewielka troska Koźniewskiego o staranne wykończenie motywów. Jakże efektowniej i głębiej można by przecież przeprowadzić demaskację żywiołów złotej młodzieży warszawskiej, a jak blado wypada obraz „Piekiełka" w powieści Koźniewskiego. Fundamenty reportażowe, bez wątpienia w sposób bardzo udany organicznie związane z konstrukcją beletrystyczną — to cenny element powieści, tym bardziej że zawodowym reportażystom beletryzacja sprawia zasadnicze trudności. Koźniewski, pisząc świadomie powieść nie reportaż, nie zrezygnował z reportażowego autentyzmu, gdy fabuła powieściowa odwoływała się do powszechnie znanych faktów z historii odbudowy Warszawy. Akcja powieści rozgrywa się w latach 1947—1948, autor z troską o historyczną sprawdzalność kreśli obrazy ówczesnej Warszawy, na autentyzmie opierając nie tylko obrazy z budowy Trasy W-Z, ale sięgając nawet do autentycznego ówczesnego repertuaru teatralnego, jeśli to tylko w wątku powieściowym daje się wykorzystać. Dlatego atmosfera tamtych, choć nie tak znów bardzo odległych lat, została odtworzona wiernie i człowiek przypomina sobie niemal cegły, które trzeba było omijać przy odbudowywanych kamienicach Krakowskiego Przedmieścia.

Otrzymaliśmy ciekawą, wielowątkową, wielośrodowiskową powieść o odbudowującej się Warszawie, z całym bogactwem autentycznych szczegółów. Słabą stroną Piątki z ulicy Barskiej, dla prozy Koźniewskiego problem to zasadniczy, jest jej język. Koźniewski nie celuje w posługiwaniu się metaforą („Zabójstwo Radziszewskiego stało się progiem, którego już nie przestąpiła dawna solidarność gromadki z ulicy Barskiej." str. 41), używa w sposób niezręczny przymiotników, mających zabarwiać emocjonalnie stosunek autora do przedmiotu opisu („Znaczną część dnia okupowała ona bar kawowy prowadząc i ubijając swe mętne interesy", str. 163, „Poza terenem budowy Trasy — panował wszędzie trupi spokój" str. 79), nie indywidualizuje albo indywidualizuje bardzo prymitywnie język bohaterów. Nie można przecież za objaw indywidualizacji uznać powtarzanego w każ-

dym niemal zdaniu Jacka przysłówka „rzeczywiście" ani używanego ni w pięć ni w dziesięć przez Lutka zwrotu „Jak mówią Francuzi". Jedyna udana próba indywidualizacji to język Leszcza, zabarwiony bardzo dyskretnie kolorytem polszczyzny wschodnich terenów. Główną wadą stylu Koźniewskiego jest dziennikarska drętwota, która idzie w parze z ciągłym mąceniem i rozrywaniem narracji wyjaśniającymi diagnozami autorskimi. Za błędy natury gramatycznej współodpowiedzialność spada na redaktora stylistycznego, a odpowiedzialności tej nie należałoby lekceważyć, skoro książka z pewnością będzie popularną lekturą młodzieżową. Zdania typu: „Obaj chłopcy z ZWM odskoczyli od niego, byli wprawdzie słabsi, ale odbydwu na raz Lutek nie mógł sprostać" str. 81, „Wszyscy byli zdumieni, co on im jeszcze powie" str. 160 — dają próbkę popełnionych w książce gaff językowych. Trzeba jednak lojalnie wobec autora stwierdzić, że w tej niewątpliwie najsłabszej stronie książki widać u Koźniewskiego pewien postęp nawet w odniesieniu do jego ostatnich pozycji, reportaży Siła lotu i książki biograficznej o Jeżu. Troskę o szatę językową swoich książek musi Koźniewski wziąć sobie głęboko do serca, bo nie jest to sprawa dla literatury podrzędna.

Wytknięte nie dopracowane elementy książki nie mogą przesłonić jej istotnej wartości, o której decyduje odważne i uczciwe stawianie ważnych problemów współczesnego życia, ukazanie ich w bardzo interesującej fabule powieściowej, odtworzenie atmosfery historycznych już dni, gdy stawiano fundamenty pod budowę socjalistycznej Warszawy.

Henryk Bereza

WOJCIECH ŻUKROWSKI: *Córeczka.* Opowiadania o dzieciach i zwierzętach. Warszawa, 1952. Państwowy Instytut Wydawniczy; str. 198.

Żukrowski często sprawiał swoimi książkami niespodzianki, jego rozwój nie był konsekwentny. Z opowiadań Z kraju milczenia nie wynikało wcale, że nastąpi po nich cykl opowiadań przewrotnych Piórkiem flaminga, obliczony na chwytanie wrażeń, impresji na pół realnych, nastrojów, zaprawiony drwiną i groteską, cykl, który sprawiał wrażenie wprawek pisarskich, mających być sprawdzianem, czy posłuszne pióro nadąży za gromadzącymi się w umyśle reminiscencjami zarówno z życia jak z lektury. Wymowny tu był już sam tytuł. W tym okresie pisarz próbował różnych chwytów bacząc pilnie, by nie mówić całkiem na serio, albowiem po omacku stawiane kroki nie zachęcały do traktowania ich z powagą. Natomiast Ręka ojca zdawała się już zapowiadać stosunek, jaki zajmie Żukrowski wobec ludzi i świata. Była to, podobnie jak Z kraju milczenia, a w odróżnieniu od Porwania w Tiuturlistanie i Piórkiem flaminga, książka opisująca realne sytuacje, jednakże całkowicie od tamtej różna. W Ręce ojca dało się zauważyć pragnienie przewartościowania świata i wykrycia praw nim rządzących, doszła do głosu konieczność dokonania rewizji ocen światopoglądowych, konfrontacji umierającego świata z nowym, który rodził się przy akompaniamencie wystrzałów radzieckiej artylerii.

Wiele oznak zdaje się świadczyć, że Żukrowski zbliża się do tego szczebla rozwoju, na którym powstać mogą jego przyszłe książki, nacechowane właściwym pisarzowi humanizmem, odkrywające nerwy naszego współczesnego

życia, piękno i konflikty współczesnych ludzi i urok ojczystego krajobrazu, książki pełne pasji i prawdy. Czy nie za wczesne horoskopy? Czy upoważnia do nich Córeczka?

Te luźno powiązane ze sobą „opowiadania o dzieciach i zwierzętach" mogą nasuwać podejrzenie, że pisane były z myślą o młodocianym odbiorcy. Tak jednakże nie jest. Wbrew niektórym pozorom Córeczka nie da się umieścić na tej samej płaszczyźnie co Słoneczne lato, jest książką dla dorosłych. Żukrowski ukazał się tu bez obsłonek, pozwalając zajrzeć we własne wnętrze. Cóż się w nim kryje?

Kryje się liryczne oblicze pisarza, któremu żal uciekających chwil, zapadającego w niepamięć życia, smaku spostrzeżenia i refleksji: „Powiedzieć — drzewo. I żeby oni zobaczyli to swoje drzewo, z cieniem, z ziemią wilgotną, porysowaną patykiem w klasy, z okruchem szkła, co krzyczy tęczowym blaskiem w słońcu." (...) Pisać o tym, co w zasięgu ręki, najbardziej nieuchwytne, co przemija i wiecznie powraca." Istotnie, potrafi to Żukrowski czynić jak mało kto. Drobne, znakomicie uchwycone scenki między pisarzem Janem a jego żoną Teresą, spostrzeżenia dotyczące małej córeczki Basi, opisy zwierząt i ich zachowania się, obrazy uroków przyrody, podpatrzone przejawy stylu życia małżonków Pacewiczów i starego Ignacego Korowaja — wszystko to pisane jest na prawach majstersztyku, wszystko to zniewala pogodą, humorem i beztroską. Córeczka odsłania przed czytelnikiem bogaty świat przeżyć dziecka, do którego bodźce zewnętrzne docierają przez pryzmat fantazji w swojej niczym nie zamąconej świeżości i plastyce, w którym istnieją subtelne różnice między „misiami" a „niedźwiedziami", w którym śmierć wydry pociąga za sobą głębokie wzruszenie, a psotna kawka okazuje się przebranym złośliwym chochlikiem-Kłopotkiem.

Z wielką wyrozumiałością odnosi się Żukrowski do ludzi. Nie ma tu właściwie konfliktów, nie ma ludzi złych, bo nawet najśmieszniejsze słabostki mają swoje umotywowanie i można na nie spojrzeć dobrotliwie, bez jadu, z pogodą i humorem. Jan przegląda swoją żonę na wylot nawet wówczas, kiedy występuje ona przeciwko jego stylowi pracy, jego stosunkowi do niej i do dziecka. Przy zmianie charakteru miłości z świeżego, poryczego uczucia na tkliwe, spokojne i zrównoważone przywiązanie panuje między Janem i Teresą niezamącona szczęśliwość. Jan, mimo swojego dojrzałego wieku, jest człowiekiem o młodzieńczych, psotnych upodobaniach: cieszy się, gdy ktoś przywiesi do rączki od dzwonka skaczącą na sprężynie cegłę, gdy zachłannej piastunce Paulinie doleje ktoś rycynusu do tranu, gdy może nauczyć małą dziewczynkę frywolnego wierszyka lub polecić jej, by pomalowała akwarelowymi farbkami białe myszki na kształt pisanek, gotów do kokietowania otoczenia własnym łobuzerstwem i dziecięcą beztroską, pewien, że chociaż spotkają go zarówno ze strony żony jak i znajomych wyrzuty — będą to wyrzuty zaprawione przekornie ukrywaną sympatią. Podobnie kreślone są sylwetki Pacewiczów, Korowaja, malarki Heleny, dozorców w ogrodzie zoologicznym. Żukrowski nie popada przy tym w przesadę, zawsze umie zachować dyskretny umiar, wskutek czego postacie Córeczki nie są bynajmniej naiwnymi przyjemniaczkami, są ludźmi z krwi i kości.

Cóż to więc za sielanka i co ona ma wspólnego z realizmem? Otóż byłoby bez wątpienia grubym nieporozumieniem traktowanie Córeczki jako syntetycznego malowidła epickiego, jest

ona bowiem budowana na prawach utworu, w którym wizję świata dyktuje dominujące, jednolite uczucie osobiste. W Córeczce jest tym uczuciem pogodna miłość do ludzi. To nastawienie określa Córeczkę bez reszty. Ponieważ jednak Córeczka nie jest obrazem chwili, ale dłuższego wycinka życia, ta jednolitość nastroju budzić może obawę, czy trwająca sielanka nie została wyidealizowana, czy nie oznacza ona zamknięcia się pisarza w kręgu wymarzonej szczęśliwości jako swoistym *antidotum* na powszednie życiowe troski, czy nie jest ona ekstraktem dobrych chwil życia, a zbagatelizowaniem stron ciemnych? Bez wątpienia jest tym ostatnim; rzecz w tym, jaką to spojrzenie pełni funkcję i jak jest umotywowane — i tu przychodzi z pomocą sam autor, wkładając w usta majstra Pacewicza takie oto słowa: „Napisałbyś pan książkę o drzewie, o ptaku... O dziecku, co goni za piłką i dławi się od śmiechu, a samo nie wie z czego... Istna radość... Przydałaby się książka, co dla każdego będzie chwilą odpoczynku, żeby człowiek pokiwał głową, uśmiechnął się, własne dzieci wspomniał, co już na swoje poszły. I z nowymi siłami ruszył do roboty". Pacewiczowi dzielnie sekunduje w innym miejscu małżonka: „Ja tam pańskich książek nie czytałam, ale jak już pan pisze, to napisz pan co ludzkiego, o kochaniu, tylko nie takie romansy, ale jak się dzieci chowa, jak się baba cieszy, że mężowi jedzenie smakuje po robocie. Albo jak się piele w ogródku". Słowa te uważać można za jedną z deklaracji programowych Córeczki, nie wyczerpującą wszakże jej założeń. Książka ta była zapewne i dla pisarza chwilą wytchnienia, zamknięciem wrocławskiego okresu życia.

Koncepcję książki motywuje umieszczenie w jej centrum małej córeczki Basi. Większość spraw dokonuje się w Córeczce z myślą o Basi nawet wówczas, gdy sprawy te dotyczą dorosłych. Wyobraźnia Żukrowskiego dochodzi do głosu poprzez przystosowanie się do iście dziecięcej beztroski, poprzez pryzmat zawdzięczanego córeczce szczęścia osobistego. Stąd nasycenie książki liryzmem, stąd forma nie epickiej opowieści lecz wycinkowych opowiadań, przelotnych spostrzeżeń. Żukrowski nie jest w Córeczce — w jej partiach opisowych — ani moralizatorem, ani prawodawcą nowych ideałów, jest po prostu wrażliwym obserwatorem, chłonie świat jak dziecko w całym jego bogactwie i pięknie nie dostrzeganym zwykle przez dorosłych. Jest dobrotliwym towarzyszem i przyjacielem ludzi, zwierząt, przyrody.

Żukrowski pokazał się jeszcze raz jako pisarz niepospolitego talentu, pełen dobrej woli i miłości do nowego świata, ale pisarz antyintelektualny, który przede wszystkim chłonie przejawy otaczającego go świata i któremu trudno zdobyć się zarówno na śmiałe uogólnienie filozoficzne jak i na takie zawiązanie konfliktów, by konstruowany obraz był nie tylko wiernym odpowiednikiem literackim autorskiego doznania i przeżycia (ten dar posiada Żukrowski w wysokim stopniu), ale by wytyczał również — dzięki swej typowości — nowe szlaki myśli. Myślę, że to właśnie filozoficzno-emocjonalna postawa Żukrowskiego wyznacza mu tę pozycję zawsze o krok cofniętą — pozycję naturalisty, piszącego najchętniej o tym, „co w zasięgu ręki". Pisarz ten ciągle jeszcze nie jest zdolny do posługiwania się spoistą formą epicką, a wiadomo, że luźna kompozycja niejednokrotnie stawała się w dziejach literatury wyrazem chwiejnego stanowiska lub konsekwencją nie doprowadzonych do końca wniosków ideologicznych. Żukrowski nawet w Ręce ojca budował poszczególne wątki na zasadzie autonomiczności,

znajdując łącznik między nimi niemal wyłącznie w chronologii i miejscu akcji. Główną domeną jego pióra był zawsze dotychczas portret psychologiczny i obraz, obraz starannie i precyzyjnie wykończony, mistrzowsko wyposażony w kształty, dźwięki, barwy i zapachy, często odkrywczo „wyprzymiotnikowany", świeży i nadzwyczaj plastyczny. Świeżość obrazu wsparta jest zawsze w prozie Żukrowskiego świeżością języka i nienaganną rytmiką frazy — zaletami pióra, które święcą w Córeczce niefałszowane tryumfy.

Córeczka ma jeszcze jedną stronę — i trzeba ją odsłonić. Jej wydarzenia dzieją się we Wrocławiu, to jedna z nielicznych książeczek, opowiadających o życiu na ziemiach odzyskanych, choć na niekorzyść pisarza powiedzieć trzeba, że Wrocław jest w Córeczce tylko tłem; o wiele tu za mało aury tego miasta. Pogoda tej książki utrwala przekonanie o całkowitej stabilizacji życia na obszarach, które powróciły do Polski, dzięki tej stabilizacji jest ów pogodny nastrój możliwy. Basia zachowa na całe życie wspomnienia z wrocławskiego ogrodu zoologicznego. We Wrocławiu rodzą się polskie dzieci, robotnicy uważają wrocławskie mieszkania za swój dom, który pozostanie ich domem na wieczne czasy, tworzą tam pisarze, żony robią swetry na drutach; nad ziemiami zachodnimi rozpostarła się wielobarwna tęcza złożonego, pracowitego życia polskiego. I jeśli w słowach Teresy brzmi troska o zachowanie i umocnienie tego życia, o jego wszechstronny, szybki, burzliwy rozwój — to jest ta troska równocześnie nienawiścią do tych, którzy godzą w nasze szczęście i w naszą przyszłość. „Jesteśmy silni. Popatrz, ile się dokonało. Nad miastem ruin i pustyni, plastrami wypalonych kamienic, jak zwycięskie flagi powiewają dymy — odbudowaliśmy fabryki, wykształciliśmy setki tysięcy robotników, Tereso, tryumf socjalizmu — to tryumf życia" — Żukrowski przemawiając tak ustami Jana w Córeczce ma prawo powiedzieć ustami pisarza-publicysty: „Uczyć ukochania tej ziemi — czyż to nie jest i nasz obowiązek?"

Po Mądrych ziołach stanowi Córeczka pewne zaskoczenie, podobnie jak Piórkiem flaminga po Z kraju milczenia. Odnosi się wrażenie, jakby Mądre zioła ostrzegły pisarza przed łatwym i uproszczonym dydaktyzmem, jakby zmusiły go do dokonania nowych przemyśleń nad sensem i celem sztuki pisarskiej. Że Żukrowskiemu nie są te problemy obce, świadczą wypowiedziane w Córeczce przez Helenę słowa: „Nie powinniśmy sobie jednego wyrzucać — że na tamtym brzegu pozostawiliśmy z przeszłości coś, co mogłoby się przydać do budowy nowego świata. Choćby nasze zdobycze warsztatowe. Często wydaje nam się, że dydaktyka wymaga zrezygnowania z artyzmu; upraszczamy, błądzimy. A przecież prostota, której żąda nowy czytelnik, jest — doskonałością mistrzów." Szkoda tylko że Żukrowski zamieszcza te słowa w książce, która nie stanowi postępu w jego drodze rozwojowej, nie jest krokiem naprzód w rozwoju ideologii pisarza. Czyhają na tej drodze zapadliny i to nie rzadko zamaskowane.

Trzeba o tym napisać chociażby dlatego, że w Córeczce przewija się delikatną nicią, poprzez rozmowy, rozmyślania Jana, dygresyjne uwagi, filozofia twórczości pisarskiej. Filozofia — trzeba to powiedzieć — słuszna, chociaż nie realizowana konsekwentnie w praktyce życiowej Jana, który ma wiele cech beztroskiego pięknoducha. Uwagi pisarza i uwagi krytyka pozostaną tu w całkowitej zgodności: „Uczestniczymy w narodzinach epoki —

bo chyba tak można nazwać ten okres w dziejach ludzkości. Tylko od ciebie zależy, czy będziesz się mógł z dumą zaliczyć do ludzi, którzy naglą czas, podprowadzają spienioną przyszłość." „Dziś nie tylko trzeba dobywać sens istotny z dziejów, rozumieć rytm napływających dni, ale wyprzedzać czas, przewidywać wydarzenia i nowych bohaterów, jednak bez prorokowania, niemal naukowo..." Żukrowski więc bardzo dużo wie o powołaniu swojego zawodu, ale właśnie dlatego uznać wypada C ó r e c z k ę za odbicie się do wyższego poziomu świadomości pisarskiej... Spodziewamy się po tym pisarzu o wiele więcej, pod warunkiem jednak, że zniknie sprzeczność między pragnieniem czynnego uczestnictwa w przebudowie świata a postawą impresjonisty, przynoszącą naturalistyczne ograniczenia.

Andrzej Lam

ARNOLD ZWEIG: *Topór z Wandsbek*, powieść, autoryzowany przekład z niemieckiego Edyty Sicińskiej, Warszawa, 1951, Państwowy Instytut Wydawniczy, część pierwsza str. 351, część druga str. 281.

Powieść Arnolda Zweiga T o p ó r z W a n d s b e k powstała w latach drugiej wojny światowej w czasie pobytu pisarza na emigracji.

Akcja powieści rozgrywa się w 1937 roku w Niemczech hitlerowskich. Centralną postacią jest rzeźnik Albert Teetjen, właściciel sklepu mięsnego. Teetjen — produkt nacjonalistycznego wychowania pruskiej szkoły i służby wojskowej w armii imperialistycznych Niemiec — staje się w ostatnich latach Republiki Weimarskiej ofiarą hitlerowskiej demagogii społecznej, jednym z milionów „Mitläuferów", później nawet członkiem SS. Człowiek ograniczony, ślepo wierzy w posłannictwo Führera i dopiero trudności ekonomiczne, na jakie natrafia w kilka lat po przewrocie nazistowskim, stopniowo uświadamiają mu ogromną przepaść między pustymi frazesami demagogicznych przyrzeczeń programu NSDAP a codzienną rzeczywistością w Trzeciej Rzeszy.

Podstawowy wątek fabularny powieści jest — jak zazwyczaj u Zweiga — pomysłowy i oryginalny. Teetjen, borykający się z kłopotami finansowymi, przyjmuje propozycję, by zastąpić chorego kata przy egzekucji czterech skazanych na śmierć antyfaszystów. Wysokie honorarium poprawia jego trudną sytuację materialną. Niebawem jednak wieść o „ubocznym dochodzie" rzeźnika rozchodzi się w całej dzielnicy i klienci bojkotują jego sklep. Widząc przez sobą ostateczną ruinę gospodarczą Teetjen, osamotniony i otoczony nienawiścią społeczeństwa, popełnia samobójstwo.

Walka postępu z reakcją w warunkach historycznych państwa hitlerowskiego nie jest zasadniczym tematem powieści. Obóz antyfaszystowski potraktowany jest w T o p o r z e marginesowo i pobieżnie. Ponadto obóz ten reprezentują — w odróżnieniu od środowisk burżuazyjnych lub drobnomieszczańskich — ludzie o tak nietypowym profilu psychologicznym, iż obraz sił niemieckich, które walczyły z hitleryzmem, ulega dość poważnej deformacji. Wystarczy wskazać na tego spośród czterech skazanych antyfaszystów, który ma największą przeszłość rewolucyjną, na zecera Fryderyka Timmego. Jest on aktywistą KPD od chwili jej powstania, jest najbardziej nieugiętym spośród czterech skazanych bojowników. Tegoż właśnie Timmego — o którym się dowiadujemy, że był dla hamburskich robotników symbolem niezłomnej walki z faszyzmem — zaopatruje Zweig w rysy alkoholika...

Niewykorzystywanie obranej fabuły dla ukazania zdrowych sił w narodzie niemieckim zarysowuje się ze szczególną jaskrawością w tych częściach powieści, w których autor z całym mistrzostwem swego tak nieprzeciętnego talentu odmalowuje szybko wzmagający się bojkot sklepu Teetjena. Gdy bowiem klienci i sąsiedzi mimo zastosowanych środków ostrożności dowiadują się, że to właśnie Teetjen był w zastępstwie chorego kata oprawcą czterech antyfaszystów, nienawiść ich i wynikający stąd bojkot sklepu nie są spowodowane — jak można byłoby przypuszczać — ani politycznymi, ani etycznymi pobudkami. Tę część fabuły — jakby stworzoną dla ukazania klasowego instynktu niemieckiego robotnika — Zweig wykorzystuje przede wszystkim dla wnikliwego oświetlenia psychiki środowiska, w którym tkwi Teetjen: otumanionego, zhitleryzowanego drobnomieszczaństwa. Nie oburzenie czy świadomy opór są motorem bojkotu, ale zazdrość kolegów z NSDAP, którzy nie użyczą rzeźnikowi łatwego zarobku, ale zastrzeżenia i przesądy wynikające z ograniczonej, zakłamanej mentalności otoczenia Teetjena: czy zastępca kata nie dzieli mięsa w swym sklepie tym samym toporem, którym posłużył się do ścięcia czterech głów?

W obrazie epoki, jaki daje nam Zweig, brak także innego jeszcze, niezwykle ważnego elementu: autor co prawda wprowadza do powieści kilku bezpośrednich nosicieli hitlerowskiego reżymu (zdeprawowany intelektualista dziennikarz Vierkant, pozbawiony skrupułów dorobkiewicz Footh), niemniej jednak faszystowski terror w jego typowych objawach nie jest ukazany. Nie widzimy przede wszystkim Gestapo jako owej potęgi, która rzucała swój ponury cień na wszystko, co się w tych latach działo w Niemczech.

Niesposób również pominąć milczeniem tego, iż w powieści są elementy mglistego mistycyzmu, zadziwiającego u realisty Zweiga. Niepodobna usprawiedliwić sceny na cmentarzu, która stanowi przykre ześliznięcie pisarza w odmęty świata irracjonalnego.

Wreszcie ostatni zarzut, tym razem zupełnie innego rodzaju: punktem wyjściowym fabuły T o p o r u jest sytuacja nie tylko nieprawdopodobna, ale — stwierdzamy to z całą stanowczością — wręcz niemożliwa. Otóż według autorskiej koncepcji Teetjena skłania do podjęcia się funkcji kata przede wszystkim jego katastrofalna sytuacja materialna. Dzieje się to w roku 1937, a więc w okresie, w którym przygotowania do wojny były już w pełnym toku, w którym dzięki gigantycznym zbrojeniom bogaciło się także drobnomieszczaństwo. Sytuacja Teetjena jest więc co najmniej nieprawdopodobna, staje się jednak całkowicie niemożliwa, gdy przypomnimy sobie, że rzeźnik Teetjen jest przecież członkiem SS. W Trzeciej Rzeszy nie było ani jednego SS-owca, któremu by z trudem przychodziło zdobycie środków na utrzymanie. A w dodatku wymagania Teetjena i jego żony są zupełnie skromne...

A teraz: czy przy istnieniu tak istotnych braków, błędów i zniekształceń pozytywna ocena książki wchodzi jeszcze w ogóle w grę?

Zasadnicza wartość powieści, to świetna analiza psychiki drobnomieszczaństwa i inteligencji burżuazyjnej w okresie Niemiec hitlerowskich, to głęboka i w swych głównych zarysach trafna ocena postawy tych ugrupowań społecznych wobec faszyzmu.

Rzeczą charakterystyczną jest, że w obrazie drobnomieszczaństwa niemieckiego, jaki daje nam Zweig przede wszystkim — nie mówiąc o dużej ilości znakomicie nakreślonych postaci epizo-

dycznych — w wizerunkach Teetjena i jego skromnej i cichej żony — przeważają elementy diagnostyczne. Teetjen ukazany jest przez autora jako człowiek w gruncie rzeczy nieszkodliwy, który jako produkt wychowania Niemiec kajzerowskich, a później faszyzmu — staje się narzędziem zbrodni i wreszcie nawet katem. Ograniczając się do odtworzenia podłoża historycznego, społecznego i psychologicznego — Zweig na ogół powstrzymuje się od mocniejszych akcentów oskarżenia. Tkwi w tym zresztą pewne niebezpieczeństwo, na które musimy wskazać. Otóż w niektórych fragmentach powieści Teetjen wzbudza nieomal współczucie czytelnika — efekt oczywiście niezamierzony przez autora.

O ile więc Zweig nie oskarża i nie sądzi Teetjena, a widzi w nim jednego z tych, którzy kroczyli „za swoimi panującymi, winni i bez winy, drogą wiodącą w przepaść" — o tyle mocne i wyraźne są akcenty oskarżenia w bogatym obrazie niemieckiej inteligencji burżuazyjnej, reprezentowanej w powieści w szczególności w osobach dyrektora więzienia Koldeweya i lekarki Käte Neumeier.

Hamburski konserwatysta Koldewey, wnikliwy intelektualista i subtelny estet, kapituluje przed hitleryzmem w całej rozciągłości. W odróżnieniu od Teetjena Koldewey widzi nicość duchową faszyzmu i pojmuje w pełni jego zbrodniczy charakter. W gronie najbliższych Koldewey wyraża się o hitleryzmie z pogardą i wstrętem, ale nie potrafi wyjść poza całkowicie nieproduktywne rozważania. Zajmie się projektowaniem fantastycznie nierealnego zamachu na Hitlera, ale czyni to jedynie dla uspokojenia własnego sumienia. Z subtelnym satyrycznym humorem ukazuje Zweig, jak spisek pozostaje projektem, ukazuje, jak wobec rzeczywistości brunatnej dyktatury wali się świat liberalno-burżuazyjnych pojęć znacznej części niemieckiej inteligencji. Dla utrzymania swych przywilejów klasowych Koldewey rezygnuje z ideałów, z których jest tak dumny, staje się narzędziem hitlerowskich zbrodni w niemniejszym stopniu niż ten, który toporem ściął głowy czterech spośród najlepszych. Niestety, w epilogu powieści Zweig podważył koncepcję tej postaci pisząc, że „Koldewey znalazł się wśród powieszonych, którzy w ostatnim momencie chcieli usunąć szaleńca z Obersalzberg". To zakończenie historii Koldeweya, nie znajdujące uzasadnienia w jego mistrzowskim rysunku psychologicznym, wzbudzić musi zastrzeżenia i jest dowodem niekonsekwencji autora.

Postać Koldeweya — to obrachunek z konserwatywną inteligencją niemiecką tego pokolenia, które dojrzewało w okresie wilhelmińskim, to śmiały obrachunek z generacją i środowiskiem, z których sam autor się wywodzi. Käte Neumeier — to druzgocąca krytyka owego pokolenia pseudopostępowej inteligencji burżuazyjnej, które od lewicowych pozycji zajmowanych w młodości, przypadającej na okres Republiki Weimarskiej, drogą stopniowych kompromisów przechodzi do całkowitej uległości wobec faszystowskiej dyktatury. W obrazie tych dwóch postaci krytyka społeczna Zweiga dochodzi najmocniej i najwyraźniej do głosu. Małżeństwo Käte Neumeier z Koldeweyem urasta w powieści do rozmiaru wielkiego symbolu.

Trzeba stwierdzić, że w zakresie analizy zhitleryzowanego drobnomieszczaństwa, które jak Teetjen było katem i ofiarą zarazem, oraz analizy inteligencji burżuazyjnej, coraz bardziej skłonnej do haniebnych kompromisów z faszyzmem — Zweig potrafił w latach

Trzeciej Rzeszy powiedzieć więcej i sięgnąć głębiej niż prawie wszyscy inni pisarze niemieccy.

Arnold Zweig ma dziś 65 lat. Droga jego rozwoju ideologicznego prowadzi od pozycji mieszczańskiego liberalizmu, z których powstał w latach dwudziestych Spór o sierżanta Griszę, do bezkompromisowej, zdecydowanej i konsekwentnej postawy dzisiejszego Przewodniczącego Komitetu Obrońców Pokoju Niemieckiej Republiki Demokratycznej. Na tej drodze Topór z Wandsbek był istotnym krokiem naprzód. Wprawdzie zaciążyły na tym utworze jeszcze różne cienie przeszłości, wprawdzie widać jeszcze z dyskusji światopoglądowych Koldeweya, że pisarz 10 lat temu nie mógł się zdobyć na jednoznaczną rozprawę z nietzscheanizmem, że był jeszcze pod silnym wpływem błędnych teorii Freuda — niemniej epilog powieści wskazuje z całą wyrazistością kierunek ideologicznego rozwoju wielkiego epika.

Cztery radzieckie okręty, zawijające przed wybuchem drugiej wojny światowej do portu hamburskiego, okręty ozdobione nazwiskami czterech zamordowanych antyfaszystów niemieckich— to wielki symbol powieściowy, kończący utwór mocnym optymistycznym akcentem, to symbol nieśmiertelności idei, dla której padli czterej bojownicy, to symbol ostoi wszystkich walczących o postęp: Związku Radzieckiego.

To także — w głębszym tego słowa znaczeniu — symbol wielkiego przełomu na drodze twórczej jednego z najwybitniejszych powieściopisarzy naszej epoki: Arnolda Zweiga.

Marceli Ranicki

T E A T R

WYSTĘPY TEATRU IM. MOSSOWIETU

Znaczny kawał historii teatru i dramaturgii łączy się z genealogią artystyczną teatru im. Mossowietu, dawniej — teatru Moskiewskiej Rady Związków Zawodowych. I łatwiej będzie nam zrozumieć jego dzisiejsze oblicze i linię walki, jeśli choć na krótko cofniemy się w stare dzieje.

Jeszcze w 1921 roku wzywała Prawda:

„Towarzysze, obywatele, plastycy, aktorzy. Jesteśmy rówieśnikami bezprzykładnie heroicznych wysiłków całej klasy. Nie w życiu wieków minionych, nie w oderwanych ideach i symbolach szukajcie tematów dla natchnienia. Wielkości dokonywających się zdarzeń wystarczy dla twórczości szeregu pokoleń..."

A tymczasem brak było repertuaru, tymczasem buszowały wszelakie formalizmy. Widowiska masowe i żywe gazetki próbowały łatać głód aktualności. Jutrznię Verhaerena przekształcano w miting à la Majakowski... Zmieniono libretta oper: — Toska przekształcała się w Za Komunę, Hugonoci w Dekabrystów. Nicowano na wszelkie sposoby klasyków realizmu rosyjskiego, tępiąc „naturalizm". Jednej tylko historii znęcania się inscenizatorów nad Gogolem wystarczyłoby dla obrazu nastrojów. Nawet nieugięty MCHAT uległ na tyle presji opinii, że Moskwin-Horodniczy mówił słynne „z kogo się śmiejecie?" z nogą na budce suflera, przy zapalo-

nych (na tę chwilę) światłach na widowni...

Szkoły artystyczne (Proletkultu i in.) stawały na głowie, żeby sformalizować sztukę aktorską. Niedawno zmarły, znakomity aktor teatru im. Mossowietu, W. Wanin, opisywał w swych wspomnieniach, jak to skończywszy taką szkołę tułał się po teatrach — od ówczesnego Piotrogrodu po najrozmaitszą prowincję — daremnie szukając możliwości gry realistycznej, aż trafił właśnie do teatru Moskiewskiej Rady Związków Zawodowych z Lubimowem—Łańskim na czele.

Rezolucja XII zjazdu RKP(b) w r. 1923 pouczała:

„...wzmocnić pracę nad stworzeniem i doborem właściwego repertuaru rewolucyjnego, wykorzystując przy tym w pierwszej mierze heroiczne momenty walki klasy robotniczej."

Historyczną zasługą omawianego teatru stało się przełamanie oporów przez wystawienie Sztormu W. Bill-Biełocerkowskiego: sztuki, odrzuconej już poprzednio przez szereg teatrów. Teraz otworzyły się oczy, posypały się następne premiery: Pociąg pancerny, Lubow Jarowaja, Przełom i in. Nie był to Sztorm taki, jaki oglądaliśmy teraz w reżyserii Zawadskiego i Stradomskiej. Zmieniło się wiele w tekście, zmieniła się interpretacja. Na starych fotografiach widzimy dekoracje konstruktywistyczne, wbudowane w szkielet lakonicznych ram, w stylu przypominającym klubowe inscenizacje żywych gazetek. Jednakże wyraz aktorski jest realistyczny i choć może niejedno dziś trzeba było zmienić i w tym względzie, to przecież dla swoich dni miał wymowę epatującą, był pierwszym dowodnym wyrazem skuteczności realizmu w teatrze rewolucji. Sztuka Bill-Biełocerkowskiego ukazywała konkretnie, jak „rewolucja wojowała, kochała i nienawidziła."

Dalsze pozycje repertuarowe teatru zachowały i umocniły linię walki o realizm i współczesność. Była tam inscenizacja Cementu Gładkowa, był Czapajew Furmanowa z Waninem w roli tytułowej, oraz frapującymi dekoracjami A. Tyszlera.

Obecny kierownik artystyczny teatru, Jurij Zawadski, przyszedł do studium Wachtangowa jako plastyk: był autorem dekoracyj do pierwszego spektaklu wachtangowców — Cudu św. Antoniego Maeterlinka; był asystentem reżysera przy ciężko już chorym Wachtangowie podczas prac nad Księżniczką Turandot. Wraz z Gorczakowem i grupą młodych aktorów przeszedł do MCHAT-u, gdzie grał (Czackiego,Almawiwę), oraz zaprawiał się w reżyserii. W roku 1925 stworzył własny teatr-studio, w którym wychował całą grupę czołowych obecnie aktorów, z Marecką i Mordwinowem na czele. Wystawiał tam, obok utworów współczesnych, nasyconych ideą rewolucyjną (Prosta rzecz Ławreniewa, reżyserowana wspólnie z Chmielowem z MCHAT-u; Noc Wagrama L. Pierwomajskiego i in.) klasykę rosyjską i obcą: Nie igra się z miłością Musseta, Wilki i owce Ostrowskiego, wreszcie Ucznia diabła B. Shawa, z Mordwinowem w roli tytułowej.

Jeśli młody artysta porzucił oba swe teatry, macierzyste (Wachtangowa i MCHAT), by stworzyć własny, to łatwo możemy sobie wyobrazić, że kierowała nim ambicja ukształtowania sceny o własnym obliczu. Składały się na ten własny wyraz niewątpliwie nauki wyniesione z tamtych teatrów (a więc od Wachtangowa: — wirtuozeria aktorska, wyrazistość, teatralność i patos służby rewolucji; od Stanisławskiego: — walka z szablonem, ze „sztampą" i metoda pracy z aktorem), ale i własne poszukiwania eksperymentatorskie: próby

wyciągnięcia poprawniejszych wniosków z formalnych jaskrawizn ówczesnej „teatralności", próby takiej czy innej aktualizacji starych form teatru szekspirowskiego i *commedii dell'arte* itp.

Patos budownictwa pierwszych pięciolatek porwał i teatr Zawadskiego. Zespół wyruszył na dwuletnią wędrówkę po Donbasie. Grano w osiedlach robotniczych, w kopalniach, na przygodnych scenach klubowych. Dziesiątki tysięcy górników i ich rodzin zobaczyło teatr, a teatr zobaczył żywych ludzi. Wiera Marecka wspomina, że chłonęła nowe zjawiska jak gąbka i patrzyła „ze wszystkich sił". W r. 1936 decyzją władz zostaje zespół przeniesiony do Rostowa. Miasto wita artystów w sposób wzruszający. Artyści zaś uczą się — znów cytuję Marecką — „w porę usłyszeć" w przyjaznym głosie nutki ostrzegawcze.

„W Rostowie — wspomina Zawadski — teatr miał pracować nad najlepszą sztuką radziecką, najlepszą klasyką rosyjską i zachodnio-europejską, troszcząc się nie o oryginalność repertuaru, lecz o jego wysoką jakość. Zadanie swoje teatr zrozumiał tak: dawać widowiska proste, jasne, docierające do masowego widza. Rozstanie się z pewnymi wyrafinowaniami scenicznymi traktowaliśmy nie jako zdradę „oblicza teatru Zawadskiego", lecz jako naturalne w przebiegu rzeczy rozstanie się z formalistycznymi wybrykami młodości".

Nie było to proste. Jeszcze raz w Zbójcach Zawadski nawraca do „teatralizacji" i umowności, każąc aktorom grać nie postaci sztuki, ale wędrowny zespół grający sztukę Schillera. Były i inne pomyłki. Zasadniczo jednak wiązanie się wszelkimi sposobami z terenem, szeroko prowadzona akcja społeczno-kulturalna, przyjaźń z widownią, oparta na wzajemnej pomocy i krytyce, a także wzrastająca wraz z doświadczeniem społecznym aktywność ideowo-artystyczna poszczególnych członków zespołu, stworzyły klimat sprzyjający szybkiemu i właściwemu rozwojowi. Teatr wystawia m. in. Lubow Jarowaja, Na brzegu Newy Treniewa, Niespokojną starość Rachmanowa, Tigrana Gotjana, Kamiennego gościa Puszkina, Poskromienie złośnicy i Otella. Mordwinow kreuje poza tym Bohdana Chmielnickiego w filmie. Wreszcie po 15 latach istnienia teatru-studia Zawadskiego wchodzi ono w skład teatru im. Mossowietu, a w r. 1941 Zawadski zostaje kierownikiem artystycznym połączonego zespołu. Manifestacją pomyślnego zespolenia się w pracy nad pogłębieniem i rozwinięciem cech nowego człowieka radzieckiego na scenie staje się popularna odtąd Maszeńka — z Marecką, Lubimowem-Łańskim i Waninem na czele. W wojennych warunkach (w Ałma-Acie) teatr pracuje rzeczywiście bojowo i nie traci tego stylu po wojnie. — Front Korniejczuka, Najazd Leonowa, Krzywda Surowa, Rosjanie Simonowa, Spotkanie w ciemności Knorre'a — czynią z teatru trybunę autora radzieckiego. Klasykę reprezentują Fonwizin, Ostrowski, Suchowo-Kobylin, Gorki, oraz Maskarada Lermontowa, Osobliwe zdarzenie Goldoniego i Otello — sztuki, które zespół przywiózł do Polski.

Na fali słusznego nawrotu do klasyki rewolucyjnej (wyrażającego się we wznowieniach teatralnych i wydawniczych) teatr podjął pracę nad Sztormem. Nie było to zwykłe wznowienie. Na starym zdjęciu, przedstawiającym posiedzenie aktywu, daremnie szukam w prezydium postaci Dziennikarki. Została ona dopisana w nowej redakcji,

a musiało to mocno wpłynąć na całość linii dramaturgicznej, bo właśnie Dziennikarka prowadzi wielką scenę agitacyjną w koszarach. Można tu mówić o pewnych wpływach O p t y m i s t y c z n e j t r a g e d i i, ale grająca do niedawna tę Dziennikarkę Marecka nie jest zadowolona z roli: — „wszystko w niej prawidłowe", ideologia i bezgraniczne oddanie partii, i entuzjazm, i skromność, i wiara w zwycięstwo. Ale wszystkie te cechy, deklarowane abstrakcyjnie, nie odnalazły miejsca w charakterze indywidualnym, tak jak w indywidualnie wyrazistych i wzruszających postaciach Braciszka (marynarza) i Przewodniczącego". Ta krytyka, idąca od zespołu, nie jest ani przypadkowa, ani — jak zobaczymy — odosobniona. Świadczy ona, że nie tylko kierownictwo teatru potrafi zasadzić autora sztuki do pracy, ale i grający poszczególne postaci aktorzy coraz śmielej zabierają głos, walcząc o prawdziwy i pełny wyraz swych postaci.

Zjawisko takich wypowiedzi dramaturgicznych aktorów radzieckich jest coraz częstsze, powszechnieje. A zespół teatru im. Mossowietu należy na pewno do najaktywniejszych, jeśli chodzi o współpracę z autorem.

I tak — znany u nas z występów teatru Ochłopkowa — S ą d h o n o r o w y Szteina był wystawiony na omawianej scenie w wariancie nowym, specjalnie napisanym, sztuka zaś D. Chrabrowickiego O b y w a t e l F r a n c j i przyszła do teatru jako pierwocina debiutanta i została całkowicie przez teatr wraz z autorem przepracowana. Wreszcie grana po polsku sztuka W p e w n y m m i e ś c i e Sofronowa miała w teatrze im. Mossowietu ni mniej ni więcej tylko piętnaście przeglądów kontrolnych coraz to nowych wariantów, zmierzających do usunięcia łatwego komizmu, do pogłębienia problemów i postaci. Jakże za-

żarte musiały być przy tym dyskusje, a także — jak bardzo cały zespół traktować musiał sprawę przedstawioną przez autora jako sprawę swoją. Warto przy okazji zacytować Mordwinowa (który grał sekretarza KW, Pietrowa) na temat techniki takich przeróbek i w ogóle współpracy z autorem. Otóż Mordwinow uważa, iż „aktor może podpowiedzieć autorowi wiele dobrego, cennego, ciekawego", ale te rozmowy i spory powinny mieć miejsce przed rozpoczęciem prób.

„Pomoc wzajemna powinna być ściśle rozgraniczona i nikt tu nie powinien podstawiać się na cudze miejsce... Praca nad tekstem podczas prób... odbiera aktorowi bezpośredniość wrażenia i czyni aktora... reżyserem swej roli w rozmiarze zgubnym dla wykonawcy. Aktor zaczyna pokazywać, jak będzie grał, jeśli jego koncepcja przejdzie. Jego istnienie w roli staje się ospałe i wymęczone, a pierwsze spektakle, decydujące faktycznie o losie i rezonansie dzieła — szare, dalekie od życia i od przyjętej koncepcji".

Wydaje mi się, że słowa te, będące wyrazem wieloletnich doświadczeń, przeczytają z pożytkiem nasi autorzy i działacze teatralni. Nie mniej godne uwagi są ogólne sformułowania J. Zawadskiego (art. W s p ó ł t w ó r c z o ś ć d r a m a t u r g a i t e a t r u w 7 n-rze T i e a t r u z 1949 r.):

„Na czym polega wspólna praca teatru i dramaturga? W pierwszym rzędzie, rzecz jasna, na ustaleniu właściwego stosunku do tematu spektaklu, na właściwej koncepcji. Dramaturg i teatr wspólnie odszukują i precyzują to środowisko, ten świat postaci, w którym będą się rozwijać konflikty sztuki... Podstawowa funkcja pośrednika pomiędzy teatrem a rzeczywistością należy do dramaturga... Ale to nie znaczy, że teatr przekazuje dramaturgowi swoje prawa

do samodzielnego studiowania życia. Teatr powinien zrobić wszystko, co od niego zależy, aby każde spotkanie z nowym tematem stało się dlań nowym spotkaniem z życiem... Druga istotna część współpracy, to dramaturgiczna organizacja materiału sztuki... (Ale trzeba pamiętać, że) dramaturgiczna receptura — to skażone odbicie kiedyś tam właściwie odgadniętych praw i właściwie ustalonych stosunków wzajemnych teatru i widowni. Te prawa zaś nie są absolutne i powinny być rozpatrywane dialektycznie, a system wzajemnych stosunków teatru i widowni można rozpatrywać tylko na konkrecie historycznym. Władza teatru polega na jego zdolności porywania. Powiększać tę zdolność... oto do czego powinniśmy dążyć przy współpracy z dramaturgiem... Z tego punktu widzenia ważne jest, aby dramaturg zrozumiał metodykę tego teatru, któremu powierza los swojej sztuki".

Trudno cytować bez końca, odsyłam do źródła. Wspomnieć warto, że przy okazji występuje Zawadski przeciwko ostrej charakterystyczności aktorskiej rozsadzającej ramy spektaklu i jako przykład krytykowany omawia F. Raniewską w S ą d z i e h o n o r o w y m, a więc kreację, którą oglądaliśmy. Powiedzmy, że tak było, że znakomitą aktorkę „jakże świetną i dyskretną w M ł o d e j G w a r d i i" ponosi żyłka satyryczna. Raniewską oglądaliśmy obecnie u Zawadskiego w Ś w i c i e n a d M o s k w ą jako dyskretną i czarującą przedstawicielkę starej gwardii robotniczej, oraz w S z t o r m i e, gdzie pobiła wszystkie chyba rekordy charakterystyczności — zdobywając sobie podziw dla talentu i uznania dla wielkiej pasji ideowej, z którą tak fascynująco sponiewierała przed nami graną przez siebie spekulantkę-sprzedawczynię zakażonych łachów tyfusowych. Ale inni, ale uczniowie Zawadskiego... Ten reżyser jest jednocześnie wybornym publicystą teatralnym, ale z artykułów jego można nie tylko odczytać obronę własnej drogi (i krytykę dawnych błędów), lecz również... zaczerpnąć argumentów teoretycznych do krytykowania jego własnej praktyki teatralnej.

Zacznijmy od S z t o r m u, chociaż to spektakl znakomity, świetnie przeprowadzony i grany z takim ogniem i przekonaniem wewnętrznym, że sprawdzają się tu rzeczywiście słowa Zawadskiego o zdolności porywania, o władzy teatru nad widzem. A przecież... W galerii wspaniałych ludzi rewolucji, ukazanych w sztuce B r a c i s z e k — marynarz Braciszek ma jedno z głównych miejsc. Wierny towarzysz, gorący i serdeczny, żyjący tylko wielkością sprawy i walki, jest nieustannym pośrednikiem pomiędzy heroiką spraw na scenie a widownią. Jemu też przypada wzniosły akcent końcowy, gdy przykrywa czerwonym sztandarem ciało poległego przywódcy. Jakże grał dawny wykonawca, W. Wanin?

„Od razu zrozumiałem, że tu zewnętrzną charakterystycznością nie poradzisz... Braciszek ma drewnianą nogę. Ale ja starałem się tak chodzić, żeby widzowie tego nie spostrzegli. Już tam Wileńczuk na pewno nie brawuruje swoim nieszczęściem".

Obecnemu wykonawcy tej roli, G. Słabiniakowi, nikt nie zarzuci zubożenia postaci. Wnosi humor nie tracąc głębi, zjednuje widownię. Ale Słabiniak na swej kuli przebywa raz po raz całą scenę (10—12 metrów) trzema susami: brawuruje, zdumiewa sprawnością, zawodowym treningiem aktorskim. Ale w rezultacie, w patetycznej apoteozie końcowej, kto zastyga nad zwłokami okrytymi czerwienią? — Trochę bohater, a trochę bramkarz futbolowy...

Ostra charakterystyczność, oparta na wirtuozerii aktorskiej, narzuca się ja-

ko jedna z najoczywistszych cech zespołu. Widoczny tu ślad szkoły Wachtangowa. Uczniowie Zawadskiego mają pod tym względem wyrobioną opinię — sądząc po wieloletnich recenzjach radzieckich. Poparte jest to niezawodną techniką ruchu (u młodzieży, żeńskiej zwłaszcza, głos jeszcze niekiedy zawodzi). Ale owa charakterystyczność nigdy nie jest zimna, nie jest pokazem majstrestwa: kultura wewnętrzna, głębokie przeświadczenie o służbie artysty przebija wszędzie, dając grę gorącą i akcję sztuki czyniąc sprawą wspólną sceny i widowni. Tak więc nie przeszkadzały nam akcenty ciepłej ironii i humoru, którymi wyposażono tylu uczestników walki o rewolucję: komsomolców, robotnice, przedstawicieli starej inteligencji. I bynajmniej nie mogliśmy oglądać ich jak stary album— serdecznie, lecz beznamiętnie. Sprawa, idea — wyrastały ponad rodzajowy humor. Teatr wykazał w tym wielką umiejętność, wielki takt artystyczny.

Tak samo z wrogami: oficerowie sabotażyści, renegaci partyjni i drobna burżuazyjna hołota — scharakteryzowani zostali z jeszcze większą oględnością, jeśli to możliwe. Żadnego przerysowania, a obraz pełny. Któż zapomni zeznania zdrajcy — komendanta wojskowego (Abdułow)? Ale przecież i drobniutki epizod zdradzieckiego oficerka (Pogorzelski) zagrany był jak czysty akord wiolinowy. Jaskrawą plamą była tylko Raniewska, ale to dla mnie kreacja takiej miary, że nie potrafię przymierzać tu miarki. Zdaje mi się, że jeśli Przewodniczący (znakomity, nasycony od wewnątrz, a lakoniczny w środkach wyrazu, P. Geraga, który stylem gry przypominał mi nieco J. Tolubiejewa z teatru leningradziego), Braciszek i inni byli wyrazicielami ukochania rewolucji, to Raniewska jako przekupka wzięła na siebie wyraz nienawiści, rozszerzając swój epizod do roli równoważącej artystyczno-ideową wymowę całości.

Świt nad Moskwą A. Surowa. W ostatnim swym artykule Wiera Marecka (grająca główną rolę w sztuce) pisze, że autor spóźnił się z problemem. Nie wydaje mi się to słuszne. Niezależnie od stopy życiowej i osiągniętego standartu społecznego, zawsze można sobie wyobrazić moment, w którym to człowiek — co się naharował, ażeby zdobyć i utrwalić takie czy inne minimum dobra powszechnego — stanie zdumiony i przetrze oczy, że jego osiągnięcia już nikogo nie zachwycają, że ludzie chcą więcej, a na niego, wczorajszego przodownika i może bohatera, patrzą jak na zawalidrogę. Konflikt wykorzystywany już niejednokrotnie, a przecież fakty życiowe na tym konflikcie oparte zdarzają się jeszcze drastyczniejsze i aż proszą o pióro dramaturga.

Kapitolina Sołncewa — wyrosła w pracy i w walce, wypruwającej wszystkie siły z człowieka i mogącej rzeczywiście przesłonić szersze horyzonty... Pracowało się, by zaspokoić najprymitywniejsze potrzeby nie opierzonej jeszcze rewolucji, walczyło się o ziemię rodzinną, o prawo do samostanowienia ludu, o byt, zagrożony przez najeźdźcę. Teraz dyrektor Sołncewa produkuje perkaliki, całe masy perkalików ponad plan. Są tanie i mocne. Jest chleb. Młodzież spokojnie chodzi do szkoły. Czegóż jeszcze chcecie?... Desenie się nie podobają? Moi drodzy, „żeby i takie były". Kapitolina zaorywuje się jak koń roboczy, rezygnując z życia osobistego... Dotąd jest dobrze. Od strony produkcyjnej biorąc, trzeba teraz przeszkolić dyrektora, unowocześnić produkcję i dać fabryce zdolnego projektanta deseni, słowem, podciągnąć zacofany obiekt do poziomu przodujących i kropka. Ale Surow chce się zająć człowiekiem, otworzyć człowiekowi rewolucji perspektywy komunizmu, wyprostować

go, przywrócić mu uśmiech i pełnię życia. Udało mu się pokazać kontrastowe przykłady starych robotników, którzy nie pozwolili, aby codzienny wysiłek przesłonił mu jasne perspektywy. Tej grupie przewodzi wspaniała babka — kandydat na posła, istny symbol młodości rewolucyjnej, w znakomitej interpretacji F. Raniewskiej. Udało się i autorowi i aktorce (Marecka) stworzyć wysoce interesującą postać „demona pracy i ofiary obowiązku", pozornej siłaczki (140% ponad plan), a wewnętrznie słabiutkiej i zdezorientowanej, ukrywającej pod pozorami niezmiernie wojowniczymi dziecięcą delikatność i niezaradność uczuć. Tu znana charakterystyczność artystki wypowiedziała się arcy-interesująco: — przed nami był żywy człowiek, śmieszny, wzruszający i dramatyczny; aż szkoda, że nie starczyło materiału dramaturgicznego na pełniejsze rozwinięcie roli, na ukazanie rzeczywistego przebiegu walki z samą sobą o nowy styl życia.

Bo autor wpędza akcję z powrotem do produkcji, gdzie wikła się w problemach technicznych, narażając na zarzut bezradności wobec jednego biurokraty i sabotażysty cały personel fabryki z partorgiem na czele. A przecież nie o technikę chodzi. Ten temat wyczerpująco rozwija wiceminister (bardzo ludzka i wyrazista kreacja B. Olenina), gdy się natrząsa nad słóweczkiem „szirpatrieb" — towar codziennego użytku, który zamiast przystroić „oszpeca tysiące ludzi". Natomiast brak jest w sztuce sytuacji unaoczniających ten wyższy styl życia, którego istnienie tylko się anonsuje. Śpiewy i tańce na wycieczce, łowienie ryb i śpiewy przy gitarze niewiele tu określają: mogłyby charakteryzować i bardzo archaiczny prymityw. Młodzież jest ukazana rodzajowo, charakterystycznie i również nie spełnia tej funkcji. Także i partorg Kniepin. Małą sensacją dramaturgiczną jest sekretarz partyjny — nie kaznodzieja, ale pogodny człowiek z uśmiechem na twarzy, mający czas nawet na życie rodzinne. Ale i on (z wyjątkiem króciutkiej, naprawdę ładnej sceny z żoną) żyje w sztuce jak na biwaku.

A była w sztuce możliwość pięknej konfrontacji stylów życia. Oto szkicowo tylko ukazane „agromiasto", do którego przyjeżdżają młodzi, aby dostać wzory tkanin ludowych. Jeśli wolno, naczytawszy się Stanisławskiego, pofantazjować, to wyobraźmy sobie szefostwo naszej fabryki nad tym ośrodkiem, gdzie najlepsze tradycje współżyją pięknie z wysoką wiedzą i nowatorską techniką rolniczą. Wyobraźmy sobie uroczyste przyjęcie gości z miasta (oczywiście wraz z akademikiem artystą-malarzem, który przecież stąd pochodzi), oraz szereg ubocznych epizodów. Tysiąc okazyj do unaocznienia nowych pierwiastków i wyższych form w życiu radzieckim, oraz do przezwyciężenia nieuniknionych konfliktów przez bohaterkę sztuki.

Skazany więc na deklaratywność, ratował się teatr podkreśleniem optymizmu wprowadzając ton wodewilowy w rozbudowanej scenie „gulanja" — zabawy na wycieczce. Sięgnął także po materiał spoza sztuki: barwne zdjęcia filmowe, poprzedzające każdy obraz, przypominały, że poza szczupłym wykrawkiem rzeczywistości, ukazanym na scenie, pulsuje nowe, prężne i bogate życie radzieckie, któremu sprostać powinny nie tylko perkaliki Sołncewej, ale i sama towarzyszka dyrektor.

O t e l l o... Nie bez intencji polemicznej pod adresem aktorów sobie współczesnych rzucił Puszkin znaną uwagę:— „Otello to nie zazdrośnik z natury, przeciwnie, jest on ufny". Zasłużony szekspirolog radziecki M. Morozow (autor znanej monografii oraz niezmiernie wartościowej pracy o O t e l l u, gdzie dał filologiczny przekład sztuki, komen-

tarze, oraz wybór opisów najsłynniejszych kreacyj aktorskich w tej roli od Keana i Moczałowa, poprzez Salwiniego i Ostużewa do Chorawy i Mordwinowa) idąc za Puszkinem nazywa utwór „tragedią zawiedzionej ufności", czy nawet, jak w przekładzie polskim: „tragedią oszukanej ufności". Ale czy oszukanie ufności daje wystarczający materiał do tragedii? — Byłeś łatwowierny, to cierp... Wydaje się, że uwadze Puszkina, nie mającej przecież intencji wyczerpania sprawy, nadano sens zbyt wąski. Ostrzegali przed takim zwężeniem, przekształcającym tragedię w dramat romantyczny, liczni krytycy radzieccy. I tak A. Dżiwelegow (w II tomie Jeżegodnika Instr. Istorii Isskustw Ak. Nauk, 1948) podkreśla powrót spokoju i panowania nad sobą) a więc wyzwolenie się spod wpływu Jagona) w momencie ostatecznej decyzji. Otello uważa się tu za sędziego — i to nie tylko we własnej sprawie — za obrońcę interesów ludzkości, rzecznika praw. Wiernie oddał to Paszkowski:

Konieczność to, konieczność nieuchronna
Nie chciejcie bym wam powód jej wyjawił,
O, czyste gwiazdy. Konieczność tak każe.

Sprawa przerosła najśmielsze perspektywy Jagona. Otello jest sędzią i ofiarą sądu zarazem. Pisał kiedyś Aleksander Błok: — „W Desdemonie pierwszy raz odnalazł Otello swoją duszę, pierwszy raz odkrył duszę własną". Bez Desdemony — powróci „chaos", bez niej nie ma życia. Sędzia i ofiara zarazem — oto nierozwiązalny konflikt sprzeczności, podnoszący dramat do „maksymalnych horyzontów" tragedii.

Wiemy, jak popularny jest Szekspir w Związku Radzieckim, a zwłaszcza O t e l l o, który dla narodów kaukaskich np. stał się niemal pozycją z repertuaru rodzimego. Chorawa z teatru im. Rustaweli jest obecnie najwspanialszym chyba interpretatorem tej postaci. Festiwal szekspirowski w Armenii wyłonił dwie pary Otellów i Jagonów (w jednym teatrze erywańskim) kontrastowo odrębnie zestawiających wielkość serca i inteligencję zbrodni w jednej, a wzniosłość i potęgę uczuć z płaską obłudą zbrodni w drugiej parze. Doświadczenia z gry znakomitości zachodnio-europejskich, którzy tak chętnie występowali w Rosji (uwielbiany przez Stanisławskiego Salwini przede wszystkim), popularny R e ż y s e r s k i p l a n O t e l l a Stanisławowskiego, stare tradycje własne i nowe, radzieckie osiągnięcia) (od A. Ostużewa poczynając), wszystko to stanowi skarbiec ogromny, jakiego nie ma w żadnym innym kraju. Skarbiec, z którego czerpie każdy tragik radziecki. (Tak np. fascynująca scena z chustką, którą zachwycił nas Mordwinow, jest szczęśliwym i twórczym wariantem propozycji, zawartej w książce Stanisławskiego). Ułatwia to pracę, ale i utrudnia zarazem.

Oto np. wszyscy niemal teoretycy piszą o Otellu niemłodym, nieponętnym zewnętrznie, o człowieku bez cech, które by ostrzegły Brabancja przed wprowadzeniem go do własnego domu. Wszyscy zaś niemal praktycy, w szlachetnym skądinąd porywie humanistycznym, przystrajają Otella w najpiękniejszą, najbardziej porywającą zewnętrzność, na jaką stać aktora i teatr...

Nie oparł się tej pokusie i M. Mordwinow. Jego Otello — to jakiś Cyd mauretański. Piękny i potężny, z łatwością musiał opanować wyobraźnię Desdemony, jak z łatwością, jednym ostrzegawczym podniesieniem głosu wytrąca broń z ręki pachołkom Brabancja. I on i Desdemona (artystka Kartaszewa) świetnie prowadzą scenę w senacie. Odrzuca-

jąc wszelkie „gastrolerskie" afektacje i wyniosłości, Mordwinow odsłania przed chytrymi senatorami całą otwartość natury Otella, szlachetność jego uczuć, dziecięcą wrażliwość i prawdziwie wzniosłą wiarę w człowieka. Ale ślad twardej przeszłości, mąk i „chaosu" zaciera się dla widza, który widzi przede wszystkim optymistycznego bohatera. Tak samo Desdemona, zjawiająca się po nocy, by stanąć obok męża, jest dzielną dziewczyną, przerastającą swe środowisko i horyzontami umysłowymi, i siłą charakteru.

Lecz już na Cyprze i generał, i jego „piękna wojowniczka" stają się niemal wyłącznie parą kochanków. Sugestia teatru jest tu ogromna. Po pierwszym pięknym efekcie dekoracyj (dzieło M. Winogradowa, stałego plastyka teatru), przypominającym w światłocieniach trzech planów w głębi efekty malarskie Welasqueza, rozpoczyna się imponująca orkiestracja idylli miłosnej. Pełne wyrazu i rytmu sytuacje, strój, frazowania głosowe — wszystko świeże i doskonałe, wszystko służy sugestii jasnej szczęśliwości, która ma się skontrastować z dramatem. A patrzący na to Jago, którego zimny cynizm i rubaszne maski zdążyliśmy już poznać przedtem, aż pięknieje w napięciu czujnej nienawiści. Jagona gra B. Olenin. Popisem wirtuozerii artysty i reżysera jest koniec monologu, obmyślającego intrygę. Na rozciągnięte słowo „priduuumał" (obmyśliłem, mam) kładzie się muzyka i odtąd w zawrotnym tempie aktor z orkiestrą szaleją w egzaltacji twórczej uciechy z zawiązującej się intrygi. Na ostatnim słowie obrywa się mocny akord i Jago jednym targnięciem zasłony znika sprzed naszych oczu. Brawura niewątpliwa, jak brawurowa jest rytmizacja muzyczna popłochu nocnego w I akcie (z podszeptu Stanisławskiego), jak brawurowa jest szamotanina Otella z Jagonem, a Jagona z Rodrygiem, albo upadek Otella ze schodów, albo redukcja „miotania się" Desdemony w strachu przedśmiertnym do jedynego, ale wirtuozowskiego zbiegnięcia od łożnicy po schodach tuż ku budce suflerskiej z okrzykiem i załamaniem rąk nad głową: jak wreszcie prawie groteskowo-taneczny występ Bianki (artystka Kowienskaja). Instrument ciała aktorskiego wszędzie tu również niezawodny, jak instrumenty w orkiestrze. Ale od tych frapujących efektów brawury teatralnej, wyłamującej się niekiedy swą umownością — jak w scenie Bianki — z realistycznej linii spektaklu, wolę dojrzałe mistrzostwo Olenina w monologu „napchaj kiesę". Wsłuchując się w niską, cyniczną intonację, w której dyskretnym, tłumionym humorem przebłyskiwało znawstwo ludzi i ściągająca świat cały w błoto filozofia tego utalentowanego szubrawca, mogliśmy już się przekonać, że koncepcja roli jest znakomita.

Tak więc do tragicznego dialogu stają: po stronie zła — gracz-artysta i filozof, po stronie dobra — kochanek-bohater, ledwie przytomny od rozsadzającego go szczęścia. Równowaga naruszona w założeniu. Otello nie ma szans w tej walce. Póty się broni, póki szczęście mówi doń mocniej niż plugawe podszepty. Czy aktorowi zabrakło tu środków? O, nie. Walczył o swoje szczęście jak prawdziwy bohater. Ale zabrakło mu tych stron biografii Otella, które poryły mu twarz i dały gorzki oręż doświadczenia. Inscenizator zaś, wiedząc z góry o przegranej, nie inwestował tu swoich najmocniejszych środków, oszczędzając je na etap następny — na demonstrację żywiołów męki i cierpienia. Otello oparty czołem o kolumnę, Otello snujący się jak lunatyczna muzyka, Otello — lawa buchająca z krateru, Otello wycofujący się ze sceny z głową odwróconą, z wyrazem ogromnego żalu, z dłonią wyciągniętą

błagalnie i gasnącym szeptem „chustka, chustka, chustka...". A ogon płaszcza wślizguje się za nim powoli jak wąż za kotarę... To było bardzo estetyczne i zapadające w pamięć, ale czy nie wypierało tym samym z pamięci istotnych ideowych przesłanek tragedii? Na pewno tak. Gdy się idzie za Stanisławskim w Otellu, uderzające jest, jak ten mistrz reżyserii rozbudowuje rzeczywistość sztuki, gromadzi swoje „okoliczności wyznaczające" — nie po to przecie, by „rozbarwić" akcję; i nie tylko w trosce o siły aktora (który, jeśli mu ich ma wystarczyć na tę straszliwą rolę, powinien jak najmniej grać na obnażonym nerwie"), ale przede wszystkim po to, by na konkrecie, w aktorskim działaniu, wyjawić i unaocznić wszystkie przesłanki dramatu. Zawadski natomiast, korzystając raz po raz z propozycji nauczyciela w sposób twórczy i oryginalny, ulega jednak pokusie zastąpienia działania przez pokaz i lubuje się takimi momentami.

Ostatecznie jest więc Otello-Mordwinow mścicielem własnej przede wszystkim sprawy, a nie tragicznym sędzią — jak Otello szekspirowski — jak Hamlet. Wstępne założenie inscenizatorskie Zawadskiego, aby bohater szekspirowski był na scenie niejako „osią świata", nie zostało w pełni zrealizowane. Przyczyny tego, jak mi się wydaje, należy dopatrywać się w ogromnym temperamencie artystycznym inscenizatora. „Kiedy szukam — pisze on — w swoich spektaklach rysunku scenicznego, odzywa się we mnie mój dawny zawód malarza". A więc gotowe wizje postaci, scen, momentów kulminacyjnych, wizje, którym towarzyszyć musi — jak to widać z wyników — przeczucie rytmu i przebiegu scenicznego. Ta konkretność wizji, wsparta w dodatku radosną pewnością, że znakomicie wyszkolony zespół potrafi to wszystko zrealizować bez zająknienia, przyczynia się zapewne do tego, że powstają na scenie postacie i sytuacje piękne, pełne wyrazu, trafne, ale nie tak pełne, jak to się tai w możliwościach sztuki. Trudno np. nie zauważyć, że wiele takich postaci jak Rodrygo, Kassjo, wspomniana już Bianka, Lodowiko i inne zostało rzuconych na scenę jako barwne i wyraziste plamy, z niewykorzystaniem wszakże pełni ich charakterów i „biografii". Bogato natomiast potraktowana została rola Emilii, ukazująca ważny dla tragedii motyw samoprzezwyciężenia i heroizmu „zwykłego" człowieka.

I wreszcie Maskarada Lermontowa — dramat romantyczny. Schemat akcji przypomina Otella. I tu fałszywe poszlaki (bransoletka zamiast chustki) oraz intryga rozbijają wielką miłość. I tu bohater dopuszcza się okrutnego samosądu. Ale i różnice są zasadnicze. Utwór Lermontowa jest w dużym stopniu pamfletem społecznym — ukazuje świat we władzy pieniądza, świat, którego dwa zasadnicze symbole — to szulernia i maski. Jedyny sprawiedliwy, to dawny szuler:

Na wylot widzę ich i wszystkie znam arkana.
Oto dlaczego teraz nie gram...

Ale świat graczy nie pozwoli bezkarnie wycofać się z gry. Intrygi dosięgną Arbienina tam, gdzie ten spalony przez namiętność człowiek ulokował ostatnią i jedyną wartość życia: — ugodzą w jego miłość. Raniony odyniec wraca do kniei, by walczyć o życie. Maski, wszędzie maski, a gdzie uzdrawiająca prawda? Na próżno zdziera Arbienin te maski: prawdy nie znajdzie. Potworna zbrodnia zostaje dokonana. I teraz dopiero spada ostatnia maska. Zdziera ją Nieznajomy z Arbienina, przypominając, że Arbienin jest nie tylko ofiarą, ale i produktem tego świata masek i szulerów. On tylko w pewnym momencie

wstał od gry: pasmo krzywd zostało nie zapłacone...

Jest więc w Maskaradzie rozdźwięk wewnętrzny. Nas fascynuje wspaniały realizm utworu, jego pasja satyryczna, podniesiona do poetyckiego patosu. Młodego zaś romantyka fascynowały zapewne nie mniej typowe dla stylu epoki akcenty tajemniczości i fatalności, którymi przystroił nawet Arbienina i na których oparł konstrukcję rozwiązania sztuki przez Nieznajomego. Jak te rzeczy pogodzić w teatrze realizmu socjalistycznego? — Pytania takie stawia sobie B. Jemielianow (Tieatr nr 5, 1952), porównując dwie Maskarady — tę, którą właśnie omawiamy, ze spektaklem teatru erywańskiego, gdzie Arbienina gra W. Wagarszina — jeden z Jagonów z Otella). Aktor ormiański ma być prostszy i bardziej ludzki, otwierając sobie w ten sposób drogę do ukazania ogólniejszych, tragicznych perspektyw dramatu. Natomiast w postaci Nieznajomego teatr nie zawahał się pójść za klimatem autorskim, dając w nim absolutnego sędziego, który strąca Arbienina z piedestału mściciela.

Pomijając już pewne niekonsekwencje szczegółowej argumentacji, trudno się zgodzić z krytykiem, by taka koncepcja była jedynie właściwa, a tym bardziej, by służyć miała na poparcie zarzutów wobec koncepcji teatru im. Mossowietu. Przeciwnie, sądzę, że teatr ten, mając w repertuarze Otella i Maskaradę obok siebie, miał prawo szukać nie podobieństw, lecz różnic — słusznie poszedł po linii realistycznej, pamfletowej. Cóż bowiem z tego, że złamany przez Arbienina uroczy, ale głupi karciarz i bawidamek, książę Zwiezdicz pyta go: — tyś człowiek, czy demon? — Zgodzimy się łatwo nie wychodząc z ram realizmu, że dla książątka szuler wielkiej klasy może być demonem... Demoniczność długie lata należała do dobrego tonu i niewielką jej porcję możemy spokojnie przyjąć jako cechę konkretu historycznego. Wydaje się, że pod tym względem Mordwinow przeprowadził postać bez zarzutu. Tak samo „lawa uczuć" i histeryczny patos mściciela wydają się całkowicie zrozumiałe w ramach tej psychologii. Co do Olenina, z ogromnym taktem próbującego uzwyklić i wkomponować w realne środowisko postać Nieznajomego, to miał on istotnie zadanie trudne i nierozwiązalne (proroctwo na maskaradzie).

Na koncepcję tej postaci, jak i na całość inscenizacji, wpłynęło zapewne doświadczenie z Maskarady filmowanej, gdzie romantyczna tajemniczość i fatalność były mocno podkreślone i nie mniej mocno później skrytykowane. Dyskusje i krytyki związane z wszystkimi realizacjami Maskarady dostarczają wiele materiału do przemyślenia tym wszystkim, którzy sięgają po repertuar romantyczny dla teatru.

Starcie więc Nieznajomego z Arbieninem, tak jak zostało pokazane w teatrze im. Mossowietu, wydobywa z dostateczną wyrazistością myśl autorską, że patos Arbienina ma tylko siłę negatywną, demaskującą, że jego świat wartości jest niepełny i nie ma perspektyw na przyszłość. Żeby jednak ta pasja demaskatorska nie działała w próżni, należy otoczyć Arbienina żywymi i wyrazistymi przedstawicielami świata masek i szulerni. I teatr zrobił to, przynajmniej o tyle, że poszedł wiernie za autorem. Znakomity jest P. Platt jako Kazarin, gracz i epikurejczyk, obłudnik z zamiłowania i artystycznej wręcz skłonności. W. Marecka jako Baronowa Sztral ukazuje przejrzyście dwoistość tej kobiety, równie zdolnej do intryg jak i do kryzysów sentymentalnych. Michajłow jako Książę Zwiezdicz trafnie uchwycił pust-

kę i potworny chaos moralny przedstawiciela „Złotej młodzieży", miał jednak może za mało uroku jak na bożyszcze kobiet. Natomiast nazbyt już groteskowo, dwuwymiarowo tylko potraktowany został szuler, lichwiarz i agent żandarmerii Szprich. Tu ten sam problem co z Bianką w Otellu: — znakomita technika i wyrazistość aktorska daje niestety rysunek raczej plastyczny niż psychologiczny.

Podobnie i Nina, żona Arbienina. Jak Desdemona — nie ukazana dość wyraźnie ze swoim światem wartości (Stanisławski sugeruje, że Desdemona uważa się za wychowawczynię swego męża i dlatego, z całą świadomością, nalega nań w sprawie Kassja) — może niecierpliwić widza niezrozumieniem grozy sytuacji, tak i Nina, choć „z księgi życia przeczytała tylko kartę tytułową" znacznie lepiej wypełni swą rolę (a tym samym i odejmie wiele z patologiczności sceny mordu), jeśli zostanie wyposaża w bardziej sformułowany charakter.

Dalsi przedstawiciele świata demaskowanego przez Arbienina, to szczupłe (w spisie osób) grono graczy, oraz bezimienny tłum gości maskarady i balu. Wydaje się tu, że teatr mógłby dać więcej barw żywych i indywidualnych, dopełniając wizję autorską naszą dzisiejszą wiedzą o epoce. Takie sceny jak wzięcie przez Arbienina lodów na balu, czy też jego monologi, wypadłyby może plastyczniej, gdyby odbywały się na tle ożywionym, a nie w nagle pustoszejących salach (zgodnie z uwagami Lermontowa). A już rzeczowe zastrzeżenia budzi scena pułapki na honor księcia Zwiezdicza: — jeśli odbywa się ona tylko w „swoim kółku" kilku renomowanych szulerów, to jej dramatyzm traci wiele ciężaru gatunkowego.

Znakomicie wypadł rytm zdarzeń na Maskaradzie we wszystkim, co dotyczyło fatalnej bransolety. Takie właśnie sceny dają rzadką satysfakcję oglądania rzeczy tak, jak się dziać powinny. Natomiast rytm jambicznych monologów Arbienina, tak zgrabnie wplecionych w lustrację sal na filmie, nie miał już tej dynamiki i plastyki w teatrze. Jest to jedno z ciekawszych zagadnień wiersza na scenie i bardzo trudno tu o jakieś ogólne recepty. Wydaje się przecie, że sytuacyjne elementy rytmu mogą prędzej pomóc, niż zaszkodzić wierszowanym monologom.

Kończę. Ambitne założenia teatru im. Mossowietu, szerokość jego horyzontów artystycznych, jednolitość szkoły zespołu i wysokie mistrzostwo zawodowe sprawiają, że każde zjawisko w pracy tej sceny przemawia, budzi całe kompleksy problemów, że — krótko mówiąc — nie tylko nie można pozostać wobec tego wszystkiego beznamiętnym, ale chciałoby się, będąc porwanym gorącym tętnem życia artystycznego teatru, samemu choćby w jakimkolwiek stopniu uaktywnić, konfrontować założenia, szukać sformułowań nowych. To tłumaczy roboczy styl tego omówienia, daleki od zdawkowych komplementów. Nie omówiliśmy tu ani części nasuwającego się materiału, ale niewątpliwie doświadczenia, wyniesione z tych spektakli, staną się materiałem roboczym w dyskusjach wszystkich ludzi teatru.

Józef Maśliński

NA WIDNOKRĘGU

WEDŁUG RAPORTU EUROPEJSKIEJ KOMISJI GOSPODARCZEJ...

W końcu listopada opublikowany został w Genewie kolejny raport Europejskiej Komisji Gospodarczej ONZ o sytuacji ekonomicznej w Europie w II kwartale br., zawierający również podsumowanie tej sytuacji za pierwsze półrocze. Raport zajmuje się w zasadzie Europą Zachodnią. Opiera się on na burżuazyjnych statystykach i opracowany został przez burżuazyjnych ekonomistów. Uczynili oni wiele wysiłku, aby osłabić wymowę elementarnych faktów ekonomicznych mających miejsce w Europie zachodniej. Nie podejmują one też żadnej poważniejszej próby wyprowadzenia z opisywanych zjawisk rzetelnych wniosków. Toteż wartość raportu jest nader ograniczona. Niemniej zawiera on szereg interesujących stwierdzeń. O znacznej części raportu można powiedzieć, iż stanowi mimowolne, narzucone przez sytuację, zilustrowanie tez XIX Zjazdu KPZR na temat sytuacji w krajach kapitalistycznych.

Na XIX Zjeździe towarzysz Malenkow mówił:

„Wyścig zbrojeń przytłacza szczególnie ciężkim brzemieniem gospodarkę krajów — satelitów Stanów Zjednoczonych. Po rozpętaniu wojny w Korei Stany Zjednoczone wzmogły nacisk na państwa zachodnio-europejskie, domagając się od nich coraz pełniejszego przestawienia przemysłu na tory wojenne i olbrzymich kredytów na przygotowanie wojny, pozbawiając cywilne gałęzie produkcji tych krajów niezbędnych surowców i materiałów. Imperializm amerykański zrzucił ostatecznie maskę tego, który „odbudowuje“ ekonomikę krajów kapitalistycznych. Amerykańska „pomoc“ jest obecnie udzielana wyłącznie na zbrojenia, na przygotowanie nowej wojny. Wyścig zbrojeń, prowadzony pod dyktando monopoli amerykańskich przez władców Anglii, Francji, Włoch, Niemiec zachodnich, Belgii, Norwegii i innych krajów kapitalistycznych, burzy ekonomikę tych krajów i wiedzie ku katastrofie“.

Zbrojenia państw marshallowskich realizowane w warunkach eksploatacji przez monopolistów amerykańskich mają szczególnie rabunkowe konsekwencje. Z jednej strony finansowanie zbrojeń zmniejsza siłę nabywczą ludności i wywołuje kryzys zbytu w przemysłach konsumcyjnych. Z drugiej strony realizacja zbrojeń angażuje dodatkowe ilości kosztownych, importowanych surowców oraz dodatkowy potencjał produkcyjny kluczowych dla eksportu przemysłów (np. przemysł maszynowy). Stąd dodatkowe pogorszenie bilansu handlowego. Z kolei następuje sztuczne redukowanie importu dóbr idących na zaspokojenie elementarnych potrzeb ludności, przede wszystkim artykułów żywnościowych. Stąd wzrost cen tych artykułów, dalszy spadek stopy życiowej i dalsze zmniejszenie popytu na inne artykuły konsumcyjne, ponieważ zakup żywności pochłania coraz większy procent budżetu rodzinnego.

Raport Komisji ogranicza się do stwierdzenia faktów: „Aktywność gospodarcza w większości krajów Europy zachodniej w II kwartale 1952 r. spadała nadal. Produkcja przemysłowa była na ogół niższa niż w odpowiednim okresie poprzedniego roku, wyjąwszy Niemcy zachodnie i Francję. Jednakże i te kraje zostały dotknięte recesją: w Niemczech zachodnich tempo ekspan-

sji zmniejszyło się, a we Francji po raz pierwszy w okresie powojennym nastąpił spadek produkcji między I i II kwartałem. W Wielkiej Brytanii produkcja przemysłowa była o ok. 5% niższa niż w odpowiednim okresie roku 1951 i nawet nieco niższa niż w 1950. W mniejszych krajach przemysłowych rozwój był podobny: produkcja przemysłowa bądź przestała rosnąć, bądź też spadła. Konsumcja była również na ogół niższa... Rozmiary sprzedaży detalicznej w Europie zachodniej pozostały w II kwartale niskie i wykazywały nieznaczne polepszenie w porównaniu z I kwartałem, w czasie którego rozmiary obrotów były najniższe od początku 1950 roku."

W II kwartale br. w porównaniu z II kwartałem 1951 ogólny wskaźnik produkcji przemysłowej spadł w Wielkiej Brytanii, Danii, Belgii, Holandii i w Luksemburgu; pozostał niezmieniony w Norwegii, Szwecji, Włoszech; wzrósł minimalnie we Francji i w Niemczech zachodnich. Jednakże kształtowanie się wskaźnika ogólnego kryło w sobie dwie rozbieżne tendencje. Tak np. w zakresie typowego przemysłu konsumcyjnego — włókiennictwa — spadek wskaźnika notują wszystkie bez wyjątku kraje Europy zachodniej, przy czym w najlepszym wypadku spadek ten wyniósł aż 11% (Norwegia), dochodząc w Belgii aż do 33%, w Danii do 20%, w Wielkiej Brytanii do 27%, w Niemczech zachodnich do 22% itd. Natomiast w niektórych przemysłach ciężkich, zaopatrujących produkcję zbrojeniową i budownictwo wojskowe, oraz w niektórych gałęziach przemysłu maszynowego, bezpośrednio produkującego sprzęt wojenny, notujemy jeszcze wzrost.

We wszystkich niemal krajach zachodnio-europejskich zaznacza się w tym samym okresie porównawczym spadek spożycia na głowę ludności, przede wszystkim w zakresie towarów przemysłowych; w całym szeregu krajów z Wielką Brytanią, Danią, Norwegią i Austrią na czele notujemy również spadek konsumcji ogólnej. Dysproporcja pomiędzy rozwojem sytuacji w przemyśle konsumcyjnym i pośrednio oraz bezpośrednio zbrojeniowym, związana z szybszym niż wzrost produkcji zbrojeniowej spadkiem produkcji cywilnej, znajdowała odzwierciedlenie na rynku pracy. Raport notuje: „Na rynku pracy trwała nadal tendencja rosnącego bezrobocia we włókiennictwie i w innych przemysłach konsumcyjnych wraz z równoczesnym brakiem siły roboczej w ciężkich przemysłach Europy zachodniej". Raport unika jednak otwartego stwierdzenia, iż nastąpił ogólny wzrost bezrobocia. Niemniej fakt ten można odczytać z tabeli zamieszczonej na str. 82 raportu. Według niej poziom zatrudnienia w 17 krajach europejskich był w II kwartale br. niezmieniony w porównaniu z II kwartałem 1951 i wynosił 111% poziomu z 1948. Jednakże autorzy raportu zastosowali, opracowując tę tabelę, dwa chwyty statystyczne: po pierwsze włączyli do owych 17 krajów 4 kraje demokracji ludowej, gdzie w tymże czasie nastąpił wzrost zatrudnienia, a po drugie uznali za zatrudnionych również częściowo bezrobotnych. Jeśli odliczyć wspomniane kraje demokracji ludowej, to dla krajów Europy zachodniej otrzymamy spadek zatrudnienia o m.w. 1%, wliczając nawet zatrudnienie częściowe. Tymczasem jednak nastąpił wzrost liczby ludności i w ramach tego wzrostu również wzrost liczby zdolnych do pracy. Jednocześnie, jak przyznaje zresztą sam raport, „we Francji np. tendencja do bezrobocia manifestowała się raczej w formie skróconego tygodnia pracy niż w formie bezrobocia pełnego". Uwzględniając wszystkie te czynniki, można przy-

jąć, że bezrobocie pełne i częściowe w Europie zachodniej wzrosło bardzo poważnie, choć ścisła ocena na gruncie danych raportu jest niemożliwa, o co zapewne jego autorom chodziło.

Szczególnie groźne dla krajów zachodnio-europejskich objawy wystąpiły w zakresie ich handlu zagranicznego. Raport Komisji rejestruje „poważną redukcję rozmiarów importu" w krajach Europy zachodniej i w rezultacie pewne polepszenie w bilansach płatniczych. Jednakże — podkreśla raport — „eksport do tego polepszenia bilansów płatniczych nie przyczynił się w ogóle". Rozmiary eksportu na ogół spadły i w sumie były mniejsze niż kiedykolwiek w ciągu minionych 12 miesięcy". Jedynym wyjątkiem były pod tym względem Niemcy zachodnie, co wiąże się ze szczególnym popieraniem przez kapitał amerykański ekspansji imperialistów niemieckich. Niemniej rozmiary eksportu Trizonii, choć w II kwartale nieco wzrosły w porównaniu z I-szym, były niższe niż przeciętnie w drugiej połowie 1951.

Łącznie poziom importu 15 głównych krajów zachodnio-europejskich był w II kwartale br. o 7% niższy niż w II kwartale 1951. Import zbóż chlebowych spadł z 4,5 mln. ton w II kwartale 1951 do 3,8 mln. w II kwartale br. import cukru z 1,6 do 1,5 mln. ton, import mięsa z 320 tys. do 293 tys. ton, import masła ze 108 do 82 tys. ton, import tłuszczów jadalnych z 643 do 541 tys. ton. To znaczne zmniejszenie importu przy jednoczesnym wzroście liczby ludności musiało oczywiście spowodować znaczne pogorszenie zaopatrzenia. Oznacza to, że kapitalistyczne kraje Europy zachodniej przerzucały skutki zbrojeń w zakresie handlu zagranicznego bezpośrednio na barki szerokich mas. Jednocześnie w dziedzinie eksportu wzmożona walka konkurencyjna wobec kurczących się wszędzie w świecie kapitalistycznym rynków zbytu, w połączeniu ze wzmożoną agresywnością eksporterów amerykańskich i rezultatami wzajemnych ograniczeń importowych w krajach marshallowskich — spowodowała spadek wywozu 15 głównych krajów Europy zachodniej o 10% w okresie od II kwartału 1951 do II kwartału br. Przyczyniło się to oczywiście do dodatkowego zaostrzenia objawów kryzysowych w Europie zachodniej.

Uzależnienie od Stanów Zjednoczonych pogłębione koniecznością zakupywania tam wielu surowców zbrojeniowych spowodowało, że tzw. kryzys dolarowy Europy zachodniej trwał nadal z niezmniejszoną siłą. Stany Zjednoczone przyczyniły się do tego dodatkowo i tym, że poczęły ograniczać metodą wysokich barier celnych swój i tak szczupły import z Europy zachodniej, zwiększając natomiast import surowców strategicznych z większości kolonii i krajów od państw Europy zachodniej uzależnionych. W rezultacie kraje zachodnio-europejskie w stosunkach handlowych ze Stanami Zjednoczonymi wykazały w pierwszym półroczu br. łączny deficyt na sumę 1.639 mln. dolarów wobec 1.512 mln. dolarów w pierwszym półroczu 1951.

Do ciągłego pogarszania się sytuacji Europy zachodniej w zakresie handlu zagranicznego przyczyniała się w sposób zasadniczy narzucona tym krajom przez USA polityka sabotowania wymiany handlowej z krajami obozu pokoju. Na XIX Zjeździe KPZR towarzysz Malenkow mówił:

„Trudności ekonomiczne, w kleszczach których znalazły się po wojnie kraje kapitalistyczne, pogłębił fakt, że imperialiści sami odcięli sobie dostęp do światowego rynku demokratycznego. Stany Zjednoczone Ameryki zredukowały prawie do zera handel ze Związkiem Radzieckim, z europejskimi

krajami demokracji ludowej, przerwały handel z Chinami. Stany Zjednoczone faktycznie zabroniły nie tylko krajom pokonanym (Japonii, Niemcom zachodnim, Włochom), lecz również Anglii, Francji, Holandii, Danii, Norwegii, Belgii i innym państwom kapitalistycznym sprzedawać i kupować towary na rynku krajów obozu demokratycznego".

Raport ECE, co samo w sobie jest bardzo charakterystyczne, poświęca problemowi wymiany handlowej pomiędzy Europą zachodnią i krajami obozu socjalistycznego cały oddzielny rozdział. Raport stwierdza dalsze kurczenie się tej wymiany handlowej. Eksport z Europy zachodniej do europejskich krajów obozu socjalistycznego był w 1951 o 41% niższy niż w 1938. Import zmniejszył się nawet o 76%. Podczas gdy w 1938 europejskie kraje dzisiejszego obozu socjalistycznego uczestniczyły w 8,1% w całości importu i w 7,3% w całości eksportu krajów zachodnio-europejskich, w pierwszej połowie br. procenty te zmniejszyły się odpowiednio do 2,7 i 2,3. Raport ECE przyznaje, że spadek wymiany był „przede wszystkim rezultatem względów politycznych". Unikając otwartego wypowiedzenia się na ten temat, autorzy raportu w obszernym przeglądzie dają jednak do zrozumienia, że powiększenie obrotów handlowych pomiędzy krajami wschodniej i zachodniej Europy miałoby dla tej ostatniej duże znaczenie. W związku z tym raport notuje jako „szczególnie interesujące" dane przedstawione przez poszczególnych delegatów z krajów demokratycznych na moskiewskiej Konferencji Gospodarczej w kwietniu br. Podsumowując te dane, autorzy raportu dochodzą do wniosku, że możliwe jest zwiększenie obrotów handlowych pomiędzy krajami kapitalistycznymi a europejskimi krajami obozu socjalistycznego o 113—168% oraz zwiększenie tych obrotów z całym obozem socjalizmu o 103—154%.

Wśród szeregu innych faktów zawartych w raporcie zasługuje wreszcie na szczególną uwagę podkreślenie wzrostu sprzeczności ekonomicznych pomiędzy poszczególnymi krajami zachodnio-europejskimi, w szczególności zaś pomiędzy Wielką Brytanią a Niemcami zachodnimi. Raport stwierdza, że eksporterzy zachodnio-niemieccy wypierają Brytyjczyków z całego szeregu rynków, oferując swe towary po niższych cenach i z szybszymi terminami dostaw. Niższe ceny umożliwia producentom zachodnio-niemieckim fakt wzmożonego wyzysku siły roboczej w warunkach reżimu okupacyjnego. Jednocześnie — jak podają autorzy raportu — szybsze terminy dostaw są m.in. rezultatem tego, że przemysł zachodnio-niemiecki jest jeszcze w dużo mniejszym stopniu zaangażowany w bezpośredniej produkcji zbrojeniowej niż przemysł brytyjski. W rezultacie wzmożonej konkurencji zachodnio-niemieckiej powstała następująca sytuacja: podczas gdy eksport brytyjski w lecie br. był o 10% niższy niż przeciętnie w roku ub., eksport zachodnio-niemiecki był o 17% wyższy. Nawet w krajach strefy szterlingowej, które w br. wprowadziły ostre ograniczenia importowe, bardziej poszkodowani okazali się eksporterzy angielscy. Ich obroty spadły do sierpnia w porównaniu z I kwartałem br. o 32%, podczas gdy w wypadku eksporterów zachodnio-niemieckich spadek ten wyniósł tylko 17%.

*

Jak widać z powyższego pobieżnego przeglądu, ostatnia publikacja Europejskiej Komisji Gospodarczej ONZ nie jest w stanie, pomimo wszelkich wysiłków jej autorów, ukryć podstawowej prawdy o sytuacji w krajach

zachodnio-europejskich. Jednocześnie fakt, że raport nie zawiera nawet żadnej próby sformułowania wniosków i postulatów na przyszłość — ukazuje bezsilność burżuazyjnych ekonomistów, apologetów kapitalizmu, w obliczu podstawowych, zaostrzających się sprzeczności gospodarki kapitalistycznej.

Krzysztof Wolicki

ZAGADNIENIA SATYRY W ZWIĄZKU RADZIECKIM

Zagadnienia satyry w Związku Radzieckim, sprawy dalszego rozwoju twórczości satyrycznej znajdują się obecnie w centrum zagadnień literackich. W referacie na XIX Zjeździe KPZR G. Malenkow mówi o społecznej funkcji i znaczeniu satyry w literaturze realizmu socjalistycznego:

„Błędem byłoby sądzić, że nasza rzeczywistość radziecka nie dostarcza materiału do satyry. Potrzebni nam są radzieccy Gogolowie i Szczedrinowie, którzy ogniem satyry wypalaliby z życia wszystko to, co jest negatywne, przegniłe, obumarłe, wszystko to, co hamuje marsz naprzód" (cyt. Twórczość nr 11/12 str. 8).

Zagadnieniami satyry — zwłaszcza w dramaturgii — zajął się niedawno znany krytyk i teoretyk literatury W. Jermiłow w pracy O tradycjach Gogola (Litieraturnaja Gazieta nr nr 130, 131, 132 i 133 z ub. r.). Zastanawiając się nad tym, które z literackich tradycji Gogola najbliższe są literaturze radzieckiej, w szczególności satyrze, Jermiłow doszedł do wniosku, iż te właśnie, których istotę ujął Czernyszewski w Szkicach okresu gogolowskiego w literaturze rosyjskiej w następującym określeniu: „... dobro nie jest możliwe bez znieważenia zła".

To właśnie z umiłowania dobra rodzi się nienawiść do zła, rodzi się pasja satyryczna. Takie pojmowanie satyry i jej humanistycznych zadań społecznych cechowało rewolucyjno-demokratycznych teoretyków literatury.

„Literatura radziecka — czytamy we wspomnianym essayu Jermiłowa — te tradycje estetyki rewolucyjno-demokratycznej wyrosłe z twórczości Gogola, związane z jego obliczem twórczym—podniosła do kategorii o nowym znaczeniu ideowo-historycznym... Literatura radziecka wyrosła w walce ze starym światem i wszelkimi jego wpływami, przeżytkami. We wszystkich najlepszych utworach naszych pisarzy obraz człowieka nowego świata odsłania się przede wszystkim w walce ze starym".

Ostrzegając pisarzy przed upajaniem się złudzeniami o natychmiastowej przebudowie psychiki ludzkiej — Gorki mówił: „...Wyhodowane w ciągu stuleci ludzkie nawyki również nie prędko znikną. Impertynencka wyniosłość mieszczuchów, pycha sfery drobnourzędniczej, ich wzgardliwy stosunek do człowieka—też nie zniknie jutro". A. M. Gorki stworzył tradycje demaskowania wroga, tradycje bojowości literatury radzieckiej.

„Teoria bezkonfliktowości" wywołała tak ostrą krytykę ze strony partii i odrzucona została przez ogół pisarzy i teoretyków realizmu socjalistycznego właśnie dlatego, że twórczość pozostająca pod wpływem tej pseudoteorii — zatuszowując sprzeczności i konflikty życiowe — ostudza bojowość literatury, przytłumia pasję słowa demaskującego nosicieli przeżytków, przytępia ostrze uzdrawiającej satyry.

Likwidacja nieantagonistycznych konfliktów w warunkach radzieckiej rzeczywistości dokonywa się w drodze ostrej, nieprzejednanej walki ze zjawiskami ujemnymi. Trudno bowiem pogodzić takie sprzeczności jak: patrio-

tyzm radziecki i przeżytki burżuazyjnego nacjonalizmu, względnie wpływy kosmopolityzmu, twórczość i rutynę, nowatorstwo i konserwatyzm, odwagę i tchórzostwo, uczciwość i podłość, itp.

Określenie przez G. Malenkowa typowości jako podstawowej sfery przejawiania się partyjności w literaturze, stwierdzenie, że „problem typowości jest zawsze problemem politycznym" — poszerza i pogłębia zrozumienie ideowo-wychowawczych zadań literatury realizmu socjalistycznego. „Typowe — czytamy w pracy Jermiłowa — jest nie do pomyślenia bez wyraźnego przeciwstawienia rzeczy pozytywnych negatywnym, bez stawiania i głoszenia oceny społecznej, moralnej". Moralno-społeczną ocenę znajdujemy również w klasycznych utworach satyrycznych Gogola: w Rewizorze, w Martwych duszach, w Opowiadaniach petersburskich.

Tradycje Gogola w twórczości satyrycznej — to przede wszystkim nierozerwalna więź między nienawiścią a miłością, to negacja w imię afirmacji. Twórczą zasługą Gogola jest wniesienie do estetyki pojęcia śmiechu uroczystego, śmiechu światłego. Głoszone przez Gogola uczucia zrodził humanizm zawierający zaledwie zalążki postawy moralnej, która miała w przyszłości przerodzić się w rewolucyjną miłość i w rewolucyjną nienawiść. Ludzie radzieccy czczą pamięć wielkiego klasyka za to, iż jego pogarda dla możnych wyrosła z miłości do ludu. Z tego umiłowania ludu wypływały kryteria dla moralnego osądzenia zjawisk i postaci ujemnych. W tej politycznie celnej ocenie tkwi istota typowości postaci satyrycznych Gogola.

Satyrycy radzieccy tworzą w innej rzeczywistości, dlatego też analiza teoretycznych podstaw twórczości satyrycznej wymaga przede wszystkim społecznej klasyfikacji objawów i typów ujemnych, które satyra ma ośmieszać, zwalczać, tępić. W artykule Postacie ujemne a nieprzejednanie autora (Litieraturnaja Gazieta nr 89 z ub. r.) B. Riurikow dokonał przeglądu postaci negatywnych, występujących w wybitnych utworach radzieckiej prozy lat ostatnich: w Młodej Gwardii Fadiejewa i w Białej brzozie Bubiennowa.

Nie zatrzymując się nad postaciami zdrajców takich jak były kułak Fomin lub podły urzędniczyna Stacenko, którzy rekrutowali się ze środowiska zawziętych wrogów nowego życia i z pobudek klasowych przeszli na służbę hitlerowskiego okupanta, pragnę w związku z omawianym tematem zwrócić uwagę czytelnika na wydzieloną przez Riurikowa drugą kategorię postaci ujemnych występujących w wymienionych powieściach. Do tej kategorii zdrajców Riurikow zalicza nakreślone przez Fadiejewa typy ludzi młodych, którzy — w przeciwieństwie do szlachetnych, ofiarnych patriotów, członków Młodej Gwardii, w przeciwieństwie do ogółu młodzieży radzieckiej — w chwilach najcięższej próby, jaką była wojna i okupacja, nie znaleźli w sobie dość sił do walki, splamili się w tej czy innej formie udziałem w zbrodniach hitlerowskich okupantów (Stachowicz, Ladska i Wyrikowa).

Co przede wszystkim charakteryzuje tę drugą kategorię zdrajców? — zapytuje Riurikow i odpowiada: indywidualizm, brak poczucia więzi z Ojczyzną, z narodem, obojętność na losy ogółu. Bez trudu można stwierdzić, że pożywką hodującą odszczepieństwo jest filisterstwo z jego nieodłącznymi objawami — indywidualizmem i egoizmem, z nędznymi i drobnymi interesikami..." Podobnym typem egoisty i pasożyta jest

tchórz Łozniewoj w Białej brzozie Bubiennowa.

Odtwarzając takie typy jak Stacenko, Fomin, Łozniewoj i inni — literatura radziecka wychowuje ludzi radzieckich w duchu nieprzejednania wobec wrogów, wobec wszystkiego, co podłe, niskie, obce ustrojowi radzieckiemu i moralności komunistycznej. Malując takie ujemne i wyjątkowe objawy literatura radziecka budzi czujność, zaostrza przenikliwość, pielęgnuje wzniosłe poczucie moralności. Literatura radziecka... „pomaga głębiej zrozumieć, że w społeczeństwie radzieckim są jeszcze ludzie źli, fałszywi, obcy zasadom naszego ustroju, pomaga zdać sobie sprawę, że należy liczyć się z oddziaływaniem obcych wpływów, obcych tendencji" (cyt. art. Riurikowa j.w.)

Te obce wpływy i tendencje są zwalczane przez społeczeństwo radzieckie, przez literaturę radziecką z całą bezwzględnością, podobnie jak wszelkie tkwiące w świadomości niektórych ludzi przeżytki starego, przedrewolucyjnego świata. Tu wkracza satyra. Jej zadanie polega na stosowaniu środków artystycznych różnego rodzaju i stopnia nasilenia, w zależności od nasilenia zła i szkodliwości ujemnego objawu — stanowiącego cel satyrycznego obstrzału.

Szczegółowo — właśnie pod kątem potrzeb satyry — omówił W. Jermiłow zagadnienie klasyfikacji różnych typów negatywnych. Satyryk ani na chwilę nie może zapominać o sprawie zasadniczej — o istocie zjawisk ujemnych, o ich społecznym podłożu i naturze. „Niektórzy nasi dramaturgowie *) — pisze Jermiłow — mieszają, a niekiedy nawet utożsamiają, sprawę radzieckiego, partyjnego ustosunkowania się do konkretnych nosicieli zjawisk ujemnych — z zagadnieniem naszego ustosunkowania się do istoty objawów negatywnych. Na tej podstawie, że ludzie radzieccy, którzy popełnili taki czy inny błąd — w większości wypadków pod wpływem zasadniczej krytyki i samokrytyki zdolni są do poprawienia się, do przezwyciężenia swoich błędów — na tej podstawie niektórzy nasi autorzy stępiają ostrze, łagodzą nieprzejednanie konieczne w walce z samymi objawami negatywnymi, z istotą błędu."

W rezultacie zatuszowywania społecznej istoty objawów ujemnych (co niewątpliwie dowodzi, że autorzy tacy nie przezwyciężyli jeszcze wpływów „teorii bezkonfliktowości" — zamiast pobudzać bojowość i aktywność w walce z takimi przejawami, wnosi się w gruncie rzeczy — całkowicie obcy duchowi społeczeństwa radzieckiego — czynnik tolerowania zła, braków i niedomagań.

Zdarza się niekiedy, że — jak pisze Jermiłow — „...autor wkłada w usta postaci sądy na wskroś rozkładowe, obce nam, ale pod sam koniec muska tę postać „palcami lekkimi jak sen". I oto taka postać jak w wodewilu „gra", harmonizuje ze wszystkim „w charakterze" człowieka w pełni uświadomionego, człowieka miłego". Lecz satyra — to nie wodewil, w którym przeważnie występują postacie pozytywne. Nad słabostkami postaci wodewilowych śmiejemy się pobłażliwie, dobrodusznie. Śmiech satyryczny brzmi inaczej — śmiech satyryczny oskarża, potępia, piętnuje.

Zdarza się, że postać pozytywna w jakimś utworze (niekonieczne satyrycznym) popełnia błędy. Gdy błędy te są poważne, gdy postać ta wykazuje braki charakteru, wymaga to satyrycznego osądzenia, odtworzenia tej postaci w chwili ujawnienia braków czy błędów — w świetle satyrycznym. Pióro

*) W pracy swojej — jak już wspomniałem — W. Jermiłow zajmuje się głównie zagadnieniami dramaturgii. Tytuł jej brzmi: Niektóre zagadnienia dramaturgii radzieckiej — związane z tradycjami twórczości satyrycznej Gogola.

satyryka nie może się cofnąć przed ukazaniem postaci zasadniczo pozytywnych, chwilowo jednak błądzących.

„Satyryk radziecki — pisze Jermiłow — powinien umieć odtworzyć, w jaki sposób słabe strony i braki tego lub owego człowieka popadają w nie dające się pogodzić sprzeczności z charakterem społeczeństwa socjalistycznego, z zaletami moralnymi i ideowymi, ukształtowanymi w ludziach radzieckich, a więc i w owej postaci — przez nasze społeczeństwo, przez Partię Komunistyczną".

W dalszym ciągu swojej pracy Jermiłow zastanawia się nad tym, dlaczego Gogol do swoich utworów satyrycznych nie wprowadził postaci pozytywnych (jeszcze jedna z tradycji satyrycznych Gogola!). W związku z tym nasuwa się autorowi essayu pytanie, czy możliwe jest stworzenie radzieckiej komedii satyrycznej z samymi tylko postaciami ujemnymi, bez pozytywnego bohatera.

Gogol nie mógł tworzyć i wprowadzać do swych satyrycznych utworów postaci pozytywnych, bo w odmalowanym przez niego środowisku postacie pozytywne byłyby nietypowe, raziłyby brakiem prawdy artystycznej, fałszem artystycznym. Gdyby — wywodzi Jermiłow — Gogol wprowadził do R e w i z o r a postacie uczciwych urzędników carskich, komedia tylko by na tym straciła.

W epoce Gogola panującym środowiskiem społecznym, panującą klasą było środowisko sprzyjające panoszeniu się i swobodnemu działaniu postaci ujemnych — nicponiów, łajdaków i głupców. W takim środowisku każda postać pozytywna wypadłaby blado, nieprzekonywająco, i dlatego wielki artysta Gogol świadomie żadnej postaci sobie miłej tam nie wprowadził. W ten sposób Gogol ostrze swej satyry skierował przeciwko postaciom negatywnym — postaciom typowym, działającym w typowych dla tej epoki warunkach i w typowym dla nich środowisku. Nie stworzywszy konfliktu między pierwiastkiem pozytywnym a negatywnym, Gogol po mistrzowsku osnuł konflikt w R e w i z o r z e na kontraście między przyświecającymi mu ideałami a światem nikczemności i głupoty zdemaskowanym, schłostanym biczem satyry.

Właśnie ta ostrość kontrastu między postaciami i zjawiskami negatywnymi a wzniosłym ideałem moralnym stała się niewyczerpanym źródłem głębokiego komizmu. Ta ostrość kontrastu stanowiła o demaskatorskiej sile komedii Gogola. Przed widzem obnażało się zło w całej potworności, wyjątkowej ohydzie i paradoksalnej bezsensowności — w porównaniu z ideałem pisarza. Widzowie R e w i z o r a w carskiej Rosji śmiechem i oklaskami protestowali przeciwko ohydzie carskiego reżymu.

„W radzieckiej komedii satyrycznej — czytamy w pracy Jermiłowa — niewyczerpane źródło głębokiego komizmu, ułatwiające zdemaskowanie zła, tkwi w jeszcze bardziej uderzającym kontraście między złem a tym ideałem, który wcielił się w rzeczywistość, który dominuje i panuje w życiu. W komedii radzieckiej już samo sąsiadowanie postaci negatywnych z bohaterami pozytywnymi zawiera nowe, niezmiernie rozległe możliwości demaskowania tego, co stare".

W wyniku zestawienia objawów ujemnych, przeżytków datujących się z okresu przedrewolucyjnego, przebrzmiałego światopoglądu, zmurszałej moralności — z tym, co pozytywne, co wypływa ze zwycięskiej siły nowego społeczeństwa, z nowego światopoglądu, z nowej moralności — ze szczególną wyrazistością uwypukla się cały komizm zacofania, cała bezsensowność i bzdurność starego, minionego. Potęgują

ten komizm kontrastu okoliczności uboczne w rodzaju specjalnie namaszczonego zachowania się, sztywności manier, zabawnej wiary w trwałość i nienaruszalność starych pojęć i „nakazów moralnych" — w zestawieniu ze skromnym i naturalnym postępowaniem bohaterów i postaci pozytywnych rzeczywistości radzieckiej.

Jermiłow analizuje źródło komizmu satyrycznego w kilku utworach radzieckich. Komedii satyrycznej B. Romaszowa W i e l k a s i ł a niezwykłe powodzenie zapewniła nieprzeparta siła komizmu, tkwiąca w kontraście między pewnością siebie postaci ujemnych i ich wiarą w trwałość sytuacji karierowicza Milagina, uprawiającego protekcjonizm i nepotyzm — a realnym, bynajmniej nietrwałym „stanowiskiem" postaci negatywnych typu Milagina w społeczeństwie radzieckim. Karierowiczostwo, protekcjonizm, nepotyzm i kumoterstwo — nie mogą długo ostać się wobec wielkiej siły, realnej wartości człowieka radzieckiego, mierzonej i określanej jego pracą.

W komedii L. Leonowa Z w y k ł y c z ł o w i e k szczególnie komiczna jest postać staromodnej damy Konstancji z jej przedrewolucyjnymi poglądami. Komiczna jest właśnie dlatego, że jak upiór przeszłości żyje i porusza się w zupełnie obcym sobie środowisku radzieckim, co potęguje efekt satyryczny. „Konstancja — konkluduje Jermiłow — jest typowa, działa w typowych okolicznościach, albowiem sytuacjami typowymi dla podobnych Konstancji jest właśnie to, że ze swoimi odrębnymi poglądami na życie, swoimi odmiennymi pojęciami szczęścia, rodziny, ludzkiej godności — zmuszone są żyć w obcym sobie środowisku ludzi radzieckich".

Siła artystycznie przekonywająca bije z postaci satyrycznych w zależności od ich typowości i od typowości środowiska. Istnieje też ścisły, nierozerwalny związek między siłą artystycznego odtworzenia pierwiastka pozytywnego a siłą artystycznego odtworzenia tego, co ujemne, co stanowi objaw wsteczny. W dyskusji na XIX Zjeździe KPZR A. Fadiejew powiedział: „Pisarz, który nie potrafi pokazać naszych ludzi w całej pełni, lęka się także przedstawić z całą siłą ludzi wrogich czy zacofanych. Tym też — w szczególności — można objaśnić słabe strony naszej satyry".

Przedstawianie, odtwarzanie ludzi żywych wymaga ukazania ich dynamicznie, w działaniu, w akcji. Z tej zasady ofensywności postaci pozytywnych, zasady realizmu socjalistycznego — wypływa dla satyryka konieczność odpowiedniego, zgodnego z prawdą życiową ustawienia postaci ujemnych na linii ognia satyry. Ofensywny, nacierający nieustannie na wszystko, co stare, przegniłe, charakter aktywności i działalności postaci pozytywnych — wypiera stale i zwycięsko elementy negatywne: przeżytki i przejawy ujemnych, nieradzieckich cech i właściwości postaci negatywnych. Zdaniem Jermiłowa ta typowa walka pozytywnego środowiska z postaciami i objawami negatywnymi, to ich stałe wypieranie i usuwanie — powinny być wbudowane w wątek tematyczny. Nawet wówczas, gdy satyryk pisze utwór, w którym występują same postacie negatywne (np. w felietonie lub humoresce demaskującej grupkę ludzi związanych kumoterstwem) — odtwarza on walkę społeczeństwa radzieckiego z objawami ujemnymi, włącza ją w wątek tematyczny. W jaki sposób? Typy negatywne rozwijające szkodliwą dla społeczeństwa „działalność" otoczone są zwartym kołem przez środowisko pozytywne, które atakuje je, naciera na nie. Te obrazy walki, prób „wyśliznięcia się" typów negatywnych — to wszystko mo-

żna i należy wprowadzić do utworu, nawet bez postawienia obok — dla kontrastu — postaci pozytywnych.

W kreśleniu postaci i objawów negatywnych pewna satyryczna przesada, przejaskrawienie, zaostrzenie nie tylko nie szkodzi społecznemu wydźwiękowi utworu satyrycznego, lecz mu sprzyja. Definicja typowości sformułowana w referacie G. Malenkowa wytycza nowe, rozległe perspektywy rozwojowe twórczości satyrycznej. Tezy Malenkowa podkreślające, że „...świadome przejaskrawienie, wyostrzenie obrazu nie wyklucza typowości, lecz w jeszcze większym stopniu ujawnia ją i podkreśla" — pisze Jermiłow — zachęcają naszych artystów do tego, by zdobywali... „umiejętność odnajdywania tego, co najważniejsze, najbardziej decydujące w każdym poszczególnym zjawisku, umiejętność wyboru z nieskończonej ilości sytuacji szczegółów, w jakie niewyczerpanie obfituje życie — może nawet tylko jednego szczegółu, lecz takiego, w którym ujawnia się istota zjawiska".

Józef Spinc

ZBRODNIA I KARA W BRYTANII

Wy, co chowacie młodociane kwiatki
Holandii, Francji, Anglii, Portugalii,
Nie szczędźcie rózeg na niesforne
dziatki:
Rózga bolesna, morał w nich utrwali!

Byron. Don Juan. Canto II. Stanza
(przekład E. Porębowicza)

Można by sądzić, że parowie Anglii, członkowie parlamentu i prasa czytali ostatnio Byrona i wzięli przytoczone powyżej satyryczne strofy poety na serio. Świadczy o tym istna lawina żądań, domagających się powrotu do rózeg i pięciopalczastej dyscypliny jako środków poprawczych, szczególnie w stosunku do młodocianych przestępców.

Przyczyną tej wrzawy była zwiększająca się ostatnio ilość przestępstw i gwałtów, dokonywanych przez młodych chuliganów, zwanych *cosh boys* od gangsterskiej broni — kastetu, której używają do obezwładniania kasjerów niosących pieniądze z banków, jubilerów handlujących kosztownościami oraz policjantów stojących na straży własności uprzywilejowanych. Prokurator Generalny i pewna liczba sędziów z partii Torysów hałaśliwie nalegali, aby adwokaci występowali przeciwko gwałtowi używając jeszcze większego gwałtu.

W gazetach spośród skąpych wiadomości i retorycznych artykułów wstępnych, wypranych z wszelkiego rozsądku, wybijają się nagłówki w rodzaju: W p r o w a d z i ć z p o w r o t e m k n u t. Gra się na uczuciach czytelnika, opowiadając rzewne historyjki, jak to staruszkowie żyją pod terrorem ewentualnego napadu *cosh boys*, jak skarbonki dziecinne stają się przedmiotem rabunku, a małe kotki służą jako futbol bandzie młodych chuliganów. Skoro udało się już obudzić oburzenie czytelników, dzienniki wysuwają żądanie bezzwłocznego wprowadzenia kary cielesnej, zapewniając, że wtedy dopiero każdy będzie mógł spać spokojnie. Bezpośrednią korzyść odnoszą w pierwszym rzędzie fabrykanci patentowanych zamków, którzy reklamują się jakby przypadkowo obok alarmujących historii kryminalnych; ci, którzy dopiero liczą na zysk — to fabrykanci knutów.

Jest faktem, że w W. Brytanii istnieje Narodowe Towarzystwo Zachowania Kary Cielesnej, które często urządza zebrania publiczne w celu propagowania poglądów na wychowawczą wartość chłosty. Założycielem tego towarzystwa jest mr. Wildman, który trudni się handlem rózeg. Mr Wildman rozsyła nauczycielom i rodzicom małe, drukowane

prospekty, w których poleca swoje „pomoce wychowawcze".

To sprzeczne z pojęciem humanizmu traktowanie młodzieży w szkole — obok żądania wprowadzenia kary chłosty dla młodocianych przestępców — utrzymuje się w dalszym ciągu pomimo faktu, że zarówno w Brytanii jak i gdzie indziej zostało w wystarczającym stopniu dowiedzione, że kara chłosty bynajmniej nie przyczynia się do zmniejszenia przestępczości. Ale ani fakty, ani cyfry nie przekonają sadystów. Kara chłosty jest przyznaniem się do porażki ze strony sędziów, sprawiedliwości i całego systemu poprawczego. Oczywiście lordowie, przemysłowcy i magnaci prasowi, którzy najgłośniej gardłują za jej wprowadzeniem, zdają sobie doskonale z tego sprawę. Jak zatem wytłumaczyć tę sprzeczność? A jak wytłumaczyć sobie barbarzyństwa popełniane przez wojska ekspedycyjne na Malajach: niszczenie zbiorów ludności tubylczej, używanie „łowców głów" do ścinania głów patriotom malajskim i owczarków alzackich do rozrywania ich na strzępy? Dlaczego mieszkańców Afryki wypędza się z Kenii i zakuwa tysiącami w masowych więzieniach? Dlaczego sfery rządzące Brytanii nie protestują, kiedy Amerykanie pędzą nago i rozstrzeliwują koreańskich jeńców wojennych, kiedy prowadzą wojnę przy użyciu napalmu i bakterii.

Wszystkie te okrucieństwa, których nic nie jest w stanie usprawiedliwić, dyktuje strach imperializmu wobec kurczących się możliwości eksploatacji narodów kolonialnych i ich bogactw surowcowych. Imperialiści spodziewają się uzyskać terrorem to, czego nie potrafili zdobyć podstępem. Zresztą imperialiści brytyjscy sami nie rozpylają na zbiory Malajczyków śmiercionośnych chemikalii, nie przejeżdżają buldożerami przez egipskie domy. Imperialiści amerykańscy sami nie dopuszczają się okrucieństw na Korei. Brytyjscy imperialiści podobnie jak ich amerykańscy koledzy muszą mieć kogoś, kto robi tę brudną robotę za nich. Do nich należy tylko takie przygotowanie ludzi, których wcielają do swoich armii, aby nie byli zbyt sentymentalni w traktowaniu „negrów" lub „żółtków".

Edukację należy rozpocząć wcześnie. Imperialiści uważają, że im silniej potrafią wpoić w swoich krajach przekonanie, że gwałt jest rzeczą normalną, tym łatwiej przyjdzie im zmuszanie swoich armii do popełniania zbrodni przeciw ludzkości.

W książce pod tytułem S t ą d d o w i e c z n o ś c i *(From here to eternity)* pisarz amerykański Jack Jones pokazuje, jak oficjalna brutalność rodzi brutalność tłumu. Żołnierze, którzy za przestępstwa popełnione w armii amerykańskiej byli karani biciem, dochodzą do przekonania, że zdolność znoszenia bólu i złego traktowania jest dowodem męskości. Ich zabawy w salach sypialnych wyglądają w ten sposób, że sześciu lub siedmiu ludzi bije i kopie jednego człowieka w brzuch, aby zobaczyć, jak długo potrafi on utrzymać się na nogach. Tak przygotowuje się młodzież amerykańską do popełniania barbarzyństw w stosunku do tych, których klasy rządzące krajów imperialistycznych uznają za odpowiedni obiekt. Widocznie imperialiści brytyjscy wzięli parę lekcji od imperialistów amerykańskich.

Zastanawiające jest, że kampania gwałtu brytyjskich Torysów zelżała właśnie w czasie, kiedy wysoki komisarz brytyjski i wysoki komisarz amerykański w zachodnich Niemczech zwolnili z więzienia hitlerowskich ekspertów gwałtu, brutalności, barbarzyństwa i eksterminacji.

Na ogół postawę brytyjskich klas rządzących wobec sprawiedliwości (pod-

stawą brytyjskiego prawa kryminalnego jest nie świętość życia ludzkiego lub godność jednostki, lecz obrona przywilejów własności prywatnej) — wyraża stara, ale prawdziwa historia o młodym sędzim, który po raz pierwszy wydając wyrok powiedział: „Nie sądzę, abym postąpił źle. Pewna liczba niewinnych młodych ludzi została uznana za winnych, równocześnie jednak taka sama liczba winnych została uznana za niewinnych. Tak więc na ogół sprawiedliwości stało się zadość".

Jest rzeczą dowiedzioną, że parów królestwa angielskiego i prasę, jaką mają do dyspozycji, nie obchodzi zbytnio, jeżeli kilka starych dam zostanie zamordowanych w swoich mieszkaniach, kilka angielskich dziewcząt zgwałconych, a kilku listonoszy czy kierowców samochodowych dostanie po głowie. Do tego stopnia mało ich to obchodzi, że różne indywidua z 60 tysięcy liczącej amerykańskiej armii okupacyjnej mogą prawie co dzień dokonywać zbrodni, a parowie i członkowie parlamentu są tym tak mało dotknięci, że nawet kiedy te zbrodnie zostały popełnione na ludności brytyjskiej, nie domagają się rozpatrywania ich przed sądami brytyjskimi. Armii amerykańskiej pozwala się załatwiać te sprawy w swoim własnym trybie dyscyplinarnym.

Parowie królestwa brytyjskiego domagając się, aby gwałt był wypleniony gwałtem, mają na uwadze ważniejsze sprawy niż troska o bezpieczeństwo staruszek, listonoszy i kierowców taksówek. Ich obchodzą korzyści imperialne.

Aby zrozumieć jednakże, co spowodowało kampanię na rzecz brutalności sądowej jako środka odstręczającego od zbrodni, należy zastanowić się nad zagadnieniem, dlaczego przestępczość wzrasta, w szczególności zaś przestępczość wśród młodocianych. Zagadnienie jest o tyle typowe, że nie dalej jak w listopadzie 1952 r. Ministerstwo Bezpieczeństwa w Polsce ogłosiło, że liczba osób skazanych w 1951 r. wynosiła dokładnie jedną trzecią liczby z roku 1937, że zbrodnie pospolite pozostają w tym samym stosunku, a zbrodnie pospolite, w których brała udział młodzież, stanowią zaledwie jedną piątą liczby z roku 1937.

Nie trudno zrozumieć, dlaczego zmniejsza się przestępczość w Polsce. Wszystkie czynniki, które składają się na zbrodnię — nędza, brak zatrudnienia, wielkie skupienie własności w rękach nielicznych — zostały usunięte; równocześnie zaś wychowywanie społeczeństwa z jednej strony, z drugiej przywracanie do praw ludzkich tych, których dawniej warunki życia zmuszały do zbrodni, z każdym dniem dają lepsze wyniki.

I na odwrót, przyczyny wzrostu przestępstw w W. Brytanii nie są trudne do zgłębienia.

Niedawno sędzia Hilbery w Berkshire Quarter Sessions ubolewał nad wzrostem przestępczości w W. Brytanii. Dan Griffiths z Llanelly (Walia) odpowiedział na to krótko i dobitnie w liście do pisma codziennego: „Przyczyną wzrastającej przestępczości jest wzrost nędzy, której powodem są klasy rządzące. Nierówny rozdział dóbr społecznych jest bodźcem do zbrodni. Społeczeństwo jest odpowiedzialne w równym stopniu za wzrost, jak i obniżanie się przestępczości".

Ostatnio wśród dzieci angielskich rozpowszechniany jest *comics* na temat wojny na Korei w wydaniu amerykańskim pod tytułem J a n k e s i w a l c z ą n a p ł o n ą c y c h f r o n t a c h. W książeczce znajdujemy między innymi ilustrację przedstawiającą samoloty amerykańskie, zrzucające bomby zapalające, oraz scenę przedstawiającą Koreańczyka duszonego kawał-

kiem drutu. Autor wyjaśnia młodym czytelnikom, że dotychczas wykonywanie tych zadań należało do poszczególnych członków sił zbrojnych pozostających pod amerykańskim dowództwem i kończy następującą uwagą: „Innym razem może przyjść kolej na twego sąsiada lub chłopca z kiosku z wodą sodową, albo twego najlepszego przyjaciela... albo być może nawet... na ciebie".

George Bidwell

W KRAJU PRZEKREŚLONEJ KONSTYTUCJI

Amerykanin głęboko wierzy w postęp. Co tydzień kupuje jakiś nowy przyrządzik — otwieracz butelek, czy „ulepszoną" chustkę do nosa — w głębokim przekonaniu, że złożył należną dań swej postępowej naturze. Ale wiara, jak wiemy, jest przeciwieństwem myśli. Wierząc w postęp Amerykanin zatracił powoli świadomość jego istoty.

Spaczyła się postawa. Przez postęp Amerykanin współczesny rozumie udoskonalenia techniczne. Nie zdaje sobie sprawy, że są one tylko jednym z przejawów, jedną z dziedzin rozwoju myśli ludzkiej. Wprawdzie dzisiejszy Amerykanin nieraz ma na ustach słowa o postępie społecznym, a zwłaszcza gospodarczym, ale rozumie przez to zazwyczaj rodzaj mechanicznej ewolucji, która rozwija się w jego przekonaniu jako funkcja postępów technologii i automatycznego niejako narastania ogólnej sumy dóbr w kraju.

Taka mechanistyczna wiara zamiast analitycznej i krytycznej myśli leży w interesie schyłkowego kapitalizmu; jej rozpowszechnienie — to owoc nacisku całej nadbudowy. Postęp jest treścią dziejów ludzkich, podstawowym składnikiem dążeń i wysiłków. Kapitalizm za młodu był siłą rzeczy postępowy — przeżywszy sam siebie siłą rzeczy stał się hamulcem postępu. Nie dziwmy się: pójście naprzód oznacza zagładę. Ale natura nie znosi bezruchu. Więc kapitalizm fałszuje obraz życia, hamulec nazywa dźwignią postępu. To właśnie miał Marks na myśli mówiąc o rosnącej obłudzie ginącego świata.

Tych parę truizmów trzeba było przypomnieć, by na ich tle uwypuklić pewne znamienne dla Ameryki fakty. Stany Zjednoczone zrodziły się z rewolucji, z hartu ducha Jerzego Waszyngtona, z pasji szlachetnej Paine'a i Franklina. Pożar nieciła na całej Półkuli Zachodniej i dotarła do Polski, budząc echo w kołłątajowskiej Kuźnicy, demokratyczna myśl Tomasza Jeffersona, twórcy Deklaracji Niepodległości, pierwszego w Ameryce członka Warszawskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk. Rewolucyjny duch ożywiał oddziały, które Lincoln rzucał na szaniec reakcji — spadały kamieniem na karki plantatorów, gruchotały mury niewoli swych czarnych współbraci. Lecz w pierwszej rewolucji osłabiała społeczną treść rozgrywka z Anglią, w drugiej — walka o zachowanie Unii. Jedna przyszła zbyt wcześnie: nie potrafiła — jak nieco później jej nieulękła francuska siostrzyca — ciosem krwawiącej lecz żelaznej pięści rozwalić czerepy feudalne. Druga nadeszła zbyt późno. Burżuazja osiadła już i nie była zdolna do wysokich lotów. Dwukrotnie przeszedł orkan, lecz nie dokończył dzieła. Stare formy przetrwały i jak hiszpański but inkwizycji miażdżą kształty nowe powodując przedwczesną gangrenę.

*

„Musimy zachować naszą konstytucję — padło wśród oklasków z trybuny Kongresu — nawet gdybyśmy musieli ją w tym celu przekreślić". Ten ordynarny paradoks wyraża cały stosunek burżuazji amerykańskiej nie tylko do wagi słów, ale i pojęć, jakie oznaczają, do rzeczywistości i do człowieka. W

przekładzie na język zwykły oznacza to wyniesienie interesów kapitalizmu, interesów monopoli do godności najwyższego i jedynego właściwie kryterium. Dobre, demokratyczne, postępowe, republikańskie, liberalne, szlachetne, patriotyczne, a nade wszystko — amerykańskie jest tylko to, co interesom owym sprzyja i służy. Wszystko inne jest złe.

Ta osobliwa semantyka stosowana jest w całej rozciągłości. W jej świetle należy czytać wszystkie wypowiedzi polityków USA, oświadczenia rządu, wyroki sądowe, kazania — a nawet wiersze i partytury muzyczne. „Teraz lub nigdy można powstrzymać pochód komunizmu" — głosił tenor skargi złożonej w Sądzie Najwyższym przeciw wprowadzeniu w roku 1894 podatku dochodowego. „Obecny szturm na kapitał jest zaledwie początkiem" — wołał referent sprawy, sędzia Field, kreśląc obraz straszliwy przyszłości, w której hordy nędzarzy, nie mogących wykazać się nawet własnością kamienicy, wymierzać będą podatki ludziom majętnym. Wstrząśnięty do żywego tą perspektywą Sąd Najwyższy większością głosów uchylił ustawę. Uznał, że jest sprzeczna z konstytucją, albowiem ogranicza wolność jednostki.

Zagrały tryumfalnie krzykliwe surmy usłużnej prasy. Nowojorska Tribune odetchnęła z ulgą czując się ocalona przed „próbą dokonania rewolucji komunistycznej w postaci podatków". A New York Sun wystrzelił wspaniałą rakietą wymowy: „Fala rewolucji socjalistycznej rozlała się szeroko, ale opada u stóp ostatniej zapory wzniesionej dla ochrony naszych wolności. Większością pięciu do czterech Trybunał trwa jak opoka".

*

Główny trzon konstytucji nazywa się Kartą Praw. W ręku kapitalistycznych wykonawców służy do odzierania z praw obywateli. Dekalog wolności przerobiono na akt erekcyjny faszyzmu. Prościej byłoby otwarcie znieść demokrację i jawnie wprowadzić rasizm, elitaryzm, pogardę człowieka i kult własności. Te cztery „zasady bytu" są treścią życiową klasy panującej, coraz bardziej odciętej od mas narodu, coraz bardziej zamkniętej i ekskluzywnej. Ale naród amerykański ma inne wspomnienia w pamięci — wspomnienia krwawych i zaciekłych zmagań o prawa człowieka, których echo odezwało się jeszcze niedawno w Czterech Wolnościach Roosevelta. I kapitalizm obawiając się oprzeć wyłącznie na terrorze, drżąc na samą myśl wyzwolenia się utajonej energii mas, próbuje zachować pozory więzi ze społeczeństwem ułatwiające mu utrzymanie władzy. Stąd demagogia i obłuda faszyzmu amerykańskiego przewyższa hitlerowski, stąd równocześnie jeszcze większy cynizm.

Każdemu, kto został posądzony o „antyamerykańską działalność", zarzuca się w pierwszym rzędzie brak patriotyzmu. Ale wielki majątek zwalnia najwidoczniej od tego obowiązku, podobnie jak zwalnia od służby wojskowej. Milionerzy wypowiadają się otwarcie, mniemając, że szczerość uszlachetni plugawą nędzę ich pobudek, uskrzydli i opromieni blaskiem ciężki lot nietoperzy ku fałszywym słońcom dolara.

„Patriotyzm — mówi Eugene Grace, prezydent Bethlehem Steel Corporation — jest pięknym uczuciem, ale nie można pozwolić, by nam przeszkadzał w wywiązywaniu się z obowiązków wobec akcjonariuszy". To znaczy — wobec własnej kieszeni. „Nie możemy dopuścić — głosi Pierre du Pont — aby patriotyzm zakłócał wypełnianie naszych obowiązków jako powierników akcjonariuszy". Charakter tych „obowiązków" precyzuje naczelny dyrektor

General Motors, Alfred Sloane: „Jak można kwestionować nasze transakcje (z firmami hitlerowskimi w czasie wojny — J. S.)? Przedsiębiorstwo międzynarodowe musi prowadzić swoje interesy na zasadach czysto handlowych, nie oglądając się na czyjeś (sic!) poglądy polityczne". A multimilioner Charles F. Bedaux, gdy pod naciskiem opinii miał być aresztowany za sprzedaż patentów wojennych koncernowi Goeringa, popełnił samobójstwo i zwierzał się przed śmiercią: „Człowiek jest patriotą i to nawet szczerym, ale gdy wchodzą w grę jego pieniądze — z rozkoszą dopuszcza się zdrady!"

W rozkoszy tej pławi się cała klasa rządząca Stanów Zjednoczonych. Zdrada narodu jest ideą przewodnią, jest racją stanu wielkich monopoli. Kosztem narodu, trzymanego w kleszczach policyjnego i militarnego państwa, kapitał finansowy USA stara się uleczyć sprzeczności leżące w jego naturze. To właśnie jest faszyzm.

*

Gospodarka burżuazyjna od dawna już hołduje — jeśli nie zawsze w teorii, to w każdym razie w praktyce — zasadom głoszonym przez zmarłego niedawno John Maynard Keynesa. Ekonomista brytyjski, zwolennik nakręcania koniunktury, domagał się interwencji państwa na rzecz kapitalizmu, popierania inwestycji kapitałowych w produkcji. Keynesizm był fundamentem polityki Roosevelta: kredyty dla monopoli, wielkie roboty publiczne i wielkie zamówienia państwowe, a wreszcie imperializm gospodarczy w zakresie posunięć zagranicznych. Za cenę czterdziestu starych kontrtorpedowców rząd Roosevelta zakupił bazy w posiadłościach brytyjskich, układami Lend-Lease zapewnił Stanom Zjednoczonym szereg koncesji umożliwiających przenikanie na nowe rynki. Podobny cel — realizowany pośrednio — miały dostawy unrrowskie. Ale Roosevelt planował długofalowo i starał się swej polityce nadać liberalistyczne oblicze: opanowując rynki zagraniczne dążył zarazem do ich rozbudowy, zwalczał kartele pozyskując sympatie drobnej burżuazji. Wielkie monopole przybierały postawę życzliwie pobłażliwą — były tak potężne, że nie potrzebowały karteli, a walka z kartelizacją na zewnątrz odpowiadała ich interesom. W stosunkach wewnętrznych Roosevelt pragnął utrzymać chłonność rynku, zdolność nabywczą mas — przez rozładowanie bezrobocia i wprowadzenie minimum płac. Echem tych dążeń były projekty Edwina Nourse, jednego z doradców gospodarczych Trumana: 60 miliardów dolarów na budowę dróg, 13 — na regulację rzek, 10,5 — na szkoły, 8,5 na szpitalnictwo etc. Łącznie 127 miliardów.

Był to jednak już okres, kiedy kapitalizm odwrócił się wyraźnie od reformistycznych koncepcji rooseveltowskich. Rzecz nieuchronna. Roosevelt mógł tylko opóźnić, nie mógł odwrócić procesu przerastania kapitalizmu w faszyzm. Procesu wypływającego z samej natury finansowego kapitału, który w obliczu przemian rewolucyjnych świata sięga po jedyną, jaka mu pozostała, broń — przemoc. Chcąc faszyzmowi zapobiec Roosevelt musiałby wyjść poza kapitalizm.

Faszyzująca się coraz bardziej Trumanowska „gospodarka kierowana" poszła po linii zbrojeń. Działało tu wiele przyczyn. Największej koncentracji, a przy tym największej rozbudowie uległ przemysł wojenny, czyli ten, dla którego pokój był równoznaczny z kryzysem. Produkcja wojenna i gospodarka wojenna zapewnia monopolom nieosiągalne w innych dziedzinach i warunkach zyski. Ułatwia wytwarzanie histerii wojennej, co z kolei pozwala na działalność wolną od wglądu i kontroli,

uprawnia do reakcyjnego terroru wobec świata pracy, stanowi przesłankę dla ustaw wyjątkowych, wprowadza atmosferę obozu warownego, dyktaturę bankierów, generałów i szpicli. Sprzyja wykonaniu planów podboju lub wasalizacji krajów zacofanych w rozwoju, krajów kolonialnych oraz ich dawnych metropolii. Daje możność nieograniczonego na pozór nakręcania koniunktury — aż do progu wojny i poza ten próg. Kapitalizm przyjął za pewnik, że gospodarka wojenna, a w dalszym jej rozwinięciu wojna, jest nieuchronną alternatywą kryzysu. I wysnuwa stąd wnioski tragiczne i groźne dla świata.

*

Znany ekspert gospodarczy, Leon H. Keyserling, orzekł przed kilku laty, że USA, chcąc uniknąć katastrofy swej ekonomiki, muszą wywozić rocznie 20—25 miliardów dolarów w towarach i kapitale. Wobec wyczerpania gospodarczego wszystkich niemal państw kapitalistycznych świata taki program jest równoznaczny z ich całkowitą ruiną. Dla USA zaś — z dalszym pogłębianiem się cech pasożytniczych. Wiadomo bowiem, czym jest eksport, a zwłaszcza eksport kapitału w epoce imperializmu. „Wywóz kapitału — mówi Lenin — jedna z najistotniejszych podstaw ekonomicznych imperializmu, jeszcze bardziej wzmaga to całkowite oderwanie warstwy rentierów od produkcji, wyciska piętno pasożytnictwa na całym kraju żyjącym z wyzysku pracy kilku krajów zaoceanicznych i kolonii“ *).

Nic dziwnego, że rozgrywający się obecnie potężny szturm zjednoczonych wysiłków rządu monopoli USA napotyka na rozpaczliwy opór wszystkich bez wyjątku wasali. Antagonizm w obozie imperializmu pogłębia się uniemożliwiając zmontowanie jednolitego frontu wojny przeciw Związkowi Rad i krajom demokracji ludowej. Rodzą się fermenty i niepokój w samych Stanach Zjednoczonych, co jeszcze bardziej zaostrza sytuację. Toteż machiny partyjne — polityczna aparatura wielkiej finansjery — w tempie wzmożonym przygotowują ostateczną faszyzację kraju w nadziei, że umożliwi to wreszcie konsolidację bloku wojennego wewnątrz i na zewnątrz. W ponurej tragifarsie wyborów „wolny obywatel wielkiej demokracji“, wolny w obiorze smaku swej śmierci cywilnej, do cna oszołomiony hałaśliwą kampanią reklamową dwóch gatunków wyrobów monopolowych, stanął przed beznadziejnym w swej grozie dylematem — opowiedzenia się za jedną z dwu równoległych imperializmu, za grupą bankową Morgana, lub grupą chicagowską.

Dał się uwieść czarowi munduru, błyszczącego całym złotem Wall Street, poszedł na lep tanich przyrzeczeń odmiany, chwycił się wątłych cieni nadziei ukrytych w obietnicy przejażdżki generalskiej na Koreę, w czułostkowych zapewnieniach o opiece „wodza“, który zatroszczy się o powrót żołnierza.

Zabiły mocniej oszukane raz jeszcze serca matczyne. Posypały się głosy kobiet. Sfery drobnomieszczańskie pociągnęła zapowiedź cięć budżetowych. Lumpenproletariat zelektryzowała pobudka wojskowa. A rasiści Południa dostrzegli w Eisenhowerze — tym smutnym skrzyżowaniu Guderiana z Eleanor Roosevelt — większą pewność „wzięcia negra na smyczę“, niż dawał cywilny gubernator zdobiący miedzianą skroń kwieciem różanym liberalizmu. Oni jedni się nie zawiodą.

Tak więc Biały Dom został filią Pentagonu. Na Kapitolu zaś przystępuje do sprawowania rządów omszały sternik „starej gwardii“ republikanów, senator Robert Taft. Już ta okoliczność wróży poważne tarcia pomiędzy zwycięzcami

*) Lenin, Dzieła tom XXII, str. 263.

nie tylko o podział łupów, ale i o maść, a także kierunek marszu faszyzmu. Podczas bowiem gdy Eisenhower jest wielbicielem Wermachtu, „Bob z Ohio" darzy serdecznym uczuciem monopole japońskie, będąc zwolennikiem „azjatyckiej" orientacji w ekspansji. Toteż Pakt Atlantycki wystawiony będzie na jeszcze bardziej ogniowe niż dotychczas próby. Tym bardziej że i generalska strategia w Europie, ujawniona w postaci osławionego raportu Fechtelera, budzi w Londynie i Paryżu z trudem ukrywany niepokój i więcej niż gorzkie refleksje.

Ale to są już personalia faszyzmu. Mają swą wagę, lecz nie są decydujące. Osoba führera nie jest istotą rzeczy. Obojętna to sprawa, kto będzie likwidował resztki demokracji w USA i reresztki samodzielności ich satelitów — pogłębiając przeciwieństwa klasowe wewnątrz kraju i konflikt z całym zespołem wasali na zewnątrz.

Widmo kryzysu zbliża się do Ameryki wielkimi krokami. Departament stanu przewiduje w swym biuletynie 13 milionów bezrobotnych z końcem roku 1952. To liczba urzędowa. Liczby rzeczywiste będą niewątpliwie wyższe. Inne statystyki wskazują na niepokojący wzrost inwentarzy mimo przestawienia całych gałęzi przemysłu na wytwórczość czysto wojenną. Są to skutki ogromnego spadku płac realnych, pierwsze oznaki nadprodukcji. Kryzys jest złym doradcą — pokusa rozpętania wojny nęcić będzie coraz bardziej Wall Street, Pentagon i Biały Dom. Tylko czujność najwyższa wszystkich sił pokoju może temu zapobiec, tylko rosnąca potęga państw walczących o pokój może wytrącić miecz z ręki szalonego.

Julian Stawiński

KSIĄŻKI NADESŁANE

MARKSIZM-LENINIZM

Engels Fryderyk — Artykuły z „The Labour Standard" („Sztandar Pracy"), Londyn 1881. Przekł. z wyd. niem. Ludomira Skarżyńskiego. Biblioteka Klasyków Marksizmu-Leninizmu. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1952. Str. 56.

Gubariew T. I. — O zacieraniu się różnic klasowych między klasą robotniczą a chłopstwem w ZSRR. Cykl: Zagadnienia teorii marksizmu-leninizmu, zeszyt 10. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1952. Str. 166 i 2 nlb.

Lenin W. I. — VIII Zjazd RKP(b) 18 — 23 marca 1919 r. Mała Biblioteczka marksizmu-leninizmu. Materiały do studiowania Historii WKP(b), zeszyt 52. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1952. Str. 90 i 4 nlb. — Przemówienie o oszukiwaniu ludu hasłami wolności i równości. Biblioteka klasyków marksizmu-leninizmu. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1952. Str. 55 i 1 nlb.

Młot Jan (Szymon Diksztajn) — Kto z czego żyje? Wstęp Żanny Kormanowej. Wydział Historii Partii KC PZPR. „Książka i Wiedza". Warszawa, 1952. Str. 129 i 3 nlb.

Okułow A. — Walka Lenina i Stalina o teoretyczne podstawy partii marksistowskiej (lata 1908—1912). Przekł. Haliny Waśkowskiej. Akademia Nauk Społecznych przy KC WKP(b). Katedra historii filozofii. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1952. Str. 253 i 3 nlb.

Rozental M. — O pracy F. Engelsa „Ludwik Feuerbach i zmierzch klasycznej filozofii niemieckiej". Przekł. Zofii Okrent. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1952. Str. 41 i 1 nlb.

POLSKA LUDOWA (zagadnienia polityczne i gospodarcze)

Polska na zawsze zjednoczona. Kongres Ziem Zachodnich Wrocław 21.IX.1952. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1952. Str. 154 i 3 nlb.

BUDOWNICTWO SOCJALISTYCZNE ZSRR

Saburow M. Z. — Dyrektywy XIX Zjazdu Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego w sprawie piątego pięcioletniego planu rozwoju ZSRR na lata 1951—1955. Referat wygłoszony na XIX Zjeździe Partii. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1952. Str. 94 i 2 nlb.

Stalin Józef — Przemówienie na XIX Zjeździe Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego, wygłoszone 14 października 1952 r. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1952. Str. 15 i 1 nlb.

WYDANIA ZBIOROWE

Mickiewicz Adam — Dzieła. Wydanie Narodowe. Tom VIII i IX — Literatura słowiańska, kurs pierwszy. Przekł. i oprac. Leona Płoszewskiego. „Czytelnik", 1952. Tom VIII — str. 394 i 1 fotogr., tom IX — str. 254 i 1 fotogr.

PROZA

Brandys Marian — Początek opowieści. Wyd. III. Państwowy Instytut Wydawniczy. Warszawa, 1952. Str. 351 i 1 nlb.

Chamiec Jadwiga — O Ludwiku Waryńskim. Opowieść. Posłowie i przypisy historyczne dr. Janusza Durko. „Czytelnik", Warszawa, 1952. Str. 301, 2 nlb. i 1 fotografia.

Gojawiczyńska Pola — Dziewczęta z Nowolipek. Wyd. IV. „Czytelnik", Warszawa, 1952. Str. 267 i 3 nlb.

Hardy Frank — Potęga bez chwały. Przekł. z ang. Zofii Jabłonowskiej. „Czytelnik", Warszawa, 1952. Str. 754 i 2 nlb.

Karolenko Włodzimierz — Dzieła Wybrane. Przekł. zbiorowy. Wstęp Natalii Modzelewskiej. Przypisy E. Dębnickiej i Z. Fedeckiego. Red. odp. Egga Dębnicka. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1952. Str. XXX, 575, 2 nlb. i 2 fotogr.

Kowalewski Stanisław — Bliżej jutra. Opowiadania. „Czytelnik", Warszawa, 1952. Str. 183 i 3 nlb.

Kożewnikow Aleksiej — Ożywcza woda. Przekł. z ros. Szymona Borkowskiego, Danuty Mieszkowskiej i Stefana Zbrożyny. „Czytelnik", Warszawa, 1952. Str. 554 i 3 nlb.

Leonow Leonid — Borsuki. Przekł z ros. Jana Witkowicza. „Czytelnik", Warszawa, 1952. Str. 405 i 2 nlb.

Mann Henryk — Profesor Unrat. Przekł z niem. Marii Wisłowskiej. Posłowie Marcelego Ranickiego. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1952. Str. 213 i 1 nlb.

de Maupassant Guy — Piękny pan. Przekł. z franc. Krystyny Dolatowskiej. Wstęp Adolfa Sowińskiego. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1952. Str. 345 i 2 nlb.

Nexö Martin Andersen — Pisma Wybrane. Przekł. częściowo z duńsk. i z ros. Marii Kelles-Krauzowej. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1952. Str. 213 i 3 nlb.

Parandowski Jan — Dwie wiosny. Wyd. nowe. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa, 1952. Str. 160 i 2 nlb.

Przerwa-Tetmajer Kazimierz — Legenda Tatr. Wyd. nowe. Drzeworyty Władysława Skoczylasa. Państwowy Instytut Wydawniczy. Warszawa, 1952. Część I — Maryna z Hrubego — str. 271 i 1 nlb.; część II — Janosik Nędza Litmanowski — str. 262 i 2 nlb.

Rolland Romain — Colas Breugnon. Przekł. Franciszka Mirandoli. Oprac. Julii Hartwig. Wyd. Nowe. Państwowy Instytut Wydawniczy. Warszawa, 1952. Str. 272 i 2 nlb.

Sienkiewicz Henryk — W pustyni i w puszczy. Wyd. nowe. Ilustr. Jana Marcina Szancera. Państwowy Instytut Wydawniczy. Warszawa, 1952. Str. 399 i 1 nlb.

Sokołow M. — Iskry. Przekł. z ros. Z. St. Glomara. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1952. Str. 936 i 2 nlb.

Szaginian Marietta — Zapora wodna. Przekł. z ros. Tadeusza Żeromskiego. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1952. Str. 367 i 4 nlb.

Żeromski Stefan — Przedwiośnie. Powieść. Posłowie Henryka Markiewicza. Ilustr. Krzysztofa Henisza. „Czytelnik", Warszawa, 1952. Str. 368 i 3 nlb.

POEZJA I DRAMAT

Auderska Halina — Zbiegowie. Sztuka w 4 aktach. „Czytelnik", Warszawa, 1952. Str. 111 i 1 nlb.

Bratny Roman — Przeciw krzywdzie. Jednoaktówka. Uwagi inscenizacyjne oprac. Krystyna Kolińska. „Czytelnik", Warszawa, 1952. Str. 43 i 1 nlb.

Brzechwa Jan — Gawęda o dawnych latach o różnych kandydatach o posłach i mandatach o rzekach i mostach o cudach i starostach. Ilustr. Jerzego Zaruby. „Czytelnik", Warszawa, 1952. Str. 15 i 1 nlb.

Gałczyński Konstanty Ildefons — Wiersze liryczne. Ilustr. Jana Lenicy. „Czytelnik", Warszawa, 1952. Str. 61 i 2 nlb.

Kamieńska Anna — O szczęściu 1949—1951. „Czytelnik", Warszawa, 1952. Str. 78 i 3 nlb.

Korcelli Kazimierz — Najazd. Sztuka w 4 aktach z czasów Stefana Czarnieckiego. „Czytelnik", Warszawa, 1952. Str. 85 i 2 nlb.

Prutkowski Józef — Oddaję głos. „Czytelnik", Warszawa, 1952. Str. 15 i 1 nlb.

Szeląg Jan — 26 października. Ilustr. Eryka Lipińskiego. „Czytelnik", Warszawa, 1952. Str. 8 nlb.

Tarn Adam — Ortega. Sztuka w 4 aktach, 6 odsłonach. „Czytelnik", Warszawa, 1952. Str. 85 i 2 nlb.

HISTORIA LITERATURY I HISTORIA

Jezierski Franciszek Salezy — Wybór pism. Oprac. Zdzisława Skwarczyńskiego. Wstęp Jerzego Ziomka. Państwowy Instytut Wydawniczy. Warszawa, 1952. Str. 351 i 2 nlb.

Wolter — Listy o Anglikach albo Listy filozoficzne. Przekł. Juliana Rogozińskiego. Przedmowa i red. Jerzego Adamskiego. Państwowy Instytut Wydawniczy. Warszawa, 1952. Str. 198 i 3 nlb.

KULTURA I SZTUKA

Pięć wieków malarstwa polskiego. Trzecie, rozszerzone i na nowo przepracowane wydanie „500 lat malarstwa polskiego". Oprac. Juliusz Starzyński. Państwowy Instytut Wydawniczy. Warszawa, 1952. Str. 40, 2 nlb. i 192 reprodukcje.

PUBLICYSTYKA

Chałasiński Józef — Uczeni polscy wobec rozwoju kultury i przyszłości narodu. „Czytelnik", Warszawa, 1952. Str. 31 i 1 nlb.

Iwanow W. i Todorski J. — Fałsz i obłuda amerykańskiej demokracji burżuazyjnej. Przekł. z ros. Tadeusza Wójcika. „Czytelnik", Warszawa, 1952. Str. 143 i 3 nlb.

Osmańczyk Edmund Jan — Podróż po Polsce zachodniej. „Czytelnik", Warszawa, 1952. Str. 75 i 2 nlb.

— O książkach i ludziach. „Czytelnik", Warszawa, 1952. Str. 165 i 3 nlb.

SATYRA

Brzechwa Jan — Cięte bańki. Ilustr. Jerzego Zaruby. „Czytelnik", Warszawa, 1952. Str. 84 i 3 nlb.

Chrzanowski T., Prutkowski J., Rudzki K. i Wiktorczyk Z. — Obrazki i... obrazy czyli Pięć satyrycznych i łatwych do inscenizacji ataków na bramkę przeciwnika. Uwagi inscenizacyjne Kazimierza Rudzkiego. „Czytelnik", Warszawa, 1952. Str. 68 i 2 nlb.

Hertz Benedykt — Satyry 1919—1951. Ilustr. Mieczysława Piotrowskiego. „Czytelnik", Warszawa, 1952. Str. 181, 7 nlb. i 1 fotografia.

LITERATURA DLA DZIECI I MŁODZIEŻY

Krzemieniecka Lucyna — Lenin wśród dzieci Ilustr. Anny Kopczyńskiej. „Czytelnik" Warszawa, 1952. Str. 23 i 1 nlb.

FELIETONY

Andrzejewski Jerzy — Ludzie i zdarzenia 1951. „Czytelnik", Warszawa, 1952. Str. 206 i 4 nlb.

REPORTAŻE

Jarochowska Maria — Niebieskie okulary. Reportaże z Huty „Częstochowa". Fotografie: CAF, WAF, Sławny. „Czytelnik", Warszawa, 1952. Str. 87 i 4 nlb.

Otwinowski Stefan — Spotkania z uśmiechem. „Czytelnik", Warszawa, 1952. Str. 113 i 2 nlb.

PAMIĘTNIKI, BIOGRAFIE, LISTY, WSPOMNIENIA

Szewczenko Taras — Pamiętnik. Przekł. z ros. Heleny Mankiewicz-Szaniawskiej. Wiersze rosyjskie w tłum. Włodzimierza Boruńskiego. „Czytelnik", Warszawa, 1952. Str. 274 i 2 nlb.

LITERATURA POPULARNO-NAUKOWA

Żabiński Jan — Z dołu do góry. „Czytelnik", Warszawa, 1952. Str. 113 i 3 nlb.

RÓŻNE

Kalina Paweł — Słownik niemiecko-polski i polsko-niemiecki, cz. II — polsko-niemiecka. Oprac. Paweł Kalina. Wyd. nowe, przejrzane i uzupełnione. „Czytelnik", Warszawa, 1952. Str. 731 i 5 nlb.

Spis treści za II półrocze 1952 r.

od Nr 12 (lipiec) do Nr 12 (grudzień 1952 r.)

Spis treści ułożony alfabetycznie wg nazwisk autorów. Gwiazdka (*) przed tytułem oznacza pozycję recenzyjną o danym autorze. Cyfry rzymskie oznaczają Nr Twórczości, w którym pozycja się ukazała, arabskie — rok wydania.

ZNAKI I SKRÓTY UŻYWANE W SPISIE TREŚCI

art. — artykuł
dram. — dramat
koresp. — korespondencja
kron. — kronika
kryt. lit. — krytyka literacka
nauk. — naukowy
oprac. — opracowanie
om. — omówienie
proza art. — proza artystyczna
przem. — przemówienie
publ. — publicystyka
ref. — referat
rep. — reportaż
tłum. — tłumaczenie
w. — wiersz
zob. — zobacz

A

ab
Rozwój kultury w Bułgarii. kron. XI/52.
Autor nieznany
Do przyjaciela. w.; Mokotów. w.; Myśl w Wielki Post z okoliczności ustałych balów księcia Marcina. w.; Spowiedź wzajemna. w.; Wielkanoc. w.; Do pewnego pana. w. XII/52.
Awicenna
Czterowiersze. w. VIII/52.

B

Bartelski Lesław
Złota góra. rep. X/52.
Bereza Henryk
„Gorące dni" Edmunda Niziurskiego. om. IX/52;
„Opowieść wierzbowa" Zofii Dróżdż-Satanowskiej. om. X/52.
Bidwell George
Widmo Malthusa nad Brytanią. art. publ. XI/52;
Lud brytyjski rzuca wyzwanie Ameryce. art. publ. XII/52.
Bieńkowski Zbigniew
50-lecie śmierci Emila Zoli. not.; zob. Zola Emil: Oskarżam! tłum. X/52; zob. Swietłow Michał: Nad stronicami „Manifestu". tłum. XI/52; Paul Eluard nie żyje. not. XII/52.
Bobruk Albin
*Matka i syn (Łastik Salomon). om. VIII/52.
Borowski Tadeusz
Dysputy księdza dobrodzieja. proza art. VII/52.
Botew Christo
Do matki. w.; Do ukochanej. w. IX/52.
Brajnina B.
*Konstanty Fiedin (Rafałowska Barbara). om. XII/52.
Brandys Kazimierz
*Człowiek nie umiera (Lam Andrzej). om. IX/52.
Bratny Roman
Sześć godzin ciemności. dram. VIII/52.
Braun Andrzej
Autostrada. w. X/52.
Breza Tadeusz
*Mury Jerycha (Budrecki Lech). om. IX/52.
Broniewski Władysław
*Nadzieja (Michalski Hieronim). om. VIII/52.
Brzostowska Janina
Stanisława Kunickiego życiorys (Z cyklu „Wielki Proletariat") w. XI/52.
Budrecki Lech
„Mury Jerycha" Tadeusza Brezy. om. IX/52; „Opowieści sportowe" Mariana Promińskiego. om. X/52; „Wiersze" Jana Śpiewaka. om. XII/52.

C

Chróścielewski Tadeusz
Michał Kajka w.; Krasicki w Licbarku. w. VII/52; Baśń karkonoska. w. X/52.
Chwalewik Witold
Z poetyki przekładów Szekspira. not. i tłum. VII/52; zob. Shelley Percy Bysshe: Oda do wiatru zachodniego. tłum. IX/52.
Czernik Stanisław
*Poezja chłopów polskich (Sandler Samuel). om. XII/52.

D

Dobrowolski Stanisław Ryszard
Czemu? w.; 12.IV. 1952. w.; Plac Konstytucji. w.; Dalej co będzie? w.; Prośba. w. X/52.
Dołmatowski Eugeniusz
Mogiła Goethego. w.; Aktorzy. w. XI/52.
Dróżdż-Satanowska Zofia
*Opowieść wierzbowa (Bereza Henryk). om. X/52.

F

Fenikowski Franciszek
*Zakręt pięciu gwizdków. (Maciąg Włodzimierz). om. XII/52.
Ficowski Jerzy
zob. Papusza: Ziemio moja jestem córką twoją. tłum. VIII/52.
Fiszer Edward
*Kwatera i przystań (Śpiewak Jan). om. X/52.
France Anatol
Emil Zola. przem. X/52.

G

Gisges Jan Maria
Lato w Karkonoszach: Droga do Szklarskiej Poręby; Nad zbójnickimi skałami; Posążek hutnika; Dwie pieśni. w. X/52.
Goldoni Carlo
*Sprytna wdówka. Zakochani; Kawiarenka wenecka. Mirandolina (Natanson Wojciech). om. X/52.
Gorki Maksym
*(Rafałowska Barbara: Oczami Gorkiego). kryt. lit. IX/52.
Grabowska Marcelina
*Antoni Mroczek poznaje świat (Łastik Salomon). om. X/52.
Greń Zygmunt
Na scenach wrocławskich. kron. VIII/52.
Grzegorczyk Piotr
„Hamlet" Wiliama Szekspira. om. X/52.
Grzeniewski Ludwik
„Opowieść o moim ojcu" Jana Koprowskiego. om. IX/52.
„Zbrodnia księdza Amaro" Eça de Queiroz. om. X/52; „Siedem gawęd" Edmunda Jana Osmańczyka. om. XI/52.

H

Hartwig Julia
Zachęta do tańca. w; Rozmowa z chórem chłopięcym. w. VII/52.

Heine Henryk
*Poezje wybrane; Statek niewolników (Sowiński Adolf). om. X/52.
Hen Józef
*Druga linia; Moja kompania (Łastik Salomon). om. XI/52.
Hertz Benedykt
Rewanż. w. VII/52.
Hikmet Nazim
Wstąpienie sułtana na tron. w.; Prehistoria. w.; Prometeusz, nasze fajki, róża, słowik i temu podobne. w.; W sprawie dwudziestego wieku. w.; Wróg w. VIII/52.
Hubert Henryk
Lenino. w. VIII/52.
Huszcza Jan
Z wczasów. w.; *** w. VII/52; Pieśń o drzewach. w.; *** w.; *** w. XII/52.

I

Isakowski Michał
Wiśnia. w. XI/52.

J

Jastrun Mieczysław
*Poemat o mowie polskiej (Trznadel Jacek). om. XI/52.
Jaworski Kazimierz Andrzej
Pochwała pracy drukarskiej. w.; Na moście. w. XII/52.

K

Kamieńska Anna
zob. Dołmatowski Eugeniusz: Mogiła Goethego. tłum.; Aktorzy. tłum. XI/52.
Karczewska Wanda
List z Łodzi. w. VIII/52.
Karski Gabriel
zob. Botew Christo: Do ukochanej. tłum.; zob. Wazow Iwan: Moje pieśni. tłum. IX/52.
Keller Godfryd
*Ludzie z Seldwili (Sowiński Adolf). om. XII/52.
Kiemienow W. S.
Spuścizna artystyczna Leonarda da Vinci. art. X/52.
Kierczyńska Melania
Głos w dyskusji na IV Rozszerzonym Plenum ZG ZLP. VIII/52.
Kirło-Nowaczyk Adam Franciszek
Południe. w. X/52; Rano na wsi spółdzielczej. w.; Liryk jesienny. w. XII/52.
Koprowski Jan
Wiersz. w.; Ballada o wodzie źródlanej. w.; Nad Pilicą. w.; Piosenka o ziemi opolskiej. w.; *Pejzaże polskie (Maciąg Włodzimierz). om.; *Opowieść o moim ojcu (Grzeniewski Ludwik). om. IX/52.
Korcelli Kazimierz
Najazd. dram. VII/52.
Kott Jan
O języku i stylu Trembeckiego. kryt. lit. XI/52; Warszawa w nieznanych wierszach polskiego Oświecenia. kryt. lit. i oprac. XII/52.
Książki nadesłane
VIII, IX, X, XI, XII/52.

L

Lam Andrzej
„Człowiek nie umiera" Kazimierza Brandysa. om. IX/52.
Lasota Grzegorz
„Bieg do Fragalà" Juliana Stryjkowskiego. om. VIII/52.
Lenin Włodzimierz
Na czwartą rocznicę Rewolucji Październikowej. XI/52.
Lewin Leopold
zob. Botew Christo: Do matki. tłum.; zob. Wazow Iwan; Do bojownika; Do poety. tłum. IX/52; Do Nazima Hikmeta. w. X/52; zob. Prokofiew Aleksander: Odpowiedź. tłum.; zob. Isakowski Michał: Wiśnia. tłum. XI/52.

Ł

Łabęcka-Koecherowa Małgorzata
zob. Hikmet Nazim: Wstąpienie sułtana na tron. tłum.; Prehistoria. tłum.; Prometeusz, nasze fajki, róża, słowik i temu podobne. tłum.; W sprawie dwudziestego wieku. tłum.; Wróg. tłum. VIII/52.
Łastik Salomon
„Matka i syn" Albina Bobruka. om. IX/52; „Komuna miasta Łomży" Leona Pasternaka. om. IX/52; „Antoni Mroczek poznaje świat" Marceliny Grabowskiej. om. X/52; „Druga linia" i „Moja kompania" Józefa Hena. om. XI/52.

M

Maciąg Włodzimierz
„Pejzaże polskie" Jana Koprowskiego. om. IX/52; „Zakręt pięciu gwizdków" Franciszka Fenikowskiego. om. XII/52.
Malenkow G.
Z referatu sekretarza KC WKP(b) G. Malenkowa na XIX Zjeździe Partii. XI/52.
Mao Tse-tung
W sprawie sprzeczności. art. nauk. XI/52.
Maśliński Józef
Polonez Fredry. kron. XII/52.
Matuszewski Ryszard
„Pamiętnik z Celulozy" Igora Newerly. om. VII/52.
Mauersberger Adam
W sprawie „Lalki". kron. IX/52.
Michalski Hieronim
„Nadzieja" Władysława Broniewskiego. om. VIII/52.
Międzyrzecki Artur
*Strony przydrożne (Śpiewak Jan). om. X/52.
Minasowicz Józef Epifani
Na herb miasta Warszawy. w.; Akcyza za kawę. w. XII/52.
Morstin Ludwik Hieronim
Polacy nie gęsi. dram. IX/52.

N

Naganowski Egon
„Nieznani przyjaciele" Jana Petersena. om. IX/52.
Nagrody Państwowe w dziale literatury i sztuki za rok 1952. VIII/52.
Natanson Wojciech
„Kleszcze" Wilhelma Szewczyka. om.; Występ teatru francuskiego. kron. IX/52; zob. France Anatol: Emil Zola. tłum.; „Sprytna wdówka, Zakochani" i „Kawiarenka wenecka. Mirandolina" Carlo Goldoniego. om. X/52; Glossy o „Drodze do Czarnolasu". kron. XI/52.
Newerly Igor
*Pamiętnik z Celulozy (Matuszewski Ryszard). om. VII/52.
Niziurski Edmund
*Gorące dni (Bereza Henryk). om. IX/52.
Nofer Alina
Z prac IBL: „Pozytywizm cz. I i II". kryt. lit. VII/52.

O

Orędzie Światowej Rady Pokoju. VIII/52.
Osmańczyk Edmund Jan
*Siedem gawęd (Grzeniewski Ludwik). om. XI/52.

Ostromęcki Bogdan
Chłopskie drzewo. w.; Nad Łabą. w. X/52.

P

Papusza
Ziemio moja jestem córką twoją. w. VIII/52.
Pasternak Leon
*Komuna miasta Łomży (Łastik Salomon). om. IX/52.
Petersen Jan
*Nieznani przyjaciele (Naganowski Egon). om. IX/52.
Plenum
IV Rozszerzone Plenum ZG ZLP 20—21. VI. 1952 r. Głosy w dyskusji. Rezolucja. VIII/52.
Polewka Adam
Głos w dyskusji na IV Rozszerzonym Plenum ZG ZLP. VIII/52.
Pollak Seweryn
zob. Tichonow Mikołaj: Kirow z nami. Poemat. tłum. XI/52.
Pomianowski Jerzy
Znalezisko. kron. X/52.
*Pozytywizm cz. I i II (Nofer Alina i Żabicki Zbigniew). kryt. lit. VII/52.
Program Wyborczy Frontu Narodowego. X/52.
Prokofiew Aleksander
Odpowiedź. w. XI/52.
Promiński Marian
*Opowieści sportowe (Budrecki Lech). om. X/52.
Przymanowski Janusz
Głos w dyskusji na IV Rozszerzonym Plenum ZG ZLP. VIII/52.
Putrament Jerzy
O niektórych zagadnieniach tematyki współczesnej w naszej prozie 1950—52. ref. VII/52; *Wrzesień (Wasilewski Andrzej). om. XII/52.

Q

de **Queiroz Eça**
Zbrodnia księdza Amaro (Grzeniewski Ludwik). om. X/52.

R

Rafałowska Barbara
Oczami Gorkiego. kryt. lit. IX/52; „Bieg do Fragalà" Juliana Stryjkowskiego. om. XI/52; „Konstanty Fiedin" Brajninej. om. XII/52.
Ranicki Marceli
„Siódmy krzyż" Anny Seghers. om. X/52.
Rużyło-Pawłowska J.
Zatruty siew. art. X/52.
Rybak Natan
*Rada perejasławska (Sandler Samuel). om. IX/52.
Rzeplińska Zofia
Fragmenty dyskusji na temat II-go tomu powieści Tibora Déry pt. „Odpowiedź". kron. XII/52.

S

Sandauer Artur
Teokryt. kryt. lit.; zob. Teokryt: Pieśń Tyrzisa. tłum.; Dożynki. tłum.; Pieśń Lykidasa. tłum.; Pieśń Simichidasa. tłum.; Syrakuzanki czyli Kobiety na święcie Adonisa. tłum. X/52.
Sandler Samuel
„Rada perejasławska" Natana Rybaka. om. IX/52; „Mickiewicz i wersyfikacja narodowa" Adama Ważyka. om. XI/52; „Poezja chłopów polskich" Stanisława Czernika. om. XII/52.
Seghers Anna
*Siódmy krzyż (Ranicki Marceli). om. X/52.
Shelley Percy Bysshe
Oda do wiatru zachodniego. w. IX/52.
Słobodnik Włodzimierz
Sonety o Wicie Stwoszu: Zwierciadło o Wicie Stwoszu; Zwiastowanie; Światło humanizmu. w. X/52.
Słucki Arnold
Głos w dyskusji na IV Rozszerzonym Plenum ZG ZLP. VIII/52.
Sokorski Włodzimierz
Głos w dyskusji na IV Rozszerzonym Plenum ZG ZLP. VIII/52.
Sowiński Adolf
„Poezje wybrane" i „Statek niewolników" Henryka Heinego. om. X/52; „Ludzie z Seldwili" Godfryda Kellera. om. XII/52.
Spinc Józef
Dyskusja o dramaturgii. kron. VII/52; Dyskusja o literaturze dla dzieci i młodzieży. kron. VIII/52; Aktualne zagadnienia radzieckiej dramaturgii filmowej. kron. IX/52; Nauka w literaturze radzieckiej. kron. X/52; Dyskusja o rodzajach poetyckich. kron. XI/52; Sprawy literatury na XIX Zjeździe KPZR i w dyskusji przedzjazdowej; Wydawnictwa literatury klasycznej w Związku Radzieckim. kron. XII/52.
Stawiński Julian
Notatnik amerykański. art. publ. VII/52; Kultura ciśnięta w błoto. art. publ. VIII/52; Kieł mamuta czyli sądźmy z drobiazgów. art. publ. IX/52; Republika w walce z demokracją. art. publ. X/52; Gdy bezprawie obleka się w togę prawa. art. publ. XI/52; Rosnące ogniska pożaru. art. publ. XII/52.
Stryjkowski Julian
*Bieg do Fragalà (Lasota Grzegorz). om. VIII/52; *Bieg do Fragalà (Rafałowska Barbara). om. XI/52.
Swietłow Michał
Nad stronicami „Manifestu". w. XI/52.
Szekspir William
Hamlet. dram. VII/52; *Hamlet (Grzegorczyk Piotr). om. X/52.
Szewczyk Wilhelm
*Kleszcze (Natanson Wojciech). om. IX/52.
Szymański Zbigniew
Towarzyszom z 361 pułku piechoty Armii Radzieckiej. w.; Miasto i człowiek. w. XII/52.

Ś

Śpiewak Jan
Pieśń. w.; * * * w. VII/52; Przypływ. w.; „Strony przydrożne" Artura Międzyrzeckiego. om.; „Kwatera i przystań" Edwarda Fiszera. om. X/52; Gdzie człowiek dojrzewa. w. XI/52; *Wiersze (Budrecki Lech). om. XII/52.

T

Teokryt
Pieśń Tyrzisa. w.; Dożynki. w.; Pieśń Lykidasa. w.; Pieśń Simichidasa. w.; Syrakuzanki czyli Kobiety na święcie Adonisa. dram. X/52.
Tichonow Mikołaj
Kirow z nami. Poemat. XI/52.
Trznadel Jacek
„Poemat o mowie polskiej" Mieczysława Jastruna. om. XI/52.

W

Wasilewski Andrzej
„Wrzesień" Jerzego Putramenta. om. XII/52.

Wazow Iwan
Moje pieśni. w.; Do bojownika. w.; Do poety. w. IX/52.
Ważyk Adam
Uwagi o kryteriach poezji. ref. VIII/52; *Mickiewicz i wersyfikacja narodowa (Sandler Samuel). om. XI/52.
Wieliczko W.
Wielki Wołgo-Don. rep. XII/52.
Wielowieyska Helena
Wiosna w Gorzowie. rep. VII/52.
Wolicki Krzysztof
Wielka trójka banków niemieckich. art. publ. VII/52; Europejska unia płatnicza. art. publ. VIII/52; Nowe wstrząsy na Bliskim Wschodzie. art. publ. IX/52; Rozgrywka o blok marionetek. art. publ. X/52; Kongres zdemaskowanych. art. publ. XI/52; Nowy prezydent Stanów Zjednoczonych. art. publ. XII/52.
Woroszylski Wiktor
Miasto w nocy. w. VIII/52.
Wyka Kazimierz
Głos w dyskusji na IV Rozszerzonym Plenum ZG ZLP. VIII/52.

V

Vogler Henryk
Na scenach krakowskich. kron. VII/52.

Z

Zajączkowski Ananiasz
Awicenna i jego twórczość. art. VII/52; Awicenna jako poeta. art.; zob. Awicenna: Czterowiersze. tłum. VIII/52.
Zawadzki Stefan
Moja miłość. w. VII/52; Plac Konstytucji. w. IX/52.
Zieliński Stanisław
Rodacy. proza art. VIII, IX, X, XI, XII/52.
Zola Emil
Oskarżam! publ. X/52.
Zubow W. P.
Spuścizna naukowa Leonarda da Vinci. art. nauk. IX/52.

Ż

Żabicki Zbigniew
Z prac IBL: „Pozytywizm cz. I i II". kryt. lit. VII/52.
Żółkiewski Stefan
O sonetach Mickiewicza. kryt. lit. VIII/52.
Żuławski Juliusz
Festiwal zespołów amatorskich. kron. VII/52; Na scenach warszawskich. kron. X/52.
Żuławski Mirosław
Rzeka Czerwona. proza art. XI, XII/52.

SPIS TREŚCI

Str.

Kongres Narodów w Obronie Pokoju w Wiedniu 12.XII — 19.XII. 1952 r. Przemówienie Jarosława Iwaszkiewicza 3

Seweryn Pollak — Na legitymację zetempowską córki 6

Arnold Słucki — 1920; Matce; Na MDM (Anielka); Na śmierć towarzyszki Fernandez 8

Jan Koprowski — Reportaż z Piotrkowa 10

Tadeusz Śliwiak — W mieście mojej matki; Tworzenie; Pożegnanie dzieciństwa 11

Seweryn Skulski — Wiersze: Polska; Do dobrej żony; Wolnego; Przyśpiewka . 13

Helena Bobińska — Soso. Opowieść o dzieciństwie i latach szkolnych Stalina . 17

Kazimierz Brandys — Obywatele 85

Nicolas Guillen — Moja ziemia jest słodka; Son numer szósty; Son kubańsko-wenezuelski; Rozmowa o Murzynie; Elegia na śmierć Jesusa Menendeza, przeł. Zofia Szleyen 144

Mirosław Żuławski — Rzeka Czerwona 153

Z REWOLUCYJNEJ POEZJI NIEMIECKIEJ XIX W. 177

Ludwik Uhland — Oto przekleństwo, przeł. Tadeusz Polanowski . .

Georg Herwegh — Umierający trębacz; Wspomnienie, przeł. Leopold Lewin

Ferdynand Freiligrath — Wolna prasa, przeł. Robert Stiller . .

Georg Werth — W drodze do Düsseldorfu, przeł. Tadeusz Polanowski .

Z SEKCJI ZLP: Zbigniew Bieńkowski — Uwagi o realizmie w poezji Wiktora Hugo 182

WŚRÓD KSIĄŻEK: Włodzimierz Maciąg — Seweryn Pollak „Pocisk i słowo"; Henryk Bereza — Kazimierz Koźniewski „Piątka z ulicy Barskiej"; Andrzej Lam — Wojciech Żukrowski „Córeczka"; Marceli Ranicki — Arnold Zweig „Topór z Wandsbek" 189

TEATR: Józef Maśliński — Występy teatru im. Mossowietu 204

NA WIDNOKRĘGU: Krzysztof Wolicki, Józef Spinc, George Bidwell, Julian Stawiński 215

KSIĄŻKI NADESŁANE 233

Spis treści za II półrocze 1952 r. 236

Wydaje Instytut Prasy „Czytelnik"

Redaktor Naczelny: Adam Ważyk

Adres redakcji: Warszawa, Wiejska 16, tel. 734-65, centr. 7-52-50/52, wewnętrzny 2

Administracja: Wiejska 12, tel. 7-52-50

Cena zeszytu zł 7. Prenumerata kwartalna zł 21, półroczna zł 42.

Rękopisów nie zamówionych redakcja nie zwraca

Od dnia 16. V. 1952 r. indywidualne zamówienia i wpłaty na prenumeratę pism przyjmować będą tylko urzędy pocztowe oraz listonosze wiejscy i miejscy. W związku z tym bezpośrednich zamówień i wpłat do PPK „Ruch" kierować nie należy. Prenumerata zbiorowa, tzw. zakładowa, pozostaje jak dotychczas, tzn. zamówienia i wpłaty kierowane są bezpośrednio do PPK „Ruch"

Cena zł 7.–